

ASSASSIN'S — CREED — POJEDNANIE



Oliver Bowden

Assassin's Creed

POJEDNANIE

przełożył

Przemysław Bieliński

*Wyjątek z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

Na biurku przede mną leży jej pamiętnik, otwarty na pierwszej stronie. Tylko tyle zdołałem przeczytać, zanim fala uczuć zaparła mi dech w piersiach, a litery stały się jakby widziane przez brylant. Na jej wspomnienie po moich policzkach spłynęły łzy... Przywołuję z pamięci psotne dziecko bawiące się w chowanego, buntowniczkę, którą poznałem i pokochałem jako dorosły, piękność o rudych lokach opadających na ramiona i przenikliwych oczach spoglądających spod ciemnych, gęstych rzęs. Poruszała się z gracją wytrawnej tancerki i mistrzyni fechtunku. Czuła się równie dobrze, unosząc się nad parkietami pałacowych sal pod pożądliwymi spojrzeniami wszystkich obecnych tam mężczyzn jak w walce na śmierć i życie.

Ale te piękne oczy skrywały swoje tajemnice. Sekrety, które wnet miałem poznać. Na powrót podnoszę jej diariusz, pragnąc umieścić dłoń i opuszki palców na jego kartach, pieścić słowa, poczuć zaklętą w papierze część jej duszy.

Zaczynam czytać.

*Wyjątki z diariusza
Élise de La Serre*

9 kwietnia 1778

I

Nazywam się Élise de La Serre. Mój ojciec to François, matka zaś – Julie. Mieszkamy w Wersalu: rozświetlonym, pięknym Wersalu, gdzie w cieniu wielkiego pałacu stoją schludne gmachy i wspaniałe rezydencje, wśród alejek biegnących szpalerami lip, wśród migotliwych stawów i fontann, wśród fantazyjnie przyszczyżonych krzewów.

Jesteśmy arystokracją. Wybrańcami losu. Uprzywilejowanymi. Aby się o tym przekonać, wystarczy nam udać się do oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów Paryża. Drogę tam biegnącą oświetlają naftowe lampy, bo w Wersalu takich właśnie używamy, ale paryska biedota przyświeca sobie łożowymi świecami, a dym z wytwórni łożu wisi nad miastem niczym śmiertelny całun, osiada na skórze i zalepia płuca. Biedacy w łachmanach, zgarbieni pod brzemieniem dźwiganych ciężarów albo trosk, snują się po ulicach, na których nigdy zdaje się nie gościć światło. Rynsztokami płynie błoto i ludzkie odchody; maź lepi się do nóg tragarzy niosących nasze lektyki, z których oglądamy to wszystko szeroko otwartymi oczami.

Później, wracając do Wersalu złoconymi karocami, mijamy na polach postacie spowite w mgłę niczym duchy. Bosonodzy wieśniacy pracują na ziemi moźnych i głodują, jeśli zbiory nie dopiszą; niewiele różni ich od niewolników. W domu słucham opowieści rodziców o tym, jak chłopci nie śpią nocami, przeganiając kijami żaby, których rechotanie budzi panów ze snu; jak muszą jeść trawę, żeby nie skonać z głodu; jak możni są zwolnieni z podatków, zwolnieni ze służby wojskowej, z upokarzającego obowiązku *corvée*, niepłatnego dnia pracy przy utrzymaniu publicznych dróg.

Rodzice mówią, że królowa Maria Antonina przechadza się po salach balowych, korytarzach i westybulach pałacu, wymyślając, na jakie suknie tym razem wydać majątek, a jej mąż, król Ludwik XVI, rozparty w swoim *lit je justice*, ustanawia prawa, które ułatwiają życie arystokracji kosztem głodującej biedoty. Z ponurymi obliczami przepowiadają, że może z tego wyniknąć nawet rewolucja.

Mój ojciec miał grupę zaufanych. Panów Chretienena Lafrenière'a, Louisa-Michela Le Peletiera, Charles'a Gabriela Siverta i *madame* Levesque. Ponieważ nosili długie czarne płaszcze i ciemne filcowe kapelusze, a ich oczy nigdy się nie uśmiechały, nazywałam ich krukami.

– Czy Croquants niczego nas nie nauczyli? – mawia moja matka. Oczywiście opowiadała mi o Croquants, chłopskiej rewolcie sprzed dwustu lat.

– Najwyraźniej nie, Julie – odpowiada ojciec.

Istnieje określenie na chwilę, w której nagle coś pojmujesz. Nazywa się to olśnieniem.

Będąc małym dzieckiem, nigdy nie zadawałam sobie pytania, dlaczego uczę się historii, a nie etykiety, manier i elegancji. Nie pytałam, czemu matka dołączała do ojca i kruków po kolacji, podnosząc głos w sporze, jaki zarysował się w trakcie dyskusji, z taką samą siłą jak oni; nie zastanawiałam się, dlaczego nie jeździła konno w damskim siodle ani dlaczego nigdy nie potrzebowała stajennego, żeby zapanować nad swoim wierzchowcem. Nie dziwiło mnie, że nie obchodziła jej moda ani dworskie plotki. Ani razu nie przyszło mi do głowy zapytać, dlaczego moja matka jest inna od wszystkich innych matek.

Dopóki mnie nie olśniło.

II

Była piękna, rzecz jasna, i zawsze dobrze ubrana, choć nie poważała zbytnio strojów noszonych przez damy na dworze,

o których wyrażała się z dezaprobatą, ściągając usta. Twierdziła, że nadmiernie pochłania je własny wygląd, status i posiadanie różnych rzeczy.

– W ich głowach nigdy nie zagościła żadna własna myśl, Élise. Obiecuj mi, że nigdy nie staniesz się taka jak one.

Zaintrygowało mnie to. Chcąc się dowiedzieć więcej o tym, jaka nie powinnam się stać, spomiędzy fałd matczynej sukni zaczęłam obserwować te znienawidzone kobiety. I ujrzałam pudernice, udające wierność i oddanie swoim mężom, choć bezustannie wypatrujące znad wachlarzy nieświadomych niczego kochanków do usidlenia. Niewidzialna dla nich zaglądałam za te maski z pudru, gdy pogardliwy śmiech gasł na ich ustach, a z oczu znikająca kpina, i widziałam ich prawdziwe oblicza – pełne lęku, że wypadną z łask, że stracą swoje pozycje w hierarchii społecznej.

Matka była zupełnie inna. Po pierwsze, zupełnie nie obchodziły ją plotki. Nigdy też nie widziałam jej z wachlarzem, nie znosiła pudru, gardziła antracytowymi pieprzykami i alabastrową cerą. Jej jedynym ustępstwem na rzecz mody były buty. Poza tym jednak o swój wygląd dbała tylko z jednego powodu: dla zachowania pozorów.

Była też całkowicie oddana mojemu ojcu. Stała przy nim – ale u jego boku, nigdy za nim – wspierała go, była wobec niego bezgranicznie lojalna i zawsze popierała go przy ludziach, choć słyszałam nieraz, jak kłócili się za zamkniętymi drzwiami i jak musiała go uspokajać.

Ostatni raz jednak kłócili się bardzo dawno.

Mówią, że dziś wieczór może umrzeć.

10 kwietnia 1778

I

Przeżyła tamtą noc.

Siedziałam obok niej, trzymałam ją za rękę i mówiłam do niej. Przez jakiś czas miałam złudne wrażenie, że to ja podtrzymuję ją na duchu, dopóki nie odwróciła się i nie popatrzyła na mnie zamglonymi, lecz mądrymi oczami; wtedy stało się jasne, że jest odwrotnie.

Kilka razy w nocy wyglądałam przez okno i widziałam w dole na dziedzińcu Arna, zazdroszcząc mu nieświadomości cierpienia przeżywanego zaledwie kilka kroków od niego. Arno oczywiście wie, że matka jest chora, ale suchoty to powszechna choroba, a śmierć mimo starań lekarzy zdarza się codziennie, nawet tu, w Wersalu. Poza tym Arno nie jest de La Serre'em. Jest naszym podopiecznym i jako taki nie jest wtajemniczony w najgłębsze, najmroczniejsze sekrety ani dopuszczany do osobistych cierpień. Co więcej, nie pamięta prawie mojej matki w innych okolicznościach. Przez większość czasu, jaki Arno u nas spędził, była dla niego nieobecną postacią obsługiwaną na piętrze rezydencji; nie kojarzy jej z niczym prócz choroby.

Dzielę więc swoje cierpienie tylko z ojcem, przekazujemy je sobie ukradkowymi spojrzeciami. Na zewnątrz staramy się zachować pozory normalności; naszą żalobę stępiły dwa lata ponurych diagnoz. Ten smutek to jedna z tajemnic, które skrywamy przed naszym wychowankiem.

II

Jesteśmy coraz bliżej chwili olśnienia. Wracając myślą do tamtego pierwszego incydentu, pierwszego razu, kiedy zaczęłam się

naprawdę zastanawiać, kim są moi rodzice, a zwłaszcza matka, wyobrażam go sobie jako drogowskaz przy ścieżce prowadzącej do mojego przeznaczenia.

Miało to miejsce w klasztorze. Miałam zaledwie pięć lat, kiedy tam trafiłam, i moje wspomnienia z tego czasu nie są bynajmniej w pełni ukształtowane. To właściwie tylko niepowiązane obrazy: długie rzędy łóżek, wyraźne, ale jakby oderwane wspomnienie oglądania przez pokryte szronem okno wierzchołków drzew, wystających ze skłębionej mgły; oraz... matka przełożona.

Zgarbiona i zgorzkniała, słynęła ze swojego okrucieństwa. Przechadzała się po klasztornych korytarzach z trzcina trzymaną przed sobą w obu dłoniach, jakby chciała wręczyć ją komuś jako podarek. W jej pokoju trzcina leżała na biurku. Mówiliśmy wtedy, że przyszła „twoja kolej”; i przez jakiś czas kolej była moja, kiedy matka przełożona skupiła swoją niechęć na moim szczęściu, nie mogąc znieść faktu, że łatwo wybuchałam śmiechem, i mój wesoły uśmiech zawsze nazywając bezczelnym. Tą trzcina, mawiała, zetrze mi ten bezczelny uśmieszek z twarzy.

Miała rację. Starła. Na krótko.

Potem któregoś dnia matka i ojciec przyjechali zobaczyć się z nią w jakiejś sprawie – nie mam pojęcia jakiej – i na ich żądanie zostałam wezwana do gabinetu. Zostałam ich tam czekających na mnie w fotelach. Matka przełożona stała za biurkiem, jak zwykle z grymasem nieskrywanej pogardy na twarzy, z ledwie zastygłą na ustach szczerą oceną moich licznych wad.

Gdyby odwiedziła mnie sama matka, nie zachowywałabym się tak oficjalnie. Pobiegłabym do niej z nadzieją, że będę mogła się skryć w fałdach jej sukni i uciec z tego okropnego miejsca do innego świata. Ale przyjechali oboje, a mój ojciec był dla mnie królem. To on dyktował, jakich zasad grzeczności należy przestrzegać; to on nalegał, żeby wysłać mnie do klasztoru. Dlatego zbliżyłam się do nich, dygnęłam i czekałam, aż zostaną o coś zapytana.

Matka chwyciła mnie za rękę. Nie mam pojęcia, jak zobaczyła, co tam jest, ponieważ dłoń trzymałam przy boku, ale jakimś cudem dostrzegła ślady po trzcinie.

– Co to jest? – zapytała surowym tonem matkę przełożoną, pokazując jej moją rękę.

Nigdy nie widziałam starej zakonnicy tracącej panowanie nad sobą, teraz jednak pobladła. Moja matka w jednej chwili przeobraziła się z osoby grzecznej i układowej, czego należało oczekiwać od gościa przełożonej klasztoru, w instrument potencjalnego gniewu. Wszyscy to poczuliśmy, zakonnica najbardziej.

– Jak już mówiłam – zająknęła się – Élise to dziewczę psotne i nieposłuszne.

– A więc jest bita? – spytała matka z narastającą złością.

Matka przełożona wyprostowała się.

– A jak inaczej mam tu utrzymać porządek?

Moja matka chwyciła z biurka trzcinę.

– Oczekuję, że będzie matka zdolna go utrzymać. Uważa matka, że to ją czyni silną? – Sieknęła trzciną o biurko. Zakonnica drgnęła, przełknęła ślinę i zerknęła na ojca, który przyglądał się temu wszystkiemu z dziwną, nieprzeniknioną miną, jakby te wydarzenia nie wymagały jego udziału. – W takim razie jest matka w wielkim błędzie – ciągnęła. – To czyni matkę słabą.

Wstała, nie spuszczać z zakonnicy gniewnego spojrzenia, i przestraszyła ją jeszcze raz, znów uderzając trzciną o biurko. Potem wzięła mnie za rękę.

– Chodź, Élise.

Opuściliśmy klasztor i od tamtej pory lekcje dawali mi najęci nauczyciele w domu.

Kiedy wyszliśmy stamtąd w pośpiechu, wsiedliśmy do powozu i wróciliśmy do Wersalu w milczeniu nabrzmiałym niewypowiedzianymi słowami, wiedziałam jedno – że damy się tak nie zachowują. A przynajmniej nie te zwykłe.

Kolejna wskazówka. Ta miała miejsce jakiś rok później na urodzinowym przyjęciu rozpuszczonej dziewczynki w sąsiedniej rezydencji. Inne dziewczynki w moim wieku bawiły się lalkami, urządzały im herbatki, ale bez prawdziwej herbaty i ciastek. Małe dziewczynki udawały po prostu, że karmią lalki ciastkami i poją je herbatą, co już wtedy wydawało mi się głupotą.

Nieopodal chłopcy bawili się żołnierzami, poszłam więc bawić się z nimi, nieświadoma pełnej zgorszenia ciszy, jaka zapanowała.

Moja niania Ruth odciągnęła mnie od nich.

– Baw się lalkami, Élise – powiedziała stanowczo, ale ze zdenerwowaniem, kuląc się pod pełnymi dezaprobaty spojrzeniami innych opiekunek. Zrobiłam, co mi kazała, przykucnęłam i udawałam zainteresowanie herbatką na niby. Zawstydzający epizod minął i wszystko wróciło do naturalnego stanu: chłopcy bawili się żołnierzami, dziewczynki – lalkami, nianki pilnowały wszystkich razem, a nieopodal grupka matek, wysoko urodzonych dam, plotkowała na ogrodowych fotelach z kutego żelaza.

Popatrzyłam na nie i ujrzałam je oczami matki. Zobaczyłam własną drogę od dziewczynki siedzącej w trawie do plotkującej damy dworu i w przyпіływie całkowitej pewności zrozumiałam, że tego nie chcę. Nie chcę być taka jak one. Chcę być taka jak moja matka, która przeprosiła pozostałe i stała w oddali, sama, nad wodą, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, kim jest.

III

Dostałam liścik od pana Weatheralla. Pisząc w swoim ojczystym angielskim, informuje, że chciałby zobaczyć się z matką, i prosi, abym spotkała się z nim o północy w bibliotece, by zaprowadzić go do jej pokoju. Zaklina, żebym nie mówiła o niczym ojcu. Oto kolejna tajemnica, której muszę dochować. Czasami czuję się jak jeden z tych nieszczęśników widywanych w Paryżu, zgarbiona

pod ciężarem żywionych wobec mnie oczekiwań.

Mam zaledwie dziesięć lat.

11 kwietnia 1778

I

O północy naciągnęłam suknię, wzięłam świecę i po cichu zeszłam na dół, do biblioteki, by zaczekać tam na pana Weatheralla.

Zjawił się niezapowiedziany, bezszelestnie niczym duch, nie budząc nawet psów. Wszedł do biblioteki tak cicho, że nie usłyszałam skrzypienia otwieranych i zamykanych drzwi. Kilkoma szybkimi krokami zbliżył się, zerwał z głowy perukę, której nie znosił, i chwycił mnie za ramiona.

– Mówią, że szybko gaśnie – powiedział i słyszać było, że pragnie, by to była tylko plotka.

– To prawda – odparłam, spuszczaając wzrok.

Zamknął oczy i choć nie był wcale stary – miał ponad czterdzieści lat, nieco tylko więcej niż matka i ojciec – to każdy rok odcisnął swe piętno na jego twarzy.

„Pan Weatherall i ja byliśmy sobie dawniej bardzo bliscy” – powiedziała mi kiedyś matka. Uśmiechnęła się przy tym i wyobrażam sobie, że także nieco się zarumieniła.

II

Poznałam pana Weatheralla w mroźny lutowy dzień. To była pierwsza z naprawdę ciężkich zim, ale choć w Paryżu zamarzała Sekwana, a nędzarze umierali na ulicach, w Wersalu sprawy miały się zupełnie inaczej. Zanim się budziliśmy, służba rozpaliała huczący ogień w paleniskach. Jedliśmy gorące śniadanie, a potem otuleni w futra, z dłońmi skrytymi w ciepłych mufkach przechadzaliśmy się po naszych posiadłościach.

Tego akurat dnia świeciło słońce, choć nie zmniejszało to nijak

przejmującego do szpiku kości chłodu. Na grubej warstwie śniegu skrzył się pięknie lód tak twardy, że Czochraj, nasz wilczarz irlandzki, mógł po nim biegać, nie zapadając się. Zrobił kilka ostrożnych kroków, a potem, uświadomiwszy sobie, jakie ma szczęście, zaszczekał radośnie i popędził przed siebie. Ja i matka szłyśmy w kierunku drzew na skraju południowego trawnika.

Trzymając ją za rękę, obejrzałam się do tyłu. Nasza rezydencja jaśniała w refleksach słońca i śniegu, mrugała oknami, a gdy weszłyśmy między drzewa, stała się niewyraźna, jakby pocieniowana ołówkiem. Zrozumiałam, że zaszłyśmy dalej niż zwykle, że oddaliłyśmy się od bezpiecznego schronienia.

– Nie przestrasz się, jeśli zobaczysz pewnego pana skrytego w cieniu – powiedziała matka, lekko się do mnie nachylając. Mówiła cichym głosem. Ścisnęłam mocniej jej rękę, a ona się roześmiała. – Nasza obecność tu nie jest przypadkiem.

Miałam wtedy sześć lat i nie śniło mi się nawet, że spotkanie damy z jakimś mężczyzną w takich okolicznościach może mieć jakieś „implikacje”. Z mojego punktu widzenia takie spotkanie miało nie większe znaczenie niż rozmowa matki z Emanuelem, naszym ogrodnikiem, czy pogawędka z Jeanem, stangretem.

Mróz sprawia, że świat pogrąża się w bezruchu. Wśród drzew było nawet ciszej niż na pokrytym śniegiem trawniku. Pochłonięte przez wszechogarniający spokój, wąską ścieżką ruszyłyśmy w głąb lasu.

– Pan Weatherall lubi pewną zabawę – powiedziała matka, ścisząc głos z szacunku dla otaczającego nas spokoju. – Może chce nas zaskoczyć, a niespodzianek zawsze trzeba się strzec. Należy się rozglądać i wiedzieć, czego się spodziewać. Widzisz jakieś ślady?

Śnieg wokół nas był nietknięty.

– Nie, mamo.

– Dobrze. Możemy więc mieć pewność co do najbliższej okolicy. A gdzie w takiej sytuacji mógłby się ktoś schować?

– Za drzewem?

– Dobrze, dobrze... A tam? – wskazała w górę. Wyciągnęłam szyję i popatrzyłam na sklepienie z gałęzi nad nami, oszronione, połyskujące w promieniach słońca.

– Zawsze miej baczenie na wszystko – rzekła matka z uśmiechem. – Miej oczy szeroko otwarte, jeśli to możliwe, w ogóle nie spuszczaaj wzroku. Nie zdradzaj innym, na czym skupiasz uwagę. Napotkasz w życiu przeciwników, którzy będą usiłowali odczytać twoje zamiary. Każąc im zgadywać, zachowasz przewagę.

– Czy nasz gość będzie siedział na drzewie, mamó? – spytałam. Zaśmiała się.

– Nie. Prawdę mówiąc, ja już go dojrzałam. Widzisz go, Élise? Zatrzymałyśmy się. Popatrzyłam na drzewa przed nami.

– Nie, mamó.

– Pokaż się, Freddie – zawołała matka i istotnie, zza drzewa kilka metrów przed nami wyszedł siwobrody mężczyzna. Ściągnął z głowy trikorn i skłonił się przesadnie.

Wszyscy mężczyźni w Wersalu są do siebie podobni. Patrzą z góry na każdego, kto nie jest jednym z nich. Mają na twarzach grymas, który nazywam wersalskim uśmiechem, wyrażający coś pomiędzy zdumieniem a nudą, jakby na końcu języka mieli bezustannie jakąś ciętą uwagę, po których, zdawało się, oceniali się nawzajem.

Ten mężczyzna nie był wersalczykiem, świadczyła o tym już sama jego broda. A choć się uśmiechał, nie był to uśmiech wersalski. Uśmiechał się łagodnie i zarazem z powagą, sprawiając wrażenie kogoś, kto zawsze waży słowa i nie rzuca ich na wiatr.

– Zdradził cię cień, Freddie – rzekła matka z uśmiechem. Podeszła do niego, a on ucałował jej wyciągniętą dłoń, po czym to samo zrobił z moją, również się przy tym kłaniając.

– Cień? – spytał. Głos miał szorstki, niczym żeglarz albo żołnierz. – A niech mnie kule biją, chyba wychodzę z wprawy.

– Mam nadzieję, że nie, Freddie – zaśmiała się matka. – Élise, przedstawiam ci pana Weatheralla, Anglika. To mój zaufany przyjaciel. Freddie, oto Élise.

Zaufany? Jak kruki? Nie, w niczym ich nie przypominał. Nie gapił się na mnie, tylko chwycił moją dłoń, pochylił się i pocałował ją.

– To zaszczyt poznać, *mademoiselle* – zapewnił chrapliwie, a jego angielski akcent zniekształcił słowo „*mademoiselle*” w sposób, który wydał mi się nieodparcie uroczy.

Matka popatrzyła na mnie znacząco.

– Pan Weatherall to nasz powiernik i obrońca, Élise. Ktoś, do kogo zawsze możesz się zwrócić o pomoc.

Obejrzałam się na nią, nieco zaskoczona.

– A co z ojcem?

– Ojciec kocha nas obie bardzo mocno i bez wahania oddałby za nas życie, ale tak ważnych ludzi jak on należy zwalniać z domowych obowiązków. Dlatego właśnie mamy pana Weatheralla, Élise, aby twój ojciec nie musiał kłopotać się sprawami dotyczącymi jego kobiet. – Spoważniała jeszcze bardziej. – Nie wolno go tym zaprzętać, Élise, rozumiesz?

– Tak, mamo.

Pan Weatherall pokiwał głową.

– Do twoich usług, *mademoiselle* – oznajmił.

Dygnęłam.

– Dziękuję, *monsieur*.

Przybiegł Czochraj i przywitał się wylewnie z panem Weatherallem; najwyraźniej znali się od dawna.

– Czy możemy pomówić, Julie? – spytał nasz obrońca, zakładając z powrotem kapelusz i wskazując, by się przeszli.

Zostałam kilka kroków za nimi. Docierały do mnie chaotyczne strzępki ich cichej rozmowy. Usłyszałam „wielki mistrz” i „król”, ale to były tylko słowa, takie same jak te, które dobiegały mnie zza zamkniętych drzwi rezydencji. Dopiero w późniejszych latach

nabrały o wiele poważniejszego wydźwięku.

Wtedy właśnie to się stało.

Wracając do przeszłości, nie potrafię sobie przypomnieć dokładnej sekwencji zdarzeń. Pamiętam, że matka i pan Weatherall zamarli, a Czochraj zjeżył się i zawarczał. Potem matka odwróciła się na pięcie. Moje spojrzenie powędrowało za jej wzrokiem i zobaczyłam w zaroślach po lewej wilka; szarocznego wilka stojącego w całkowitym bezruchu i przyglądającego mi się złowrogimi ślepiami.

Z mufki matki coś się wyłoniło, jakieś srebrzyste ostrze; w dwóch szybkich krokach matka znalazła się u mojego boku, chwyciła mnie i przeniosła za siebie. Wtuliłam się w jej suknię, a ona stawiała czoła wilkowi, wyciągając sztylet.

Po drugiej stronie ścieżki pan Weatherall trzymał za kark wrywającego się, jeżącego sierść psa; zauważyłam, że drugą ręką sięga po wiszącą u boku szpadę

– Zaczekaj – rozkazała matka. Na widok jej podniesionej ręki pan Weatherall znieruchomiał. – Nie sądzę, by ten wilk nas zaatakował.

– Nie byłbym taki pewny, Julie – ostrzegł pan Weatherall. – Wygląda mi na wyjątkowo wygłodzonego.

Wilk gapił się na matkę. Matka nie spuszczała go z oczu, jednocześnie mówiąc do nas:

– Nie ma co jeść na wzgórzach, to desperacja sprowadziła go na naszą ziemię. Ale myślę, że on wie, iż atakując nas, uczyni z nas swoich wrogów. O wiele lepiej będzie, jeśli wycofa się w obliczu przeważającej siły i poszuka stawy gdzie indziej.

Pan Weatherall zaśmiał się krótko.

– Dlaczego brzmi to jak przypowieść?

– Ponieważ, Freddie, to jest przypowieść – odparła matka ze śmiechem

Wilk stał tak jeszcze kilka chwil, nie spuszczać wzroku z matki, aż w końcu spuścił łeb, zawrócił i powoli oddalił się

kłusem. Patrzyliśmy, jak znika wśród drzew. Matka się rozluźniła i schowała sztylet do mufki. Kiedy się obejrzałam na pana Weatheralla, kurtkę miał z powrotem zapiętą, a jego oręż zniknął bez śladu.

I znalazłam się o krok bliżej olśnienia.

III

Zaprowadziłam pana Weatheralla do jej pokoju. Poprosił, żebym zostawiła go z nią samego, i zapewnił, że trafi do wyjścia. Zaciekawiona zajrzałam przez dziurkę od klucza. Usiadł przy mojej matce, ujął jej dłoń i spuścił głowę. Po chwili zdało mi się, że słyszę jego szloch.

12 kwietnia 1778

I

Odwracam się od okna i wspominam ubiegłe lato, kiedy bawiąc się z Arnem, zapominałam o zmartwieniach i na powrót cieszyłam się beztroskim życiem małej dziewczynki, ścigając się z nim w labiryncie żywopłotu u stóp pałacu i przekomarzając przy deserze, nieświadoma, że ucieczka od strapień będzie tak krótka.

Co dzień rano wbijam paznokcie w dłonie i pytam: „Obudziła się?”, a Ruth, wiedząc, że tak naprawdę mam na myśli: „Czy żyje?”, zapewnia mnie, że matka przeżyła noc.

Ale to już długo nie potrwa.

II

Cóż. Chwila olśnienia zbliża się wielkimi krokami. Najpierw jednak – kolejny drogowskaz.

Carrollowie przyjechali wiosną owego roku, kiedy poznałam pana Weatheralla. A była to cudowna wiosna. Śniegi stopniały, ukazując zielone dywany równiutko przystrzyżonej trawy, Wersal wrócił do swego naturalnego stanu nieskazitelnej doskonałości. Otoczeni perfekcyjnie przyciętymi żywopłotami naszej posiadłości prawie nie słyszeliśmy gwaru miasteczka, na prawo zaś widniał masyw pałacu i szerokie kamienne schody wiodące do olbrzymiej frontowej kolumnady. Splendor w sam raz na przyjęcie Carrollów z Mayfair w angielskim Londynie. Pan Carroll i ojciec godzinami przesiadywali w salonie, pogrążeni w głębokiej rozmowie i odwiedzani przez kruki, zaś matce i mnie przypadło zabawianie pani Carroll i jej córki May, która bezzwłocznie poinformowała mnie, że ma dziesięć lat i jest przez

to o wiele lepsza ode mnie, zaledwie sześciolatki.

Zaprosiłyśmy je na spacer i okryłyśmy się dla ochrony przed porannym chłodem, który wkrótce miało przepędzić słońce: matka, ja, pani Carroll i May.

Matka i pani Carroll szły kilka kroków przed nami. Zauważyłam, że matka wzięła swoją mufkę, i zastanawiałam się, czy ma w niej schowany sztylet. Oczywiście po przygodzie z wilkiem zapytałam ją o niego.

– Mamo, czemu nosisz nóż w mufce?

– Droga Élise, oczywiście na wypadek napotkania zabłąkanego wilka. – I z kpiarskim uśmiechem dodała: – Wilka w czworo-, a może dwunożnej postaci. Poza tym mufka maskuje kształt sztyletu.

Zaraz jednak, jak to miała w zwyczaju, kazała mi przysiąc, że to będzie jedna z naszych *vérités cachées*. Pan Weatherall był *vérité cachée*. Co oznaczało, że kiedy pan Weatherall zaczął uczyć mnie szermierki, nasze lekcje również stały się *vérité cachée*.

Innymi słowy, sekretem.

May i ja szłyśmy w należytej odległości za matkami. Rąbki naszych sukni muskały trawę, toteż z oddali musiałyśmy wyglądać, jakbyśmy sunęły nad ziemią.

– Ile masz lat, Śmierdzielu? – spytała szeptem May, choć jak mówiłam, już ustaliła nasz wiek. Nawet dwa razy.

– Nie nazywaj mnie śmierdzielem – obruszyłam się.

– Przepraszam, Śmierdzielu, a teraz powiedz mi jeszcze raz, ile masz lat.

– Mam sześć lat – odparłam.

Zachichotała, dając do zrozumienia, że sześć lat to okropny wiek, jakby sama nigdy tyle nie miała.

– A ja mam dziesięć – oznajmiła z wyższością. (Przy okazji – May Carroll zwykle tak mówiła. O ile nie zaznaczę inaczej, zakładajcie, że mówi z wyższością).

– Wiem, że masz dziesięć – syknęłam, wyobrażając sobie

z tęsknotą, że podstawiam jej nogę, a ona pada jak długa na żwir ścieżki.

– Żebyś nie zapomniała – rzekła, a ja ujrzałam oczami wyobraźni drobiny żwiru przylepione do jej zapłakanej twarzy, kiedy podnosi się z ziemi. Jak to mówił pan Weatherall? Im są więksi, z tym większym hukiem padają.

(Teraz, kiedy sama mam dziesięć lat, zastanawiam się, czy jestem tak samo zarozumiała jak ona. Czy kiedy mówię do młodszych albo o niższej pozycji, w moim głosie słychać ten sam szyderczy ton? Według pana Weatheralla jestem nadmiernie pewna siebie, co, jak sądzę, jest uprzejmym określeniem arogancji, może więc dlatego właśnie tak się ścierałam z May – bo w głębi duszy obie byłyśmy takie same).

Kiedy tak szłyśmy przez park, do naszych uszu dobiegły słowa wypowiedane przez idące przodem damy.

– Rzecz jasna, mamy obawy co do kierunku, który zdaje się obierać wasz Zakon – mówiła pani Carroll.

– Macie obawy? – powtórzyła matka.

– Tak właśnie. Obawy co do zamiarów doradców pani męża. Jak obie wiemy, naszym obowiązkiem jest dbać, by nasi mężowie postępowali właściwie. Być może, jeśli wolno zauważyć, pani mąż pozwala pewnym ugrupowaniom zanadto wpływać na swoją politykę.

– Owszem, pewni wysoko postawieni członkowie opowiadają się za, nazwijmy to, bardziej zdecydowanym postępowaniem w kwestii zmiany starego porządku.

– Martwi to nas w Anglii.

Matka zaśmiała się.

– Nie wątpię. Wy, Anglicy, nie godzicie się na żadne zmiany.

Pani Carroll obruszyła się:

– Skądże znowu. Pani wyobrażeniu o naszym narodowym charakterze brak subtelności. Zaczynam jednak wyczuwać, ku czemu skłania się pani sama, *madame* de La Serre. Opowiada się

pani za zmianą?

– O ile będzie to zmiana na lepsze.

– Czy mam wobec tego przekazać, że trzyma pani stronę doradców swojego męża? Czyżbym przyjechała tu na próżno?

– Niezupełnie, *madame*. Wielką pociechą jest dla mnie wiedza, że cieszę się poparciem angielskich kolegów, opierając się drastycznym rozwiązaniom. Nie mogę jednak powiedzieć, że podzielam waszą wiarę w ostateczny cel. Choć jest prawdą, że istnieją siły dążące do obalenia władzy przemocą, i choć mój mąż wierzy w boskie namaszczenie monarchy, a jego wyobrażenie idealnej przyszłości nie wiąże się z żadną zmianą w ogóle, ja osobiście stąпам środkową ścieżką. Trzecią, można powiedzieć. Może to nie być dla pani zaskoczeniem, ale uważam swoją ideologię za najbardziej umiarkowaną ze wszystkich trzech.

Przeszły kilka kroków w milczeniu. Pani Carroll w zamyśleniu pokiwała głową.

– Przykro mi, jeśli nasze cele nie są zbieżne, *madame* – przerwała ciszę moja matka. – Proszę o wybaczenie, jeśli czyni to mnie niegodną zaufania powierniczką.

Druga kobieta pokiwała głową.

– Rozumiem. Cóż, na pani miejscu, *madame* de La Serre, wykorzystałabym swoje wpływy po obu stronach, by zaproponować własne rozwiązanie.

– O tej sprawie wolałabym nie rozmawiać, ale zapewniam, że wasza podróż nie jest daremna. Mój szacunek dla was i waszego odłamu Zakonu pozostaje tak niewzruszony jak, mam nadzieję, wasz dla mnie. Jeśli o mnie chodzi, może pani być pewna dwóch rzeczy: po pierwsze, że będę postępować według własnych przekonań, a po drugie, że nie pozwolę, by mój mąż uległ wpływom swoich doradców.

– W takim razie otrzymałam to, po co przyjechałam.

– Wyśmienicie. Mam nadzieję, że to dla pani pewna pociecha.

May nachyliła się ku mnie.

– Czy rodzice mówili ci, jakie jest twoje przeznaczenie?

– Nie. Co to znaczy, „przeznaczenie”?

Zakryła dłonią usta, jakby powiedziała za dużo.

– Może powiedzą, kiedy skończysz dziesięć lat. Tak jak moi mi powiedzieli. A przy okazji, ile masz lat?

Westchnęłam.

– Mam sześć lat.

– Cóż, w takim razie może powiedzą ci, kiedy skończysz dziesięć, tak jak mi powiedzieli.

Naturalnie, moi rodzice nie mieli w końcu wyboru i musieli powiedzieć mi o moim przeznaczeniu znacznie wcześniej, bo już po upływie dwóch lat, jesienią 1775 roku, niedługo po moich ósmych urodzinach, kiedy pojechałam z matką kupić pantofle.

III

Oprócz pałacu w Wersalu posiadaliśmy duży dom w mieście i ilekroć tam byliśmy, matka wybierała się z przyjemnością na zakupy.

Jak już mówiłam, choć pogardzała modą, wachlarzami i perukami, a krzykliwość własnych sukni ograniczała do minimum, jedną rzecz traktowała z nieodmiennym upodobaniem.

Buty. Uwielbiała buty. Kupowała jedwabne pantofelki u Christiana w Paryżu, gdzie jeździliśmy co dwa tygodnie, regularnie jak w zegarku, bo, jak mówiła, była to jej jedyna ekstrawagancja, i moja też, ponieważ zawsze wracaliśmy z parą pantofelków także dla mnie.

Sklep Christiana mieścił się przy jednej z lepszych ulic Paryża, daleko od naszego domu na Wyspie Świętego Ludwika. Wszystko jednak jest względne i mimowolnie wstrzymywałam oddech, kiedy wysiadałyśmy z wygodnego i pachnącego wnętrza powozu na hałaśliwą, ruchliwą ulicę, rozbrzmiewającą krzykami, stukaniem końskich kopyt i bezustannym łoskotem kół wozów.

Dźwięki Paryża.

Nad nami kobiety wychylone z okien ze skrzyżowanymi na piersiach rękami przyglądały się życiu w dole. Wzdłuż ulicy ciągnęły się kramy z owocami i tkaninami, znad beczek pełnych towarów mężczyźni i niewiasty w fartuchach nawoływali do nas:

– *Madame! Mademoiselle!*

Moje spojrzenie powędrowało ku cieniom w zaułkach, gdzie dostrzegłam puste twarze; i wydawało mi się, że widzę głód i rozpacz w przyglądających się nam z pożądaniem i wyrzutem w oczach biedaków.

– Chodź szybciej, Élise – powiedziała matka.

Tak samo jak ona podkasałam spódnicę i zwinnie przeskakując błoto i ekskrementy, ruszyliśmy do sklepu Christiana. Do środka wpuścił nas sam właściciel. Drzwi zatrzasnęły się za nami, odcinając dostęp zewnętrznemu światu. Pomocnik sprzedawcy pracowicie oczyścił nam stopy z błota ręcznikiem i już po chwili obie wyglądałyśmy, jakbyśmy nigdy nie pokonywały tego niebezpiecznego dystansu kilku kroków między naszym powozem a drzwiami sklepu z najbardziej ekskluzywnymi butami w Paryżu.

Christian nosił białą perukę z czarną wstążką, frak i białe pumpy. Wyglądał jak idealne ucieleśnienie pół arystokraty, pół służącego, i tak właśnie postrzegał swoją pozycję w hierarchii społecznej. Lubił mawiać, że posiadał moc sprawiania, by kobiety czuły się piękne, największą moc, jaką może osiąść mężczyzna. A mimo to matka pozostawała dla niego zagadką, jakby była jedyną klientką, na którą owa moc nie działała. Tak właśnie było i wiedziałam, dlaczego. Inne kobiety widziały w butach hołd dla własnej próżności, matka zaś uwielbiała je jako dzieła sztuki.

Christian jednak jeszcze tego nie pojął, toteż przy każdej naszej wizycie widowiskowo marnował swój talent.

– Niech pani spojrzysz – powiedział, pokazując matce parę pantofelków ze sprzączkami. – Każdej damie, która przestępuje

moje progi, miękną kolana na widok tej wspaniałości, ale tylko *madame de La Serre* ma kostki dość piękne, by oddać im sprawiedliwość.

– Są zbyt frywolne, *Christianie* – odparła matka z uśmiechem i machnąwszy władczo ręką, wyminęła go, zmierzając ku innym półkom. Zerknęłam na pomocnika, który odwzajemnił moje spojrzenie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, i poszłam za nią.

Nie zastanawiała się długo. Wybierała ze zdecydowaniem, które wciąż *Christiana* zdumiewało. Ja, jej nieodłączna towarzyszka, dostrzegałam zmianę, jaka zachodziła w niej podczas zakupów. Tę lekkość. Ten uśmiech, który mi posłała, wsuwając stopę w kolejne pantofelki i podziwiając w lustrze swoje zgrabne kostki przy wtórze pień zachwytu *Christiana*; każdy bucik był niedokończonym dziełem sztuki, a stopa matki – ostatnim pociągnięciem pędzla.

Wybrałyśmy, matka ustaliła szczegóły zapłaty i dostawy, po czym *Christian* otworzył nam drzwi na ulicę...

Nie było ani śladu *Jeana*, naszego stangreta. Ani naszego powozu.

– *Madame?* – spytał *Christian* z zatroskaną miną. Poczułam, że matka zeszywniała, zobaczyłam, jak zaciska usta i rozgląda się po ulicy.

– Nie ma się czym martwić, *Christianie* – zapewniła lekkim tonem sprzedawcę. – Nasz powóz po prostu odrobinę się spóźnia. Poczekamy tu na niego, podziwiając paryskie widoki.

Zaczynało się ściemniać i zapanował chłód, wzmagany dodatkowo pierwszymi kłębamii wieczornej mgły.

– To absolutnie niedopuszczalne, *madame*, nie możecie panie czekać na ulicy – zaprotestował *Christian* z przerażeniem.

Matka obejrzała się na niego i lekko uśmiechnęła.

– Lękasz się, że zobaczymy coś nieodpowiedniego, *Christianie*?

– To niebezpieczne – zaproponował, po czym nachylił się bliżej

i z miną pełną odrazy dodał szeptem: – Do tego ci ludzie!

– Tak, Christianie – powiedziała matka, jakby wtajemniczała go w jakiś sekret. – To tylko ludzie. A teraz wracaj, proszę, do środka. Twoja następna klientka ceni sobie każdą chwilę spędzoną z najbardziej troskliwym sprzedawcą butów w Paryżu nie mniej niż ja, a bez wątpienia nie będzie zachwycona, kiedy zostanie zmuszona dzielić ten czas z dwiema zgubami, czekającymi na niedbałego stangreta.

Wiedząc, że moja matka rzadko zmienia zdanie oraz że ma rację co do następnej klientki, Christian ukłonił się, życzył nam *au revoir* i wrócił do sklepu. Zostałyśmy same na ulicy, z której zabierano beczki, a ludzie rozpływali się w bezkształtne plamy w gęstej mgle.

Ścisnęłam matkę za rękę.

– Mamo?

– Nie przejmuj się, Élise – powiedziała, unosząc dumnie głowę. – Wynajmiemy powóz i wrócimy do Wersalu.

– Nie do willi tu, w Paryżu, mamo?

– Nie – odparła z namysłem, przygryzając wargę. – Wolę raczej wrócić do Wersalu.

Spięta i czujna poprowadziła mnie ulicą. Wyglądałyśmy niedorzecznie w naszych długich spódnicach i czepkach. Z torebki wyjęła lusterko, w którym sprawdziła, czy nie zblakł jej róż na policzkach. Przystanęłyśmy, oglądając witrynę jakiegoś sklepu.

Nawet idąc, nie traciła sposobności, żeby mnie czegoś nauczyć.

– Miej obojętną minę, Élise. Nie okazuj swoich prawdziwych uczuć, zwłaszcza jeśli się denerwujesz. Nie zdradzaj, że się śpieszysz. Na zewnątrz zachowuj spokój. Panuj nad sobą.

Na ulicach było coraz mniej ludzi.

– Na placu czekają powozy, będziemy tam za kilka chwil. Najpierw jednak muszę ci coś powiedzieć. Kiedy to powiem, masz nie reagować, nie możesz odwrócić głowy. Rozumiesz?

– Tak, mamo.

– Dobrze. Ktoś nas śledzi. Idzie za nami od Christiana. Mężczyzna w płaszczu i wysokim filcowym kapeluszu.

– Dlaczego? Dlaczego ktoś nas śledzi?

– To, moja Élise, bardzo dobre pytanie i zamierzam się tego dowiedzieć. Nie zatrzymuj się.

Przystanęliśmy przed następną witryną.

– Wydaje mi się, że nasz cień zniknął – powiedziała matka z namysłem.

– To dobrze – odparłam z naiwnością ósmiolatki.

Na jej twarzy malowała się troska.

– Nie, skarbie, wcale nie. Wolałam, kiedy go widziałam. A teraz muszę się zastanawiać, czy naprawdę sobie poszedł, czy raczej, co bardziej prawdopodobne, wyprzedził nas, żeby nam odciąć drogę, nim dotrzemy do placu. Spodziewa się, że pójdziemy główną ulicą. Oszukamy go, Élise, wybierając inną trasę.

Wzięła mnie za rękę i skręciła, najpierw w węższą ulicę, a potem w długi zaułek, niemal zupełnie ciemny, nie licząc latarni na obu końcach.

Byłyśmy w połowie jego długości, kiedy z mgły przed nami wychyłała jakaś postać. Poruszone opary kłębiły się pod wilgotnymi ścianami. I zrozumiałam, że matka popełniła błąd.

IV

Miał pociągłą twarz okoloną niemal białymi włosami. W długim czarnym płaszczu i wysokim kapeluszu wyglądał jak silący się na elegancję, ale pamiętający lepsze czasy doktor. Szyję okalał mu obfity biały kołnierz koszuli.

Postawił na ziemi torbę lekarską i otworzył ją jedną ręką, nie spuszczając z nas oczu.

Wyjął z niej coś długiego i zakrzywionego.

A potem uśmiechnął się i wyciągnął z pochwy sztylet, który załśnił w mroku złowrogo.

– Trzymaj się blisko mnie, Élise – szepnęła matka. – Wszystko będzie dobrze.

Uwierzyłam jej, bo byłam ośmioletnią dziewczynką i zawsze wierzyłam matce. Ale miałam też ku temu dobry powód, bo widziałam, jak poradziła sobie z wilkiem.

Mimo to czułam ukąszenia strachu.

– O co panu chodzi, *monsieur*? – zawołała matka beznamiętnie. Nie odpowiedział.

– Dobrze więc. Wrócimy tam, skąd przyszliśmy – rzekła głośno i wzięła mnie za rękę, żeby zawrócić.

U wylotu zaułka zamigotał jakiś cień i w pomarańczowym blasku latarni pojawiła się druga postać. Był to latarnik, poznałyśmy go po długim drągu. Mimo to matka przystanęła.

– *Monsieur* – zawołała ostrożnie do latarnika. – Czy mogę prosić, by powstrzymał pan tego niepokojącego nas człowieka?

Latarnik nic nie odrzekł, podszedł do zapalanej latarni i uniósł drąg.

Mama zaczęła mówić:

– *Monsieur...*

Ja zaś zdziwiłam się, po co miałyby próbować zapalić już świecącą lampę. Zbyt późno zrozumiałam, że jego drąg był zakończony hakiem służącym do gaszenia płomienia.

– *Monsieur...*

Wylot zaułka spowiła ciemność. Usłyszałyśmy, że latarnik upuszcza drąg, a kiedy nasze oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyłyśmy, że sięga po coś pod kurtę. On też wyciągnął sztylet. Zrobił krok w naszą stronę.

Matka obejrzała się na doktora.

– O co panu chodzi, *monsieur*? – zapytała.

Ten w odpowiedzi wyciągnął drugą rękę. Z jego nadgarstka z sykiem wysunęło się kolejne ostrze.

– Asasyn – rzekła matka z uśmiechem, gdy się zbliżył. Latarnik też był blisko – tak blisko, że widziałyśmy jego zaciśnięte usta

i zmrużone oczy. Matka pośpiesznie obejrzała się w drugą stronę i ujrzała doktora, ze sztyletami opuszczonymi wzdłuż boków. Wciąż się uśmiechał. Sytuacja sprawiała mu przyjemność, a może taki chciał stworzyć pozór.

Jakakolwiek była prawda, jego złowrogość nie zrobiła na matce wrażenia, tak samo jak wdzięki Christiana. Jej następny ruch był pełen gracji niczym taneczny krok. Obcasy zastukały na bruku, wysunęła w przód jedną nogę, schyliła się i w mgnieniu oka wyciągnęła z cholewki nóż.

W jednej chwili byliśmy bezbronni: kobieta z dzieckiem, napadnięte w ciemnym zaułku. W następnej już nie: kobieta wymachiwała nożem w obronie dziecka. A sądząc po sposobie, w jaki dobyła broni i jak ją teraz trzymała – doskonale wiedziała, jak się tym nożem posługiwać.

Doktor zamrugał powiekami. Latarnik przystanął. Obaj się namyślali.

Matka trzymała nóż w prawej dłoni. Wiedziałam, że dzieje się coś dziwnego, bo była leworęczna, do tego stała odwrócona bokiem do doktora.

Lekarz ruszył naprzód. W tej samej chwili matka przerzuciła nóż z prawej dłoni do lewej. W wirze sukni zniżyła się i wyciągając prawą rękę dla równowagi, lewą cięła doktora przez pierś. Jego frak rozchylił się, niczym przecięty krawieckimi nożycami, a materiał natychmiast nasiąkł krwią.

Był ranny, ale niezbyt ciężko. Wytrzeszczył oczy i odskoczył, najwyraźniej oszołomiony sprawnością matczynego ataku. Mimo całej swej złowrogiej powierzchowności wydawał się spłoszony, a ja, choć wciąż się bałam, poczułam coś jeszcze: dumę i podziw. Nigdy wcześniej nie miałam poczucia, że jestem tak dobrze chroniona.

Doktor się wycofał. Jego spojrzenie powędrowało za nasze plecy. Matka odwróciła się, nie dość szybko jednak, by nie pozwolić latarnikowi złapać mnie z tyłu i ścisnąć ramieniem za

szyję.

– Odłóż nóż, bo... – zaczął mówić latarnik.

Ale nie skończył, bo pół sekundy później już nie żył.

Zaskoczyła go jej szybkość – nie tylko szybkość ataku, ale też szybkość podjęcia decyzji, że jeśli pozwoli mu wziąć mnie na zakładniczkę, wszystko będzie stracone. I dało jej to przewagę – rzuciła się na niego, wpadła między nasze ciała i z okrzykiem wbiła mu łokieć w gardło.

Latarnik wydał odgłos brzmiący jak „baak”, poczułam, że jego uchwyt słabnie, a potem ujrzałam błysk ostrza. Matka, wykorzystując przewagę, wbiła mu sztylet głęboko w brzuch. Pchnęła go na mur, z cichym stęknieniem wysiłku pociągnęła ostrzem w górę i zwinnie odskoczyła. Przód koszuli mężczyzny pociemniał od krwi i wybrzuszył się od wypływających wnętrzności.

Latarnik osunął się na ziemię.

Matka wyprostowała się, by odeprzeć atak doktora, ale zobaczyłyśmy tylko jego płaszcz, kiedy czmychał z zaułka w kierunku ulicy.

Chwyciła mnie za rękę.

– Chodź, Élise, bo pobrudzisz sobie buciki krwią.

V

Na sukni matki była krew. Oprócz tego nic nie zdradzało, że przed chwilą brała udział w walce.

Wkrótce po powrocie do domu wysłałyśmy wiadomości. Zleciały się kruki, stukając głośno laskami, sapiąc z oburzeniem i głośno domagając się „ukarania winnych”. Służący, poruszeni wydarzeniami, plotkowali po kątach; ojciec zaś, blady na twarzy, co chwila nas przytulał, trochę za mocno i za długo, a gdy wypuszczał nas z objęć, w jego oczach lśniły łzy.

Tylko matka zdawała się nieporuszona. Zachowywała się jak ktoś, kto dobrze się spisał. I miała słuszość. Dzięki niej

przeżyłyśmy napaść. Zastanawiałam się, czy w duchu czuje się tak samo podekscytowana jak ja.

Będę musiała przedstawić swoją wersję wydarzeń, uprzedziła mnie w najętym powozie, którym wracałyśmy do rezydencji. Miałam iść za jej przykładem, potwierdzać wszystko, co powie, i niczemu nie zaprzeczać.

Wysłuchałam więc, jak opowiedziała, co się stało, najpierw Olivierowi, naszemu głównemu lokajowi, potem ojcu, kiedy przyjechał, na koniec zaś krukowi, gdy się zjawili. A choć jej opowieści zyskiwały na szczegółowości, choć odpowiadały na wszystkie pytania, którymi ją zarzucano, pomijały jeden bardzo istotny detal. Doktora.

– Nie widziała pani ukrytego ostrza? – pytano ją.

– Nie widziałam niczego, co identyfikowałoby moich napastników jako asasynów – odpowiadała – stąd nie mogę zakładać, że było to ich dzieło.

– Pospolici uliczni rabusie nie są tak zorganizowani. To nie może być zbieg okoliczności, że zaginęła wasza karetka. Być może Jean znajdzie się gdzieś pijany, ale nie musi. Być może odnajdzie się martwy. Nie, *madame*, nie wygląda to na przypadkową napaść. To był zaplanowany atak na pani osobę, akt agresji ze strony naszych wrogów.

Coraz częściej zerkano na mnie znacząco. W końcu kazano mi wyjść z pokoju, co zrobiłam. Usiadłam na krześle na korytarzu, nasłuchując głosów zza drzwi, które odbijały się od marmurowych posadzek i trafiały do moich uszu.

– Wielki mistrzu, na pewno rozumie pan, że to było dzieło asasynów.

(Do mnie dotarło jednak, że było to dzieło „zabójców” i myślałam: „Oczywiście, że to było dzieło zabójców, głupcze. A przynajmniej niedoszłych zabójców”).

– Podobnie jak moja żona wolałbym nie wyciągać pochopnych wniosków – odpowiadał ojciec.

– A mimo to wystawił pan dodatkowe straże.
– Oczywiście, że wystawiłem. Ostrożności nigdy dość.
– Myślę, że w głębi duszy wie pan, że to prawda, wielki mistrzu.
– A nawet jeśli? – ojciec podniósł głos. – Co niby mam zrobić?
– Ależ oczywiście działać!
– A jakie to działanie masz na myśli, pomścić honor żony czy obalić króla?

– Jedno i drugie byłoby wymownym sygnałem dla naszych wrogów.

Później przyszła wiadomość, że znaleziono Jeana z poderżniętym gardłem. Zrobiło mi się zimno, jakby ktoś otworzył okno. Popłakałam się. Nie tylko nad Jeanem, ale też, co przyznaję ze wstydem, nad sobą. Widziałam, jak cały dom pogrąża się w rozpacz; spod schodów dobiegał płacz, a kruki znów podniosły głosy, tym razem tryumfalnie.

Ojciec ponownie je uciszył. Wyglądając przez okna, widziałam na przyległych terenach mężczyzn z muszkietami. Wszyscy zrobili się nerwowi. Ojciec co chwila przychodził mnie przytulać – aż mając tego dość, zaczęłam się mu wyrywać.

VI

– Élise, musimy ci coś powiedzieć.

I to jest właśnie ta chwila, na którą czekałeś, drogi czytelniku tego dziennika, kimkolwiek jesteś – chwila olśnienia, kiedy w końcu zrozumiałam, dlaczego kazano mi dochowować tylu *vérités cachées*, kiedy dowiedziałam się, dlaczego zaufani ojca nazywali go wielkim mistrzem, kiedy pojęłam, co to znaczy templariusz i dlaczego „zabójca” to w istocie asasyn.

Wezwali mnie do gabinetu ojca, kazali ustawić fotele przy kominku i wyprosili całą służbę. Ojciec stał, matka siedziała pochylona do przodu, z dłońmi na kolanach, dodając mi spojrzeniem otuchy. Przypomniało mi się, jak wbiłam sobie kiedyś drzazgę; matka przytulała mnie i pocieszała, a ojciec

ścisnął mój palec i ją usunął.

– Élise – zaczął teraz – to, co zamierzamy ci powiedzieć, miało poczekać do twoich dziesiątych urodzin. Ale dzisiejsze wydarzenia bez wątpienia sprawiły, że zadajesz sobie wiele pytań, a matka uważa, że jesteś gotowa, toteż... oto tu jesteśmy.

Obejrzałam się na matkę, która wzięła mnie za rękę i obdarzyła serdecznym uśmiechem.

Ojciec odchrząknął.

To była ta chwila. Wszystkie moje mgliste wyobrażenia na temat mojej przyszłości właśnie miały się zmienić.

– Élise – rzekł – pewnego dnia zostaniesz zwierzchniczką francuskiej gałęzi sekretnego międzynarodowego zakonu, istniejącego od wieków. Ty, Élise de La Serre, zostaniesz wielką mistrzynią templariuszy.

– Wielką mistrzynią templariuszy? – powtórzyłam, wodząc wzrokiem od ojca do matki.

– Tak.

– We Francji?

– Tak. Obecnie to stanowisko piastuję ja. Twoja matka również ma wysoką rangę w Zakonie. Panowie i *madame* Levesque, którzy nas odwiedzają, również są rycerzami Zakonu i tak jak my są wierni jego ideom.

Słuchałam, niezupełnie to wszystko rozumiejąc. Zastanawiałam się, dlaczego, skoro wszyscy ci rycerze byli oddani tej samej sprawie, na każdym spotkaniu tak na siebie krzyczą.

– Kim są templariusze? – spytałam zamiast tego.

Ojciec wskazał siebie, matkę, a potem także mnie.

– To my wszyscy. My jesteśmy templariuszami. Jesteśmy członkami sekretnego zakonu, którego celem jest uczynić świat lepszym.

Spodobało mi się to. Chciałam, żeby świat był lepszy.

– Jak to robicie, tatusiu?

Ojciec się uśmiechnął.

– Ach, to doskonałe pytanie, Élise. Tak jak każda duża, istniejąca od dawna organizacja mamy różne opinie na temat tego, jak najlepiej osiągnąć nasz cel. Jedni uważają, że powinniśmy siłą stawić opór naszym przeciwnikom. Inni wierzą w pokojowe szerzenie naszych przekonań.

– A jakie to przekonania, tatusiu?

Wzruszył ramionami.

– Nasze motto brzmi: „Niech nas prowadzi ojciec zrozumienia”. Widzisz, my, templariusze, wiemy, że mimo przeciwnych głosów ludzie wcale nie chcą prawdziwej wolności i odpowiedzialności, ponieważ życie jest zbyt wielkim ciężarem i tylko ci o najsilniejszych umysłach potrafią go dźwigać. Wierzymy, że ludzie są dobrzy, ale zbyt łatwo ulegają niegodziwości, lenistwu i zepsuciu; że potrzebują dobrych przywódców, takich, którzy nie wykorzystają ich złych cech, lecz wydobędą te dobre. Wierzymy, że w ten sposób można utrzymać pokój.

Słuchając go, czułam, jak dosłownie poszerzają się moje horyzonty.

– Macie nadzieję poprowadzić w ten sposób lud Francji, ojczyźnie? – spytałam.

– Tak, Élise, taką właśnie mamy nadzieję.

– Jak?

– Cóż, to ja zapytam ciebie – jak ty byś to zrobiła?

Poczułam pustkę w głowie. Jak bym to zrobiła? Miałam wrażenie, że to najtrudniejsze pytanie, jakie mi kiedykolwiek zadano. Nie miałam pojęcia. Ojciec patrzył na mnie dobrotliwie, ale wiedziałam, że czeka na odpowiedź. Spojrzałam na matkę, która ścisnęła moją dłoń, dodając mi otuchy, z zachętą w oczach, a ja odnalazłam swoje przekonania w jej słowach skierowanych do pana Weatheralla i pani Carroll.

– *Monsieur* – rzekłam – uważam, że nasz obecny monarcha jest zepsuty do cna, że jego rządy zatrują studnię Francji i że aby przywrócić ludziom wiarę w monarchię, należy odsunąć od

władzy króla Ludwika.

Moja odpowiedź zaskoczyła ojca. Zrobił zdziwioną minę i rzucił pytające spojrzenie matce, która wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „nie mam z tym nic wspólnego”, choć to jej słowa powtarzałam.

– Rozumiem – rzekł. – Cóż, matka bez wątpienia cieszy się, słysząc takie słowa z twoich ust, Élise, w tej sprawie bowiem nie ma między nami pełnej zgody. Podobnie jak ty, wierzy w zmianę. Ja wiem, że monarcha jest namaszczony przez Boga, a także, że król, który zboczył z właściwej drogi, może na nią wrócić.

I znów pytające spojrzenie i wzruszenie ramion.

– A czy są inni templariusze, tatusiu? – spytałam szybko.

Ojciec skinął głową.

– Owszem, na całym świecie. Są tacy, którzy służą Zakonowi. Tacy, którzy sprzyjają naszym celom. Zarazem jednak, jak ty i twoja matka przekonaliście się dzisiaj, mamy także wrogów. Tak jak my jesteśmy starożytnym zakonem, mającym nadzieję ukształtować świat na nasze podobieństwo, tak istnieje przeciwstawne zgromadzenie, którego członkowie są równie oddani własnym celom. Tam gdzie my chcemy zdjąć z barków ludzi dobrej woli brzemień wyboru i zostać ich opiekunami, to drugie zgromadzenie dąży do chaosu i anarchii, upierając się, że każdy powinien decydować za siebie. Głoszą odrzucenie tradycyjnych sposobów myślenia, które prowadziły ludzkość przez tysiące lat, na rzecz inaczej rozumianej wolności. Znani są jako asasyni. Uważamy, że to oni was dziś napadli.

– Ależ tatusiu, słyszałam, jak mówiłeś, że nie masz pewności...

– Powiedziałem to tylko po to, by zdusić wojownicze zapędy co głośniejszych członków naszego Zakonu. Tylko asasyni mogli was napaść, Élise. Tylko oni mieliby śmiałość zabić Jeana i nasłać zabójcę na żonę wielkiego mistrza. Bez wątpienia chcieli zasiać wśród nas zamęt. Tym razem im się nie udało. Musimy dopilnować, żeby w razie następnego ataku również ponieśli

klęskę.

Pokiwałam głową.

– Rozumiem, ojcze.

Zerknął na matkę.

– Spodziewam się, że to, jak matka cię dziś obroniła, było dla ciebie zaskoczeniem?

Nie było. Nie po „sekretniej” przygodzie z wilkiem.

– Tak, tatusiu – odparłam, widząc spojrzenie matki.

– Takie umiejętności musi posiadać każdy templariusz. Pewnego dnia to ty będziesz nam przewodzić. Najpierw jednak przejdiesz inicjację jako templariuszka i poznasz zasady naszego Zakonu. Od jutra będziesz się uczyć szermierki.

Znów podchwyciłam spojrzenie matki. Ja już uczyłam się szermierki. I to od ponad roku.

– Zdaję sobie sprawę, że to może być dla ciebie wielka nowina, Élise – ciągnął ojciec, nie dostrzegając, że matka lekko się zaczerwieniła. – Być może uważałaś, że twoje życie jest podobne do życia innych dziewczynek w twoim wieku. Mogę mieć tylko nadzieję, że jego odmienność nie będzie dla ciebie źródłem zmartwienia. Że przyjmiesz z radością swoje przeznaczenie.

Zawsze podejrzewałam, że nie jestem taka jak inne dziewczynki. Teraz wiedziałam to na pewno.

VII

Następnego ranka Ruth ubierała mnie na spacer po naszej posiadłości. Cmokała bez przerwy, kręciła nosem i mamrotała, że nie powinnam tak ryzykować po wczorajszych wydarzeniach, że cudem uszłyśmy z rąk niegodziwca, który nas napadł; że zarówno matka, jak i ja mogłyśmy leżeć martwe w zaułku, gdyby nie tajemniczy przechodzień, który przepędził napastnika.

A więc taką wersję przedstawiono służbie. Mnóstwo kłamstw, mnóstwo tajemnic. Ekscytowała mnie świadomość, że jestem jedną z dwóch osób – no, trzech, jeśli liczyć doktora – które znały

prawdę o wczorajszych wydarzeniach. Jedną z nielicznych, które wiedziały, że to nie jakiś tajemniczy mężczyzna, lecz moja matka rozprawiała się z napastnikami; i jedną z nielicznych, które wiedziały, czym naprawdę zajmuje się moja rodzina, nie wspominając już o mojej w tym roli.

Obudziłam się tego ranka ze światłem w duszy. W końcu wszystkie te *vérités cachées*, których kazano mi dochować, nabrały sensu. Wreszcie wiedziałam, dlaczego moja rodzina tak bardzo różni się od innych, dlaczego ja sama nigdy nie mogłam się odnaleźć wśród innych dzieci... Było tak dlatego, że moje przeznaczenie leżało na końcu zupełnie innej drogi.

A co najlepsze:

– Wszystkiego będzie cię uczyć matka – powiedział ojciec, uśmiechając się do niej ciepło, ona zaś przekazała całą tę jego miłość mnie.

– Chociaż, może nie wszystkiego – poprawił się. – Być może w kwestiach ideologii słuchaj lepiej swojego ojca, wielkiego mistrza.

– François – skarciła go matka – dziecko samo podejmie decyzję. Niech dochodzi do własnych wniosków.

– Najdroższa, dlaczego mam nieodparte wrażenie, że dla Élise dzisiejsze wydarzenia nie są taką niespodzianką, jaką być powinny?

– A jak myślisz, o czym damy rozmawiają podczas spacerów, François?

– O butach?

– Cóż, o tym też – ustąpiła. – Istotnie, rozmawiamy o butach. Ale o czym jeszcze?

Zrozumiał; pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć, że był tak ślepy na coś, co działo się tuż pod jego nosem.

– Czy przed dzisiejszym dniem wiedziała o Zakonie? – spytał.

– Nie jako takim – odparła matka. – Choć wypada rzec, że była przygotowana na tę rewelację.

– A broń?

– Owszem, co nieco ćwiczyła.

Ojciec gestem nakazał mi wstać.

– Zobaczmy, czy nauczyłaś się *en garde*, Élise – rzekł, przyjmując tę postawę samemu, z prawą ręką wyciągniętą i palcem wskazującym wyprostowanym niczym ostrze.

Zrobiłam, jak kazał. Ojciec rzucił matce pełne podziwu spojrzenie i przyjrzał się mojej postawie. Obszedł mnie dookoła, a ja chłonełam ciepło jego aprobaty.

– Praworęczna jak ojciec – zaśmiał się – a nie mańkut jak matka.

Ugięłam lekko kolana, sprawdzając równowagę, a on znów się uśmiechnął.

– Czyżbym wyczuwał w treningu naszej córki rękę pewnego Anglika, Julie?

– Owszem, pan Weatherall pomagał mi organizować dodatkowe zajęcia naszej córki – potwierdziła lekkim tonem.

– Rozumiem. Tak właśnie myślałem, że ostatnio widzimy go tu częściej niż zwykle. Powiedz, wciąż do ciebie wzdycha?

– François, zawstydzasz mnie – upomniała go matka.

(Wtedy nie wiedziałam, oczywiście, o co im chodzi. Ale teraz już wiem. Po tym, jak zobaczyłam pana Weatheralla zeszłej nocy, załamanego. Och, teraz już wiem).

Ojciec spoważniał.

– Julie, wiesz, że ufam ci we wszystkim i jeśli uczyłaś nasze dziecko, to w tym także cię wspieram; jeśli dzięki panu Weatherallowi Élise zachowała zimną krew podczas wczorajszej napaści, to tym bardziej miałaś rację. Ale nasza córka pewnego dnia zostanie wielką mistrzynią. Pójdzie w moje ślady. W sprawach szermierki czy taktyki może być twoją uczennicą, Julie, ale w kwestiach ideologii zostaw ją mnie. Czy to jasne?

– Tak, François – uśmiechnęła się słodko matka. – To jasne.

Wymieniłyśmy spojrzenia.

Niewypowiedziana *vérité cachée*.

VIII

Tak oto, uciekając przed nadmierną troską Ruth, zeszłam do hallu, gotowa na spacer z matką.

– Weźcie, proszę, Czochrąja i ochronę, Julie – powiedział ojciec nieznośnym sprzeciwu tonem.

– Oczywiście – odparła i wskazała jednego z mężczyzn stojących na uboczu. W całym naszym domu zrobiło się jakby bardziej tłoczno.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Był to pan Weatherall. Przez chwilę on i ojciec przyglądali się sobie czujnie, potem pan Weatherall ukłonił się nisko i uścisnęli sobie dłonie.

– François i ja powiedzieliśmy Élise, co ją czeka – rzekła matka.

Pan Weatherall odwrócił się od ojca do mnie, skinął głową, a potem znów się ukłonił. Ujął moją dłoń i pocałował ją. Poczułam się jak księżniczka.

– I jakie to uczucie, mała Élise, wiedzieć, że pewnego dnia będziesz przewodzić templariuszom?

– Niezwykłe, *monsieur* – odparłam.

– No, ja myślę!

– François słusznie odgadł, że Élise pobierała pewne nauki – powiedziała matka.

Pan Weatherall odwrócił się z powrotem do ojca.

– Oczywiście – rzekł. – Ufam, że wielki mistrz nie jest przeciwny moim podpowiedziom?

– Jak wyjaśniłem zeszłego wieczora, całkowicie ufam swojej żonie w takich sprawach. Wiem, że mając ciebie, Freddie, obie są w dobrych rękach.

W tym momencie zjawił się Olivier. Stał z dala, dopóki nie został przywołany, a potem wyszeptał coś swojemu panu do ucha. Ojciec kiwnął głową i odwrócił się do matki.

– Muszę was opuścić, moja droga – powiedział. – Przybyli nasi „przyjaciele”.

Kruki, rzecz jasna. Wróciły, żeby znów na siebie krzyczeć.

Zabawna rzecz: to, czego się dowiedziałam, stawiało mojego ojca w nowym świetle. Nie był już tylko moim ojcem. Nie tylko mężem mojej matki, ale i człowiekiem, który nie próżnował. Człowiekiem, na którego barkach spoczywały ważne obowiązki, którego uwagę wciąż coś zaprzętało. Którego decyzje zmieniały życie innych ludzi. Kiedy wychodziliśmy, Kruki minęły nas w drzwiach, pozdrawiając uprzejmie matkę i pana Weatheralla; tłoczyły się w hallu, nagle pełnym ruchu i gwarnym, rozprawiając o pomszczeniu wczorajszej napaści i dopilnowaniu, by śmierć Jeana nie poszła na marne.

Wyszliśmy we troje na zewnątrz i szliśmy przez chwilę w milczeniu, które przerwał pan Weatherall.

– A więc, Élise, jak się naprawdę czujesz, znając swoje przeznaczenie? – spytał.

– Tak jak powiedziałam przy ojcu – odparłam.

– Ani trochę się nie boisz, kwiatuszku? Tych wszystkich obowiązków?

– Pan Weatherall uważa, że jesteś za młoda, żeby znać swoje przeznaczenie – wyjaśniła matka.

– Ani trochę; nie mogę się doczekać tego, co przyniesie przyszłość, *monsieur* – odrzekłam.

Kiwnął głową, jakby to mu wystarczyło.

– Chciałabym też częściej uczyć się szermierki, *monsieur* – dodałam. – Skoro to już nie tajemnica.

– Właśnie! Popracujemy nad twoją *riposte* i *envelopment*, będziesz mogła popisać się przed ojcem. Myślę, że będzie zaskoczony, Élise, tym, jak świetnym jesteś już szermierzem. Być może pewnego dnia przewyższysz nawet swoją matkę i ojca.

– Och, wątpię, *monsieur*.

– Freddie, bardzo cię proszę, nie nabijaj dziecku głowy takimi pomysłami. – Matka szturchnęła mnie łokciem i szepnęła: – Choć między nami mówiąc, Élise, może mieć rację.

Pan Weatherall spowaźniał.

– Dobrze. Czy porozmawiamy w końcu o tym, co się wydarzyło wczoraj?

– To był zamach na nasze życie.

– Żałuję, że mnie tam nie było.

– Chociaż cię nie było, Freddie, nic się nam nie stało, nawet się mocno nie złączyliśmy. Élise świetnie się spisała, a...

– Ty byłaś jak lwica broniąca swoich młodych, co?

– Zrobiłam, co musiałam. Żałuję tylko, że jeden z nich uciekł.

Pan Weatherall przystanął.

– Jeden z nich? Chcesz powiedzieć, że nie był sam, że było ich więcej?

Matka spojrzała na niego znacząco.

– Och, tak. Był jeszcze drugi, groźniejszy. Używał ukrytego ostrza.

Usta pana Weatheralla same się otwarły.

– A więc to istotnie było dzieło asasynów?

– Mam pewne wątpliwości.

– Ach tak? Dlaczego?

– On uciekł, Freddie. Słyszałeś kiedyś o uciekającym asasynie?

– To tylko ludzie, a ty jesteś groźnym przeciwnikiem. Na jego miejscu pewnie samego by mnie kusiło, żeby czmychnąć. Istna z ciebie diablica z tym nożem.

Odwrócił się i puścił do mnie oko.

Matka się rozpromieniła.

– Bądź pewny, że twoje pochlebstwa nie uchodzą mojej uwadze, Freddie. Ale ten człowiek... Było w nim coś dziwnego. Zachowywał się... jakby na pokaz. Był asasynem, dowodzi tego ukryte ostrze. Ale zastanawiam się, czy prawdziwym.

– Musimy go znaleźć i zapytać.

– W rzeczy samej.

– Powiedz mi, jak wyglądał.

Matka opisała doktora.

– ...coś jeszcze.

– Tak?

Poprowadziła nas w stronę żywopłotu. Zeszłego wieczora, kiedy uciekałyśmy z zaułka, zabrała ze sobą torbę doktora. Zanim weszłyśmy do rezydencji, kazała mi pobiec i ją schować. Teraz wręczyła ją panu Weatherallowi.

– Zostawił to, prawda?

– Istotnie. Trzymał w niej sztylet, ale poza tym jest pusta.

– Nie ma tam nic, co pomogłoby go zidentyfikować?

– Jest pewna rzecz... otwórz ją. Widzisz metkę?

– Torba została uszyta w Anglii – zdziwił się pan Weatherall. – Angielski asasyn?

Matka pokiwała głową.

– Możliwe, bardzo możliwe. Nie sądzisz, że to możliwe, iż Anglicy chcą mojej śmierci? Powiedziałam jasno pani Carroll, że opowiadam się za zmianą panującego.

– Ale także, że jesteś przeciwna rozlewowi krwi.

– Zgadza się. A pani Carroll zdawała się uważać, że jej Zakonowi to wystarczy. Może jednak nie wystarczyło.

Pan Weatherall pokręcił głową.

– Nie przekonuje mnie to. Odsuwając na bok swoją narodową dumę, nie rozumiem, jak mieliby na tym skorzystać. Uważają cię za kogoś, kto ma korzystny, miarkujący wpływ na Zakon jako całość. Zabijając cię, ryzykowałiby, że sytuacja się zdestabilizuje.

– Być może są gotowi podjąć to ryzyko. Tak czy inaczej torba lekarska szyta w Anglii to jedyny trop wskazujący na tożsamość tego asasyna.

Pan Weatherall skinął głową.

– Znajdziemy go, *madame* – obiecał. – Możesz być tego pewna.

To, oczywiście, miało miejsce trzy lata temu. Doktor przepadł bez śladu. Zamach na nasze życie zniknął w przeszłości jak żebracy połykani przez paryską mgłę.

13 kwietnia 1778

I

Chcę, żeby wyzdrowiała. Chcę, żeby nadszedł dzień, kiedy zaświeci słońce, służące wejda, żeby odsunąć zasłony, i zastaną ją siedzącą na łóżku, „w znacznie lepszym zdrowiu”. Chcę, żeby słońce wpadające przez jej okna wlało się w korytarze naszego ciemnego domu i przepędziło przyczajone w nich smutne cienie, żeby dotknęło ojca, ożywiło go i oddało mi go z powrotem. Chcę znów słyszeć piosenki i śmiech z kuchni. Chcę, żeby skończył się ten powściągany smutek, żeby mój uśmiech był prawdziwy, żeby nie skrywał więcej zżerającej mnie od środka rozpaczy.

Nade wszystko zaś chcę odzyskać matkę. Swoją matkę, swoją nauczycielkę, swoją mentorkę. Nie tylko chcę – ja jej potrzebuję. W każdej chwili każdego dnia zastanawiam się, jak wyglądałoby życie bez niej, i nie umiem sobie tego wyobrazić.

Chcę, by wyzdrowiała.

II

Wreszcie, tego samego jeszcze roku, poznałam Arna.

*Wyjątek z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

Nasz związek został wykuty w ogniu śmierci – śmierci mojego ojca.

Jak długo łączyła nas normalna, zwyczajowa więź? Pół godziny? Byłem w pałacu wersalskim z ojcem, który miał tam sprawę do załatwienia. Poleciał mi poczekać, aż wróci. Gdy tak siedziałem i wymachując nogami, patrzyłem na krzątających się wokół dworzan, pojawiła się Élise de La Serre.

Jej uśmiech pokochałem dopiero później, jej rude włosy nie były dla mnie wtedy szczególne, a piękno, które chłonęły moje dorosłe oczy, dla oczu chłopca pozostawało niewidoczne. Miałem w końcu tylko osiem lat, a ośmioletni chłopcy nie przepadają za ośmioletnimi dziewczynkami, chyba że ośmioletnia dziewczynka jest kimś bardzo wyjątkowym. I tak właśnie było z Élise. Miała w sobie coś niezwykłego. Była dziewczynką, ale już od pierwszych chwil naszej znajomości wiedziałem, że w niczym nie przypomina innych znanych mi pańienek.

Goń mnie. Jej ulubiona zabawa. Ileż to razy bawiliśmy się w to jako dzieci i jako dorośli. Można powiedzieć, że nigdy nie przestaliśmy.

Biegaliśmy po lustrzanych marmurowych posadzkach pałacu, między nogami dworzan, korytarzami, wokół kolumn i filarów. Nawet teraz pałac jest dla mnie olbrzymi, jego sklepienia – niewyobrażalnie wysokie, korytarze ciągną się jak okiem sięgnąć, gigantyczne sklepienie okna wychodzą na kamienne schody i rozległe ogrody.

Ale wtedy? Wtedy był dla mnie po prostu wyjątkowo wielki. A mimo to, choć był miejscem obcym i ogromnym, choć z każdym krokiem coraz jaskrawiej łamałem polecenie ojca, nie potrafiłem oprzeć się urokowi swojej nowej towarzyszki zabaw. Panienci,

które wcześniej spotykałem, były inne. Stały na baczność, wydymając z pogardą usta na wszystko, co chłopięce; chodziły kilka kroków za swoimi matkami i wyglądały jak ich miniaturowe kopie; nie biegały z chichotem po korytarzach Wersalu, ignorując wszelkie protesty, dla samej radości biegania i z upodobania do zabawy. Zastanawiam się, czy już wtedy się w niej zakochałem.

A potem, kiedy zacząłem się martwić, że nie znajdę ojca, moje obawy stały się nieistotne. Rozległ się krzyk. Tupot biegnących stóp. Zobaczyłem żołnierzy z muszkietami, a chwilę później, zupełnie przypadkiem, trafiłem do miejsca, gdzie ojciec spotkał swojego zabójcę. Uklęknąłem przy nim, a on wydał ostatnie tchnienie.

Kiedy oderwałem w końcu wzrok od jego ciała, ujrzałem swojego wybawiciela, swojego nowego opiekuna: François de La Serre'a.

*Wyjątki z diariusza
Élise de La Serre*

14 kwietnia 1778

I

Przyszedł dziś do mnie.

– Élise, twój ojciec do ciebie – powiedziała Ruth. Tak jak wszyscy w jego obecności zachowywała się inaczej; dygnęła i wyszła, zostawiając nas samych.

– Dzień dobry, Élise – rzekł ojciec, stojąc sztywno w progu.

Wywołałam z pamięci wieczór sprzed lat, kiedy wróciłam z matką z Paryża po napaści w zaułku, jak nie mógł się powstrzymać od bezustannego przytulania nas. Tulił mnie tak często, że w końcu zaczęłam się wyrywać, by zaczerpnąć trochę powietrza. Teraz, kiedy tak sterczał, przypominając raczej guwernera niż ojca, oddałabym wszystko za jeden z tamtych uścisków.

Odwrócił się i zaczął chodzić w tę i we w tę, z rękami splecionymi za plecami. Przystanął, spoglądał za okno, ale nie widząc tak naprawdę rozciągających się tam trawników. Obserwowałam niewyraźne odbicie jego twarzy w szybie.

– Chciałem zobaczyć, jak się miewasz – rzekł, nie odwracając się.

– Bardzo dobrze, dziękuję, tato.

Milczenie. Międlłam w palcach materiał sukienki. Ojciec odchrząknął.

– Bardzo dobrze maskujesz swoje uczucia, Élise; takie właśnie umiejętności będą ci potrzebne, kiedy zostaniesz wielką mistrzynią. Twoja siła, chluba naszej rodziny, pewnego dnia przysporzy korzyści Zakonowi.

– Tak, ojcze.

Znów odchrząknął.

– Chciałbym jednak, abyś wiedziała, że prywatnie, albo kiedy

jesteśmy sam na sam, jest... jest zupełnie dopuszczalne, że możesz nie czuć się dobrze.

– W takim razie przyznaję, że cierpię, ojciec.

Spuścił głowę.

Jego oczy w odbiciu wyglądały jak ciemne koła. Wiedziałam, dlaczego trudno mu na mnie patrzeć – przypominałam mu o niej. O jego konającej żonie.

– Również cierpię, Élise. Twoja matka jest całym światem dla nas obojga.

(I jeśli była chwila, kiedy powinien był odwrócić się od okna, podejść do mnie, objąć mnie i pozwolić, byśmy wspólnie przeżywali nasz ból, to była to właśnie ta chwila.

Ale tego nie uczynił).

(I jeśli była chwila, kiedy powinnam była spytać go, dlaczego, skoro wie, jak cierpię, spędza tyle czasu z Arnem, a nie ze mną, to była to właśnie ta chwila.

Ale nie zapytałam).

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i wyszedł. Później usłyszałam, że pojechał na polowanie... z Arnem.

Wkrótce przybędzie lekarz. Nigdy nie przynosi dobrych wieści.

II

Wracam myślami do spotkania sprzed dwóch lat, kiedy to zostałam wezwana do gabinetu ojca na rozmowę z nim i matką, która – co dla niej niezwykle – miała zatroskaną minę. Zorientowałam się, że chcą porozmawiać o jakichś poważnych sprawach, kiedy kazali wyjść Olivierowi. Drzwi się zamknęły, a ojciec polecił, bym usiadła.

– Matka mówi, że robisz postępy w ćwiczeniach, Élise – zaczął.

Przytaknęłam z entuzjazmem, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

– Tak, ojciec. Pan Weatherall mówi, że będę piekielnie dobrym szermierzem.

Ojciec zrobił zaskoczoną minę.

– Rozumiem. To bez wątpienia jedno z jego brytyjskich powiedzonek. Cóż, miło mi to słyszeć. Widać, że wdałaś się w matkę.

– Sam też niezgorzej wywijasz szpada, François – rzekła matka, uśmiechając się nieznacznie.

– Przypomniałaś mi, że dawno już się nie pojedynkowaliśmy.

– Mam to traktować jak wyzwanie?

Popatrzył na nią i na moment zapomnieli o ważnych sprawach. O mnie.

Przez krótką chwilę w pokoju byli tylko oni, rozbawieni, flirtujący ze sobą.

Chwila ta minęła równie szybko, jak nadeszła, i oboje znów skupili swoją uwagę na mnie.

– Wkrótce zostaniesz templariuszką, Élise.

– Kiedy będę przyjęta, tato? – spytałam.

– Zakończysz naukę w Maison Royale w Saint-Cyr, a potem staniiesz się pełnoprawną członkinią Zakonu i zaczniesz się przygotowywać do zajęcia mojego miejsca.

Kiwnęłam głową.

– Wpierw jednak musimy ci coś powiedzieć. – Ojciec obejrzał się na matkę; oboje mieli poważne miny. – Chodzi o Arna...

III

Arno był wtedy moim najlepszym przyjacielem i osobą, którą po rodzicach kochałam najmocniej. Biedna Ruth. Musiała porzucić resztki nadziei, że zostanę normalną dziewczynką i zacznę się interesować rzeczami, które pochłaniają moje rówieśniczki. Obecność Arna oznaczała, że miałam towarzysza zabaw na zawołanie, a na dodatek towarzyszem tym był chłopiec. Jej marzenia legły w gruzach.

Z dzisiejszej perspektywy widzę, że go wykorzystywałam. Był sierotą, trafił do nas zagubiony, a ja, oczywiście, tyle mała

templariuszka, ile samolubna dziewczynka, przywłaszczyłam go sobie. Byliśmy przyjaciółmi, rówieśnikami, ale mnie przypadła rola starszej siostry, którą odgrywałam z wielkim upodobaniem. Uwielbiałam pokonywać go w udawanych walkach na palcaty. Podczas ćwiczeń z panem Weatherallem czułam się jak spłoszony żółtodziób, popełniający błąd za błędem oraz, co często mi wytykał, kierujący się sercem zamiast głową. W zabawie z Arnem moje umiejętności nowicjuszki czyniły mnie niepokonaną, onieśmielającą mistrzynią. W innych zabawach – skakance, klasach, lotce – byliśmy sobie równi. Ale pojedynki zawsze wygrywałam.

Przy ładnej pogodzie włóczyliśmy się po ogrodach, szpiegowaliśmy Laurenta i innych służących, puszczaaliśmy kaczki nad stawem. Gdy padało, zostawaliśmy w domu i graliśmy w tryktraka, kulki czy kości. Toczyliśmy fajerki przestronnymi korytarzami parteru i zwiedzaliśmy górne piętra, chowając się przed pokojówkami albo uciekając z chichotem, kiedy nas przeganiały.

Tak spędzałam dni: rano pobierałam nauki, przygotowywana do dorosłego życia przywódczyni francuskich templariuszy; po południu, zwolniona z tych obowiązków, z niedoszłej dorosłej stawałam się na powrót dzieckiem. I już wtedy, choć nigdy bym tak tego nie ujęła, wiedziałam, że Arno jest moją ucieczką.

Oczywiście wszyscy zauważyli, jak bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

– Nigdy jeszcze nie widziałam cię tak szczęśliwej – mawiała Ruth z rezygnacją.

– Bardzo lubisz swojego nowego kolegę, prawda, Élise? – pytała matka.

(Teraz, kiedy obserwuję Arna fechtującego się z ojcem na dziedzińcu, kiedy słyszę, że pojechali razem na polowanie, zastanawiam się, czy matka nie była odrobinę zazdrosna, że mam kogoś swojego. Wiem teraz, jak mogła się czuć).

Nie przyszło mi jednak nigdy do głowy, że moja przyjaźń z Arnem może być powodem zmartwień. Aż do chwili, kiedy stanęłam przed rodzicami w gabinecie, a oni oznajmili, że muszą mi coś o nim powiedzieć.

IV

– Arno jest z pochodzenia asasynem – rzekł ojciec.

Mój świat drgnął.

– Ale... – wyjąkałam, próbując pogodzić w myślach dwa obrazy. Jeden: Arna w butach ze lśniącoymi sprzączkami, w kamizelce i fraku, biegnącego korytarzami rezydencji i popychającego kijkiem fajerkę. I drugi: asasyńskiego doktora w wysokim kapeluszu w zaułku pogrążonym we mgle.

– Asasyni są naszymi wrogami.

Matka i ojciec spojrzeli po sobie.

– Owszem, mają cele przeciwne do naszych – przyznał ojciec.

W mojej głowie jedna myśl goniła drugą.

– Ale... ale czy to znaczy, że Arno będzie chciał mnie zabić?

Matka podeszła bliżej, by mnie przytulić.

– Nie, skarbie, nic z tych rzeczy. Arno wciąż jest twoim przyjacielem. Choć jego ojciec, Charles Dorian, był asasynem, Arno nie zna swojego przeznaczenia. Bez wątpienia dowiedziałyby się o nim, być może w swoje dziesiąte urodziny, tak jak planowaliśmy powiedzieć tobie. Ale stało się tak, że trafił do naszego domu, nie wiedząc, co ma mu przynieść przyszłość.

– W takim razie nie jest asasynem, tylko synem asasyna.

Znów spojrzeli po sobie.

– Będzie miał pewne wrodzone cechy, Élise. Pod wieloma względami Arno jest, był i zawsze będzie asasynem, tyle że o tym nie wie.

– Ale skoro o tym nie wie, to nigdy nie zostaniemy wrogami.

– Zgadza się – przyznał ojciec. – Uważamy wręcz, że jego naturę można odmienić przez wychowanie.

– François... – odezwała się matka ostrzegawczym tonem.

– Co masz na myśli, ojcze? – spytałam, przenosząc wzrok z niego na matkę, zauważając jej zakłopotanie.

– Mam na myśli to, że masz na niego pewien wpływ, prawda? – spytał ojciec.

Poczułam, że się czerwienię. Czyżby to było aż tak oczywiste?

– Być może, ojcze...

– Bierze z ciebie wzór, Élise, i czemu nie? Bardzo mnie to cieszy i napawa nadzieją.

– François... – powtórzyła matka.

Ojciec uciszył ją, podnosząc dłoń.

– Proszę, skarbie, zostaw to mnie.

Przyglądałam się im czujnie.

– Nie widzę przeszkód, abyś ty, jako przyjaciółka i towarzyszka zabaw Arna, nie mogła zacząć wpajać mu naszych przekonań.

– Indoktrynować go, François? – spytała matka z nieukrywanym gniewem.

– Pokierować nim, moja droga.

– Pokierować w sposób sprzeczny z jego naturą?

– Skąd to wiesz? Być może Élise ma rację i nie jest asasynem, dopóki się nim nie stanie. Może zdołamy wyratować go z łap jego pobratymców.

– Asasyni nie wiedzą, że on tu jest? – spytałam.

– Sądzimy, że nie.

– W takim razie go nie odnajdą.

– Zgadza się, Élise.

– Czyli nie musi być... kimkolwiek.

Na twarzy ojca odmalowało się zmieszanie.

– Przykro mi, moja droga, nie rozumiem.

Chciałam im rzec: nie mieszajcie go w to. Niech Arno będzie mój, niech nie wie o tym, jak widzimy świat, jak chcemy go kształtować, niech ten wycinek życia, który z nim dzielę, będzie od tego wolny.

– Myślę – powiedziała matka – że to, co próbuje wyrazić Élise, jest... – Rozłożyła ręce. – Po co ten pośpiech.

Ojciec wyduł wargi; nie podobał mu się ten zjednoczony front oporu kobiet.

– Jest moim podopiecznym. Dzieckiem żyjącym w tym domu. Zostanie wychowany według zasad tej rodziny. Ujmując to brutalnie, musimy go zdobyć, nim zrobią to asasyni.

– Nie mamy podstaw do obaw, że asasyni kiedykolwiek dowiedzą się o jego istnieniu – powiedziała z naciskiem.

– Nie możemy być tego pewni. Jeśli nawiążą z nim kontakt, wciągną go do Zakonu. Nie będzie w stanie się im sprzeciwić.

– Skoro nie będzie w stanie się sprzeciwić, to jak możemy kierować go w inną stronę? – spytałam błagalnie, choć moje pobudki były raczej osobiste niż ideologiczne. – Jak możemy występować przeciw temu, co przeznaczył dla niego los?

Ojciec przeszył mnie surowym spojrzeniem.

– Chcesz, żeby Arno był twoim wrogiem?

– Nie – powiedziałam z mocą.

– A zatem najlepszym sposobem, by tak się nie stało, jest przekonać go do naszego sposobu myślenia.

– Tak, François, ale nie teraz – przerwała mu matka. – Jeszcze nie teraz. Nie kiedy są tacy młodzi.

Ojciec popatrzył na nasze zacięte w oporze twarze i jakby zmiękł.

– Ach, wy – rzekł z uśmiechem. – Dobrze. Na razie niech będzie tak, jak chcecie. Wrócimy do tej sprawy później.

Rzuciłam matce pełne wdzięczności spojrzenie.

Co ja bez niej pocznę?

V

Zachorowała niedługo potem i zamknięto ją w jej pokoju, zaciemnionym w dzień i w nocy; do tej części domu wstęp miała tylko jej służąca Justine, mój ojciec, ja oraz trzy pielęgniarki

najęte do opieki nad nią – każda nosiła imię Marie.

Dla reszty domowników przestawała istnieć. Choć moje poranki wyglądały wciąż tak samo: spędzałam je z nauczycielem, a potem w lesie na obrzeżach naszego majątku, ucząc się szermierki od pana Weatheralla, to popołudnia upływały mi już bez Arna; przesiadywałam przy łóżku matki, trzymając ją za rękę, a trzy Marie krzątały się dookoła.

Widziałam, jak Arno zbliża się do mojego ojca. Dostrzegałam, jak ojciec znajduje ucieczkę od stresu, związanego z chorobą matki, coraz bardziej wchodząc w rolę opiekuna. Oboje staraliśmy się poradzić sobie jakoś z powolną utratą matki, każde z nas inaczej. Z mojego życia powoli zniknęła radość.

VI

Nawiedzał mnie kiedyś pewien sen. Tyle że to nie był sen, bo nie spałam. Można to chyba nazwać marzeniem. Siedziałam w nim na tronie. Wiem, jak to może wyglądać, ale jeśli nie pamiętnikowi, to komu mogłabym się do tego przyznać? Siedzę na tronie przed zgromadzeniem poddanych, którzy – choć w marzeniu bezosobowi – muszą być chyba templariuszami. Zebrali się przede mną, wielką mistrzynią. I wiadomo, że nie jest to zbyt poważne marzenie, bo siedzę przed nimi jako dziesięcioletnia dziewczynka, tron jest dla mnie o wiele za duży, nogami nie sięgam podłogi, ręce mam za krótkie, by choć sięgnąć do poręczy. Jestem najmniej majestatyczną królową, jaką można sobie wyobrazić, ale to sen na jawie, a z nimi tak już bywa. I ważne w nim nie jest to, że zostaję królową, ani to, że o wiele dziesiątków lat przyśpieszyłam swoje namaszczenie na wielką mistrzynię. Dla mnie najistotniejszy jest fakt, że po moich bokach siedzą matka i ojciec.

Z każdym dniem, kiedy ona słabnie i jest coraz bliższa śmierci, z każdym dniem, kiedy on zbliża się do Arna, ich wizerunki w moim śnie stają się coraz bledsze.

15 kwietnia 1778

– Zanim odejdę, Élise, muszę ci coś powiedzieć.

Wzięła mnie za rękę, jej uścisk był taki słaby... Zaczęłam płakać.

– Nie, mam, proszę, nie...

– Cicho, dziecko, bądź silna. Bądź silna dla mnie. Odchodzę od ciebie i musisz to potraktować jako próbę swoich sił. Musisz przyjąć, że to wola Boża. Musisz być silna, nie tylko dla siebie, ale też dla ojca. Moje odejście czyni go podatnym na uniesione głosy Zakonu. Ty musisz być głosem w jego drugim uchu, Élise. Musisz nalegać, by obrał trzecią drogę.

– Nie mogę.

– Możesz. Pewnego dnia to ty zostaniesz wielką mistrzynią i będziesz musiała kierować Zakonem według własnych przekonań. Zasad, w które wierzysz.

– To twoje zasady, matko.

Puściła moją dłoń i wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić mnie po twarzy. Oczy zaszyły jej mgłą, po ustach błąkał się uśmiech.

– To zasady oparte na współczuciu, Élise, a ty masz go bardzo dużo. Tak dużo. Jestem z ciebie bardzo dumna, nie mogłam marzyć o cudowniejszej córce. Widzę w tobie wszystko to, co najlepsze w twoim ojcu i we mnie. Nie mogłam prosić o nic więcej, Élise, a teraz umrę szczęśliwa, że cię znałam i że byłam świadkiem narodzin twojej wielkości.

– Nie, matko, proszę, nie.

Słowa przerywał targający mną szloch. Ścisnęłam jej rękę przez przykrycie... Tę wychudzoną rękę... Tak jakbym swoim uściskiem mogła zatrzymać jej ulatującą duszę. Rude włosy matki rozsypały się po poduszce. Zatrzepotała powiekami.

– Wezwij ojca, jeśli możesz – powiedziała cichym, słabnącym głosem, jakby życie właśnie z niej uchodziło.

Pobiegłam do drzwi, otworzyłam je, poleciłam jednej z Marie wezwać ojca, zatrzasnęłam drzwi i wróciłam do matki; koniec nadchodził jednak coraz szybciej. Popatrzyła na mnie zażawionymi oczami, z najczulszym uśmiechem, jaki widziałam.

– Troszczcie się o siebie nawzajem – powiedziała. – Tak bardzo kocham was oboje.

18 kwietnia 1778

I

Stałam się zimna. Błąkam się po pokojach, wdychając zapach stęchlizny, który nauczyłam się kojarzyć z jej chorobą, i wiem, że będę musiała rozsunać zasłony, świeże powietrze wywieje zaduch, ale nie chcę tego robić, bo to będzie oznaczało, że matka odeszła, a nie mogę się z tym pogodzić.

Kiedy była chora, chciałam, by wyzdrowiała. Teraz, kiedy nie żyje, chcę tylko, by wróciła. Żeby z powrotem znalazła się w domu.

Rano patrzyłam z okna, jak na zwirowym podjeździe przed domem zatrzymują się trzy powozy, stangreci opuszczają schodki i ładują kufry. Niedługo potem zjawiły się trzy Marie i zaczęły się całować na pożegnanie. Były ubrane na czarno, ocierały łzy. Płakały oczywiście po matce, ale była to chwilowa żałoba, z konieczności. Ich praca dobiegła bowiem końca, odebrały zapłatę i jechały opiekować się innymi umierającymi kobietami, odczuwać ten sam przemijający smutek po kolejnej podopiecznej.

Starłam się nie uważać ich odjazdu za nieprzyzwoicie pośpieszny. Starłam się nie mieć do nich żalu, że zostawiają mnie sam na sam z moją żałobą. Nie znały głębi mojego cierpienia. Matka wymusiła na ojcu obietnicę, że nie będziemy urządzać zwyczajowych rytuałów pogrzebowych, toteż zasłony na parterze pozostały rozsunięte, a mebli nie przykryto czarnymi tkaninami. Wśród służby byli tacy, którzy znali ją bardzo krótko albo wcale. Matka, którą pamiętałam, była piękna, pełna wdzięku i troskliwa, dla nich jednak pozostawała kimś obcym. Nie była prawdziwą osobą, lecz chorującą panią w łóżku, a takie bywały w wielu domach. Ich żałoba była zaledwie ukłuciem smutku, jeszcze bardziej przelotnym niż w wypadku trzech Marie.

I tak dom żył dalej, niemal jakby nic się nie stało, tylko kilkoro

z nas prawdziwie matkę opłakiwało – ci, którzy znali ją i kochali taką, jaka była. Spojrzałam w oczy Justine i zobaczyłam w nich odbicie swojego własnego cierpienia. Spośród całej służby tylko ona mogła wchodzić do pokoju matki podczas jej choroby.

– Och, *mademoiselle* – powiedziała. Targnął nią szloch.

Ujęłam ją za rękę i podziękowałam za wszystkie jej starania, zapewniając, że matka była jej głęboko wdzięczna za opiekę. Dygnęła, podziękowała mi za słowa otuchy i wyszła.

Byłyśmy jak dwie ocalałe z wielkiej bitwy, wzrokiem dzieliłyśmy się wspomnieniami. Z osób, które opiekowały się konającą matką w rezydencji, pozostała tylko ona, ojciec i ja.

Od śmierci matki minęły dwa dni, a choć ojciec tulił mnie przy jej łóżku owej nocy, od tamtej pory go nie widziałam. Ruth mówi, że zamknął się w swoich pokojach i płacze, ale wkrótce odzyska siły i nie powinnam się o niego martwić, powinnam myśleć o sobie. Przytuliła mnie do piersi i głaskała moje plecy tak mocno, że niemal zabrakło mi tchu.

– Wyrzuć to z siebie, dziecko – szepnęła. – Nie duś tego w sobie.

Ale się wywinęłam, podziękowałam jej, powiedziałam, że to będzie wszystko, nieco wyniośle – tak jak May Carroll mówi pewnie do swojej służącej.

Chodzi o to, że nie mam czego z siebie wyrzucać. Nic nie czuję.

Nie mogąc znieść górnych pięter ani chwili dłużej, zaczęłam kręcić się po pałacu, przemierzać jego sale jak duch.

– Élise...

Arno stał na końcu korytarza z kapeluszem w ręku. Był zaczerwieniony jak po biegu.

– Przykro mi z powodu twojej matki, Élise.

– Dziękuję, Arno – odparłam. Korytarz między nami wydawał się zbyt długi. Arno przestępował z nogi na nogę. – Spodziewaliśmy się tego, nie jesteśmy zaskoczeni, a choć oczywiście ją opłakuję, jestem wdzięczna, że mogłam być przy niej do samego końca.

Pokiwał ze współczuciem głową, niezupełnie rozumiejąc, a ja wiedziałam dlaczego – bo w jego świecie nic się nie zmieniło. Dla niego zmarła pani, którą ledwie znał, mieszkająca w części domu, do której nie miał wstępu, i jego bliscy byli przez to smutni. Ale nic ponadto.

– Może później się pobawimy – powiedziałam. – Po lekcjach.

Rozpromienił się.

„Pewnie tęskni za ojcem” – pomyślałam, odprowadzając go wzrokiem.

II

Ranek spędziłam z guwernerem. Spotkałam Arna ponownie, kiedy wchodził na swoje lekcje. Plan zajęć mieliśmy ułożony tak, że Arno uczył się, kiedy ja brałam lekcje szermierki u pana Weatheralla, toteż nigdy nie widział mnie ćwiczącej.

(Być może w swoim własnym pamiętniku któregoś dnia napisze o drogowskazach, prowadzących go do chwili własnego olśnienia. „Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, skąd tak świetnie umie władać szpadą...”)

Wyszłam tylnymi drzwiami i ruszyłam wzdłuż żywopłotu, aż dotarłam do lasu i skręciłam na ścieżkę, na końcu której czekał na mnie pan Weatherall. Siedział na pieńku w bardzo wytwornej pozie, założywszy nogę na nogę i przerzuciwszy poły fraka za pieńek. O ile jednak wcześniej podrywał się na moje powitanie z iskrami w oczach i uśmiechem na ustach, o tyle teraz siedział ze spuszczoną głową, jakby przygięty jakimś ciężkim brzemieniem. Obok niego na pniu leżała skrzynka, niespełna półmetrowej długości i na dłoń szeroka.

– Powiedziano panu – rzekłam.

Oczy miał smutne i przygasłe. Zadrżała mu dolna warga i przez jedną przerażającą chwilę zastanawiałam się, co zrobię, jeśli pan Weatherall się rozpłacze.

– Jak to znosisz? – zapytał.

– Spodziewaliśmy się tego – odparłam – i nie jesteśmy zaskoczeni, a choć oczywiście opłakuję ją, jestem wdzięczna, że mogłam być przy niej do samego końca.

Wręczył mi skrzynkę.

– Daję ci to z ciężkim sercem, Élise – rzekł ochryple. – Miała nadzieję dać ci to osobiście.

Wzięłam podarek i zważyłam w dłoniach ciężkie drewno, wiedząc już, co jest w środku. Istotnie, była to krótka szpada. Miała pochwę z miękkiej brązowej skóry, z białym szwem po bokach, oraz rzemienny pasek do zawiązywania na biodrach. Ostrze szpady połyskiwało nową stalą, jej rękojeść ciasno obciągnięto barwioną skórą. Przy jelicu widniała inskrypcja: „Niech cię prowadzi ojciec zrozumienia. Z wyrazami miłości, matka”.

– To zawsze miał być twój pożegnalny prezent, Élise – powiedział głucho pan Weatherall, odwracając się w stronę drzew i ukradkiem wycierając kciukiem oczy. – Masz się nim wprawiać.

– Dziękuję – powiedziałam, a on wzruszył ramionami. Pragnęłam przenieść się w przyszłość, do chwili, kiedy szpada sprawi mi radość. Teraz bowiem nie czułam nic.

Zapadła długa cisza. Zrozumiałam, że dziś nie będziemy ćwiczyć. Żadne z nas nie miało do tego serca.

Po chwili pan Weatherall się odezwał:

– Czy mówiła coś o mnie? To znaczy, wtedy, na końcu.

Ledwie udało mi się ukryć zaskoczenie; dostrzegłam w jego oczach rozpacz i nadzieję. Wiedziałam, że żywił do matki głębokie uczucie, ale aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkie.

– Prosiła, bym panu przekazała, że w sercu zawsze skrywała miłość do pana i że była dozgonnie wdzięczna za wszystko, co pan dla niej uczynił.

Pan Weatherall kiwnął głową.

– Dziękuję, Élise, to wielka pociecha – rzekł, odwrócił się i otarł

łzy z oczu.

III

Później zostałam wezwana do ojca. Usiedliśmy oboje na szeszlunku w jego pograżonym w półmroku gabinecie. Objął mnie i mocno przytulił. Ogolił się i wyglądał zupełnie zwyczajnie, ale słowa wymawiał powoli i z wysiłkiem, a w jego oddechu czuć było brandy.

– Widzę, że jesteś silna, Élise – rzekł. – Silniejsza niż ja.

Oboje nas przepełniał tępy ból. Prawie zazdrościłam ojcu tego, że potrafił się mu poddać.

– Spodziewaliśmy się tego – zaczęłam, ale nie zdołałam dokończyć, bo ramiona mi zadrżały, ścisnęłam ojca dygoczącymi rękami, pozwalając mu się utulić.

– Wyrzuc to z siebie, Élise – powiedział i pogładził mnie po włosach.

Posłuchałam go. Wyrzuciłam to z siebie i w końcu zaczęłam płakać.

*Wyjatek z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

Z poczuciem winy odłożyłem jej pamiętnik, nie mogąc znieść cierpienia, jakie biło z jego kart. Ze zgrozą zdałem sobie sprawę z własnego wkładu w jej udrękę.

Élise ma rację. Śmierć *madame* wcale mnie nie obeszała. Dla samolubnego małego chłopca, jakim wtedy byłem, był to zaledwie powód, który nie pozwalał François i Élise bawić się ze mną. Niedogodność, która oznaczała, że dopóki sprawy nie wrócą do normy – tu Élise miała słuszność, dom nie pogrążył się w żałobie i wrócił do normalnego funkcjonowania dość szybko – musiałem sam znajdować sobie rozrywki.

Tyle właśnie, ku mojemu zawstydzeniu, znaczyła dla mnie śmierć *madame*.

Ale byłem wtedy zaledwie dziesięcioletnim chłopcem.

Ha, Élise także miała tylko dziesięć lat, a mimo to tak bardzo przewyższała mnie inteligencją. Pisze o naszych lekcjach u guwernera – jakże musiał jęczeć w duchu, kiedy przychodziła moja kolej. Musiał odkładać podręczniki Élise i z ciężkim sercem sięgać po prostsze wersje dla mnie.

Przy tym jednak, dorastając tak szybko – teraz rozumiem, że tak ją wychowywano, by szybko dorosła – Élise musiała żyć z ciężkim brzemieniem. A przynajmniej tak odczytuję te karty. Dziewczynka, którą znałem, była tylko dzieckiem, skorym do zabaw i psot, owszem, prawie siostrą. Wymyślała najlepsze zabawy; szybko znajdowała wymówki, kiedy odkrywano nas tam, gdzie nie wolno nam się było zapuszczać, albo kiedy kradliśmy jedzenie z kuchni czy płataliśmy inne figle, które akurat obmyśliła.

Nic więc dziwnego, że kiedy wysłano ją do szkoły Maison Royale de Saint-Louis w Saint-Cyr, by dokończyła nauki, wpadła

w tarapaty. Żadna z dwóch przeciwstawnych stron jej osobowości nie pasowała do szkolnego życia i jak łatwo przewidzieć, Élise nie znosiła Maison Royale. Nienawidziła. Choć szkoła leżała niespełna trzydzieści kilometrów od Wersalu, równie dobrze mogła znajdować się w innym kraju – tak Élise odczuwała dystans między swoim dawnym a obecnym życiem. W listach nazywała ją *Le Palais de la Misère*. Odwiedziny w domu były ograniczone do trzech tygodni latem i kilku dni na Boże Narodzenie, przez resztę roku musiała poddawać się dyscyplinie Maison Royale. Élise źle znosiła rygory, jeżeli jej nie odpowiadały. Rygor nauki szermierki z panem Weatherallem był bardzo w jej guście; w rygorze szkoły zupełnie się nie odnajdywała. Nie znosiła ograniczeń szkolnego życia. Nie znosiła konieczności nauki „umiejętności”, takich jak haftowanie czy muzyka, toteż jej dziennik wypełniają niezliczone akapity opisujące tarapaty, w które wpadała. Kolejne wpisy zaczynają się powtarzać – to całe lata goryczy i frustracji.

W szkole pracę zorganizowano tak, że podzielono dziewczęta na grupy i w każdej wybrano przełożoną. Oczywiście Élise stała się z przełożoną swojej grupy, Valerie, i dziewczyny zaczęły się bić. Naprawdę się biły. Czytam, zasłaniając dłonią usta, nie wiedząc chwilami, czy mam się śmiać z jej śmiałości, czy być nią wstrząśnięty.

Raz za razem Élise stawiała przed znienawidzoną dyrektorką, *madame Levene*, by się wytłumaczyć i ponieść karę.

I raz za razem reagowała bezczelnością, pogarszając swoją sytuację i zwiększając surowość kar. A im bardziej surowe były kary, tym bardziej Élise się buntowała; im bardziej zaś się buntowała, tym częściej wzywano ją przed oblicze dyrektorki, tym bardziej stawiała się bezczelna i tym surowiej ją karano...

Wiedziałem oczywiście, że często wpadała w tarapaty, bo choć rzadko się wtedy widywaliśmy – z okna gabinetu guwernera podczas jej krótkich wakacji smutno do siebie machaliśmy –

prowadziliśmy regularną korespondencję. Byłem sierotą, do którego nikt wcześniej nie pisał, i wrażenie, jakie zrobiły na mnie listy od Élise, nigdy nie wyblakło.

Pisała, rzecz jasna, o swojej nienawiści do szkoły, ale jej korespondencja nie była tak szczegółowa jak pamiętnik, pulsujący pogardą dla innych uczennic, dla nauczycielek i *madame* Levene. Nawet pokaz fajerwerków dla uczczenia stulecia szkoły w 1786 roku nie poprawił jej humoru. Ponoć sam król wyszedł na taras wersalskiego pałacu, by obejrzeć widowisko, ale Élise to nie wystarczyło. Z jej dziennika biło poczucie niesprawiedliwości i zmagania z otaczającym światem – stronica po stronicy, rok po roku moja miłość pozostawała ślepa na błędne koło, w którym się zamknęła. Każda kartka uświadamiała mi, że nie pojmowała, iż to, co robiła, nie było buntem, lecz żałobą.

Czytając dalej, zaczęłam zaś odkrywać, że skrywała przede mną coś jeszcze...

*Wyjątki z diariusza
Élise de La Serre*

8 września 1787

Przyjechał dziś do mnie ojciec. Wezwano mnie do gabinetu *madame* Levene na spotkanie z nim i nie mogłam się już doczekać, ale oczywiście stara wiedźma nie wyszła – takie były zasady *Le Palais de la Misère*, toteż wizyta przebiegała jak przed publicznością. *Madame* Levene siedziała pod oknem, z którego rozciągał się oszałamiający – nawet ja musiałam to przyznać – widok na szkolne ogrody, splecione ręce oparła na biurku i z zimnym uśmiechem przyglądała się ojcu i mnie, siedzącym po drugiej stronie – skrupowanemu mężczyźnie i jego niesfornej córce.

– Miałem nadzieję, że droga ku zakończeniu twojej edukacji będzie raczej pełnym wdzięku galopem niż kuśtykaniem, *Élise* – oznajmił z westchnieniem.

Wydawał się stary i znużony; wyobrażałam sobie wiszące nad nim jazgoczące kruki, bezustannie nalegające: „zrób to, zrób tamto”, a jakby tego było mało, jego córka stała się tematem gniewnych listów, słanych do domu przez *madame* Levene, bardzo szczegółowo opisującą moje rozliczne wady.

– Życie we Francji wciąż jest ciężkie, *Élise* – ciągnął. – Dwa lata temu mieliśmy suszę i najgorsze zbiory za ludzkiej pamięci. Król polecił wybudować mury wokół Paryża. Chciał podnieść podatki, ale *parlement* w Paryżu poparł możnych, którzy się mu sprzeciwili. Nasz dzielny i niezłomny monarcha spanikował, wycofał podatki i ludzie wyszli świętować na ulice. Żołnierze, którym kazano strzelać do tłumu, odmówili wykonania rozkazu...

– Moźni sprzeciwili się królowi? – spytałam, unosząc brew.

Ojciec przytaknął.

– W istocie. Kto by pomyślał? Może mają nadzieję, że prosty lud będzie im wdzięczny i wróci do domów.

– Ale ty tak nie sądzisz?

– Obawiam się, że nie, Élise. Lękam się, że kiedy prosty lud pozna smak siły, potencjalnej siły tłumu, nie zadowolą się wycofaniem jakichś nowych podatków. Uważam, że z tych ludzi może się zacząć wylewać wieloletnia frustracja. Kiedy ciskali petardami i kamieniami w Palais de Justice, nie wspierali możliwych. Tak samo jak wtedy, gdy palili kukły wicehrabiego de Calonne.

– Palili kukły? Generalnego kontrolera finansów?

Ojciec kiwnął głową.

– Tak. Został zmuszony do opuszczenia kraju. Inni ministrowie także. Wybuchną niepokoje, Élise, zapamiętaj moje słowa.

Milczałam.

– Co doprowadza nas do kwestii twojego zachowania w szkole – podjął. – Jesteś już uczennicą starszej klasy. Damą. I powinnaś zachowywać się stosownie.

Pomyślałam, że mundurek uczennicy starszej klasy Maison Royale wcale nie sprawia, że można poczuć się kobietą. Czułam się w nim jak przebieraniec. Kobieta mogłam się poczuć dopiero po szkole, kiedy zrzucałam znienawidzoną, sztywną od krochmalu suknię, rozpuszczałam włosy i pozwalałam im opaść na niedawno zyskane piersi. Kiedy patrzyłam w lustro i widziałam w nim swoją matkę.

– Pisziesz do Arna – powiedział ojciec, jakby chcąc spróbować innego podejścia.

– Nie czytujesz chyba moich listów, prawda?

Przewrócił oczami.

– Nie, Élise, nie czytuję twoich listów. Na Boga, za kogo ty mnie masz?

Spuściłam wzrok.

– Przepraszam, ojciec.

– Jesteś tak zajęta buntowaniem się przeciwko każdej zwierzchności, że zapomniałaś już, kto jest twoim przyjacielem,

tak?

Madame Levene za biurkiem z powagą pokiwała głową.

– Przepraszam, ojciec – powtórzyłam, nie zwracając na nią uwagi.

– Fakt pozostaje faktem, że pisujesz do Arna, i wnioskuje tylko z tego, co mi powiedział, nie zrobiłaś nic, by wypełnić naszą umowę.

Rzucił znaczące spojrzenie dyrektorce, lekko unosząc brwi.

– O jakiej umowie mówisz, ojciec? – spytałam niewinnie.

Ojciec jeszcze raz wskazał ruchem głowy naszą publiczność.

– Tę – dodał znacząco – którą zawarliśmy przed twoim wyjazdem do Saint-Cyr. Kiedy zapewniłaś mnie, że zrobisz, co w twojej mocy, by przekonać Arna, iż powinien zostać przez nas adoptowany.

– Przykro mi, ojciec, wciąż niezupełnie pojmuję, co masz na myśli.

Jego twarz pociemniała. Westchnął głęboko i odwrócił się do dyrektorki.

– Zastanawiam się, *madame*, czy mógłbym pomówić z córką na osobności.

– Obawiam się, że to wbrew zasadom akademii, *monsieur* – odparła z przesłodzonym uśmiechem. – Rodzice i opiekunowie pragnący spotkać się z uczennicami na osobności muszą złożyć prośbę na piśmie.

– Wiem, ale...

– Przykro mi, *monsieur* – powtórzyła z naciskiem.

Ojciec zabębnił palcami w udo.

– *Élise*, proszę, nie utrudniaj. Wiesz dobrze, co mam na myśli. Zanim wyjechałaś do szkoły, zgodziliśmy się, że przyszła pora przyjąć Arna na łono naszej rodziny.

Spojrzał na mnie wymownie.

– Ale on jest członkiem innej rodziny – odparłam jakby nigdy nic.

– Nie drażnij się ze mną, Élise.

Madame Levene prychnęła.

– My już do tego przywykliśmy, *monsieur*.

– Dziękuję, *madame Levene* – uciął ojciec z wyraźną irytacją.

Kiedy jednak odwrócił się znów do mnie, spojrzeliśmy sobie w oczy i dzielący nas chłód częściowo znikł; usta ojca drgnęły nawet w powściąganym uśmiechu. Rzuciłam mu swoje najbardziej niewinne spojrzenie, a na jego twarzy odmalowało się uczucie.

– Élise – odezwał się z powagą – jestem zupełnie pewny, że nie muszę ci przypominać o warunkach naszej umowy. Dość powiedzieć, że jeśli dalej będziesz je łamać, będę zmuszony wziąć sprawy w swoje ręce.

Zerknęliśmy oboje ukradkiem na *madame Levene*, która siedziała z rękami splecionymi na biurku, starając się z całych sił nie zdradzić swojego zmieszania – bezskutecznie. Niewiele brakowało, abym wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Masz na myśli, że ty spróbujesz przekonać go do adopcji, ojcze?

Ojciec spoważniał i popatrzył na mnie.

– Tak.

– Nawet jeśli stracisz w ten sposób jego zaufanie?

– To ryzyko, które będę musiał podjąć, Élise – odparł. – O ile nie zrobisz tego, na co się umówiliśmy.

A umówiliśmy się, że będę Arna indoktrynować. Przeciągnę go na naszą stronę. Zrobiło mi się ciężko na sercu na myśl, że przez to w pewien sposób go stracę. Musiałam jednak to uczynić, inaczej ojciec zająłby się tym sam. Wyobraziłam sobie Arna, jak wściekły wyrzuca mi to któregoś dnia w przyszłości – „Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?” – i nie mogłam tej myśli znieść.

– Zrobię, jak się umówiliśmy, ojcze.

– Dziękuję.

Odwróciliśmy się do *madame Levene*, która wymownie

zmarszczyła brwi.

– I pamiętaj, że masz poprawić swoje zachowanie – dodał szybko ojciec, po czym klepnął dłońmi w uda; z doświadczenia wiedziałam, że oznacza to koniec naszego spotkania.

Grymas dyrektorki pogłębił się, kiedy zamiast dalej mnie upominać, ojciec wstał i wziął mnie w ramiona, zaskakując siłą swojego uczucia.

Wtedy właśnie postanowiłam, że się poprawię – dla niego. Odwdzięczę mu się i będę córką, na jaką zasługiwał.

8 stycznia 1788

Czytając wpis z 8 września 1787, nie mogę powstrzymać ukłucia wstydu; napisałam: „Odwdzięczę mu się i będę córką, na jaką zasługiwał”, po czym...

...niczego takiego nie zrobiłam.

Nie dość, że nie przekonałam Arna do korzyści płynących z przejścia na stronę templariuszy (po części dlatego, że w moim buncie sama się zastanawiałam, czy takie korzyści faktycznie istnieją), to jeszcze moje zachowanie w Maison Royale bynajmniej się nie poprawiło.

Zupełnie się nie poprawiło.

Zdecydowanie się pogorszyło.

Na przykład nie dalej jak wczoraj *madame* Levene wezwała mnie do swojego gabinetu, po raz trzeci w ciągu ostatnich trzech tygodni. Ile razy już wędrowałam tam przez te lata? Setki? Za bezczelność, bójki, wykradanie się nocą (och, jak uwielbiałam wykradać się nocą, tylko ja i rosa na trawie), za picie, za zakłócanie porządku, za niechlujstwo czy za swoje ulubione „uporczywe złe zachowanie”.

Nikt nie znał drogi do gabinetu *madame* Levene tak dobrze jak ja. Nie było na świecie żebraka, który częściej niż ja wyciągałby rękę. Nauczyłam się czekać na ciosy trzciny, nawet się nimi cieszyć. Nie mrugać, kiedy zostawiała swoje piętno na mojej skórze.

Tym razem także odbyło się to dokładnie tak, jak się spodziewałam – kolejne konsekwencje awantury z Valerie, która oprócz przewodzenia naszej grupie była także gwiazdą wystawianych przez nas przedstawień Racine’a i Corneille’a. Weź sobie do serca moją radę, drogi czytelniku, i nigdy nie wybieraj za przeciwnika aktorki. Są we wszystkim strasznie teatralne. Jak by

to ujął pan Weatherall: „Co za przeklęte histeryczki!”.

Owszem, ta konkretna zwada zakończyła się dla Valerie podbitym okiem i krwotokiem z nosa. Byłam wówczas na cenzurowanym za drobny bunt przy obiedzie miesiąc wcześniej; to drobiazg, o którym nie warto się tu rozpisywać, w każdym razie dyrektorka oznajmiła, że jest u kresu wytrzymałości. „Mam cię po dziurki w nosie, Élise de La Serre. Po same dziurki, młoda damo”.

Jak zwykle, oczywiście, pojawiły się groźby wyrzucenia mnie. Tyle że tym razem byłam przekonana, iż nie są to już czcze pogrożki. Kiedy *madame* Levene powiedziała, że zamierza wysłać do mojego ojca utrzymany w ostrym tonie list, domagający się przedyskutowania kwestii mojej przyszłości w Maison Royale, nie była to już pusta gadanina; dyrektorce istotnie skończyła się cierpliwość.

Ale mnie to wciąż nie obchodziło.

Czy raczej – nie obchodzi. Rób, co chcesz, Levene; rób, co chcesz, ojciec. Nie możecie zesałać mnie do gorszego kręgu piekła niż ten, w którym już jestem.

– Dostałam list z Wersalu – rzekła dyrektorka. – Twój ojciec przysyła kogoś, kto ma się tobą zająć.

Wyglądałam akurat przez okno, wędrując wzrokiem na zewnątrz, za mury Maison Royale, gdzie pragnęłam się znaleźć. Teraz jednak odwróciłam się do *madame* Levene; spojrzałam na jej ściągniętą, pomarszczoną twarz, na oczy niczym kamyki za szklami okularów.

– Przysyła kogoś?

– Tak. Z tego, co napisano w liście, ów ktoś ma za zadanie wbić ci trochę rozumu do głowy.

„Wysłannik? – pomyślałam. – Ojciec przysyła wysłannika. Nie przyjeżdża nawet sam, tylko kogoś wysyła”. Może planował mnie odtrącić – nagle dotarło do mnie, jaki byłby to dla mnie straszny cios. Mój ojciec, jedna z trzech osób na świecie, które naprawdę kochałam i którym ufałam, miałby mnie od siebie odsunąć.

Myliłam się. Istniał jednak gorszy krąg piekieł, do którego mogłam trafić.

– Owszem – tryumfowała *madame* Levene. – Twój ojciec jest najwyraźniej zbyt zajęty, by zająć się tą sprawą osobiście. Musiał przysłać zastępcę. Być może, Élise, nie jesteś dla niego aż tak ważna, jak ci się zdawało.

Spojrzałam na nią ostro i przez krótką chwilę wyobrażałam sobie, że rzucam się nad biurkiem, by zetrzeć ten kpiący uśmiezek z jej twarzy. W mojej głowie jednak powstawał już inny plan.

– Wysłannik chce się z tobą widzieć na osobności – rzekła.

Obie wiedziałyśmy, co to oznacza. Mam zostać ukarana. I to ukarana fizycznie.

– Spodziewam się, że będzie pani podsłuchiwać pod drzwiami.

Zacisnęła usta. Jej zimne oczy zalsniły.

– Uraduje mnie świadomość, że w końcu płacisz cenę za swoją impertynencję, *mademoiselle* de La Serre, możesz być tego pewna.

21 stycznia 1788

I oto nadszedł dzień przyjazdu wysłannika. Przez cały tydzień unikałam kłopotów. Według innych dziewcząt zachowywałam się ciszej niż zwykle. Niektóre pytały, kiedy wróci „dawna Élise”; moje główne rywalki tryumfowały, że w końcu zostałam poskromiona. Zobaczymy.

Tak naprawdę przygotowywałam swoje ciało i umysł. Wysłannik będzie się spodziewał, że zostanie potulną, zahukaną nastolatką, lękającą się wydalenia ze szkoły i gotową znieść każdą karę, byle do tego nie dopuścić. Będzie się spodziewał łez i skruchy.

Nie dam mu tej satysfakcji.

Wezwano mnie do gabinetu dyrektorki i kazano czekać. Czekałam więc, ściskając torebkę, w której ukryłam podkowę, „pożyczoną” znad drzwi dormitorium. Nigdy dotąd nie przyniosła mi szczęścia, teraz miała szansę się wykazać.

Z westybulu dobiegły mnie dwa głosy: *madame* Levene słuźalczo i przymilnie powitała wysłannika ojca i powiedziała mu: „Ta niegodziwa dziewczyna czeka na zasłużoną karę w moim gabinecie, *monsieur*”, na co ten odparł niskim, chrapliwym głosem: „Dziękuję, *madame*”.

Rozpoznałam ten głos. Zszokowana, wciąż zakrywałam usta dłonią, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł pan Weatherall.

Zamknął za sobą drzwi, a ja rzuciłam mu się na szyję z taką siłą, że aż stracił oddech. Wstrząsnął mną szloch, nad którym nie zdołałam zapanować. Łkałam mu w pierś i jedno wam powiem – nigdy w życiu nie cieszyłam się tak na czyjś widok jak wtedy.

Staliśmy tak przez chwilę; płakałam bezgłośnie w objęciach swojego protektora, aż w końcu zapanowałam nad sobą. Odsunął

mnie na wyciągnięcie ramion, spojrział w oczy, po czym przykładając palec do ust, rozpiął frak, zdjął go i zawiesił na haczyku przy drzwiach w taki sposób, żeby zasłonił dziurkę od klucza.

– Płacz, płacz, *mademoiselle* – powiedział głośno przez ramię. – Twój ojciec bowiem jest zbyt wściekły, by zająć się tą sprawą osobiście. Tak jest rozeźlony, że kazał mi, twojemu guwernerowi – tu puścił do mnie oko – wymierzyć ci karę w swoim zastępstwie. Najpierw jednak napiszesz do niego list z kornymi przeprosinami. Potem zaś cię ukarzę i bądź pewna, że będzie to najsurowsza kara, jaką kiedykolwiek poniosłaś.

Zaprowadził mnie do szkolnej ławki w kącie gabinetu, przy której usiadłam z papierem, piórem i kałamarzem na wypadek, gdyby dyrektorka znalazła pretekst, by wejść. Potem pan Weatherall przysunął sobie krzesło, oparł łokcie na blacie i zaczęliśmy szeptem rozmawiać.

– Cieszę się, że pana widzę – powiedziałam.

Zaśmiał się cicho.

– Wcale mnie to nie dziwi. W końcu spodziewałaś się, że dostaniesz srogie manto.

– Przeciwnie – odparłam, rozchylając torebkę i pokazując podkowę – miało być odwrotnie.

Pan Weatherall ściągnął brwi. Nie takiej reakcji oczekiwałam.

– I co potem, *Élise*? – szepnął gniewnie, stukając przy tym palcem w blat. – Zostałabyś wydalona z *Maison Royale*. Twoje wykształcenie opóźnione. Przyjęcie do Zakonu opóźnione. Nominowanie na wielką mistrzynię opóźnione. Co zamierzałaś w ten sposób wskórać, hm?

– Zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Nie obchodzi cię, tak? Nie obchodzi cię już ojciec?

– Cholernie dobrze pan wie, że to nieprawda.

Prychnął, słysząc z moich ust przekleństwo.

– Cholernie dobrze wiem, że zależy ci też na matce. I na dobrym

imieniu rodziny, skoro o tym już mowa. To dlaczego tak się zawzięłaś, żeby je zszargać? Dlaczego robisz wszystko, żeby nigdy nie zostać wielką mistrzynią?

– Zostać wielką mistrzynią to moje przeznaczenie – odparłam, uświadamiając sobie z nieprzyjemnym ukłuciem, że zachowuję się jak May Carroll.

– Przeznaczenie może się zmienić, dziecko.

– Nie jestem już dzieckiem – przypomniałam mu. – Mam dwadzieścia lat.

Pan Weatherall posmutniał.

– Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem, Élise. Nie zapominaj, że pamiętam małą dziewczynkę, która uczyła się szermierki w lesie. Najlepszą uczennicę, jaką miałem, ale też najbardziej impulsywną. Trochę zbyt pewną siebie. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Wciąż ćwiczysz fechtunek?

– Tutaj? – prychnęłam. – Niby jak miałabym to zrobić?

Udał zastanowienie.

– Ha, pomyślmy – odparł z sarkazmem. – Może na przykład, nie robiąc wokół siebie tyle szumu, by nie pilnowano cię na każdym kroku i byś mogła co jakiś czas się wymknąć, zamiast bez przerwy być w centrum uwagi. Szpada, którą dostałaś od matki, miała służyć właśnie do tego.

– No więc nie – rzekłam z poczuciem winy. – Jak pan wie, nie robiłam tego.

– Toteż zaniedbałaś swoje umiejętności.

– To po co wysłano mnie do szkoły, w której musiało do tego dojść?

– Sęk w tym, że wcale nie musiało. Nie powinnaś była do tego dopuścić. Masz zostać wielką mistrzynią.

– Cóż, według pana słów to się może zmienić – odparowałam z poczuciem, że zadaję celny cios.

Pan Weatherall nie dał się zbić z tropu.

– I zmieni się, jeśli nie weźmiesz się w karby i nie odmienisz

swojego postępowania. Ta zgraja, którą nazywasz krukami, panowie Lafrenière, Le Peletier i Sivert oraz *madame* Levesque, tylko czekają, aż powinie ci się noga. Wydaje ci się, że w Zakonie wszyscy cię kochają? Że będą ci sypać kwiaty pod nogi, koronując cię na swoją „prawowitą królową” jak w książkach o dawnych dziejach? Nic bardziej mylnego. Każda z tych osób pragnie zakończyć rządy rodziny La Serre i zapewnić tytuł wielkiego mistrza swojemu rodowi. I szukają pretekstu, by obalić twojego ojca. Mają inne cele niż on, pamiętasz? Ich lojalność wisi na włosku. Zbuntowana córka to ostatnia rzecz, jakiej twój ojciec potrzebuje. Poza tym...

– Co?

Pan Weatherall obejrzał się na drzwi. *Madame* Levene bez wątpienia przyciskała do nich ucho i to z myślą o niej właśnie rzekł głośno:

– I niech to będzie napisane najschludniej, jak umiesz, *mademoiselle!*

Nachylił się do mnie z powrotem.

– Bez wątpienia pamiętasz tych dwóch mężczyzn, którzy was zaatakowali?

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Cóż... – ciągnął pan Weatherall. – Obiecałem twojej matce, że znajdę jegomościa w przebraniu doktora, i chyba go mam.

Popatrzyłam na niego znacząco.

– Owszem, przyznaję – zgodził się. – Trochę to trwało. Ale najważniejsze, że go znalazłem.

Siedzieliśmy nachyleni do siebie tak blisko, że nasze twarze prawie się stykały. W jego oddechu czuć było wino.

– Kto to? – spytałam.

– Nazywa się Ruddock i rzeczywiście jest asasynem, a przynajmniej nim był. Został ekskomunikowany przez swój Zakon i od tamtej pory próbuje do niego wrócić.

– Dlaczego go ekskomunikowali?

– Szargał ich dobre imię. Podobno lubił hazard, tyle że nie był typem szczęściarza. Wszyscy zgodnie twierdzą, że tkwi po uszy w długach.

– Czy mógł mieć nadzieję, że zabijając matkę, zyska przychylność swojego Zakonu?

Pan Weatherall popatrzył na mnie z podziwem.

– To możliwe, choć wydaje mi się, że byłoby to z jego strony głupie posunięcie. Zabijając twoją matkę, mógł ściągnąć na siebie jeszcze większą hańbę. Nie miał pewności. – Potrząsnął głową. – Być może chciał poczekać, jak zabójstwo zostanie odebrane, a potem przypisać je sobie. Ale nie, nie sądzę. Wygląda to tak, jakby oferował swoje usługi temu, kto da więcej, by pozbyć się swoich długów. Moim zdaniem nasz przyjaciel Ruddock był wolnym strzelcem.

– A więc to nie asasyni stali za tym zamachem?

– Niekoniecznie.

– Powiedział pan o tym krukem?

Pan Weatherall pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

Zrobił wymijającą minę.

– Twoja matka miała pewne... podejrzenia wobec kruków.

– Jakie podejrzenia?

– Pamiętasz niejakiego François Thomasa Germaina?

– Chyba nie.

– Groźnie wyglądający typ. Kręcił się koło twojej rodziny, kiedy ledwie co od ziemi odrosłaś.

– Kiedy co?

– Nieważne. Ten François Thomas Germain był adiutantem twojego ojca. Miał kilka szemranych pomysłów i ojciec wyrzucił go z Zakonu. Teraz już nie żyje. Ale twoja matka zawsze się zastanawiała, czy kruki mu nie sprzyjały.

Wzdrygnęłam się, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszałam.

– Nie sądzi pan chyba, że doradcy ojca uknuli zabójstwo matki?

Owszem, nienawidziłam kruków, ale nienawidziłam także *madame* Levene, a nie wyobrażałam sobie, by planowała spisek na moje życie. Brzmiało to zbyt absurdalnie.

– Śmierć matki byłaby im na rękę – odparł pan Weatherall. – Kruki nominalnie były doradcami twojego ojca, ale po przepędzeniu Germaina słuchał przede wszystkim jej, bardziej nawet niż ich. Gdyby jej zabrakło...

– Ale przecież zabrakło. Nie żyje, a mój ojciec pozostał wierny swoim poglądom.

– Nie sposób powiedzieć na pewno, co się dzieje, *Élise*. Może okazał się mniej podatny na sugestie, niż sądzono.

– Nie, wciąż w to nie wierzę – odparłam, kręcąc głową.

– Nie wszystko zawsze ma sens, skarbie. Nie miało sensu, żeby asasyni zasadzali się na twoją matkę, a mimo to wszyscy od razu w to uwierzyli. Nie, póki nie zdobędę dowodów, pozostanę podejrzliwy; jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamierzam postępować ostrożnie do czasu, aż wszystko się wyjaśni.

Poczułam w sobie dziwną pustkę, miałam wrażenie, że odsunięto jakąś kurtynę, odsłaniając skrywane za nią niejasności. W naszych szeregach mogli być ludzie, którzy źle nam życzyli. Musiałam się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

– A ojciec?

– Co z nim?

– Powiedział mu pan o swoich podejrzeniach?

Pan Weatherall wbił wzrok w stół i pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego?

– Cóż, po pierwsze dlatego, że to tylko podejrzenia, do tego, jak sama zauważyłaś, bardzo śmiałe. Jeśli to nieprawda, a najpewniej tak jest, wyjdę na skończonego durnia; jeśli zaś prawda, ostrzegę ich tylko, a oni, śmiejąc się do rozpuku, bo nie mam najmniejszych dowodów, zaplanują, jak się mnie pozbyć. Poza tym...

– Co?

– Po śmierci twojej matki, Élise, nie sprawowałem się najlepiej – przyznał. – Można powiedzieć, że wróciłem do dawnych nałogów, pałac przy tym mosty, które zbudowałem między sobą i innymi templariuszami. Pod pewnymi względami jestem podobny do Ruddocka.

– Rozumiem. Dlatego czuję wino w pana oddechu, tak?

– Każdy radzi sobie, jak umie, dziecko.

– Ona zmarła prawie dziesięć lat temu, panie Weatherall.

Zaśmiał się krótko, ponuro.

– Twoim zdaniem przesadzam z żałobą, tak? Cóż, mogę powiedzieć to samo o tobie, trwonisz ostatnie lata swojej edukacji, przysparzasz sobie wrogów, zamiast zyskiwać przyjaciół i kontakty. Nie osądzaj innych, Élise, dopóki sama się nie doprowadzisz do porządku.

Zmarszczyłam brwi.

– Musimy się dowiedzieć, kto stoi za tamtym zamachem.

– Właśnie to robię.

– Jak?

– Nasz przyjaciel Ruddock ukrywa się w Londynie. Mamy tam kontakty. Carrollów, jeśli pamiętasz. Już wysłałem wiadomość o swoim przyjeździe.

Nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

– Jadę z panem.

Spojrzał na mnie z irytacją.

– Nie, do diabła, nie jedziesz, zostajesz tu i kończysz naukę. Na Boga, dziewczyno, co by powiedział twój ojciec?

– Co pan na to, byśmy mu powiedzieli, że jadę do Londynu, by podszkolić swój angielski?

Pan Weatherall dźgnął palcem blat stołu.

– Nie. Co powiesz na to, byśmy niczego takiego nie robili? Co powiesz na to, że zostaniesz tutaj?

Pokręciłam głową.

– Nie, jadę z panem. Ten człowiek prześladował mnie

w koszmarach przez całe lata, panie Weatherall. – Utkwiłam w nim błagalne spojrzenie. – Muszę się rozprawić ze swoimi upiorami.

Przewrócił oczami.

– Akurat. Zapominasz, jak dobrze cię znam. Chodzi ci raczej o przygodę, chcesz się stąd wyrwać.

– No, dobrze. – Ustąpiłam. – Ale niech pan zrozumie, panie Weatherall. Wie pan, jak ciężko znosić takie Valerie, patrzące z góry, i nie móc im powiedzieć, że któregoś dnia, kiedy one będą wypychać z siebie bękarty jakiegoś pijanego syna markiza, ja stanę na czele templariuszy? Nie mogę się doczekać, kiedy ten etap mojego życia się skończy, kiedy zacznie się następny.

– Musisz czekać.

– Został mi tylko rok – nalegałam.

– Nie bez powodu nazywają to „ukończeniem szkoły”. Nie da się jej ukończyć, nie kończąc.

– Przecież zaraz tu wrócę.

– Nie. A nawet, nawet gdybym się zgodził, nigdy nie wydobędziesz zgody od niej.

– Moglibyśmy sfałszować listy – upierałam się. – Mógłby pan przechwycić wszystko, co napisałaby do ojca. Wnoszę, że już je pan przechwytywał...

– Oczywiście. Jak myślisz, dlaczego jestem tu ja, a nie on? Ale prędzej czy później twój ojciec o wszystkim się dowie. Pewnego dnia, tak czy inaczej, twoje kłamstwa wyjdą na jaw, Élise.

– Wtedy będzie już za późno.

W panu Weatherallu na nowo wezbrał gniew, jego twarz poczerwieniała, kontrastując z siwizną wąsów.

– O tym właśnie mówię. Jesteś tak samolubna, że zapominasz o swoich obowiązkach. Stajesz się nieostrożna, a im bardziej jesteś nieostrożna, tym bardziej narażasz pozycję swojej rodziny. Żałuję teraz, że w ogóle ci o tym powiedziałem. Myślałem, że zdołam wlać ci do głowy trochę rozumu.

Patrzyłam na niego, a w mojej głowie zaczął się formować plan. Popisując się aktorstwem, które zaimponowałyby nawet Valerie, udałam, że się z nim zgadzam, że mi przykro i że w ogóle dochodzę do tych wszystkich wniosków, które chciał ujrzeć na mojej twarzy.

Pan Weatherall pokiwał głową i podniósł głos.

– Dobrze, w końcu się z tym uporałaś. Zawiozę ten list do twojego ojca wraz z informacją, że wymierzyłem ci sześć razów trzcina.

Potrząsnęłam głową i gorączkowo pokazałam mu więcej palców.

Poblądł.

– To znaczy, mam na myśli, tuzin razów.

Pośpiesznie znów zaprzeczyłam i znów wyprostowałam palce.

– To znaczy dziesięć razów.

Udając, że ocieram z ulgą czoło, zawołałam:

– Och nie, *monsieur*, tylko nie dziesięć razów!

– Czy to tą trzcina jesteście karane?

Pan Weatherall podszedł do biurka *madame* Levene i wziął z niego leżącą na honorowym miejscu trzcina. Jednocześnie, odwrócony plecami, zwinnie niczym sztukmistrz wziął z jej fotela poduszkę i pchnął ją po podłodze w moim kierunku.

Wszystko odbyło się sprawnie i gładko, jakbyśmy robili to codziennie. Ależ był z nas zgrany zespół! Położyłam poduszkę na stole, a on podszedł z trzcina.

– Doskonale – rzekł głośno pan Weatherall na użytek *madame* Levene i puścił do mnie oko.

Odsunęłam się na bok, a on wymierzył poduszcze dziesięć mocnych razów. Przy każdym należycie jęczałam z bólu. Ostatecznie kto lepiej niż ja znał się na autentycznych jękach?! Wyobrażałam sobie, jak *madame* Levene przeklina, że wszystko to dzieje się poza jej wzrokiem.

Po wszystkim wspomniałam matkę, by zmusić się do płaczu;

odłożyliśmy trzcinę oraz poduszkę i otworzyliśmy drzwi. *Madame* Levene stała w korytarzu, nieco dalej. Zrobiłam minę kogoś, kto właśnie został ukarany, rzuciłam jej ponure spojrzenie załamanych oczu i ze spuszczoną głową, opierając się pokusie, by puścić oko panu Weatherallowi, czmychnęłam, jakby chcąc wylizać się z ran.

W rzeczywistości miałam sporo spraw do przemyślenia.

23 stycznia 1788

Zastanówmy się. Jak to się zaczęło? Już wiem – Judith Poulou powiedziała, że *madame* Levene ma kochanka.

Tyle właśnie powiedziała któregoś wieczora po zgaszeniu świateł – że *madame* Levene ma „kochanka w lesie”. Pozostałe dziewczęta wykpiły ją, ale ja nie. Przypomniałam sobie, że jakiś czas temu, tuż po kolacji, śledziłam zniechęconą dyrektorkę z okna dormitorium, jak owinięta w szal pośpiesznie zbiegła szkolnymi schodami i rozplynęła się w ciemności.

Coś w jej zachowaniu skłoniło mnie do przypuszczenia, że nie planowała wyłącznie zażyć świeżego powietrza. Rozglądała się na boki i szła w kierunku ścieżki prowadzącej ku boiskom, a także, być może, do lasu graniczącego z terenem szkoły.

Stałam na czatach przez dwie kolejne noce i w końcu znów ją zobaczyłam. Tak jak wtedy wyszła ze szkoły, rozglądając się na boki – nie dość czujnie jednak, by zauważyć uchylające się na piętrze okno, mnie opuszczającą się po treliazu na ziemię i ruszającą w pościg.

W końcu mogłam spożytkować to, czego się nauczyłam. Poruszałam się bezgłośnie niczym duch, mając *madame* Levene cały czas w zasięgu wzroku, śledząc ją cicho, gdy w blasku księżycy szła wzdłuż trawnika w stronę placów sportowych.

Nie było na nich żadnych kryjówek i zaważałam się na moment – a potem zrobiłam to, czego uczyli mnie matka i pan Weatherall. Oceniałam sytuację. *Madame* Levene miała światło księżycy z tyłu – jej stare oczy w okularach przeciwko moim młodym. Postanowiłam trzymać się za nią, zachowywać dystans, tak że była ledwie cieniem w oddali. Zobaczyłam błysk księżycy w jej okularach, kiedy obejrzała się za siebie, i zamarłam – wtopiłam się w noc, zanosząc modły, by moje wyliczenia były słuszne.

Były. Stara wiedźma szła dalej, aż dotarła do linii drzew i zniknęła między ostrymi konturami pni i poszycia. Pośpieszyłam za nią, znalazłam tę samą ścieżkę przecinającą las i znów stałam się duchem. Droga, którą szłyśmy, przypomniła mi czasy, kiedy chodziłam na spotkania z panem Weatherallem – siedzącym na pniaku, uśmiechniętym, nienoszącym jeszcze brzemienia śmierci mojej matki.

Wtedy nigdy nie czułam w jego oddechu wina.

Dostrzegając przed sobą domek ogrodnika, odpędziłam wspomnienia i zrozumiałam, dokąd szła *madame* Levene. Zatrzymałam się, obserwując ją zza drzewa. Zastukała cicho i otworzono jej. Usłyszałam, jak mówi: „Nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę”, po czym dał się słyszeć wyraźny odgłos pocałunku – pocałunku! – i zniknęła w środku, zamykając drzwi za sobą.

A więc to był jej leśny kochanek – Jacques, ogrodnik, znany mi o tyle, że widziałam go wykonującego swoje obowiązki. Wiedziałam tylko, że jest młodszy od *madame* Levene. A to cicha woda.

Wróciłam, wiedząc już, że plotki są prawdą. I niestety dla niej, nie tylko posiadałam tę informację, ale nie zawahałabym się jej użyć, by zdobyć to, na czym mi zależało. W istocie to właśnie zamierzałam zrobić.

25 stycznia 1788

Po obiedzie przysłała do mnie Judith. Ta sama, od której usłyszałam plotkę o kochanku *madame* Levene. Nie była ani moim wrogiem, ani moją stronnniczką; z obojętną miną przekazała wiadomość, że dyrektorka chce mnie natychmiast widzieć w swoim gabinecie, by porozmawiać o kradzieży podkowy znad drzwi dormitorium.

Skrzywiłam się ponuro, jakby chcąc powiedzieć: „O Boże, znowu! Kiedy te męki się wreszcie skończą?“, choć w rzeczywistości byłam wniebowzięta. *Madame* Levene zrobiła dokładnie to, o co mi chodziło. Dostałam na złotej tacy możliwość przekazania jej wiadomości, że wiem o jej kochanku, Jacques’u; choć myślała, że ukarze mnie za kradzież przynoszącej szczęście podkowy z dormitorium, ja wyjdę od niej nie z obolałą jak zwykle dłonią i gryzącym poczuciem niesprawiedliwości, ale z listem do ojca. Z listem, w którym *madame* Levene informuje go, że jego córka Élise wyjeżdża na indywidualną naukę angielskiego do... zgadnijcie.

O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, oczywiście.

Dotarłszy pod jej drzwi, zastukałam energicznie, weszłam, po czym dumnie wyprostowana przemaszerowałam przez gabinet i rzuciłam podkowę na jej biurko.

Zapadła cisza. Utkwiła spojrzenie tych swoich paciorkowatych oczu w niechcianym kawałku zardzewiałego żelastwa, po czym podniosła je na mnie, ale zamiast zwyczajnej pogardy i ledwie skrywanej nienawiści ujrzałam w nich coś jeszcze – jakieś zagadkowe uczucie, którego nigdy wcześniej tam nie widziałam.

– Ach – odezwała się lekko drżącym głosem – doskonale. Zwróciłaś skradzioną podkowę.

– W tej sprawie chciała się pani ze mną widzieć, prawda? –

spytałam ostrożnie, nagle już nie tak pewna siebie.

– Owszem, tak powiedziałam Judith. – Sięgnęła pod biurko i usłyszałam zgrzyt otwieranej szuflady. – Ale powód był inny.

Przeszył mnie chłód.

– Jaki to powód, *madame*? – wykrztusiłam.

– Taki – odparła, kładąc coś na biurku przed sobą.

To był mój pamiętnik. Mimowolnie wytrzeszczyłam oczy. Zatkano mnie, zacisnęłam pięści.

– Ty... – zaczęłam, ale nie zdołałam dokończyć. – Ty...

Madame Levene wymierzyła we mnie kościsty palec. Oczy jej rozgorzały i podniosła głos, równie rozzłoszczona jak ja:

– Nie odgrywaj mi tu ofiary, młoda damo. Nie po tym, co tu przeczytałam.

Palec dźgnął okładkę mojego pamiętnika; okładkę, którą tak dobrze znałam, która wyglądała tak bardzo nie na miejscu na biurku dyrektorki; okładkę, pod którą kryły się moje najbardziej osobiste przemyślenia, wyrwane ze skrytki pod materacem. Czytane przez mojego znenawidzonego wroga.

Poczułam, że ogarnia mnie wściekłość. Usiłowałam zapanować nad sobą, ciężko oddychałam, zaciskałam i rozprostowywałam pięści.

– Ile... ile pani przeczytała? – wykrztusiłam.

– Dość, by wiedzieć, że zamierzałaś mnie szantażować – odparła cierpko. – Ani mniej, ani więcej.

Nawet rozwścieczona nie mogłam nie dostrzec w tym ironii losu. Obie dałyśmy się złapać – zawieszona pomiędzy wstydem za swoje postęпки i oburzeniem na to, co nas spotkało. Czułam, że wzbiera we mnie potężna mieszanka gniewu, poczucia winy i czystej nienawiści; oczami wyobraźni ujrzałam, jak skaczę nad biurkiem, zaciskam ręce na jej szyi, a oczy za okrągłymi okularami wychodzą z orbit...

Zamiast tego gapiłam się na nią po prostu, z najwyższym trudem pojmując, co się dzieje.

– Jak pani mogła?

– Widziałam cię, Élise de La Serre. Widziałam wczoraj w nocy, jak skradałaś się pod domkiem ogrodnika. Widziałam, jak szpiegujesz mnie i Jacques’a. I pomyślałam, zupełnie trafnie, że twój dziennik może mi zdradzić twoje zamiary. Zaprzeczysz, że zamierzałaś mnie szantażować, de La Serre? – Zaczerwieniła się. – Szantażować dyrektorkę szkoły?!

Ale mój gniew dorównywał jej złości.

– Czytanie cudzego pamiętnika to rzecz niewybaczalna! – wypaliłam.

– Niewybaczalne jest to, co zamierzałaś zrobić! – odparowała *madame* Levene. – Szantaż. – Wypluła to słowo, jakby nie mogła w to uwierzyć. Jakby nigdy dotąd nie spotkała się w ogóle z tym pojęciem.

– Nie miałam złych zamiarów – obruszyłam się. – To była tylko droga do celu.

– Śmiem twierdzić, że rozkoszowałaś się tą perspektywą, Élise de La Serre. – *Madame* Levene machnęła mi przed nosem moim pamiętnikiem. – Przeczytałam, co o mnie myślisz. Twoja nienawiść... nie, twoja pogarda dla mnie bije z każdej strony!

Wzruszyłam ramionami.

– A dziwi to panią? Przecież pani mnie też nienawidzi.

– Och, ty głupia dziewczyno! – rozwścieczyła się. – Oczywiście, że cię nie nienawidzę! Jestem twoją dyrektorką. Chcę dla ciebie jak najlepiej. Poza tym, dla twojej informacji, nie podsłuchuję pod drzwiami.

Popatrzyłam na nią z powątpiewaniem.

– Wyglądała pani na bardzo zadowoloną na myśl o czekającej mnie karze.

Dyrektorka spuściła wzrok.

– W gorączce chwili wszyscy mówimy rzeczy, których nie powinniśmy mówić, i żałowałam tamtych słów. Ale pozostaje faktem, że choć nie jesteś bynajmniej moją ulubienicą, jestem

twoją dyrektorką. Twoją opiekunką. A ty trafiłaś do mnie poraniona, świeżo po stracie matki. Potrzebowałaś uwagi. Och, tak, moje próby niesienia ci pomocy przybrały postać starcia osobowości i to chyba nic dziwnego, podobnie jak fakt, że wydaje ci się, iż mnie nienawidzisz – czy raczej była to rzecz zupełnie spodziewana, kiedy byłaś młodsza i dopiero tu trafiłaś. Teraz jednak jesteś młodą damą, Élise, i powinnaś być mądrzejsza. Przeczytałam tylko tyle twojego pamiętnika, by ustalić twoją winę, ale dowiedziałam się dość – wiem, że twoja przyszłość jest inna niż przyszłość większości tutejszych uczennic i cieszę się z tego. Nikt o twojej sile ducha nie powinien się godzić na proste, zwyczajne życie.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. *Madame Levene* dała mi chwilę i podjęła cichszym głosem:

– I tak oto znalazłyśmy się w niełatwej sytuacji, obie bowiem zrobiłyśmy coś okropnego i obie mamy coś, na czym zależy tej drugiej. Ja chcę, żebyś milczała o tym, co widziałaś; ty chcesz listu do swojego ojca. – Przesunęła pamiętnik po stole w moją stronę. – Dam ci ten list. Będę dla ciebie kłamać. Powiem mu, że spędzisz część ostatniego roku w Londynie, żebyś mogła tam zrobić to, co musisz, a kiedy już tego dokonasz, ufam, że wróci do mnie już inna Élise de La Serre. Taka, która nie zatraciła ducha małej dziewczynki, ale porzuciła gorączkową porywczność nastolatki.

Dodała, że otrzymam list dziś po południu. Wstałam do wyjścia, upokorzona, przygnieciona brzmieniem wstydu. Przy samych drzwiach *madame Levene* mnie zatrzymała.

– Jeszcze jedno, Élise. Jacques nie jest moim kochankiem. To mój syn.

Matka nie byłaby chyba ze mnie w tej chwili zbyt dumna.

7 lutego 1788

I

Jestem już daleko od Saint-Cyr. Po dwóch dość burzliwych dniach piszę te słowa w...

Nie, nie zdradzajmy wszystkiego od razu. Cofnijmy się do chwili, kiedy wyjechałam powozem z okropnego *Le Palais de la Misère*, nie oglądając się za siebie, nieżegnana przez przyjaciół ani przez *madame* Levene, która nie machała mi bynajmniej z okna chusteczką. W powozie byłam tylko ja i mój kufer przypięty na dachu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił woźnica, kiedy dotarliśmy do portu w Calais. Było późno, morze wyglądało jak ciemna, rozkołysana, połyskująca płachta, rozciągająca się za wybrukowanym nabrzeżem i lasem masztów zacumowanych statków. W górze krzyczały mewy, dookoła pełno było ludzi, zataczających się z tawerny do tawerny; wieczór w pełni, zewsząd dobiegał ożywiony gwar. Woźnica rozejrzał się z dezaprobatą, po czym wspiął się na kozioł, odpiął mój kufer i postawił go na bruku. Otworzył mi drzwi i wybałuszył oczy. Nie byłam tą samą dziewczyną, którą zabierał.

Dlaczego? Bo podczas podróży się przebrałam. Zdarłam z siebie przeklętą sukienkę i włożyłam bryczesy, koszulę, kamizelkę i frak. Uwolniłam się od zniechęcającego czepka, rozpuściłam włosy, a potem związałam je na karku. Wsiadając z powozu, włożyłam na głowę trikorn, po czym otworzyłam kufer; woźnica wciąż się na mnie gapił, nie potrafiąc wykrztusić słowa. W kufrze miałam ubrania, których nie znosiłam, i drobiazgi, które i tak planowałam wyrzucić. Wszystko, czego potrzebowałam, było w sakwie – z dna skrzyni wydobyłam zarówno ją, jak i krótką

szpadę, którą przytroczyłam do pasa, skrywając ją pod zarzuconą na ramię sakwą.

– Jeśli chcesz, możesz zatrzymać kufer – powiedziałam. Wyciągnęłam spod kamizelki małą skórzaną sakiewkę i odliczyłam kilka monet.

– A kto stąd panienkę odbiera? – spytał mężczyzna, chowając pieniądze; rozglądał się czujnie, marszcząc brwi na widok kręcących się po porcie pijaków.

– Nikt.

Zerknął na mnie z ukosa.

– To jakiś żart?

– Nie, dlaczego?

– Nie może panienka sama wałęsać się po porcie o tej porze.

Wcisnęłam mu w dłoń jeszcze jedną monetę. Popatrzył na nią.

– Nie – oznajmił stanowczo. – Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić.

Dodałam kolejną.

– Dobrze więc – ustąpił. – Bierze to panienka na siebie. Niech tylko panienka unika tawern i trzyma się blisko latarni. Proszę uważać na nabrzeże, jest wysokie i nierówne, niejedynemu nieszczęśnik spadł, bo podszedł za blisko, żeby popatrzeć. I proszę nikomu nie patrzeć w oczy. I cokolwiek panienka zrobi, niech nie pokazuje tej sakiewki.

Uśmiechnęłam się promiennie, wiedząc, że zamierzam wziąć sobie do serca wszystkie jego rady oprócz tej o tawernach, tam bowiem właśnie chciałam się znaleźć. Odprowadziłam odjeżdżający powóz wzrokiem, po czym ruszyłam prosto do najbliższej spelunki.

Nie miała nazwy, ale nad wysoko wstawionymi oknami wisiał drewniany szyld z topornie wyrysowanym rogiem, nazwijmy ją więc Pod Porożem. Kiedy tak stałam i zbierałam się na odwagę, by wejść, drzwi się otworzyły, wypuszczając falę ciepłego powietrza, głośne dźwięki muzyki, smród piwka oraz mężczyznę i kobietę

o czerwonych twarzach i na chwiejnych nogach, podtrzymujących się nawzajem. Mignęło mi wewnątrz tawerny; miałam wrażenie, że wpatruję się w huczące palenisko pieca. Zaraz potem drzwi się zamknęły i w porcie znów zapanowała cisza, a gwar dobiegający z wnętrza przycichł do szumu w tle.

Wzięłam się na odwagę. „Dobrze, Élise. Chciałaś uciec z tej sztywnej, nadętej szkoły, od znienawidzonych zasad i regulaminów. Za tymi drzwiami leży jej całkowite przeciwieństwo. Pytanie: czy jesteś naprawdę tak twarda, jak ci się zdaje?”

(Odpowiedź, jak miałam się przekonać, brzmiała „nie”).

Wchodząc do środka, poczułam się, jakbym wkroczyła do innego świata, stworzonego wyłącznie z dymu i hałasu. W moje uszy wdarł się jazgotliwy śmiech, ptasie piski, dźwięki klawikordu i pijackie śpiewy.

Sala była mała, z jednej strony z balkonu zwisały klatki z ptakami, wszędzie tłoczyli się pijący. Siedzieli przy stołach albo na podłodze, balkon zdawał się uginać pod ciężarem ciżby zaczepiającej ludzi na dole. Stałam przy drzwiach, pod osłoną cienia. Siedzący najbliżej obejrzeni się na mnie z zaciekawieniem, usłyszałam w harmidrze głośny gwizd podziwu, a potem podchwyciłam spojrzenie kelnerki w fartuchu, która postawiła właśnie na pobliskim stole dwa kufle piwa, odciągając na szczęście tym uwagę mężczyzn ode mnie.

– Szukam kapitana statku, który rankiem wypłynie do Londynu – powiedziałam głośno.

Kelnerka wytarła ręce w fartuch i przewróciła oczami.

– Jakiegoś konkretnego kapitana? Konkretnego statku?

Pokręciłam głową. Nie miało to dla mnie znaczenia.

Kobieta skinęła głową i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Widzisz ten stolik w głębi? – Wytężyłam wzrok i spojrzałam poprzez kłęby dymu i skłębione ciała we wskazanym kierunku. – Idź tam, porozmawiaj z człowiekiem, którego nazywają

Pośrednikiem. Powiedz, że przysłała cię Clémence.

Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam trzech mężczyzn, siedzących pod ścianą w głębi. Przez dym wyglądali jak duchy dawno zmarłych pijaków, które powróciły, by straszyć w tawernie.

– Który z nich to Pośrednik? – spytałam.

Clémence uśmiechnęła się pod nosem.

– Ten pośrodku – odparła i odeszła.

Czując się obnażoną, ruszyłam w kierunku Pośrednika i jego dwóch towarzyszy. Wszyscy się za mną oglądali.

– A to ci dopiero miły widok w tej norze – usłyszałam, wraz z kilkoma graniczącymi z nieprzyzwoitością propozycjami, których skromność nie pozwalała mi przytoczyć. Dzięki Bogu za dym, półmrok i hałas, oraz ogólne pijaństwo bywalców – dzięki temu zauważali mnie tylko ci siedzący najbliżej.

Podeszłam do trzech duchów i stanęłam przed ich stolikiem. Siedzieli plecami do ściany, trzymając w dłoniach kufle. Oderwali wzrok od ciżby i popatrzyli na mnie. Podczas gdy inni gapili się pożądliwie, robili do mnie miny albo składali lubieżne, pijackie propozycje, ci tylko mierzyli mnie spojrzeniem. Pośrednik, niższy od swych kompanów, popatrzył gdzieś za mnie. Odwróciłam się i mignęła mi znikająca w tłumie wyszczerzona w uśmiechu kelnerka.

Oho. Nagle dotarło do mnie, jak daleko jestem od drzwi. Tu, w głębi tawerny, było jeszcze ciemniej. Pijacy za moimi plecami jakby się stłoczyli. Blask ognia z paleniska pełgał po ścianach i twarzach trzech przyglądających mi się mężczyzn. Przypomniałam sobie rady matki, zastanawiałam się, co by powiedział pan Weatherall. Bądź niewzruszona, ale czujna. Oceń sytuację. (I nie zwracaj uwagi na narastające przeświadczenie, że trzeba to było zrobić, zanim weszłaś do tawerny).

– A cóż tak strojna młoda dama robi samotnie w takim miejscu? – spytał mężczyzna pośrodku. Z ponurym wyrazem twarzy wyjął

z kieszeni na piersi fajkę o długim cybuchu i wetknął ją sobie w szparę między krzywymi, poczerniałymi zębami, zagryzając ją różowym dziąsłem.

– Powiedziano mi, że może mi pan pomóc znaleźć kapitana statku – odparłam.

– A po cóż to młodej damie kapitan?

– Żeby popłynąć do Londynu.

– Do Londynu?

– Tak.

– Masz na myśli Dover?

Poczułam, że się czerwienię, i przeklełam się w myślach za głupotę.

– Oczywiście – powiedziałam.

W oczach Pośrednika zatańczyło rozbawienie.

– I potrzebny ci do tego kapitan, tak?

– Owszem.

– To dlaczego nie popłyniesz pocztowcem?

Znów to uczucie zagubienia.

– Pocztowcem?

Pośrednik stłumił uśmiech.

– Nieważne, dziewczyno. Skąd jesteś?

Ktoś wpadł na mnie z tyłu. Odepchnęłam go barkiem i usłyszałam, jak zatacza się na sąsiedni stolik, rozlewając trunki. Zbesztany za swoją niezgrabność, osunął się na podłogę.

– Z Paryża – odpowiedziałam Pośrednikowi.

– Z Paryża, tak? – Wyjął fajkę z ust i wycelował jej cybuch we mnie. Na stół spłynęła strużka śliny. – Ale z jakiejś lepszej dzielnicy, nie wątpię, wystarczy na ciebie popatrzeć.

Milczałam.

Fajka wróciła do ust, różowe dziąsło się zacisnęło.

– Jak cię zwą, dziewczyno?

– Élise.

– Bez nazwiska?

Wzruszyłam ramionami.

– Czy może dlatego, że mógłbym je znać?

– Cenię sobie prywatność, to wszystko.

Znów pokiwał głową.

– Cóż – rzekł. – Mogę ci chyba znaleźć kapitana. Właściwie, skoro o tym mowa, ja i moi kompani właśnie wybieraliśmy się do tego dżentelmena na parę kufelków. Chodź z nami.

Wykonał ruch, jakby zamierzał wstać...

Nie tak to miało wyglądać. Zesztywniałam, świadoma otaczającego mnie gwaru, popychana przez pijaków, a przy tym całkowicie odizolowana; potem, nie odrywając wzroku od trzech mężczyzn przed sobą, skinęłam głową.

– Dziękuję panom, ale się rozmyśliłam.

Pośrednik zdawał się zaskoczony; rozchylił usta w uśmiechu, znów ukazując zęby jak poczerniałe nagrobki. Coś takiego widziała mała rybka na chwilę przed pożarciem przez rekina.

– Rozmyślałaś się, tak? – powiedział, zerkając przeciągle w lewo i prawo, na swoich potężniejszych towarzyszy. – Jak to rozumieć? Uznałaś, że jednak nie chcesz płynąć do Londynu? Czy może ja i moi kamraci nie wyglądamy w twoich oczach na wilków morskich?

– Coś w tym rodzaju – odparłam i udałam, że nie widzę, że mężczyzna po jego lewej odsuwa krzesło, jakby chciał się podnieść, a drugi niemal niedostrzegalnie pochyła się do przodu.

– Wyglądamy podejrzanie, o to ci chodzi?

– Być może – odparłam, wysuwając zaczepnie brodę. Skrzyżowałam ręce na piersi, przysuwając tym samym dłoń bliżej rękonoży broni.

– A czemuż to?

– Cóż, na przykład nie zapytaliście mnie, ile mogę zapłacić.

Pośrednik wykrzywił się w uśmiechu.

– Och, zarobisz na koję do Londynu.

Udałam, że nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Cóż, bardzo dziękuję za rozmowę, ale sama załatwię sobie przeprawę.

Teraz zaśmiał się już w głos.

– Właśnie o załatwienie ci przeprawy nam chodzi!

Znów nie zareagowałam.

– Żegnam panów, *messieurs* – rzekłam, ukłoniłam się lekko i odwróciłam, żeby ruszyć do wyjścia.

– O nie – warknął Pośrednik i gestem poszczuł na mnie swoje dwa psy.

Wstali, sięgając do kordów u pasów. Zrobiłam krok w tył i w bok, dobyłam własnej broni i wyciągnęłam ją ku pierwszemu. Stanęli jak wryci.

– Ooo – przeciągle, kpiąco mruknął jeden z nich i obaj zaczęli się śmiać. Wytrąciło mnie to z równowagi. Przez chwilę nie wiedziałam, jak zareagować; Pośrednik wyciągnął zza pazuchy zakrzywiony sztylet, a drugi z jego kompanów przestał się uśmiechać i postąpił ku mnie.

Próbowałam odpędzić go szpadą, ale zabrakło mi zdecydowania, zresztą dookoła było za dużo ludzi. To, co powinno być mocnym cięciem przez twarz, okazało się nieskutecznym machnięciem.

„Masz go używać do ćwiczeń”.

Ale ja nie ćwiczyłam. Przez blisko dziesięć lat nauki w szkole prawie w ogóle nie szkoliłam się w szermierce, a chociaż czasami, kiedy w dormitorium panowała cisza, wyjmowałam skrzynkę spod łóżka, otwierałam ją i oglądałam broń, przesuważąc palcami po inskrypcji na ostrzu, rzadko zabierałam ją w jakieś ustronne miejsce, żeby poćwiczyć. Tyle tylko, żeby zupełnie nie wyjść z wprawy, nie dość często, by nie stracić formy.

I to właśnie, albo mój brak doświadczenia, a najpewniej jedno i drugie, oznaczało, że byłam żałośnie nieprzygotowana do starcia z trzema mężczyznami. A kiedy już padłam na wilgotne, zasypane trocinami deski podłogi, to nie wskutek jakiegoś oślepiającego

szermierczego triku, lecz pchnięta oburącz przez pierwszego z opryszków, który mnie dopadł. Mój przeciwnik widział coś, czego nie widziałam ja – za mną leżał ten sam pijak, którego wcześniej odepchnęłam. Kiedy zrobiłam krok do tyłu, potknęłam się o niego, straciłam równowagę i w następnej chwili leżałam już na nim.

– *Monsieur* – zawołałam, mając nadzieję, że moja desperacja przebije zasłonę jego upojenia, ale oczy miał szkliste, a twarz mokrą od piwa. Zaraz potem wrzasnęłam z bólu, bo czyjś obcas wylądował na mojej dłoni, zmuszając mnie do wypuszczenia broni. Druga stopa kopnęła moją ukochaną szpadę, odrzucając ją na bok. Przetoczyłam się po podłodze i próbowałam wstać, ale czyjeś dłonie pochwyciły mnie i podniosły. Z rozpaczą popatrzyłam na tłum, który odsunął się i śmiał z mojej niedoli, potem na nieruchomego pijaka i na oręż, leżący bezpiecznie pod stołem. Wiłam się i kopałam. Przed sobą ujrzałam Pośrednika z zakrzywionym nożem w dłoni; wykrzywił się w szczerbatym uśmiechu, zębami wciąż zagryzając cybuch fajki. Usłyszałam, że otwierają się za mną drzwi, poczułam nagły zimny powiew, a potem zostałam wywleczonej w ciemność nocy.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko... w jednej chwili byłam w tętniącej gwarem tawernie, w następnej – na prawie pustym dziedzińcu, tylko ja, Pośrednik i jego dwóch opryszków. Pchnęli mnie na ziemię. Leżałam przez chwilę, sycząc i próbując złapać oddech. Starłam się nie okazać strachu, ale w duchu myślałam: „Głupia! Głupia, niedoświadczona, arogancka mała dziewczynka!”.

Co ja sobie wyobrażałam?

Dziedziniec otwierał się na pirs przed tawerną Pod Porożem. W odległości kilku metrów mijali nas nieświadomi lub nieczuli na moją niedolę ludzie, nieopodal zaś stał mały powóz. Pośrednik wskoczył teraz do niego, jeden z osiłków złapał mnie za ramiona, a drugi otworzył drzwi. Dostrzegłam w środku dziewczynę,

młodsza ode mnie, piętnasto-, może szesnastoletnią, o długich jasnych włosach do ramion, w poszarpanej brązowej sukience wieśniaczki. Oczy miała szeroko otwarte i pełne strachu, a usta rozchylone w błaganiu, którego nie słyszałam przez własne wrzaski i krzyki. Opryszek niósł mnie bez wysiłku, ale kiedy próbował wepchnąć mnie do powozu, zaparłam się stopami o burtę powozu, odepchnęłam i poleciliśmy do tyłu; mój oprawca zaklął. Wykorzystałam rozpęd, znów się wykręciłam i tym razem stracił równowagę; oboje potoczyliśmy się po ziemi.

Nasz taniec wywołał salwy śmiechu Pośrednika siedzącego na koźle powozu i opryszka trzymającego drzwi. Przez ich rechot dobiegł mnie szloch dziewczyny i zrozumiałam, że jeśli zdołają wepchnąć mnie do karety, to obie jesteśmy zgubione.

W tym momencie tylne drzwi tawerny się otworzyły, zagłuszając śmiech huraganem zgiełku, gorąca i dymu, i wytoczyła się z nich jakaś postać, sięgając do spodni.

To był ten sam pijak. Stanął z rozstawionymi nogami, zamierzając ulżyć sobie na ścianę, i obejrzał się przez ramię.

– Wszystko tam w porządku? – wychrypiał i rozchwiany zajął się trudnym zadaniem rozpinania guzików bryczesów.

– Nie, *monsieur* – zaczęłam, ale osiłek pochwycił mnie i dłonią zakrył mi usta. Wyrywałam się i próbowałam go ugryźć, ale bez skutku. Wciąż siedząc na koźle, Pośrednik patrzył z góry na nas wszystkich: na mnie, przyciśniętą do ziemi i kneblowaną przez pierwszego opryszka; na pijaka, wciąż grzebiącego sobie w spodniach; na drugiego swojego kamrata, czekającego na instrukcje. Przeciągnął palcem po gardle.

Wzmogłam wysiłki, żeby się wyswobodzić, krzyczałam w dłoń na moich ustach i nie zwracałam uwagi na ból, jaki sprawiały mi napierające łokcie i kolana mężczyzny; miałam nadzieję, że się jakoś wyswobodzę albo przynajmniej narobię tyle hałasu, żeby zwrócić uwagę pijaka.

Zerknąwszy na bramę dziedzińca, drugi opryszek bezgłośnie

dobył broni, a potem podkradł się do niczego nieświadomego mężczyzny. Zobaczyłam dziewczynę w powozie. Przesunęła się na kanapie i wyglądała na zewnątrz. Chciałam wrzasnąć: „Krzyknij coś, ostrzeż go!”, ale nie mogłam, ograniczyłam się więc do kłapania zębami, próbując ugryźć mokrą od potu dłoń zasłaniającą mi usta. Nasze spojrzenia przelotnie się spotkały i próbowałam przemówić do niej bez słów, mrugając wściekle, wytrzeszczając oczy i wskazując nimi pijaka, który stał skupiony na swoich spodniach, o krok od śmierci.

Ona jednak nie była w stanie nic zrobić; za bardzo się bała. Strach nie pozwalał jej krzyknąć, nie pozwalał się jej ruszyć; pijak zginie, a tamci wpakują nas do powozu, potem na statek, a potem... cóż, ujmijmy to tak, jeszcze zateśknę za szkołą.

Ostrze się uniosło. Wtedy jednak wydarzyło się coś nieoczekiwanego – pijak odwrócił się, szybciej, niż myślałam, że to możliwe, a w jego ręku pojawił się mój oręż, który błysnął i po raz pierwszy zakosztował krwi, przeciągnięty po gardle opryszka. Ciało się rozstało, w mrok dziedzińca trysnęła krew.

Przez małą chwilę jedyną reakcją był szok, a jedynym odgłosem – wilgotny szmer uchodzącego z ранego życia. Potem z rykiem gniewu i sprzeciwu pierwszy zbir zdjął mi kolano z szyi i skoczył na pijaka.

Pozwoliłam sobie wierzyć, że upojenie nieznajomego było tylko podstępem, że w rzeczywistości był wyśmienitym szermierzem, udającym tylko pijanego. Teraz jednak, widząc go, jak chwieje się na boki i usiłuje skupić wzrok na nacierającym opryszku, zrozumiałam, że choć w istocie mógł być dobrym szermierzem, pijany był naprawdę. Pierwszy zbir rzucił się na niego z wściekłością, wymachując bronią. Nie wyglądało to zbyt zgrabnie; mój wybawca, choć miał w czubie, uchylił się bez trudu, ciął na odlew moją szpadą i trafił nacierającego w ramię, wywołując krzyk bólu.

Nad sobą usłyszałam: „Wio!”, obejrzałam się i zobaczyłam, jak

Pośrednik strzela lejcami. Dla niego walka się skończyła, a nie chciał odjeżdżać z pustymi rękami. Kiedy powóz z chyboczącymi się drzwiczkami ruszył w stronę bramy, poderwałam się na nogi i pobiegłam za nim. Sięgnęłam do środka tuż przed wąskim przejazdem.

Miałam jedną, jedyną szansę. Jedną chwilę.

– Złap mnie za rękę! – wrzasnęłam i, dzięki Bogu, dziewczyna wykazała się większym zdecydowaniem niż poprzednio. Z rozpaczą i przerażeniem w oczach krzyknęła gardłowo, skoczyła nad siedzeniem i złapała moją wyciągniętą rękę. Rzuciłam się w tył i wyciągnęłam ją z powozu tuż przed tym, jak wytoczył się przez wąską bramę i znikł, turkoczając kołami po bruku nabrzeża. Po lewej usłyszałam krzyk – to był ostatni opryszek. Zobaczyłam, że szeroko rozdziawia usta, zaskoczony tym, że go porzucono.

Pijany fehmistrz ukarał go za tę chwilę oburzenia. Przebił go moją szpadą, która po raz drugi tego wieczora posmakowała krwi.

Pan Weatherall wymógł kiedyś obietnicę, że nigdy nie nazwę swojej szpady. Teraz, patrząc, jak osiłek zsuwa się z ociekającego krwią ostrza i pada na ziemię, zrozumiałam dlaczego.

II

– Dziękuję, *monsieur* – zawołałam, przerywając ciszę, która zapadła nad dziedzińcem po potyczce.

Pijany szermierz obejrzał się na mnie. Miał długie, związane na karku włosy, wydatne kości policzkowe i oczy o nieobecny spojrzeniu.

– Czy mogę poznać pańskie imię, *monsieur*? – zawołałam.

Gdyby nie dwa trupy na ziemi i trzymana przez mojego wybawcę ociekająca krwią szpada, moglibyśmy znajdować się na eleganckim przyjęciu. Nieznajomy wykonał gest, jakby chciał mi oddać broń; uprzytomnił sobie, że najpierw musi ją oczyścić, rozejrzał za czymś do wytarcia klingi i nie znalazłszy niczego

takiego, zdecydował się wytrzeć ją o najbliższej leżącego trupa. Kiedy skończył, uniósł palec, powiedział „przepraszam” i zwymiotował na ścianę tawerny Pod Porożem.

Jasnowłosa dziewczyna i ja popatrzyłyśmy po sobie. Nie opuszczając palca, pijak wykasłał z siebie resztki wymiocin, splunął, a potem odwrócił się, poprawił odzienie, zdjął z głowy wymaginowany kapelusz, ukłonił się zamasyście i przedstawił:

– Jestem kapitan Byron Jackson, do usług.

– Kapitan?

– Tak, próbowałem to pani powiedzieć w tawernie, zanim mnie pani tak szorstko odepchnęła.

– Niczego takiego nie zrobiłam – zjeżyłam się. – Zachowywał się pan nieuprzejmie, wpadł pan na mnie. Był pan pijany.

– Poprawka, ja jestem pijany. I być może także nieuprzejmy. Nie sposób jednak ukryć faktu, że mimo swojego pijaństwa i nieuprzejmości próbowałem pani pomóc. A przynajmniej nie pozwolić pani wpaść w łapy tych zbójów.

– Cóż, nie udało się panu.

– Owszem, udało – zaproponował urażony, po czym jakby się zamyślił. – W ostatecznym rozrachunku. A skoro o tym mowa, lepiej stąd chodźmy, zanim żołnierze znajdą te trupy. Szuka pani przeprawy do Dover, zgadza się?

Zobaczył, że się waham, i machnięciem ręki wskazał dwóch zabitych.

– Dowiodłem przecież swojej przydatności jako eskorta. Przysięgam, *mademoiselle*, że mimo swojej aparycji, upojenia i być może pewnego nieokrzesania jestem istnym aniołem. Tyle że moje skrzydła są nieco osmalone.

– Czemu miałabym panu zaufać?

– Nie musi mi pani ufać. – Wzruszył ramionami. – W nosie mam, komu pani ufa. Niech pani wraca do środka i znajdzie sobie pocztowca.

– Pocztowca? – powtórzyłam z irytacją. – Co to takiego ten

pocztowiec?

– Pocztowiec to każdy statek, który wiezie pocztę albo inny ładunek do Dover. Praktycznie wszyscy w tej tawernie pływają na pocztowcach i zaraz będą kończyć zabawę, bo przyptyw i wiatry sprzyjają przeprowie. Toteż zapraszam, niech pani tam wraca, błysnie monetą i kupi sobie miejsce na statku. Kto wie? Może nawet dopisze pani szczęście i będzie pani miała za towarzyszy inne eleganckie damy, takie jak pani sama. – Skrzywił się. – Oczywiście może się stać inaczej...

– A co pan będzie z tego miał, jeśli popłynę z panem?

Podrapał się w kark z rozbawioną miną.

– Samotny kupiec będzie bardzo wdzięczny za kompana w podróży.

– Byle tylko samotny kupiec nie miał głupich pomysłów.

– Na przykład jakich?

– Takich jak rozmaite sposoby uprzyjemnienia sobie rejsu.

Spojrzał na mnie z urazą.

– Zapewniam panią, że nawet mi to nie przyszło do głowy.

– A oczywiście nigdy pan nie kłamie?

– W żadnym wypadku.

– Nawet twierdząc, że jest pan kupcem, będąc w istocie przemytnikiem?

Załamiał ręce.

– A to dopiero. Nigdy nie słyszała o pocztowcach i myśli, że może pożeglować prosto do Londynu, ale rozpoznaje we mnie przemytnika.

– A więc jest pan przemytnikiem?

– Chce pani płynąć czy nie?

Zastanowiłam się szybko.

– Tak – odparłam i podeszłam do niego, żeby odebrać swoją szpadę.

– Proszę mi powiedzieć, co to za napis przy jelcu? – spytał, oddając mi go. – Oczywiście przeczytałbym sam, gdyby nie to, że

jestem pijany.

– Na pewno nie dlatego, że nie umie pan czytać? – zadrwiłam.

– Biada mi, zaiste, moja pani, dałaś się zwieść mojej szorstkiej powierzchowności. Jak mogę panią przekonać, że naprawdę jestem dżentelmenem?

– Może pan spróbować zachowywać się jak dżentelmen.

Wzięłam wyciągnięty w moją stronę oręż i trzymając go luźno w dłoni, odczytałam inskrypcję na jelcu: „Niech cię prowadzi ojciec zrozumienia, z wyrazami miłości, matka”. Zanim Jackson zdążył cokolwiek powiedzieć, przytknęłam mu sztych do gardła.

– I przysięgam na jej życie, że jeśli spróbuje mnie pan w jakikolwiek sposób skrzywdzić, przeszyję pana nim na wylot – warknęłam.

Zesztywniał, podniósł ręce w geście poddania i spojrzał na mnie wzdłuż miecza oczami ciut zbyt roześmianymi jak na mój gust.

– Zaklinam się, *mademoiselle*. Choć bardzo kuszący jest dotyk istoty tak ponętnej, będę trzymał ręce przy sobie. Poza tym – dodał, patrząc mi przez ramię – co z pani przyjaciółką?

– Nazywam się Hélène – powiedziała jasnowłosa dziewczyna, podchodząc bliżej. Głos jej drżał. – Mam u panienki dozgonny dług. Jestem teraz panienki własnością.

– Co?!

Opuściłam broń i odwróciłam się do niej.

– Nie, nie masz i nie jesteś. Wracaj do swoich.

– Nie mam żadnych swoich. Należę do pani, *mademoiselle* – oznajmiła z przekonaniem, jakiego nigdy jeszcze nie spotkałam.

– To chyba załatwia sprawę – rzekł Byron Jackson za mną. Popatrzyłam na nich oboje, oniemiała.

I tak oto zdobyłam służącą i kapitana.

III

Byron Jackson, jak się okazało, w istocie był przemytnikiem,

Anglikiem pozującym na Francuza. Ładował swój stateczek, „Babunię Smith”, herbatą, cukrem i wszystkim innym, co w jego kraju obłożone było wysokimi podatkami, płynął do wschodnich wybrzeży Anglii, a potem sposobem, który nazywał „czarodziejskim”, szmuglował to pod nosem celników.

Hélène natomiast była wieśniaczką; oboje rodzice zmarli na jej oczach, wyruszyła więc do Calais w nadziei znalezienia ostatniego żyjącego krewnego, wuja Jeana. Myślała, że rozpocznie u niego nowe życie, on jednak sprzedał ją Pośrednikowi. Pośrednik zaś z pewnością będzie chciał odzyskać swoje pieniądze, które wuj Jean natychmiast wydał, toteż Hélène byłaby w kłopotach, gdyby została. Zgodziłam się więc uznać ją za swoją dłużniczkę i w trójkę wypłynęliśmy z Calais. „Babunia Smith” jest małym dwumasztowym szkunerem – na pokładzie jest nas tylko troje – ale solidnym i niezwykle przytulnym.

Słyszę właśnie, że podają kolację. Nasz uprzejmy gospodarz obiecał nam obfitą ucztę. Mówi, że ma dość jedzenia dla nas wszystkich na całe dwa dni rejsu.

8 lutego 1788

I

– Jeśli ma być twoją służącą, musi się nauczyć manier – rzekł Byron Jackson przy wczorajszej wieczerzy.

Zważywszy, że bezustannie pociągał wino z butelki, jadł z otwartymi ustami i trzymał łokcie na stole, były to słowa wręcz uginające się od ładunku hipokryzji.

Spojrzałam na Hélène. Oderwała kawałek chleba, zamoczyła go w zupie i już miała wepchnąć w całości do ust, powstrzymała się jednak i spoglądała na nas podejrzliwie, jakbyśmy mówili w jakimś dziwnym, obcym języku.

– Poradzi sobie – odparłam, w myślach grając na nosie *madame Levene*, ojcu, krukowi i wszystkim służącym z naszego domu w Wersalu, którzy byliby pełni odrazy, widząc zachowanie mojej nowej przyjaciółki przy stole.

– Być może przy kolacji na pokładzie przemytniczego statku – rzekł Byron wesoło – ale na pewno nie wtedy, kiedy będziesz ją przedstawiać jako swoją służącą w Londynie, podczas tego swojego „sekretnego spotkania”.

Rzuciłam mu pełne irytacji spojrzenie.

– To nie żadne sekretne spotkanie.

Wyszczrzył się szeroko.

– Prawie się dałem nabrać. Tak czy inaczej, musisz ją nauczyć zachowywać się przy ludziach. Przede wszystkim musi zacząć się do ciebie zwracać „*mademoiselle*”. Musi poznać podstawy etykiety i manier.

– Tak, oczywiście, bardzo dziękuję, Byronie – powiedziałam wyniośle. – Ty akurat nie powinienesz mi przypominać o manierach przy stole. Sama ją tego nauczę.

– Jak sobie życzysz, *mademoiselle* – odparł i znów się uśmiechnął. Często to robił, nazywał mnie sarkastycznie „*mademoiselle*” i szczerzył się w uśmiechu.

Po wieczery poszedł z butelką i paroma futrami na pokład, zostawiając nas same. Zastanawiałam się, co tam robił na górze, o czym myślał.

Cały następny dzień płynęliśmy. Byron unieruchomił koło sterowe sznurem, a potem zaczęliśmy się pojedynkować. Moje zaniedbane umiejętności stopniowo wracały; tańczyłam na pokładzie, dźwięczała stal. Widziałam, że był pod wrażeniem. Śmiał się, uśmiechał i rzucał słowa zachęty. Był zdecydowanie przystojniejszym partnerem niż pan Weatherall, choć być może nieco mniej zdyscyplinowanym.

Wieczorem, po kolacji, Hélène poszła spać w ciasnej klitce, którą nazywałyśmy naszą kajutą, a Byron poszedł pilnować steru. Tym razem jednak sama wzięłam sobie futro.

– Użyłaś już kiedyś swojej szpady w gniewie? – spytał, kiedy dołączyłam do niego na pokładzie. Sterował stopami, pociągając wino z butelki.

– W gniewie, to znaczy...

– Dobrze, zacznijmy od tego, czy kiedykolwiek kogoś zabiłaś?

– Nie.

– Czyli byłbym pierwszy, gdybym próbował cię dotknąć bez twojej zgody?

– Otóż to.

– Cóż, w takim razie muszę się o tę zgodę wystarać, prawda?

– Uwierz mi, drogi panie, nigdy jej nie dostaniesz. Jestem po słowie z kimś innym. Proszę, skieruj swe zaloty gdzie indziej.

Oczywiście nie była to prawda. Arno i ja nie byliśmy zaręczeni. A mimo to, kiedy stanęłam na pokładzie i skąpane w blasku księżycy fale lizały burty statku w dojmującej nocnej ciszy, poczułam nagły przypływ tęsknoty i zrozumiałam, że nade wszystko tęsknię za Arnem. Pojęłam, że moje uczucie do niego to

nie tylko zwykła dziecięca przyjaźń. Kochałam go.

Stojący naprzeciw mnie Byron skinął głową, jakby odczytał moje myśli i spostrzegł, że nie żartuję, że tej zdobyczy nie posiadzie.

– Rozumiem – rzekł. – Ten „inny” ma wielkie szczęście.

Uniosłam dumnie brodę.

– Tak właśnie.

Byron potaknął rzeczowo i unióśł sztych szpady.

– Zaczynamy więc. Czy krzyżowałaś kiedyś szpadę z prawdziwym przeciwnikiem?

– Oczywiście.

– Z przeciwnikiem, który chciał ci zrobić krzywdę?

– Nie – przyznałam.

– Rozumiem. Czy kiedyś dobyłaś szpady, by się bronić?

– W istocie.

– Ile razy?

– Raz.

– To był ten raz, prawda? Wtedy w tawernie?

Wydełam usta.

– Tak.

– Nie poszło ci najlepiej, prawda?

– Nie.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Wiem dlaczego, dziękuję uprzejmie – powiedziałam wyniośle.

– Nie musi mi tego mówić ktoś taki jak ty.

– No dalej, zrób to dla mnie.

– Bo się zawahałam.

Z namysłem pokiwał głową, pociągnął z butelki i podał mi ją. Wypiłam duży łyk i poczułam, jak alkohol rozchodzi się ciepłem po moim ciele. Nie byłam głupia. Wiedziałam, że pierwszym krokiem do uzyskania zgody damy na pójście z nią do łóżka jest ją upić. Ale było mi zimno, Byron był miłym towarzyszem, nawet jeśli nieco irytującym, i... och, i nic. Po prostu się napiłam.

– Zgadza się. Co powinnaś była zrobić?

– Posłuchaj, nie muszę...

– Nie musisz? Oni cię tam omal nie porwali. Domyśl się, co by z tobą potem zrobili. Nie siedziałabyś na pokładzie, popijając wino z kapitanem. Spędziłabyś podróż w ładowni, w pozycji horyzontalnej, zabawiając załogę. Kolejno każdego z nich. A kiedy przybyłabyś do Dover, zniszczona na ciele i umyśle, sprzedaliby cię jak krowę. Obie. Ciebie i Hélène. Uratowała was tylko moja obecność w tawernie. A ty wciąż uważasz, że nie mam prawa ci powiedzieć, gdzie popełniłaś błąd?

– Popełniłam błąd, w ogóle wchodząc do tej przeklętej tawerny – rzekłam.

Byron uniósł brew.

– Byłaś już w Anglii? – spytał.

– Nie, ale szermierki uczył mnie Anglik.

Zaśmiał się.

– Gdyby tu teraz był, powiedziałałby ci, że swojego wahania omal nie przypłaciłaś życiem. Krótka szpada nie jest odstraszającą bronią. To broń służąca do działania. Jeśli ją dobywasz, użyj jej, a nie tylko nią wymachuj. – Spuścił wzrok, w zamyśleniu pociągnął długi łyk wina i podał mi butelkę. – Jest wiele powodów, by zabić człowieka: obowiązek, honor, zemsta. Wszystkie mogą wymagać zastanowienia i być przyczyną wyrzutów sumienia po fakcie. Ale samoobrona albo obrona innego człowieka, zabijanie w imię obrony to jedyna sytuacja, w której nigdy nie powinnaś się wahać.

II

Następnego dnia pożegnałyśmy Byrona Jacksona na plaży w Dover. Miał wiele pracy, jak powiedział, by omijać posterunki celników, więc Hélène i ja musiałyśmy radzić sobie same. Z wdzięcznym ukłonem przyjął pieniądze i poszliśmy każde swoją drogą.

Oddalając się od plaży, odwróciłam się i zobaczyłam, że odprowadza nas wzrokiem; pomachałam mu i ku mojemu zadowoleniu odpowiedział tym samym. Potem odwrócił się na pięcie i zniknął, a my ruszyłyśmy w górę, kierując się na latarnię morską w Dover.

Choć uprzedzono nas, że droga powozem do Londynu może być niebezpieczna ze względu na rozbójników, podróż minęła bez incydentów. Londyn okazał się miastem bardzo podobnym do Paryża, przykrytym kobiercem ciemnej mgły, unoszącej się nad dachami, z groźną, zatłoczoną Tamizą. Tak samo śmierdziało tu dymem, odchodami i mokrymi końmi.

– Przepraszam, *mons* – zagadnęłam woźnicę doskonałym angielskim. – Czy mógłby pan zawieźć mnie i moją towarzyszkę do domostwa Carrollów w Mayfair?

– „Żeconiby?” – Zajrzał do nas przez klapkę na zawiasach. Zamiast próbować wyjaśniać, podałam mu po prostu kartkę z adresem. Kiedy ruszyliśmy, zaciągnęłyśmy zasłony w oknach i na zmianę trzymałyśmy klapkę, tak byśmy kolejno mogły się przebrać. Wyjęłam z dna torby swoją mocno pogniecioną i wymiętą sukienkę i natychmiast pożałowałam, że nie zadałam sobie trudu, by dokładniej ją poskładać. Hélène tymczasem zrzuciła swoją zgrzebną sukienkę, wkładając moje spodnie, koszulę i kamizelkę. Nie poprawiło to zbytnio jej powierzchowności ze względu na brud, jaki udało mi się zebrać przez ostatnie trzy dni, ale musiało wystarczyć.

Ostatecznie zostałyśmy wysadzone pod domem Carrollów w Mayfair – woźnica otworzył nam drzwiczki i znowu wytrzeszczył oczy, ujrawszy dwie zupełnie inaczej ubrane dziewczęta. Zaproponował, że zapuka do drzwi i nas przedstawi, ale odprawiłam go z monetą w garści.

Potem zaś, stojąc między kolumnami wejścia, moja nowa służąca i ja, wzięłyśmy głęboki wdech, usłyszałyśmy zbliżające się kroki i drzwi otworzył nam krągłolicy mężczyzna we fraku,

roztaczający delikatny zapach pasty do polerowania srebra.

Przedstawiłam się. Mężczyzna pokiwał głową, jakby rozpoznając moje nazwisko, i poprowadził nas przez bogato urządzonej sieni do wyłożonego dywanami korytarza. Tam poprosił, byśmy czekały pod drzwiami, prowadzącymi – sądząc po dobiegającym zza nich gwarze uprzejmych rozmów i delikatnym pobrzękiwaniu sztućców – do jadalni.

Usłyszałam, jak mówi:

– Moja pani, masz gościa. *Mademoiselle* de La Serre z Wersalu.

Zapadła znacząca cisza. Spojrzałam na Hélène; ciekawe, czy wyglądała na tak samo przejętą jak ona.

Po chwili lokaj powrócił, po czym wprowadził do środka. Tam zaś ujrzałyśmy gospodarzy siedzących przy stole i spożywających obfity posiłek: państwa Carrollów, rozdziawiających w zaskoczeniu usta, May Carroll, która klasnęła z radością w dłonie i zapięła sarkastycznie: „O, Śmierdziel!” – w moim nastroju niewiele brakowało, bym podeszła i wymierzyła jej za to policzek – oraz pana Weatheralla, który wstał z krzesła, poczerwieniał i ryknął:

– Do stu diabłów, co ty tu robisz?!

11 lutego 1788

Mój protektor dał mi kilka dni na oswojenie się z sytuacją, ale dziś rano przyszedł ze mną porozmawiać. Pożyczyłam ubranie od May Carroll, która nie omieszkała mi powiedzieć, że są to sukienki „stare” i „dość już niemodne” i że raczej nie zamierzała ich nosić w tym sezonie, „ale dla ciebie będą w sam raz, Śmierdzielu”.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, to cię zabiję – obiecałam.

– Słucham?

– Nic takiego. Dziękuję za sukienki. – Istotnie byłam jej wdzięczna. Na szczęście odziedziczyłam po matce pogardę dla mód, toteż choć sukienki miały bez wątpienia mnie rozdrażnić, nic takiego się nie stało.

Drażni mnie za to May Carroll.

Hélène tymczasem poznawała tajniki życia w kuchni, odkrywając, że służący zadzierają nosa jeszcze bardziej niż arystokracja. Trzeba przy tym dodać, że nie wychodziło jej zbyt dobrze udawanie mojej służącej – dygała niezgrabnie w przypadkowych sytuacjach, cały czas rzucając mi przerażone spojrzenia. Bez wątpienia czekało nas z nią jeszcze wiele pracy. Carrollowie na szczęście byli tak aroganccy i zadufani w sobie, iż założyli po prostu, że Hélène jest „typową Francuzką”, i temu przypisywali jej naiwność.

Wtem do drzwi zapukał pan Weatherall.

– Czy jesteś przyzwoita? – zapytał.

– Tak, *monsieur*, jestem – odparłam.

Mój protektor wszedł i natychmiast zasłonił oczy.

– Do stu diabłów, dziewczyno, powiedziałaś, że jesteś przyzwoita – warknął.

– Bo jestem – zaoponowałam.

Pokręcił głową, nie odsłaniając oczu.

– Nie, widzisz, w Anglii, kiedy pytamy: „Czy jesteś przyzwoita?“, chodzi nam o to, czy jesteś ubrana.

Koszula nocna May Carroll nie była bynajmniej wyzywająca, ale nie zamierzałam gorszyć pana Weatheralla. Wszedł więc i po chwili spróbowaliśmy jeszcze raz. Wszedł, przysunął sobie krzesło, a ja usiadłam na skraju łóżka. Ostatni raz widziałam go wieczorem w dniu naszego przybycia, kiedy poczerwieniał jak burak na widok mnie i Hélène, wchodzących i przedstawiających sobą obraz – jak ujęła to pani Carroll – „czegoś, co przywłókł kot”; musiałam naprędce wymyślić historyjkę o napadzie rozbójników w drodze z Dover do Londynu.

Popatrzyłam na siedzących przy stole i rozpoznałam twarze, które ujrzałam po raz pierwszy ponad dziesięć lat temu. Pani Carroll się nie zmieniła, podobnie jej mąż. Oboje mieli na ustach ten zdumiony uśmiezek, który tak lubią angielskie wyższe klasy. May Carroll za to dojrzała i wyglądała jeszcze bardziej wyniośle, niż kiedy poznałyśmy się w Wersalu.

Pan Weatherall tymczasem był zmuszony udawać, że wiedział o moim przybyciu wcześniej, i ukrywać swoje zaskoczenie oraz troskę. Carrollowie, pokazując całą gamę zdumionych min, zaczęli zadawać dociekliwe pytania, ale pan Weatherall i ja blefowaliśmy na tyle pewnie, że nie zostaliśmy od razu wyrzuceni z domu.

Szczerze mówiąc, pomyślałam, że nieźła z nas para.

– Co ty znowu knujesz, do stu diabłów? – zapytał teraz.

Popatrzyłam na niego wyzywająco.

– Pan wie, co knuję.

– Do kroćset, Élise, twój ojciec każe mnie za to zabić. Już i tak nie jestem jego ulubieńcem. Obudzę się którejś nocy z nożem na gardle.

– Z ojcem wszystko załatwione – powiedziałam.

– A *madame* Levene?

Przełknęłam ślinę; nie miałam ochoty przypominać sobie

madame Levene.

– Z nią też.

Pan Weatherall zerknął na mnie z ukosa.

– Nie chcę wiedzieć, prawda?

– Nie – zapewniłam. – Nie chce pan wiedzieć.

Zmarszczył brwi.

– No dobrze, skoro już tu jesteś, musimy...

– Niech pan nie myśli, że odeśle mnie do domu.

– Och, z wielką chęcią posłałbym cię do domu, gdyby nie to, że twój ojciec chciałby wiedzieć, dlaczego wróciłaś, i wpadłbym w jeszcze większe tarapaty. Gdyby Carrollowie nie mieli wobec ciebie planów...

– Planów? – obruszyłam się. – Nie jestem ich służącą. Jestem Élise de La Serre, córka wielkiego mistrza i przyszła wielka mistrzyni. Nie mają nade mną władzy.

Pan Weatherall przewrócił oczami.

– Och, zejdźże na ziemię, dziecko. Jesteś w Londynie ich gościem. Poza tym chcesz skorzystać z ich znajomości, by znaleźć Ruddocka. Skoro nie podoba ci się, że mają nad tobą władzę, to może nie trzeba było się stawiać w takiej sytuacji.

Zaczęłam protestować, ale uciszył mnie podniesieniem ręki.

– Posłuchaj, bycie wielkim mistrzem to nie tylko szermierka i pyszałkowatość. Tu się liczy dyplomacja i wyważenie. Twoja matka to wiedziała, wie to twój ojciec i pora, byś ty też to zrozumiała.

Westchnęłam.

– Co więc muszę zrobić?

– Chcą, żebyś tu, w Londynie, inwigilowała pewien dom. Ty i twoja służąca.

– Co takiego?

– Inwigilowała. Zinfiltrowała.

– Mam być ich szpiegiem?

Pan Weatherall w zakłopotaniu podrapał się w śnieżnobiałą

brodę.

– Można to tak nazwać. Chcą, byś dostała się do tego domu, podając się za kogoś innego.

– Czyli żebym szpiegowwała.

– Cóż... owszem.

Zastanowiłam się i doszłam do wniosku, że mimo wszystko brzmi to całkiem intrygująco.

– Czy to niebezpieczne?

– Chciałabyś, prawda?

– Lepsze to niż Maison Royale. Kiedy poznam szczegóły swojego zadania?

– Znając tych ludzi, kiedy się zdecydują. Tymczasem proponuję, byś się zajęła doprowadzaniem swojej tak zwanej służącej do porządku. Na razie nie ma z niej żadnego pożytku. – Spojrzał na mnie uważnie. – Pewnie nigdy się nie dowiem, co takiego zrobiłaś, że zaskarbiłaś sobie taką lojalność.

– Być może lepiej, żeby pan nie wiedział – odparłam.

– *À propos*, przypomniało mi się coś jeszcze, skoro jesteśmy przy tym temacie.

– Co takiego, *monsieur*?

Pan Weatherall odchrząknął, spuścił wzrok i zaczął oglądać swoje paznokcie.

– Cóż, chodzi o twoją przeprawę. O tego kapitana, który cię przewiózł.

Poczułam, że się czerwienię.

– Tak?

– Jakiej był narodowości?

– Był Anglikiem, jak pan.

– Tak... tak – powiedział, kiwając głową, znów odchrząknął, wziął głęboki oddech i spojrzał mi w oczy. – Przeprawa z Calais do Dover nie trwa dwa dni, *Élise*. Raczej dwie godziny, jeśli ma się szczęście; dziewięć, dziesięć w najgorszym razie. Jak myślisz, dlaczego trzymał cię na statku przez dwa dni?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, *monsieur* – odparłam chłodno.

Pan Weatherall kiwnął głową.

– Jesteś piękną dziewczyną, Élise. Bóg mi świadkiem, równie piękną jak twoja matka, a uwierz mi, wszyscy się oglądali, kiedy wchodziła. Napotkasz w życiu niemało łotrów.

– Wiem o tym, *monsieur*.

– Bez wątpienia w Wersalu czeka na ciebie Arno?

– Otóż to, *monsieur*.

Miałam taką nadzieję.

Podniósł się do wyjścia.

– A właściwie to co takiego robiliście przez dwa dni na wodach Kanału, Élise?

– Ćwiczyliśmy, *monsieur* – odparłam. – Ćwiczyliśmy szermierkę.

20 marca 1788

Carrollowie obiecali nam pomóc znaleźć Ruddocka. Według pana Weatheralla oznacza to, że mamy do dyspozycji sieć szpiegów i informatorów.

– Jeśli wciąż jest w Londynie, Élise, to go znajdziemy, możesz być tego pewna.

Oczywiście chcą, bym jednak wykonała ich zadanie.

Powinnam się tym denerwować, ale biedny pan Weatherall zamartwia się wystarczająco, bezustannie się złości i głośno narzeka; nerwów nie wystarczy po prostu dla nas dwojga.

Poza tym miał rację, że spodobał mi się ten pomysł. Nie ma sensu zaprzeczać. Zresztą – czy można mi się dziwić? Dziesięć lat ponurej, znienawidzonej szkoły. Dziesięć lat tęsknoty, by sięgnąć po przeznaczenie leżące niemal na wyciągnięcie ręki. Dziesięć lat, ujmując to krótko, frustracji i niespełnienia. Byłam gotowa.

Minął miesiąc. Musiałam napisać list, który wysłano do współpracowników Carrollów we Francji, ci zaś zapieczętowali go i przesłali na tutejszy, londyński adres. Czekając na odpowiedź, pomagałam Hélène w nauce czytania i języka angielskiego, szlifując przy tym własne umiejętności.

– Czy to będzie niebezpieczne? – spytała pewnego popołudnia po angielsku, kiedy spacerowałyśmy po posiadłości Carrollów.

– Tak, Hélène. Powinnaś tu zostać do mojego powrotu, możesz też spróbować znaleźć zatrudnienie w jakimś innym domu.

– Nie, *mademoiselle* – odparła nieśmiało po francusku. – Nie pozbędzie się mnie pani tak łatwo.

– Nie o to chodzi, że chcę się ciebie pozbyć, Hélène. Jesteś cudowną towarzyszką, kto zresztą nie chciałby tak serdecznej i wielkodusznej przyjaciółki. Uważam po prostu, że spłaciłaś już swój dług. Nie potrzebuję służącej ani nie chcę brać za nikogo

odpowiedzialności.

– A przyjaciółki, *mademoiselle*? Może mogłabym być pani przyjaciółką?

Hélène była moim całkowitym przeciwieństwem. Ja bezustannie ściągałam na siebie kłopoty przez swoje gadulstwo, ona, bardziej powściągliwa, potrafiła całymi dniami nie odezwać się ani słowem. Ja byłam porywcza, łatwo wpadałam w rozbawienie i w złość, ona zachowywała swoje myśli dla siebie i rzadko zdradzała uczucia. Wiem, co powiecie, to samo, co myślał pan Weatherall: że mogłabym się od niej czegoś nauczyć. Być może dlatego właśnie wtedy jej ustąpiłam, tak jak kiedy się poznałyśmy i kilka razy później. Pozwoliłam jej zostać i zachodziłam w głowę, za co dobry Bóg zesłał mi tego anioła.

Oprócz spędzania czasu z Hélène, nie wspominając już o unikaniu nadętych pań Carroll, ćwiczyłam szermierkę z panem Weatherallem, który...

Cóż, nie da się tego ukryć: stracił formę. Nie jest już takim szermierzem jak kiedyś. Nie jest już tak szybki ani tak czujny. Czy to kwestia wieku? W końcu od naszego poznania minęło prawie czternaście lat, więc należało to brać pod uwagę. Ale poza tym...

Przy posiłkach widziałam, jak sięgał po karafkę z winem, zanim zdążyli go nalać służący, co nie uchodziło uwagi naszych gospodarzy, sądząc po tym, jak patrzyła na niego May Carroll. Ich niesmak sprawia, że czuję się zmuszona go bronić. Wmawiam sobie, że wciąż opłakuje matkę.

– Może trochę mniej wina dziś wieczorem, panie Weatherall – zażartowałam podczas pojedynku, kiedy pochylił się, by podnieść drewniany miecz ćwiczebny z ziemi.

– Ha, to nie przez wino wydaję się taki kiepski. To przez ciebie. Nie doceniasz własnych umiejętności, Élise.

Może tak, może nie.

Pisałam też listy do ojca, zapewniałam go, że moja nauka trwa i że „wzięłam się w karby”. Kiedy przyszła kolej na list do Arna,

zawahałam się.

Wreszcie napisałam, że go kocham.

Nigdy wcześniej nie pisałam do niego z taką czułością, a kiedy kończąc, wyraziłam nadzieję na prędkie spotkanie – w ciągu najbliższych dwóch miesięcy – nigdy w życiu nie skreśliłam prawdziwszych słów.

I co z tego, że kierowały mną samolubne pobudki? Że widzę w nim ucieczkę od codziennych obowiązków, promień słońca w mrokach swojego przeznaczenia? Czy to ważne, kiedy pragnę tylko jego szczęścia?

Wołają mnie. Hélène mówi, że przyszedł list, co oznacza, że pora, bym wbiła się w sukienkę, zeszła na dół i przekonała się, co zawiera.

*Wyjątek z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

Choć wciąż pozostawałem w kontakcie z François de La Serre'em, który był dla mnie jak przybrany ojciec, kiedy Élise wyjechała do Londynu, nie mieszkałem już w posiadłości de La Serre'ów, lecz w miasteczku, gdzie całymi dniami i nocami piłem, grałem w karty z ludźmi pokroju Victora i Hugona oraz... owszem, zabawiałem damy.

Gdyby tu więc była, mógłbym jej powiedzieć, że w pierwszych latach naszej dorosłości również zbłądziłem. Choć byliśmy sobie przyrzeczeni – przynajmniej teoretycznie – rzadko przebywaliśmy razem, mieliśmy dla siebie tylko przelotne chwile podczas świąt, a Élise nie była osamotniona w pragnieniu „znajomości”.

Podobnie jak w jej przypadku, moje niewierności (bo tak, przykro mi, Élise, było ich więcej, wersalskie damy były i chętne, i ponętne) wcale mnie od niej nie odciągnęły.

Niektórzy sądzą, że mają prawo się wyszumieć, podczas gdy ich ukochana pozostaje im wierna, ale nie ja. Nie jestem hipokrytą, a przynajmniej staram się nim nie być.

*Wyjątki z diariusza
Élise de La Serre*

2 kwietnia 1788

I

Dzień rozpoczął się wybuchem paniki.

– Uważamy, że nie powinnaś mieć służącej – oznajmił pan Carroll.

Okropna trójca stała w sieni domu w Mayfair, przyglądając się, jak razem z Hélène przygotowujemy się do wyruszenia w tajną misję.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłam, i choć poczułam dreszcz niepokoju na myśl o wyruszeniu samotnie, nie musiałabym się przynajmniej o nią martwić.

– Nie – rzekł pan Weatherall, występując naprzód. Wymownie pokręcił głową. – Może wymyślić historyjkę o tym, jak jej rodzina zdobyła majątek. Nie chcę, by jechała tam sama, wystarczy, że ja nie mogę jechać z nią.

– To kolejna sprawa, o której musi pamiętać – powiedziała pani Carroll z powątpiewaniem. – Jeszcze jedna rzecz na głowie.

– Pani Carroll, z całym szacunkiem, ale to brednie – warknął pan Weatherall. – Élise całe życie odgrywała rolę szlachetnie urodzonej damy. Poradzi sobie.

Czekałyśmy cierpliwie, aż rozstrzygnie się przyszłość moja i Hélène. Choć różniłyśmy się niemal pod każdym względem, łączyło nas jedno: o naszym losie decydowali inni. Przywykłyśmy do tego.

Kiedy skończyli, nasz dobytek załadowano na powóz, a stangret – jak nas zapewniono, zaufany człowiek Carrollów – zawiózł nas do Bloomsbury, pod adres przy Queen Square.

II

– Kiedyś nazywał się Queen Anne's Square – powiedział stangret. – Teraz to po prostu Queen Square.

Odprowadził nas pod drzwi i pociągnął za sznurek dzwonka. Kiedy czekaliśmy, rozejrzałam się po placu. Ujrzałam dwa schludne rzędy białych rezydencji, jedna obok drugiej, bardzo angielskie. Na północ ciągnęły się pola, nieopodal wznosił się kościół. Na drodze bawiły się dzieci, przebiegały przed wozami i karetami; ulica tętniła życiem.

Usłyszeliśmy kroki i głośny zgrzyt skobli. Postarałam się, by moja mina wyrażała pewność siebie, bym wyglądała jak ktoś, kim miałam rzekomo być.

Czyli?

– Panna Yvonne Albertine i jej służąca Hélène do panny Jennifer Scott. – Stangret zaanonsował nas lokajowi, który otworzył drzwi.

Uliczny gwar za naszymi plecami kontrastował z mrocznym i odpychającym domostwem; musiałam walczyć z silnym odczuciem, że nie mam ochoty tam wchodzić.

– *Mademoiselle* Scott oczekuje pani – rzekł chłodno lokaj.

Weszliśmy do dużej sieni wyłożonej ciemną boazerią i zamknęliśmy drzwi wejściowe. Jedyne oświetlenie zapewniały okna na półpiętrze; panowała tu niemal martwa cisza. Przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, z czym kojarzy mi się ta atmosfera, potem zrozumiałam: było tu jak w naszym pałacu w Wersalu zaraz po śmierci matki. Odnosiło się to samo wrażenie zastygłego czasu, że życie toczy się tu szeptem i ukradkiem.

Uprzedzono mnie, że tak będzie: że *mademoiselle* Jennifer Scott, stara panna po siedemdziesiątce, jest nieco... dziwna. Że ma awersję do ludzi, i to nie tylko nieznanym czy określonego typu, lecz do ludzi w ogóle. Trzymała w swoim domu przy Queen Square tylko niezbędną służbę i z jakiegoś powodu – którego Carrollowie mi nie wyjawili – była bardzo ważna dla angielskich templariuszy.

Podziękowano naszemu stangretowi i zabrano Hélène – być może do kuchni, gdzie miała stać w kącie i znosić natarczywe spojrzenia służby, biedaczka – a kiedy zostałam sama z lokajem, zaprowadził mnie do bawialni.

Weszliśmy do dużego pokoju z zaciągniętymi zasłonami. Pod oknami stały wysokie rośliny w donicach, rozmyślnie, jak uznałam, żeby uniemożliwić zagłądanie i wyglądanie na zewnątrz. Tu też było ciemno i obskurnie. Przed trzaskającym kominkiem siedziała pani domu, *mademoiselle* Jennifer Scott.

– Panna Albertine do pani – oznajmił lokaj i wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Zamknął za sobą cicho drzwi i zostawił mnie z tą dziwną damą, która nie lubi ludzi.

Co jeszcze o niej wiedziałam? Że jej ojcem był pirat i asasyn Edward Kenway, a jej bratem słynny wielki mistrz templariuszy, Haytham Kenway. Uznałam, że to ich portrety wiszą na ścianach – przedstawiały dwóch podobnych do siebie mężczyzn, jednego w szatach asasyna, drugiego w wojskowym mundurze, najpewniej Haythama. Jennifer spędziła wiele lat na kontynencie jako ofiara zmagania asasynów z templariuszami. Choć nikt nie wiedział, co dokładnie ją spotkało, nie ulegało wątpliwości, że te przejścia naznaczyły ją na całe życie.

Zostałam z nią sam na sam. Sterczałam przez chwilę, przyglądając się wpatrzonyj w płomienie, z brodą wspartą na dłoni, zamyślonej kobiecie. Zaczęłam się już zastanawiać, czy nie powinnam odchrząknąć, by zwrócić na siebie uwagę, a może po prostu podejść i się przedstawić, kiedy na ratunek przyszedł mi ogień. Polano strzeliło głośno w płomieniach; panna Scott oprzytomniała, uświadomiła sobie, gdzie jest, powoli podniosła głowę i spojrzała na mnie znad okularów.

Mówiono mi, że kiedyś była bardzo piękna, i istotnie ślady tej urody wciąż były widoczne, w regularnych rysach twarzy i ciemnych włosach, nieco zaniedbanych i poznaczonych

pasmami siwizny niczym u wiedźmy. Oczywiście miała zimne, inteligentne i czujne. Stałam posłusznie i pozwalałam się jej oglądać.

– Podejź, dziecko – powiedziała w końcu i wskazała fotel naprzeciwko.

Usiadłam i znów zostałam obdarzona przeciągłym spojrzeniem.

– Nazywasz się Yvonne Albertine?

– Tak, *mademoiselle* Scott.

– Możesz mi mówić Jennifer.

– Dziękuję, *mademoiselle* Jennifer.

Wydęła usta.

– Nie, po prostu Jennifer.

– Jak sobie pani życzy.

– Znałam twojego dziadka i twojego ojca – rzekła, a potem machnęła ręką. – Och, może nie tyle „znałam”, ile spotkałam ich w pałacu pod Troyes w twoim kraju.

Kiwnęłam głową. Carrollowie uprzedzili, że Jennifer Scott najpewniej będzie podejrzliwa i może próbować mnie sprawdzać. Bez wątpienia właśnie zamierzała to zrobić.

– Ojciec ma na imię? – spytała, jakby nie mogła sobie przypomnieć.

– Lucio – odparłam.

Podniosła palec.

– Zgadza się, zgadza się. A babka?

– Monica.

– Oczywiście, oczywiście. Dobrzy ludzie. Jak się miewają?

– Odeszli, niestety. Babka kilka lat temu, ojciec w połowie ubiegłego roku. Ta wizyta, powód mojej tu obecności, była jednym z jego ostatnich życzeń.

– Ach tak?

– Obawiam się, że sprawy między moim ojcem i panem Kenwayem zakończyły się niedobrze.

Zachowała niewzruszoną minę.

– Przypomnij mi, dziecko.

– Mój ojciec ranił pani brata.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęła. – Przebił Haythama szpada, nieprawdaż? Jak mogłam zapomnieć!

Nie zapomniałaś.

Uśmiechnęłam się smutno.

– To była jedna z tych spraw, których żałował chyba najbardziej. Mówił, że tuż przed tym, jak pani brat stracił przytomność, nalegał, by potraktować łagodnie mojego ojca i babkę.

Panna Scott pokiwała opuszczoną głową, splatając dłonie.

– Pamiętam, pamiętam. Okropna sprawa.

– Ojciec tego żałował, nawet na łożu śmierci.

Uśmiechnęła się.

– Jaka szkoda, że nie zdołał przyjechać i powiedzieć mi tego osobiście. Zapewniłabym go, że niepotrzebnie się martwił. Nie raz i nie dwa sama miałam ochotę zadźgać Haythama.

Zapatrzyła się w roztańczone płomienie; jej głos przybrał nieobecny ton, jakby zatoneła we wspomnieniach.

– Mały pętek. Powinnaś była go zabić, kiedy byliśmy mali.

– Nie mówi pani chyba poważnie...

Zaśmiała się kpiąco.

– Nie, chyba nie. To, co się stało, raczej nie było winą Haythama. A przynajmniej nie wszystko.

Wzięła głęboki oddech, sięgnęła niezgrabnie po laskę opartą o poręcz fotela i wstała.

– Chodź, musisz być zmęczona po podróży z Dover. Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Obawiam się, że nie jestem zbyt towarzyska, zwłaszcza kiedy chodzi o wieczerzę, więc będziesz musiała posilić się sama, ale jutro być może mogłybyśmy się przejść, lepiej poznać?

Wstałam i dygnęłam.

– Bardzo bym chciała – odparłam.

Panna Scott jeszcze raz przyjrzała mi się uważnie i ruszyliśmy do sypialni piętro wyżej.

– Bardzo przypominasz swojego ojca – zauważyła.

Miała oczywiście na myśli Lucia. Zachodziłam w głowę, czy istotnie jestem do niego podobna, bo jedno od samego początku nie ulegało wątpliwości: Jennifer Scott nie była głupia.

– Dziękuję pani.

III

Później, po kolacji, którą zjadłam samotnie, obsługiwana przez Hélène, udałam się do sypialni, żeby przygotować się do snu.

Prawdę powiedziawszy, nie znosiłam tego, by obsługiwała mnie Hélène. Dawno już zabroniłam jej ubierać mnie i rozbierać; powiedziała, że coś jednak musi robić, choćby po to, by wszystkie godziny wysłuchiwania kuchennych plotek nie poszły na marne. Pozwoliłam więc jej przygotowywać mi ubranie i przynosić miskę ciepłej wody do mycia. Wieczorem mogła rozczesywać mi włosy, co akurat bardzo przypadło mi do gustu.

– Jak się toczą sprawy, proszę pani? – spytała, czesząc mnie teraz. Mówiła po francusku, i na dodatek szeptem.

– Wszystko idzie dobrze, jak sędzę. Miałaś okazję pomówić z *mademoiselle* Scott?

– Nie, proszę pani, widziałam ją tylko przelotnie.

– Cóż, wiele nie straciłaś. Nie da się ukryć, że to dziwna osoba.

– Osobliwa para kaloszy?

Było to jedno z powiedzonek pana Weatheralla. Uśmiechnęliśmy się do siebie w lustrze.

– Tak – powiedziałam – to z pewnością osobliwa para kaloszy.

– Czy wolno mi wiedzieć, czego państwo Carrollowie od niej chcą?

Westchnęłam.

– Nawet gdybym wiedziała, to lepiej, żebym ci nie mówiła.

– Nie wie pani?

- Jeszcze nie. Co mi przypomina: która godzina?
- Dochodzi dziesiąta, *mademoiselle* Élise.
Rzuciłam jej ostre spojrzenie.
- *Mademoiselle* Yvonne – syknęłam.
Zaczerwieniła się.
- Przepraszam, *mademoiselle* Yvonne.
- Po prostu nie rób tego więcej.
- Przykro mi, *mademoiselle* Yvonne.
- A teraz muszę cię prosić, żebyś mnie zostawiła samą.

IV

Kiedy wyszła, wyciągnęłam swój kufer schowany pod łóżkiem, uklękłam i otworzyłam zamki. Hélène go opróżniła, ale nie wiedziała, że jest w nim podwójne dno. Pod płóciennym obiciem była ukryta zapadka. Kiedy ją nacisnęłam, dno się otworzyło, ukazując zawartość.

Była tam między innymi luneta i małe urządzenie sygnalizacyjne. Obsadziłam w nim świeczkę, wzięłam lunetę i podeszłam do okna, rozsuwając zasłony na tyle tylko, by wyjrzeć na Queen Square.

Zobaczyłam go po drugiej stronie drogi; wyglądał jak woźnica czekający na klienta. Pan Weatherall siedział na koźle dwukółki, z dolną połową twarzy zakrytą szalem. Dałam wcześniej ustalony sygnał. Dłonią zasłonił latarnię powozu, przesyłając odpowiedź, a potem rozejrzał się i zdjął szal. Przyłożyłam lunetę do oka, by widzieć go dokładnie, i odczytałam z ruchu jego ust: „Dobry wieczór, Élise”. Potem sam podniósł własną.

- Dobry wieczór – odparłam bezgłośnie.
W ten sposób właśnie potoczyła się nasza rozmowa.
- Jak idą sprawy?
- Dostałam się do środka.
- Dobrze. Proszę, Élise, bądź ostrożna – powiedział. Jeśli w ogóle

można było przekazać uczucie i prawdziwą troskę w rozmowie czytanej z ruchu warg w środku nocy, to panu Weatherallowi właśnie się to udało.

– Będę – odparłam. Odeszłam od okna i położyłam się do łóżka, zachodząc w głowę nad celem swojej wizyty w tym dziwnym domu.

6 kwietnia 1788

I

Minęło dużo czasu i mam ci wiele do opowiedzenia o wydarzeniach ostatnich kilku dni. Mój oręż po raz wtóry posmakował krwi, tyle że tym razem dzierzony był przeze mnie. Do tego coś odkryłam – czytając swój dziennik, dochodzę do wniosku, że powinnam była wiedzieć to już dawno.

Zacznijmy jednak od początku.

– Czy mogłabym zobaczyć się z panną Scott dziś przy śniadaniu? – spytałam służącego pierwszego dnia rankiem. Uciekł wzrokiem i wyszedł bez słowa, zostawiając mnie samą w zatechłej jadalni ze skurczonym jak co dzień rano żołądkiem. Przede mną rozciągał się długi, pusty stół.

Miejsce służącego zajął pan Smith, lokaj. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do mnie.

– Przykro mi, *mademoiselle* – rzekł, skłoniwszy się dawkowo – ale panna Scott dziś je śniadanie w swoim pokoju, jak to czasem ma w zwyczaju, zwłaszcza kiedy niedomaga.

– Niedomaga?

Uśmiechnął się blado.

– Czyli czuje się niezupełnie dobrze i zdrowo. Prosi, by się pani rozgościła, ma nadzieję spotkać się z nią później, by pogłębiać waszą znajomość.

– Bardzo bym chciała – rzekłam.

Czekałam więc razem z Hélène. Cały ranek spędziłyśmy, chodząc po rezydencji niczym para niezwykle dociekliwych inspektorów. Nigdzie nie było ani śladu *mademoiselle* Scott. Przed południem poszłyśmy do salonu, gdzie w końcu wykorzystałam w praktyce ćwiczone latami w Maison Royale

wyszywanie. Nasza gospodyni wciąż się nie pojawiła.

Nie pojawiła się też ani na chwilę po południu, kiedy poszłam z Héléne na spacer po ogrodzie, ani przy kolacji, którą zjadłam sama.

Moja irytacja zaczęła narastać. Myślałam o ryzyku, które podjęłam, przyjeżdżając tutaj – o nieprzyjemnych zajściach z *madame* Levene, o tym, jak oszukałam ojca i Arna. Moim celem było znalezienie Ruddocka, a nie udawanie całymi dniami, że umiem wyszywać, jako nieledwie więzień mojej gospodyni, wciąż nie wiedząc, co tu właściwie robię.

Poszłam do swojego pokoju, a o jedenastej znów dałam sygnał panu Weatherallowi.

Tym razem powiedziałam mu bezgłośnie: „Wychodzę”. Na jego twarzy odmalowała się panika, odpowiedział: „Nie, nie”, ale ja już odeszłam od okna, zresztą za dobrze mnie znał. Skoro powiedziałam, że wychodzę, to wychodziłam.

Narzuciłam płaszcz na nocną koszulę, włożyłam pantofle i po cichu zeszłam do frontowych drzwi. Bardzo, bardzo cicho odsunęłam skoble, wysliznęłam się na zewnątrz i przebiegłam przez ulicę.

– Ogromnie ryzykujesz, dziecko – powiedział pan Weatherall ze złością, ale nie mógł ukryć radości z mojego widoku.

– Cały dzień w ogóle jej nie widziałam – poinformowałam go szybko.

– Doprawdy?

– Tak, i tylko kręciłam się po domu jak znudzony paw. Może gdybym wiedziała, co tu robię, to mogłabym się tym zająć, wykonać swoje zadanie i opuścić to przekłete miejsce. – Popatrzyłam na niego znacząco. – To piekielna tortura, panie Weatherall.

Kiwnął głową i stłumił uśmiech, słysząc moje angielskie przekleństwo.

– Dobrze, Élise. Tak się składa, że dziś mi powiedzieli. Masz

zdobyć listy.

– Jakie listy?

– Pisane. Listy, które Haytham Kenway napisał do Jennifer Scott przed śmiercią.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

– To wszystko?

– Nie wystarczy ci? Jennifer Scott jest córką asasyna. Listy pisał do niej wysokiej rangi templariusz. Carrollowie chcą wiedzieć, co w nich jest.

– Wybrali sobie dość ryzykowny sposób.

– Poprzedni człowiek wprowadzony do tego domu niczego nie wskórał. Udało mu się tylko ustalić, że listy nie są przechowywane w jakimś łatwo dostępnym miejscu. Panna Scott nie trzyma ich związanych kokardką w sekretarzyku. Schowała je.

– A tymczasem?

– Chodzi ci o Ruddocka? Carrollowie powiedzieli, że ich ludzie o niego wypytują.

– Mówią tak już od kilku tygodni.

– Takie sprawy trwają.

– Jak dla mnie za długo.

– Élise... – ostrzegł pan Weatherall.

– Dobrze, dobrze, nie zrobię nic głupiego.

– To dobrze – odparł. – I bez tego twoje położenie jest trudne. Nie rób niczego, co by je mogło pogorszyć.

Cmoknęłam go w policzek, wysiadłam z powozu i przebiegłam z powrotem przez drogę. Cicho weszłam do domu, przystanąłam na chwilę, żeby złapać oddech – i zdałam sobie sprawę, że nie jestem sama.

Wyszedł z mroku, z twarzą ukrytą w cieniu – lokaj, pan Smith.

– Panno Albertine? – spytał ze zdziwieniem, przekrzywiając głowę. Jego oczy błysnęły w ciemności i na moment zapomniałam, że jestem Yvonne Albertine z Troyes.

– Och, pan Smith – wykrztusiłam, otulając się płaszczem. – Przestraszył mnie pan. Ja tylko...

– Tylko Smith – poprawił mnie. – Nie „pan Smith”.

– Przepraszam, Smith, ja... – Odwróciłam się i wskazałam drzwi.
– Chciałam tylko zaczerpnąć powietrza.

– Okno pani nie wystarczy, panienko? – spytał całkiem przyjaznym tonem, choć jego twarz pozostawała niewidoczna.

Zwalczyłam falę irytacji – moja wewnętrzna May Carroll oburzała się, że przesłuchuje mnie byle lokaj.

– Potrzebowałam więcej powietrza – odrzekłam, niezbyt przekonująco.

– Cóż, oczywiście to nic złego. Ale, widzi pani, kiedy panna Scott była dzieckiem, ten dom był świadkiem napaści, podczas której zabito jej ojca.

Wiedziałam o tym, ale on pokiwał głową i ciągnął:

– Na straży stali żołnierze z psami, ale napastnikom i tak udało się dostać do środka. Dom został strawiony przez ogień. Od swojego powrotu panna Scott nalega, by wszystkie drzwi były o każdej porze zaryglowane. Choć oczywiście może pani opuścić dom w każdej chwili... – uśmiechnął się, choć raczej był to grymas mający imitować uśmiech – ...muszę nalegać, by ktoś ze służby był przy tym obecny, aby zasunąć rygle po pani wyjściu i powrocie.

Uśmiechnęłam się.

– Oczywiście, rozumiem. To się więcej nie powtórzy.

– Dziękuję. Będę bardzo wdzięczny.

Przyjrzał się mojemu ubraniu, nie pozostawiając mi wątpliwości, że uważa je za nieco niezwykłe, po czym odsunął się na bok i wskazał schody.

Poszłam do pokoju, przeklinając własną bezmyślność. Pan Weatherall miał rację. Nie powinnam tak głupio ryzykować.

II

Następny dzień był taki sam. No, może niezupełnie identyczny, po

prostu irytująco podobny. Znów zjadłam śniadanie sama, znów powiedziano mi, że panna Scott spotka się ze mną później, i poproszono, bym pozostawała w pobliżu. Znów kręciłam się po korytarzach, znów irytowałam się nad wyszywankami i rozmawiałam o niczym. Nie można też zapomnieć o ekscytującym spacerze wokół domu.

Nasze przechadzki przynajmniej pod jednym względem zmieniły się na lepsze – wybierałam bardziej przemyślaną trasę niż przedtem. Zastanawiałam się, gdzie Jennifer Scott mogła schować listy. Jedne z drzwi z głównego korytarza prowadziły do bawialni; wykorzystałam okazję i pobieżnie zbadałam boazerię w środku, zastanawiając się, czy któryś z paneli może skrywać tajny schowek. Szczerze mówiąc, powinnam dokładniej sprawdzić cały dom, ale był olbrzymi, listy mogły być ukryte w każdym z dwóch tuzinów pokoi, a po zeszłej nocy nie miałam ochoty skradać się nigdzie po zmroku. Nie, największą szansę zdobycia listów dawało mi lepsze poznanie Jennifer.

Ale jak miałam to zrobić, skoro nie wychodziła nawet ze swojego pokoju?

III

Tak samo wyglądał dzień trzeci. Nie będę wchodzić w szczegóły. Po prostu – znów wyszywanie, pogawędki i: „Och, chyba pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza, Hélène, co ty na to?”.

– Nie podoba mi się to – oznajmił pan Weatherall, kiedy porozumieliśmy się wieczorem.

Rozmowy przez sygnalizatory i czytanie z ruchu ust były niełatwe, ale musiały wystarczyć. Pan Weatherall wolał, żebym do niego nie wychodziła, a po spotkaniu ze Smithem zeszłego wieczora ja też byłam tego zdania.

– Co pan ma na myśli?

– To, że mogą sprawdzać twoją historyjkę.

A jeśli tak – czy zdołają mnie zdemaskować? To wiedzieli tylko

Carrollowie. Byłam zdana na ich łaskę, podobnie jak na łaskę Jennifer Scott.

Potem zaś, czwartego dnia – wreszcie! – wyszła ze swojego pokoju. Powiedziano mi, że mam się z nią spotkać przy stajniach. Miałyśmy przejechać się promenadą Rotten Row w Hyde Parku.

Kiedy tam dotarliśmy, dołączyliśmy do innych spacerujących – mężczyzn i kobiet przechadzających się razem pod zbędnymi w sumie parasolkami, ciepło otulonych dla ochrony przed chłodem. Spacerujący machali do pasażerów karet, nagradzani w odpowiedzi władczyimi machnięciami; konni machali do spacerujących i jadących powozami. Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – paradowali w swoich najbardziej wytwornych strojach, pozdrawiali się, uśmiechali, przechadzali, machali...

Wszyscy oprócz panny Jennifer Scott, która – choć stosownie wystrojona w elegancką suknię – spoglądała z niesmakiem na Hyde Park zza welonu poznaczonych siwizną włosów.

– Czy coś takiego miałaś nadzieję zobaczyć, przyjeżdżając do Londynu, Yvonne? – spytała, lekceważącym gestem wskazując machających, uśmiechających się i małe dzieci zapięte pod szyję. – Idiotów, których horyzonty nie sięgają poza mury parku?

Powściągnęłam uśmiech, myśląc, że polubiłaby się z moją matką.

– To panią miałam nadzieję zobaczyć, *mademoiselle* Scott.

– Przypomnij mi dlaczego?

– Z powodu ojca. Jego życzenie na łożu śmierci, pamięta pani?

Wydęła usta.

– Mogę ci się wydawać stara, panno Albertine, ale zapewniam, że nie jestem aż tak stara, by zapominać o takich rzeczach.

– Proszę o wybaczenie, nie chciałam pani urazić.

Znów to lekceważące machnięcie ręką.

– Nie uraziłaś. Na przyszłość – jeśli nie dam do zrozumienia, że jest przeciwnie, możesz zakładać, że mnie nie uraziłaś. Niełatwo mnie urazić, panno Albertine, zapewniam.

Nie musiała mnie przekonywać.

– Opowiedz mi, co się stało z twoim ojcem i babką, kiedy nas wówczas opuścili – poprosiła.

Skupiłam się i przedstawiłam jej historyjkę, której mnie nauczono.

– Po tym jak pani brat okazał mu łaskę, ojciec i babka osiedli tuż pod Troyes. To oni nauczyli mnie angielskiego, hiszpańskiego i włoskiego. Ich umiejętności językowe i talent do tłumaczenia okazały się bardzo cenne i byli w stanie żyć na wysokim poziomie, świadcząc swoje usługi.

Przerwałam, wypatrując na jej twarzy oznak niedowierzania. Dzięki trwającym całe lata mękom w Maison Royale mogłam, choć z trudem, udowodnić znajomość wszystkich tych języków, gdyby postanowiła mnie sprawdzić.

– Dość wysokim, by stać ich było na służbę?

– Dopisało nam szczęście – powiedziałam i spróbowałam wyobrazić sobie dwójkę tłumaczy, mogących pozwolić sobie na dom pełen służby. Nie mogłam.

Mimo to, jeśli panna Scott miała tu jakieś wątpliwości, jej szare, zmrużone oczy niczego nie zdradziły.

– A twoja matka?

– Miejscowa dziewczyna. Niestety, nie poznałam jej. Urodziła mnie niedługo po ślubie, ale zmarła przy porodzie.

– I co teraz? Skoro twoja babka i ojciec nie żyją, co będziesz robić, kiedy stąd wyjedziesz?

– Wrócę do Troyes i będę kontynuować ich pracę.

Zapadła długa cisza. Pomachałam do spacerowiczów.

– Ciekawa jestem – zagałam w końcu – czy pan Kenway kontaktował się z panią przed śmiercią. Być może do pani pisał?

Wpatrywała się w okno, ale zrozumiałam, że patrzy na własne odbicie. Wstrzymałam oddech.

– Zabił go jego własny syn, wiesz? – powiedziała nieco nieobecny tonem.

– Rozumiem.

– Haytham był wytrawnym szermierzem, jak jego ojciec. Wiesz, jak zginął nasz ojciec?

– Pan Smith o tym wspominał – odparłam. Rzuciła mi pytające spojrzenie, więc dodałam szybko: – Opowiadając, że pani dom jest szczególnie zabezpieczony.

– Istotnie. Cóż, Edward, nasz ojciec, został powalony przez napastników. Oczywiście w pierwszej przegranej walce się ginie, a nikt nie może wiecznie zwyciężać, zresztą był wtedy już starszym mężczyzną. Mimo to posiadał dość umiejętności i doświadczenia, by pokonać dwóch przeciwników. Moim zdaniem przegrał wskutek rany, odniesionej wiele lat wcześniej. Spowolniła go. Haytham podobnie przegrał starcie z własnym synem; często zastanawiałam się dlaczego. Czy podobnie jak Edward był osłabiony raną? Czy ranę tę zadało ostrze, wrazone w niego przez twojego ojca? A może Haytham miał inną słabość? Może po prostu uznał, że nadeszła jego pora, że śmierć z ręki syna może być czymś szlachetnym. Widzisz, Haytham był templariuszem. I to samym wielkim mistrzem Trzynastu Kolonii. Ale ja wiem o nim coś, czego dowiedziało się bardzo niewiele. Może ci, którzy czytali jego dziennik; ci, którzy czytali jego listy...

Listy. Serce zabiło mi mocniej. Stukot końskich kopyt i bezustanny gwar spacerujących przycichł, stając się jakby tłem.

– Co takiego, Jennifer? Co pani o nim wiedziała?

– Że miał wątpliwości, dziecko. Haytham był indoktrynowany przez swojego mentora, Reginalda Bircha, i w sumie ta indoktrynacja przyniosła skutki. Ostatecznie przecież zakończył żywot jako templariusz. A mimo to nie mógł nie kwestionować tego, co wiedział. Taką miał naturę. I choć mało prawdopodobne, by kiedykolwiek poznał odpowiedzi na swoje pytania, wystarczył sam fakt, że je zadawał. Czy ty w coś wierzysz, Yvonne?

– Bez wątpienia przejęłam wartości swoich rodziców – odparłam.

– Istotnie, jestem przekonana, że masz doskonałe maniery i bezustannie troszczysz się o bliźnich...

– Staram się.

– A sprawy bardziej uniwersalne, Yvonne? Na przykład sytuacja twojego kraju. Komu sprzyjasz?

– Śmiem twierdzić, że złożoność sytuacji w moim kraju wykracza ponad zwykłe sympatie i antypatie, *mademoiselle* Scott.

Uniosła brew.

– Bardzo rozsądna odpowiedź, moja droga. Sprawiasz wrażenie kogoś, kto nie urodził się, by słuchać innych.

– Lubię mieć własne zdanie.

– Nie wątpię. Ale powiedz mi, tym razem bardziej szczegółowo, co sądzisz o sytuacji w swojej ojczyźnie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, *mademoiselle* – zaprotestowałam, nie chcąc się zdemaskować.

– Proszę, zrób to dla mnie. Zastanów się teraz.

Pomyślałam o domu. O ojcu, który tak żarliwie wierzył w boskie namaszczenie monarchy i w to, że każdy człowiek powinien znać swoje miejsce; o krukach, które chciały obalić króla. I o matce, która wierzyła, że istnieje trzecia droga.

– Uważam, że konieczne są jakieś zmiany – powiedziałam Jennifer.

– Doprawdy?

Zawahałam się.

– Tak sędzę.

Kiwnęła głową.

– Dobrze, dobrze. To zdrowo mieć wątpliwości. Mój brat je miał. Pisał o nich w swoich listach.

Znów listy. Nie miałam pewności, do czego zmierza ta rozmowa.

– Wydaje się, że był człowiekiem tyleż mądrym, co litościwym.

Zaśmiała się.

– Och, miał swoje wady. Ale w głębi serca, owszem, był chyba mądrym człowiekiem, dobrym człowiekiem. Dalej – postukała w dach karety rączką laski – wracajmy. Już prawie pora lunchu.

„Jestem blisko” – pomyślałam, kiedy wracałyśmy na Queen Square.

– Chciałabym ci coś pokazać przed posiłkiem – powiedziała Jennifer. Czy mogło chodzić o listy?

Na miejscu stangret pomógł nam wysiąść, potem jednak, zamiast odprowadzić nas schodami pod drzwi, wrócił na kozioł, strzelił lejcami i odjechał, znikając przy wtórze stukotu końskich kopyt w rzadkiej mgle, która kłębiła się wokół kół karety.

Podeszłyśmy do drzwi. Jennifer pociągnęła za dzwonek, raz, potem dwa razy, szybkimi, krótkimi szarpnięciami.

I być może to moja paranoja, ale...

Odjazd stangreta. Sygnał dzwonka. Podenerwowana, uśmiechałam się sztucznie, kiedy osunięto rygle, drzwi się otworzyły, Jennifer pozdrowiła Smitha ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy i weszła do środka.

Drzwi się zatrzasnęły, odcinając cichy gwar placu. Zalała mnie znajoma fala poczucia uwięzienia, tyle że tym razem pomieszana z autentycznym strachem, wrażeniem, że coś jest nie w porządku. Gdzie była Hélène?

– Czy byłbyś tak dobry, Smith, i powiadomił Hélène, że wróciłam? – zwróciłam się do lokaja.

Skłonił głowę, i jak zwykle odparł: „Oczywiście, *mademoiselle*”, ale nie ruszył się z miejsca.

Spojrzałam pytająco na Jennifer. Chciałam, żeby wszystko wróciło do normy. Żeby ponagliła lokaja – nie zrobiła tego jednak. Obejrzała się na mnie.

– Chodź – powiedziała – chcę ci pokazać bawialnię, tam bowiem zginął mój ojciec.

– Oczywiście, *mademoiselle* – odparłam, zerkając z ukosa na Smitha. Ruszyliśmy do obłożonych panelami boazerii drzwi,

zamkniętych jak zwykle.

– Wydaje mi się jednak, że widziałas już bawialnię, prawda? – spytała Jennifer.

– W ciągu ostatnich czterech dni miałam dość sposobności, by oglądać pani wspaniałą rezydencję, *mademoiselle* – powiedziałam.

Przystanęła z ręką na klamce, spojrzała na mnie.

– Cztery dni nam też wystarczyły, Yvonne...

Nie spodobało mi się to. Bardzo mi się nie spodobało.

Otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka.

Zasłony były zaciągnięte. Jedynym źródłem światła były świece ustawione wzdłuż gzymsów, zalewające pokój pełgającym pomarańczowym blaskiem, jakby przyszykowane na jakiś złowrogi religijny rytuał. Stół bilardowy został przykryty i odsunięty na bok, w pustym pomieszczeniu stały tylko naprzeciw siebie dwa krzesła, na samym środku. A także służący, spletający przed sobą dłonie w rękawiczkach. Nazywał się chyba Mills. Zazwyczaj uśmiechał się, kłaniał, zachowywał grzecznie i wytwornie, jak przystało na członka służby domu, w którym gościła arystokratka z Francji. Teraz jednak wpatrywał się tylko we mnie, z twarzą bez wyrazu. Czy raczej – z okrutnym grymasem.

– Cztery dni nam wystarczyły – podjęła Jennifer – by wysłać do Francji człowieka, który prześwietlił twoją bajeczkę.

Smith wszedł za nami i stanął przy drzwiach. Wpadłam w pułapkę. Co za ironia – po czterech dniach narzekania, że jestem w więzieniu, faktycznie się w nim znalazłam.

– *Madame* – powiedziałam tonem bardziej wzburzonym, niżbym chciała. – Muszę wyznać, że całą tę sytuację znajduję tyleż niezrozumiałą, co niemiłą. Jeśli to jakiś żart, angielski zwyczaj, o którym nie wiem, to bardzo proszę się wytłumaczyć.

Spojrzałam na zacięte oblicze Millsa, na dwa krzesła i z powrotem na Jennifer. Twarz miała nieporuszoną.

Zatęskniłam za panem Weatherallem. Za matką. Za ojcem. Arnem. Chyba nigdy wcześniej nie byłam tak przerażona i samotna jak w tej chwili.

– Chcesz usłyszeć, co nasz człowiek tam odkrył? – spytała Jennifer. Zignorowała moje pytanie.

– *Madame...* – zaczęłam stanowczo, ale nie zwróciła na mnie uwagi i tym razem.

– Odkrył, że Monica i Lucio Albertine istotnie utrzymywali się ze swojej znajomości języków, ale nie byli dość zamożni, by stać ich było na służbę. Nie było też żadnej miejscowej dziewczyny. Żadnej dziewczyny, żadnego ślubu, żadnych dzieci. Z pewnością też żadnej Yvonne Albertine. Matka i syn żyli skromnie na obrzeżach Troyes – aż do chwili, kiedy przed czterema tygodniami ich zamordowano.

IV

Wstrzymałam oddech.

– Nie. – Wyrwało mi się to słowo, zanim zdołałam się pohamować.

– Obawiam się, że tak. Twoi przyjaciele, templariusze, poderżnęli im gardła we śnie.

– Nie – powtórzyłam, rozpaczając nie tylko nad sobą, nad swoim zdemaskowanym oszustwem, ale też nad nieszczęsnymi Monicą i Luciem Albertinami.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała Jennifer i wyszła, zostawiając mnie pod strażą Smitha i Millsa.

Wróciła.

– To o listy ci chodzi, prawda? Powiedziałaś mi to niemal wprost na Rotten Row. Zastanawiam się, czemu twoi przełożeni chcą zdobyć listy mojego brata.

Nie umiałam pozbierać swoich myśli. Przez głowę przelatywały mi przeróżne możliwości: przyznać się, iść w zaparte, spróbować uciec, udawać oburzenie, rozkleić się i rozpłakać...

– Nie wiem, o czym pani mówi, *madame* – zapewniłam rozpaczliwie.

– Och, jestem przekonana, że wiesz, Élise de La Serre.

O Boże, skąd ona wie?

Odpowiedź poznałam chwilę później. Na znak Jennifer Smith otworzył drzwi i do środka wszedł następny służący. Prowadził siłą Hélène.

Pchnięto ją na jedno z drewnianych krzeseł; oklapła i popatrzyła na mnie błagalnie zmęczonymi oczami.

– Przepraszam – powiedziała. – Powiedzieli mi, że jest pani w niebezpieczeństwie.

– Otóż to – rzekła Jennifer. – I nie kłamaliśmy, bo obie w nim jesteście.

V

– Mów więc, po co twojemu Zakonowi te listy?

Popatrzyłam na nią, na jej służących i zrozumiałam, że sytuacja jest beznadziejna.

– Przepraszam panią, Jennifer – powiedziałam. – Naprawdę mi przykro. Ma pani rację, jestem intruzem w pani domu i istotnie miałam nadzieję dostać w swoje ręce listy od pani brata...

– Zabrać mi je – poprawiła surowym tonem.

Zwiesiłam głowę.

– Tak. Tak, zabrać je.

Jennifer wsparła się obiema rękami na lasce i nachyliła w moją stronę. Włosy opadły jej na okulary; jedno oko, które widziałam, płonęło gniewem.

– Mój ojciec, Edward Kenway, był asasynem, Élise de La Serre – powiedziała. – Wysłannicy templariuszy napadli na mój dom i zabili go w tym samym pokoju, w którym teraz siedzisz. Porwali mnie i zgotowali mi los, którego nie wyobrażałam sobie nawet w najgorszych koszmarach. Istne piekło, które trwało całymi latami. Będę z tobą szczerą, Élise de La Serre, nie przepadam

zbytnio za templariuszami, a już na pewno za ich szpiegami. Jak sądzisz, jak asasyni karzą szpiegów, Élise de La Serre?

– Nie wiem, *mademoiselle* – powiedziałam. – Ale proszę, nie krzywdźcie Hélène. Mnie, jeśli macie ochotę, tak, ale nie ją. Ona nic nie zrobiła. Jest zupełnie niewinna.

Jennifer zaśmiała się tylko krótko, chrapliwie.

– Niewinna? W takim razie współczuję jej losu, bo ja też byłam kiedyś niewinna. Myślisz, że zasłużyłam na to, co mnie spotkało? Na porwanie i uwięzienie? Zrobili ze mnie ladacznicę. Myślisz, że ja, niewinna, zasługiwałam na takie traktowanie? Myślisz, że ja, niewinna, zasłużyłam na spędzenie pozostałych mi lat w samotności i ciemności, w lęku przed demonami, które przychodzą w nocy? Nie, nie sądzę, byś tak myślała. Ale widzisz, niewinność nie jest tarczą, za jaką ją uważasz, nie kiedy chodzi o odwieczne zmagania templariuszy i asasynów. W tej wojnie, w której tak bardzo zdajesz się chcieć wziąć udział, Élise de La Serre, giną niewinni. Kobiety i dzieci, które nic nie wiedzą ani o asasynach, ani o templariuszach. Giną niewinni i ginie niewinność – tak jest na każdej wojnie, Élise, a konflikt między templariuszami i asasynami nie jest czymś wyjątkowym.

– Pani taka nie jest – powiedziałam w końcu.

– Co ty pleciesz, dziecko?

– Nie zabije nas pani.

Skrzywiła się.

– Dlaczego nie? Oko za oko. Tacy jak ty zamordowali Monicę i Lucia, a oni też byli niewinni, nieprawdaż?

Przytaknęłam.

Jennifer się wyprostowała. Zacisnęła dłonie na rączce laski tak mocno, aż pobielały jej kłykcie. Zapatrzyła się w przestrzeń; przypomniałam sobie chwilę, kiedy się poznałyśmy, kiedy siedziała wpatrzona w ogień. Najbardziej bolało mnie to, że przez ten krótki czas nabrałam do niej sympatii i szacunku. Pragnęłam, by była niezdolna nas skrzywdzić. Uważałam, że jest ponad to.

I była.

– Mówiąc wprost, piekielnie was nienawidzę – powiedziała w końcu, westchnąwszy przeciągle, jakby całe lata czekała, żeby to powiedzieć. – Mam was serdecznie dość. Powiedz to swoim przyjacielom, kiedy odeślę cię i twoją służącą...

Urwała i wskazała laską Hélène.

– To nie jest tak naprawdę służąca, prawda?

– Nie, *mademoiselle* – potwierdziłam i spojrzałam na dziewczynę. – Uważa, że ma u mnie dług.

Jennifer przewróciła oczami.

– A teraz ty jesteś jej dłużniczką.

Pokiwałam ponuro głową.

– Owszem, tak.

Jennifer spojrzała na mnie.

– Wiesz, widzę w tobie dobro, Élise. Widzę wątpliwości i pytania i uważam, że to dobre cechy. Dlatego postanowiłam dać ci te listy, na których ci tak zależy.

– Już ich nie chcę, *mademoiselle* – odparłam ze łzami w oczach. – Za żadną cenę.

– Skąd pomysł, że masz jakiś wybór? – rzekła. – Twoi towarzysze templariusze chcą je dostać i je dostaną, pod paroma warunkami. Po pierwsze, nie będą mnie więcej wciągać w swoje sprawy, zostawią mnie w spokoju! A po drugie, przeczytają je. Przeczytają, co mój brat miał do powiedzenia o tym, jak templariusze i asasyni mogą współdziałać, potem zaś, być może, wezmą sobie to do serca.

Dała znak Smithowi, który skinął głową i podszedł do paneli boazerii.

Jennifer uśmiechnęła się do mnie.

– Zastanawiałaś się nad tymi panelami, wiem o tym.

Odwróciłam wzrok, nie chcąc jej patrzeć w oczy. Smith tymczasem podszedł do ściany, uruchomił mechanizm odsuwający jeden z paneli i wyjął ze schowka dwa pudełka po

cygarach. Wróciwszy do swojej pani, otworzył jedno z nich i pokazał mi, co jest w środku: plik listów związanych czarną wstążką.

Wskazała je bez patrzenia.

– Oto one, całość korespondencji Haythama z Ameryki. Chcę, żebyś przeczytała te listy. Nie martw się, nie poznasz żadnych intymnych, rodzinnych spraw, nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Znajdziesz za to osobiste, filozoficzne rozważania mojego brata. I być może, jeśli trafnie cię oceniłam, Élise de La Serre, staną się dla ciebie powodem do zmiany własnego myślenia. Być może przyjmiesz jego punkt widzenia jako wielka mistrzyni templariuszy.

Oddała pudełko Smithowi i otworzyła drugie. W środku leżał srebrny naszyjnik z zawieszka w kształcie krzyża templariuszy, wysadzanego połyskującymi czerwonymi klejnotami.

– To też mi przysłał – wyjaśniła. – Jako prezent. Ale ja go nie chcę. Powinien trafić do templariusza. Być może kogoś takiego jak ty.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Nie masz wyboru – powtórzyła. – Weź je, weź to wszystko. Zrób, co w twojej mocy, by położyć kres tej daremnej wojnie.

Popatrzyłam na nią i choć nie chciałam przerywać czaru chwili ani skłaniać jej do zmiany zdania, nie zdołałam się powstrzymać.

– Dlaczego pani to robi?

– Bo dość już rozlano krwi – odparła, odwracając się na pięcie, jakby nie mogła dłużej na mnie patrzeć, jakby wstydziła się swojej litości i żałowała, że nie ma dość sił, by kazać mnie zabić.

Potem zaś gestem kazała dwóm służącym odprowadzić Héléne i ucięła moje protesty.

– Nic się jej nie stanie. Nie chciała mówić, bo cię chroniła. Powinnaś być dumna, że budzisz taką lojalność wśród tych, którzy idą za tobą, Élise. Może użyjesz tych talentów, by wpłynąć na swoich templariuszy także w innych sprawach. Zobaczymy. Nie

oddaję ci tych listów lekką ręką. Mogę tylko mieć nadzieję, że przeczytasz je i weźmiesz sobie do serca ich treść.

Zostawiła mnie z listami na dwie godziny. Wystarczyło to, bym je przeczytała i postawiła własne pytania. Bym zrozumiała, że jest inna droga. Trzecia droga.

VI

Jennifer nie pożegnała się z nami. Wyprowadzono nas tylnymi drzwiami na dziedziniec, gdzie czekał powóz. Mills wsadził nas obie do środka i odjechałyśmy, nie zamieniając z nikim ani słowa.

Kareta trzęsła się i turkotała. Przy wtórze prychnania koni i podzwaniań uprząży jechałyśmy przez Londyn w stronę Mayfair. Na kolanach trzymałam pudełko z listami Haythama i naszyjnikiem, który podarowała mi Jennifer. Ścisnęłam je mocno, wiedząc, że stanowią klucz do marzeń o pokoju. Musiałam odwdziaczyć się Jennifer i dopilnować, by trafiły we właściwe ręce.

Siedząc obok mnie, Hélène milczała. Delikatnie pogładziłam jej dłoń, próbując ją uspokoić.

– Przepraszam, że cię w to wciągnęłam – powiedziałam.

– W nic mnie pani nie wciągnęła, *mademoiselle*. Przecież sama próbowała mi to pani wyperswadować.

Zachichotałam.

– Pewnie żałujesz teraz, że mnie nie posłuchałaś.

Odwróciła się od okna, za którym przesuwały się londyńskie ulice.

– Nie, *mademoiselle*, ani przez chwilę. Jakikolwiek spotka mnie los, będzie lepszy niż to, co ci ludzie planowali wobec mnie w Calais. To, przed czym mnie pani uratowała.

– Nawet jeśli, Hélène, to ten dług już został spłacony. Kiedy wrócimy do Francji, musisz pójść swoją drogą, jak wolna kobieta.

Po jej ustach przemknął cień uśmiechu.

– Jeszcze zobaczymy, *mademoiselle* – powiedziała. – Jeszcze

zobaczymy.

Kiedy powóz z turkotem wjechał na okolony drzewami plac w Mayfair, zobaczyłam pod oddalonym o mniej więcej pięćdziesiąt metrów domem Carrollów jakieś zamieszanie.

Załomotałam w klapę, dając woźnicy znak, by się zatrzymał. Konie zaprotestowały, stukając kopytami. Otworzyłam drzwi i stanęłam na stopniu, osłaniając oczy. Pod domem stały dwa powozy, wokół nich kłębili się służący Carrollów. Na schodach wejściowych stał pan Carroll, wkładając rękawiczki. W dół schodził pan Weatherall, zapinając frak. U jego boku wisiała szpada.

Interesujące. Służący również byli uzbrojeni, podobnie jak pan Carroll.

– Zaczekaj tu – zawołałam do woźnicy i cofnęłam się do powozu.

– Zaraz wrócę – powiedziałam cicho do Hélène, podkasałam spódnice i pośpiesznie pobiegłam w miejsce, z którego, osłonięta poręczą schodów, mogłam dokładniej przyjrzeć się karetom. Pan Weatherall stał plecami do mnie. Zwinęłam dłonie przy ustach i dałam nasz ustalony sygnał – naśladujący pohukiwanie sowy. Odetchnęłam z ulgą, kiedy pan Weatherall się odwrócił, pozostali zaś byli zbyt pochłonięci swoimi sprawami, by zastanawiać się, jak mogą słyszeć sowę tak wczesnym wieczorem.

Pan Weatherall rozejrzał się po placu, aż mnie wypatrzył. Zmienił pozycję, skrzyżował ręce na piersi, niby zwyczajnym gestem osłonił usta i samym ruchem ust zapytał: „Co ty tu, u diabła, robisz?”.

Bogu dzięki za nasze bezgłośne rozmowy i czytanie z ruchu warg.

– Nieważne. Gdzie jedziecie?

– Znaleźli Ruddocka. Zatrzymał się w karczmie Pod Dzikim przy Fleet Street.

– Potrzebuję swoich rzeczy – powiedziałam. – Z kufra.

Skinął głową.

– Przyniosę go i zostawię w stajni za domem. Nie ociągaj się, wyruszamy lada chwila.

Przez całe życie powtarzano mi, że jestem piękna, ale nigdy chyba tego faktu nie wykorzystałam – aż do tej chwili. Wróciłam do powozu, zatrzepotałam rzęsami i poprosiłam woźnicę, żeby przyniósł mój kufer ze stajni.

Kiedy wrócił, wysłałam go z powrotem na kozioł. Czując się tak, jakbym witała starego przyjaciela, zanurkowałam do kufra. Swojego prawdziwego kufra – tego, który należał do Élise de La Serre, a nie Yvonne Albertine. Jak zwykle przebrałam się w karecie. Zrzuciłam przeklętą sukienkę, odtrącając ręce Hélène, która próbowała mi pomóc.

Potem włożyłam swoje bryczesy i koszulę, pięścią przywróciłam kształt trikornowi i przypięłam broń. Plik listów wepchnęłam za pazuchę, całą resztę zostawiłam w powozie.

– Jedź do Dover – powiedziała Hélène, otwierając drzwi. – Masz wracać. Zdążysz na przypływ. Wsiadaj na pierwszy statek do Francji. Z Bożą pomocą tam się spotkamy.

Wychyliłam się do woźnicy.

– Zawieź ją do Dover!

– Płynie do Calais? – spytał, wybałuszywszy oczy, podobnie jak wszyscy inni, na widok mojego stroju.

– Tak jak i ja. Masz tam na mnie poczekać.

– Może złapać odpływ. Droga do Dover jest teraz zatłoczona.

– Doskonale – rzekłam i rzuciłam mu monetę. – Zaopiekuj się nią i wiedz, że jeśli spotka ją jakaś krzywda, znajdę cię.

Jego spojrzenie powędrowało do mojego oręza.

– Wierzę – powiedział. – Niech się pani nie obawia.

– Świetnie. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Zatem rozumiemy się.

– Na to wygląda.

Akurat.

Wzięłam głęboki oddech.

Miałam listy. Miałam szpadę i sakiewkę pełną pieniędzy. Cała reszta pojechała z Hélène.

Woźnica znalazł mi drugi powóz. Wsiadłam, odprowadzając wzrokiem odjeżdżającą Hélène i modląc się w duchu za jej bezpieczną podróż.

– Fleet Street, *monsieur* – powiedziałam do woźnicy. – I proszę nie oszczędzać koni.

Przytaknął z uśmiechem i ruszyliśmy. Opuściłam okno i spojrzałam w tył w samą porę, by ujrzeć, jak ostatni ludzie Carrollów szykują się do odjazdu. Obie karety ruszyły.

– *Monsieur!* – zawołałam przez klapę. – W pewnej odległości za nami jadą dwa powozy. Musimy dotrzeć na Fleet Street przed nimi.

– Tak, *mademoiselle* – odparł niewzruszenie i strzelił lejcami. Konie zarżały, ich kopyta zastukały szybciej o bruk, a ja usiadłam, ściskając dłońią rękojeść szpady, wiedząc, że wyścig się rozpoczął.

VII

Wkrótce zatrzymaliśmy się przed gospodą Pod Dzikim na Fleet Street. Zapłaciłam i pomachałam z wdzięcznością woźnicy, a potem, zanim zdążył otworzyć mi drzwi, wyskoczyłam na dziedziniec.

Pełno było na nim dyliżansów i koni, damy i panowie dyrygowali lokajami, którzy jęczeli pod ciężarem tobołów i skrzyń. Obejrzałam się. Ani śladu Carrollów. Dobrze. Miałam szansę znaleźć Ruddocka. Wśliznęłam się przez tylne drzwi do środka i ciemnym korytarzem przeszłam do głównej sali gospody – pogrążonej w półmroku, o niskim belkowanym sklepieniu. Podobnie jak w Pod Porożem w Calais rozbrzmiewał tu gwar głosów spragnionych podróżnych, a powietrze było siwe od dymu. Znalazłam karczmarza o ustach niknących pod fałdami policzków, z senną miną przecierającego ścierką cynowy dzban,

jakby śnił o lepszych czasach.

– Halo, dzień dobry. *Monsieur*?

Wciąż gapił się przed siebie. Strzeliłam palcami, zawołałam głośniej, przekrzykując hałas, i ocknął się.

– Czego? – warknął.

– Szukam człowieka, który tu mieszka, niejakiego pana Ruddocka.

Obwisłe policzki i fałdy skóry na jego szyi zadrżały.

– Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

– Może posługuje się fałszywym – powiedziałam z nadzieją. – Proszę, *monsieur*, to dla mnie bardzo ważne, żeby go znaleźć.

Spojrzał na mnie z większym zainteresowaniem.

– Jak wygląda ten pani Ruddock?

– Ubiera się jak doktor, *monsieur*, a przynajmniej tak był ubrany, kiedy widziałam go po raz ostatni, ale jedno, czego nie może zmienić, to charakterystyczny kolor włosów.

– Prawie zupełnie białe?

– Tak właśnie.

– Nie, nie widziałem go.

Mimo hałasu gospody usłyszałam odgłosy zamieszania na dziedzińcu i turkot kół powozów. Przyjechali Carrollowie.

Karczmarz zauważył moją reakcję. Jego oczy zalśniły.

– Widział go pan – nalegałam.

– Być może – powiedział i nie mrugnawszy okiem, wyciągnął rękę. Wsunęłam mu w nią srebrną monetę.

– Na górze. Pierwszy pokój po lewej. Posługuje się nazwiskiem Mowles, pan Gerard Mowles. Chyba powinna się pani pośpieszyć.

Hałasy na zewnątrz przybrały na sile; mogłam tylko mieć nadzieję, że przybyli zmitrzą trochę czasu, zbierając się i pomagając wysiąść pani Carroll oraz jej okropnej córce, zanim wmaszerują do karczmy niczym książęta. Mogłam więc...

Wbiec na górę. Pierwsze drzwi po lewej. Uspokoiliam oddech. Byłam na poddaszu, niemal muskając kapeluszem ukośne belki

stropu. Było tu ciszej, hałas z dołu zmienił się w szum gdzieś w tle, nic nie zwiastowało rychłego wtargnięcia.

Wykorzystałam tę ciszę przed burzą, żeby zebrać się w sobie, podniosłam rękę, by zapukać, zmieniłam zdanie i zamiast tego zajrzałam przez dziurkę od klucza.

Siedział na łóżku, z jedną nogą podwiniętą pod siebie, w spodniach i rozpiętej koszuli, ukazującej kościstą, owłosioną pierś. Choć nie wyglądał już jak doktor, nie mogłam nie rozpoznać tej grzywy białych włosów – to był on, człowiek, który nawiedzał mnie w koszmarach. Zabawna rzecz – upiór z mojego dzieciństwa wyglądał teraz zupełnie nieszkodliwie.

Z dołu dobiegło mnie jakieś zamieszanie – do środka wpadli Carrollowie. Usłyszałam podniesione głosy i pogróżki karczmarza wobec ich panoszenia się. Za chwilę Ruddock pojmie, co się dzieje, i stracę element zaskoczenia.

Zapukałam.

– Wejść – zawołał, czego się nie spodziewałam.

Kiedy weszłam, wstał na powitanie z ręką na biodrze; z zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że miała to być prowokująca poza. Przez chwilę oboje byliśmy zbici z tropu swoim widokiem: jego pozą z ręką na biodrze, moim nieoczekiwanym wtargnięciem.

W końcu się odezwał, głosem zaskakująco kulturalnym:

– Wybacz, ale nie wyglądasz na prostytutkę. To znaczy, bez urazy, jesteś bardzo atrakcyjna, ale nie przypominasz... prostytutki.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie, *monsieur*, nie jestem prostytutką. Jestem Élise de La Serre, córka Julie de La Serre.

Spojrzał wzrokiem nic nierozumiejącym i pytającym zarazem.

– Próbowałeś nas zabić – wyjaśniłam.

Rozdziawił usta.

VIII

– Ach – powiedział – dorostaś i przybyłaś się zemścić, tak?

Moja ręka spoczywała na rękojeści broni. Za sobą usłyszałam tupot butów na drewnianych schodach – to zbliżali się ludzie Carrollów. Zatrzasnęłam drzwi i zasunęłam skobel.

– Nie. Przybyłam uratować ci życie.

– Doprawdy? A to niespodzianka.

– Możesz się uważać za szczęściarza – rzekłam. Kroki słysząc było już tuż za drzwiami. – Uciekaj.

– Ależ nie jestem nawet odpowiednio ubrany.

– Uciekaj – powtórzyłam z naciskiem i wskazałam okno. Ktoś załomotał do drzwi, które zadygotały we framudze. Ruddockowi nie trzeba było powtarzać po raz trzeci. Przerzucił nogę przez parapet i znikł, zostawiając po sobie smród zastarzałego potu; usłyszałam, jak ześlizguje się po pochyłości dachu. W tym samym momencie drzwi puściły i do środka wpadli ludzie Carrollów.

Było ich trzech. Dobyłam broni, oni postąpili podobnie. Za nimi pojawił się pan Weatherall i troje Carrollów.

– Stać – zawołał pan Carroll. – Na Boga, to *mademoiselle de La Serre*.

Stałam plecami do okna. Pokój nagle zapełnił się ludźmi z rapierami w dłoniach. Za sobą usłyszałam tupot stóp uciekającego Ruddocka.

– Gdzie on jest? – spytał pan Carroll, choć nie tak nagłym tonem, jak mogłam się spodziewać.

– Nie wiem – odparłam. – Sama go szukałam.

Na gest pana Carrolla trzech mężczyzn opuściło broń. On sam zrobił zdziwioną minę.

– Rozumiem. Przybyłaś tu, szukając pana Ruddocka. Zdawało mi się jednak, że to my mieliśmy go szukać. W rzeczy samej, żyłem w przekonaniu, że kiedy będziemy się tym zajmować, ty będziesz w domu Jennifer Scott, zajmując się tam powierzonymi ci sprawami. Bardzo ważnymi dla templariuszy, prawda?

– I to właśnie robiłam – rzekłam.

– Rozumiem. Cóż, najpierw jednak bądź grzeczna i schowaj tę zabawkę.

– Właśnie z powodu tego, czego dowiedziałam się od Jennifer Scott, mój oręż pozostanie dobyte.

Uniósł brew. Pani Carroll skrzywiła się, May Carroll prychnęła. Pan Weatherall rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Rozumiem. Z powodu czegoś, co powiedziała ci Jennifer Scott, córka asasyna Edwarda Kenwaya?

– Tak – odparłam. Poczułam, że się czerwienię.

– A czy zamierzasz nam powiedzieć, co ta kobieta, wróg templariuszy, powiedziała ci na nasz temat?

– Że rozkazaliście zabić Monicę i Lucia.

Pan Carroll nieznacznie, smutno wzruszył ramionami.

– Ach, cóż, obawiam się, że to akurat prawda. Konieczność, aby nasz podstęp nie został zdemaskowany.

– Gdybym o tym wiedziała, nigdy nie zgodziłabym się wziąć w tym udziału.

Pan Carroll rozłożył ręce, jakby moja reakcja potwierdzała słuszność jego decyzji. Sztych mojej szpady nawet nie drgnął. Mogłam go przebić – w jednej chwili.

Ale gdybym to zrobiła, byłabym martwa, nim jeszcze upadłby na podłogę.

– Skąd wiedziałaś, żeby tu przyjechać? – spytał, rzucając spojrzenie panu Weatherallowi; bez wątpienia znał prawdę. Zobaczyłam, że pan Weatherall zgina i prostuje palce, gotów sięgnąć po broń.

– To bez znaczenia – odparłam. – Liczy się to, żebyście dotrzyмали swojej części umowy.

– W rzeczy samej, dotrzyмалиśmy – zgodził się. – Ale czy ty dotrzymałaś swojej?

– Kazaliście mi wydstać od Jennifer Scott pewne listy. Z moim i mojej służącej Hélène wielkim poświęceniem udało mi się tego

dokonać.

Carroll wymienił spojrzenia z żoną i córką.

– Czyżby?

– Nie dość tego, przeczytałam je.

Wykrzywił usta, jakby chcąc powiedzieć: „Tak? No i?”.

– Przeczytałam listy i wzięłam sobie do serca to, co miał do powiedzenia Haytham Kenway. A to, co miał do powiedzenia, dotyczyło zaprzestania wrogich działań między asasynami i templariuszami. Haytham Kenway – legenda templariuszy – miał wizję przyszłości, w której dwa zgromadzenia ze sobą współpracują.

– Rozumiem. – Pan Carroll pokiwał głową. – I przemówiło to do ciebie, tak?

– Tak – potwierdziłam, nagle nabierając co do tego pewności. – Tak. On tak twierdził i to mnie przekonuje.

Przytaknął.

– Istotnie, istotnie. Haytham Kenway był... odważny, przelewając te myśli na papier. Gdyby je znaleziono, byłby sądzony za zdradę Zakonu.

– Ale mógł mieć rację. Możemy czerpać nauki z jego pism.

Pan Carroll wciąż kiwał głową.

– W rzeczy samej, moja droga. Możemy. Bardzo mnie ciekawi, co miał do powiedzenia. Powiedz: czy masz może przypadkiem te listy przy sobie?

– Tak – odparłam ostrożnie. – Tak, mam.

– Och, wyśmienicie. To doprawdy świetnie. Czy mógłbym je zobaczyć, proszę?

Wyciągnął rękę. Uśmiechał się, ale uśmiech ten nie sięgał jego oczu.

Sięgnęłam pod koszulę, wyjęłam zza niej przyciśnięte do piersi listy i podałam mu je.

– Dziękuję – powiedział. Nie odrywając ode mnie wzroku, podał listy córce, która wzięła je i szeroko się uśmiechnęła. Wiedziałam,

co się teraz stanie. Byłam na to gotowa. I rzeczywiście, May Carroll cisnęła listy w ogień.

– Nie! – krzyknęłam i skoczyłam naprzód; ale nie do paleniska, jak się spodziewali, lecz do pana Weatheralla, łokciem uderzając jednego z muskularnych ludzi Carrollów. Krzyknął z bólu, zamachnął się i nagle, kiedy nasze ostrza się spotkały, w maleńkim pokoiku ogłuszająco zadźwięczała stal.

W tej samej chwili pan Weatherall dobył swojej szpady i zręcznie odparł cios drugiego z ludzi Carrollów.

– Stać – rozkazał pan Carroll i potyczka się zakończyła. Pan Weatherall i ja, zwrócenii plecami do okna, mieliśmy przed sobą trzech przeciwników; wszyscy ciężko dyszeliśmy i wpatrywaliśmy się w siebie gorejącym wzrokiem.

– Pamiętajcie, panowie – rzekł Carroll zduszonym głosem – że *mademoiselle* de La Serre i pan Weatherall pozostają naszymi gośćmi.

Nie czułam się bynajmniej jak gość. Ogień w kominku rozgorzał i przygasał, listy zmieniły się w szare, unoszące się w powietrzu płatki popiołu. Skontrolowałam swoją postawę: stopy rozstawione, ciężar równo rozłożony, oddech spokojny. Ręce zgięte w łokciach i blisko ciała. Sztych broni wymierzyłam w najbliższego przeciwnika i patrzyłam mu w oczy, pan Weatherall szachował drugiego. Trzeci? Cóż, w razie czego zajęłoby się nim to z nas, które miałyby lepszą sposobność.

– Dlaczego? – spytałam pana Carrolla, nie odrywając spojrzenia od najbliższego osiłka, mojego partnera w tym tańcu. – Dlaczego spaliliście listy?

– Bo nie może być pokoju z asasynami, Élise.

– Dlaczego?

Carroll uśmiechnął się z wyższością, przekrzywiając lekko głowę i splatając przed sobą dłonie.

– Nie rozumiesz, moja droga. Wojujemy z asasynami od wieków...

– Otóż to – przerwałam mu. – Dlatego należy temu położyć kres.

– Ucisz się, moja droga – powiedział, a od jego protekcyjnego tonu ścierpły mi zęby. – Różnice między naszymi zakonami są zbyt wielkie, wrogość zbyt głęboko zakorzeniona. Równie dobrze mogłabyś prosić żmiję i mangustę, żeby spotkały się na popołudniowej herbatce. Wszelkie rozmowy pokojowe przebiegałyby w atmosferze wzajemnej nieufności i przy wypominaniu zadawnionych krzywd. Każda strona podejrzewałaby drugą o podstęp. Nigdy do tego nie dojdzie. Tak, nie dopuścimy do szerzenia takich pomysłów – tu machnął ręką w stronę ognia – czy to będą pisma Haythama Kenwaya, czy mrzonki naiwnej młódki, której przeznaczeniem jest zostać wielką mistrzynią francuskich templariuszy.

Znaczenie jego słów uderzyło mnie jak młot.

– Mnie? Chcecie mnie zabić?

Wciąż przekrzywiając głowę, popatrzył na mnie smutno.

– To dla większego dobra.

Zjeżyłam się.

– Ależ jestem templariuszką.

Skrzywił się kwaśno.

– Cóż, zasadniczo niezupełnie, ale rozumiem, o co ci chodzi, i przyznaję, że ma to pewne znaczenie. Tyle że niewystarczające. Fakt pozostaje faktem, że rzeczy muszą pozostać takimi, jakie są. Nie zapamiętałaś tego z naszego pierwszego spotkania?

Spojrzałam na May Carroll. Z sakiewką zwisającą z palców odzianych w rękawiczkę przyglądała się nam tak, jakby to było wieczorne przedstawienie w teatrze.

– Och, doskonale pamiętam to spotkanie – powiedziałam panu Carrollowi. – Pamiętam, że matka bardzo szybko was odprawiła.

– Istotnie – odparł. – Twoja matka miała postępowe skłonności nieprzystające do naszych.

– Można by wręcz pomyśleć, że chcielibyście jej śmierci.

Na twarzy Carrolla odmalowało się zmieszanie.

– Słucham?

– Może chcieliście jej śmierci tak bardzo, że wynajęliście kogoś, żeby to załatwił. Na przykład byłego asasyna.

Klasnął w dłonie.

– Och, rozumiem. Masz na myśli zbiegłego pana Ruddocka?

– Właśnie.

– I myślisz, że to my go najęliśmy? Myślisz, że to my staliśmy za tą próbą zamachu? I dlatego, jak przypuszczam, pozwoliłaś mu zbiec?

Poczułam, że się czerwienię. Zdradziłam się. Pan Carroll znów klasnął w dłonie.

– Cóż, a to nie wy?

– Niezmiernie przykro mi cię rozczarować, moja droga, ale nie mieliśmy nic wspólnego z tamtym zajściem.

Zakłętałam w duchu. Jeśli mówił prawdę, to popełniłam błąd, ostrzegając Ruddocka. Nie mieli powodu, żeby go zabić.

– Rozumiesz więc nasz problem, Élise – ciągnął Carroll. – Teraz jesteś nisko postawioną templariuszką, która ma niebezpieczne pomysły. Któregoś dnia jednak zostaniesz wielką mistrzynią, a hołdujesz nie jednej, lecz dwóm zasadom sprzecznym z naszymi. Obawiam się, że wypuszczenie cię z Anglii nie wchodzi w rachubę.

Sięgnął do rękojeści broni.

Stężałam, próbując oszacować nasze szanse: ja i pan Weatherall przeciwko trzem muskularnym ludziom Carrollów i trójce ich samych.

Byliśmy w strasznych opałach.

– May – powiedział pan Carroll – zechcesz czynić honory? Możesz w końcu utoczyć komuś krwi.

May uśmiechnęła się usługnie do ojca, a ja zrozumiałam, że była taka sama jak ja: ćwiczyła szermierkę, ale nikogo jeszcze nie zabiła. Miałam być jej pierwszą ofiarą. Co za zaszczyt.

Stojąca za nią pani Carroll podała jej broń – krótki kordzik, taki

sam jak mój, wykuty specjalnie dla niej. Zalśnił zdobiony, łukowaty jelec; May wzięła broń z takim nabożeństwem, jakby to była relikwia.

– Jesteś gotowa, Śmierdzielu? – spytała, odwracając się do mnie.

Och tak, byłam gotowa. Pan Weatherall i matka zawsze mi powtarzali, że wszystkie pojedynki zaczynają się w głowie, a większość kończy wraz z pierwszym ciosem. Liczyło się to, kto go zada.

Dlatego zadałam go ja. Skoczyłam do przodu i wbiłam sztych w kark May Carroll, tak że ostrze wyszło jej ustami.

Pierwsza krew dla mnie. Nie było to honorowe zwycięstwo, ale w tej chwili honor był ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam. Bardziej skupiałam się na tym, żeby pozostać przy życiu.

IX

Córka nadziana na mój miecz – to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewali. Zobaczyłam, że pani Carroll szeroko otwiera oczy, a ułamek chwili później zaczyna krzyczeć.

Ja tymczasem, wykorzystując rozpęd, uderzyłam barkiem pana Carrolła, wyszarpując ostrze z karku May. Siła uderzenia rzuciła go w tył, na drzwi. May Carroll upadła, martwa, zanim dotknęła podłogi, barwiąc deski swoją krwią; pani Carroll sięgnęła do torebki, ale zignorowałam ją. Złapałam równowagę i odwróciłam się, oczekując na atak z tyłu.

Nadszedł. Biegnący na mnie muskularny miał na twarzy wymalowany strach i niedowierzanie; przytłoczył go nieoczekiwany bieg wypadków. Nisko na nogach sparowałam jego cios, jednocześnie półobrotem podcinając go; runął na podłogę.

Nie było czasu go dobijać. Pan Weatherall pod oknem walczył dzielnie, ale z trudem. Widziałam to w jego oczach – nadciągającą klęskę i zmieszanie, jakby nie rozumiał, dlaczego jego dwaj przeciwnicy wciąż są na nogach. Jakby nigdy wcześniej go to nie

spotkało.

Przeszyłam ostrzem jednego z nich. Drugi odskoczył, zaskoczony faktem, że nagle ma dwóch przeciwników zamiast jednego. Tymczasem pierwszy muskularny podniósł się jednak z podłogi, pan Carroll odzyskał równowagę i sięgał po broń, a pani Carroll w końcu wyciągnęła z torebki coś, co okazało się miniaturowym trójlufowym pistoletem; uznałam, że dość już igrania z losem.

Przyszła pora udać się w ślady pana Ruddocka.

– Okno! – krzyknęłam. Pan Weatherall rzucił mi spojrzenie mówiące: „Chyba żartujesz”, ja jednak pchnęłam go w pierś. Wypadł za okno, na opadający ukośnie dach.

W tym samym momencie rozległ się huk wystrzału, odgłos kuli uderzającej w coś miękkiego, a okno zasnuła krwawa mgiełka, jakby ktoś zasłonił je czerwoną koronką. Nie wiedząc, czy to ja sama zostałam trafiona, czy krew w oknie jest moja, rzuciłam się w otwór, spadłam na dach i na brzuchu zjechałam do pana Weatheralla, który zatrzymał się na krawędzi.

Zobaczyłam, że kula trafiła go w łydkę; nogawka bryczesów pociemniała od krwi. Przebierał butami po dachówkach, które obrywały się i spadały na dziedziniec. Z dołu dobiegały krzyki i tupot biegnących. Nad nami rozległ się krzyk i w oknie pojawiła się twarz pani Carroll – wykrzywiona z wściekłości i bólu. Pragnienie zabicia tej, która zamordowała jej córkę, przysłaniało jej wszystko inne – w tym fakt, że musi odsunąć się od parapetu, żeby jej ludzie mogli wyjść przez okno i nas dopaść.

Machnęła w naszą stronę pistoletem. Wyszczrzywszy wściekle zęby, wycelowała go we mnie. Nie mogła chybić, chyba że ktoś by ją szturchnął...

I dokładnie to się stało. Kula chybiła, odbiła się nieszkodliwie od dachówek obok nas.

Później, kiedy pędziliśmy do Dover konnym zaprzęgiem, pan Weatherall powiedział, że wystrzał z jednej lufy obrotowego

pistoletu często odpalał pozostałe i że niejednokrotnie kończyło się to paskudnie dla strzelającego.

To właśnie spotkało panią Carroll. Usłyszałam syk i trzask, pistolet zsunął się do nas po dachu, a pani Carroll wrzasnęła, kiedy jej dłoń nagle znalazła się cała w czerni prochu i czerwieni krwi.

Wykorzystałam tę sposobność, żeby przerzucić zdrową nogę pana Weatheralla przez krawędź dachu. Zawisł na opuszkach palców, skrzywił się z bólu, ale nie krzyknął, kiedy siłą zepchnęłam jego drugą nogę, a potem zawołałam: „Przepraszam”, przelazłam przez niego i zeskoczyłam w dół, na dziedziniec, roztrącając obserwatorów.

Nie spadliśmy z wysoka, ale mimo to straciliśmy na chwilę oddech. Pan Weatherall był mokry od potu; z bólu zagryzał zęby. Kiedy wstawał, ja porywałam powóz z koniem. Mój opiekun przykuśtykał i usiadł obok mnie.

Wszystko to trwało chwilę. Wypadliśmy przez bramę na Fleet Street. Spojrzałam w górę i ujrzałam twarze w oknie gościnnego pokoju. Wiedziałam, że zaraz ruszą w pościg, poganiałam więc konie najmocniej, jak śmiałam, w duchu obiecując im pyszną przekąskę, kiedy dotrzemy do Dover.

Ostatecznie zajęło nam to sześć godzin; mogłam dziękować Bogu przynajmniej za to, że na drodze za nami nie było ani śladu Carrollów. Nie ujrzałam ich aż do chwili, kiedy odbiliśmy od plaży wiosłową łodzią w kierunku pocztowca, który – jak nam powiedziano – miał właśnie podnieść kotwicę.

Nasi wiosłarze, stękając z wysiłku, wieźli nas na statek, a ja zobaczyłam dwie karety z herbem Carrollów, zatrzymujące się na drodze nad plażą. Odpływaliśmy, pochłaniało nas czarne jak atrament morze, nie mieliśmy żadnych lamp – wiosłarze kierowali się na światła pocztowca – toteż z brzegu nie było nas widać. My jednak widzieliśmy ich, niewyraźnych, ale oświetlonych blaskiem kołyszących się latarni, jak rozbiegli się

w poszukiwaniach.

Nie widziałam twarzy pani Carroll, ale mogłam sobie wyobrazić tę maskę nienawiści i rozpacz. Pan Weatherall, ledwie przytomny, ze zranioną nogą okrytą kocami podróżnymi, przyglądał mi się. Zobaczył, że pokazuję dyskretnie *bras d'honneur* i szturchnął mnie.

– Nawet gdyby cię widzieli, nie wiedzieliby, co robisz. Ten gest jest obraźliwy tylko we Francji. Spróbuj tego.

Wyprostował dwa palce. Zrobiłam to samo.

Pocztowiec był już niedaleko. Wyczuwałam w mroku jego zwalistą obecność.

– Będą cię ścigać, wiesz o tym – powiedział pan Weatherall z brodą na piersi. – Zabiłaś ich córkę.

– To nie wszystko. Wciąż mam ich listy.

– Te, które spalili, nie były prawdziwe?

– Moje stare listy do Arna.

– Może nigdy się o tym nie dowiedzą. Tak czy inaczej, będą cię ścigać.

Carrollowie zniknęli w mroku nocy. Anglia była już tylko ścianą olbrzymich, jaśniejących w blasku księżyca urwisk po lewej.

– Wiem – powiedziałam. – Będę gotowa.

– Oby.

9 kwietnia 1788

– Potrzebuję pomocy.

Padał deszcz, z rodzaju tych, które odczuwa się niczym nakłuwające skórę noże; taki, który zalewa oczy i chłoszcze plecy. Mokre włosy oblepiały mi głowę, a kiedy się odezwałam, woda chlustała mi z ust, ale przynajmniej nie było widać moich łez i smarków.

Stałam na schodach Maison Royale w Saint-Cyr, starając się nie upaść z wyczerpania. *Madame* Levene pobladła na mój widok, jakbym była duchem, który w środku nocy nawiedził szkolne progi.

Stojąc tam, za plecami mając powóz ze śpiącym czy nieprzytomnym panem Weatherallem, z Hélène wyglądającą niespokojnie przez okno, zastanawiałam się, czy podjęłam słuszną decyzję.

I przez chwilę, kiedy *madame* Levene stała tylko i mi się przyglądała, pomyślałam, że za te wszystkie kłopoty, których jej narobiłam, każe mi iść do diabła i zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Kto mógłby mieć do niej pretensje, gdyby tak zrobiła?

– Nie mam dokąd iść – powiedziałam. – Proszę, niech mi pani pomoże.

Nie zatrzasnęła drzwi. Powiedziała tylko:

– Moja droga, oczywiście.

A ja padłam jej w ramiona, na pół martwa ze zmęczenia.

10 kwietnia 1788

Czy żył kiedykolwiek człowiek odważniejszy niż pan Weatherall? W drodze do Dover ani razu nie krzyknął z bólu, ale zanim weszliśmy na pokład pocztowca, stracił sporo krwi. Na statku spotkałam Héléne. Skały Dover malały w oddali, czas spędzony w Londynie już stawał się wspomnieniem. Położyliśmy pana Weatheralla w odosobnionym kącie pokładu.

Héléne przyklękała przy nim i przyłożyła mu chłodne ręce do czoła.

– Anioł z ciebie – powiedział, uśmiechnął się do niej i zemdłał.

Zabandażowałyśmy go najlepiej, jak umiałyśmy, i kiedy przybiliśmy w Calais, odzyskał trochę sił. Ale wciąż cierpiał i, o ile się orientowałyśmy, kula wciąż tkwiła w jego nodze, a kiedy zmieniałśmy opatrunek, rana lśniła wilgotno, bez żadnych śladów gojenia.

W szkole była pielęgniarka, ale *madame* Levene sprowadziła z Châteaufort doktora, człowieka obeznanego z ranami wojennymi.

– Trzeba będzie ją obciąć, prawda? – spytał go pan Weatherall z łóżka. Całą piątką tłoczyliśmy się w jego pokoju.

Doktor pokiwał głową, a ja poczułam szczypanie łez w oczach.

– Nic się nie przejmuj – rzekł do mnie pan Weatherall. – Wiedziałem, że już po niej od momentu, kiedy mnie trafiła. Zjeżdżałem z tego przekłętego dachu we własnej krwi, z kulą w nodze i myślałem: „No tak, już po niej”. I proszę.

Spojrzał na lekarza i przełknął ślinę, w końcu okazując trochę strachu.

– Jest pan szybki?

Lekarz przytaknął.

– Radzę sobie z nogą w czterdzieści cztery sekundy – dodał

z pewną dumą.

Pan Weatherall był pod wrażeniem.

– Używa pan piły?

– Ostrej jak brzytwa.

Pan Weatherall z żalem wziął głęboki oddech.

– No to na co czekamy? – spytał. – Miejmy to już za sobą.

Jacques, nieślubny syn dyrektorki, i ja trzymaliśmy go, a doktor dotrzymał obietnicy – był szybki i dokładny, nawet kiedy pan Weatherall zemdlał z bólu. Po wszystkim owinał jego nogę w brązowy papier, a następnego dnia wrócił z parą kul.

2 maja 1788

Dla zachowania pozorów wróciłam do szkoły. Budziłam wielkie zainteresowanie innych uczennic, którym powiedziano, że odseparowano mnie ze względów dyscyplinarnych. Przez te ostatnie kilka miesięcy miałam być najbardziej obgadywaną uczennicą, tematem niezliczonych plotek: dochodziły mnie pogłoski, że uciekłam z jakimś dżentelmenem podłej konduity (nieprawda); że zaszłam w ciążę (nieprawda); że zaczęłam nocami uprawiać hazard w portowych barach (to, cóż, raz czy dwa mi się zdarzyło).

Nikt nie podejrzewał, że próbuję znaleźć człowieka, którego kiedyś wynajęto, by zabił mnie i moją matkę; że wróciłam z rannym panem Weatherallem i oddaną mi Hélène; że we troje mieszkaliśmy w domku ogrodnika z Jakiem.

Nie, nikomu to nie przyszło do głowy.

Czytałam listy Haythama Kenwaya ponownie. Napisałam do Jennifer Scott. Napisałam, jak mi przykro. „Przedstawiłam się”, opowiedziałam jej o swoim domu, o swoim ukochanym Arnie, o tym, jak kazano mi wyperswadować mu Credo i przekonać go do światopoglądu templariuszy.

Napisałam też oczywiście o listach Haythama i o tym, jak poruszyły mnie jego słowa. Napisałam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by doprowadzić do pokoju między naszymi zgromadzeniami, bo miała rację, tak jak miał ją Haytham: zbyt wielu już zginęło i przyszedł czas położyć temu kres.

6 grudnia 1788

Dziś wieczorem pojechałam z panem Weatherallem powozem do Châteaufort, do tamtejszego domu, który nazywał swoją „skrytką”.

– Muszę powiedzieć, że piękniejszy z ciebie stangret niż z młodego Jacques’a – oznajmił, siadając koło mnie. – Choć nie da się ukryć, że świetnie zna się na koniach. Nie musi używać bata, rzadko w ogóle korzysta z lejców. Siedzi po prostu z nogami w górze i pogwizduje, o tak...

Zagwizdał, naśladując swojego woźnicę. Cóż, nie byłam Jakiem i ścisnęłam mocno lejce, ale w czasie jazdy podziwiałam okolicę. Zima zadomowiła się na dobre, pola po obu stronach traktu prowadzącego do miasta były pokryte lodem, połyskującym pod nisko zawieszonymi kłębamii wczesnowieczornej mgły. Nie ulegało wątpliwości, że przyjdą ciężkie mrozy; wyglądając zza okna, zastanawiałam się, co czują pracujący na polach wieśniacy. Moja uprzywilejowana pozycja pozwalała mi dostrzegać piękno zimowego krajobrazu. Oni widzieli w nim tylko znój i wyrzeczenia.

– Co to za skrytka? – spytałam.

– Ha! – Weatherall zaśmiał się, zacierając ręce w rękawicach. Oddech parował mu znad postawionego kołnierza. – Widziałaś, by kiedyś do domu przyszła poczta? Nie. To dlatego, że odbieram listy tam. – Wskazał drogę przed nami. – Dzięki skrytce mogę załatwiać swoje sprawy, nie zdradzając naszego położenia. Oficjalna wersja brzmi tak, że kończysz swoją edukację, a ja jestem nie wiadomo gdzie. I na razie tak ma zostać. Dlatego muszę słać swoją korespondencję przez wielu pośredników.

– I kogo zamierza pan wystrychnąć na dudka? Kruki?

– Być może. Jeszcze nie wiemy, prawda? Wciąż nie

dowiedzieliśmy się, kto najął Ruddocka.

Zapadła niezręczna cisza. O podróży do Londynu nie rozmawialiśmy prawie wcale, unikając przede wszystkim dyskusowania o tym, jak niewiele z niej wyszło. Owszem, miałam listy i wróciłam jako inna, bardziej oświecona kobieta, ale nie zmieniało to faktu, że pojechaliśmy tam znaleźć Ruddocka, a nic takiego nie nastąpiło.

To znaczy, oczywiście, znaleźliśmy go. Tyle że puściłam go wolno. A jedyne informacje, jakie przy tym zdobyliśmy, to te, że Ruddock nie ubiera się już jak lekarz i że czasem posługuje się nazwiskiem Gerald Mowles.

– Nie będzie już więcej używał tego nazwiska, prawda? Musiałby być skończonym durniem – mruknął pan Weatherall, redukując liczbę posiadanych przeze mnie informacji do jednej.

Do tego, oczywiście, zabiłam May Carroll.

Przy kuchennym stole w domku ogrodnika zastanawialiśmy się, jak Carrollowie mogą na to zareagować. Przez jakiś miesiąc pan Weatherall pilnie śledził depesze i nie znalazł żadnej wzmianki o tym incydencie.

– Nie sądzę, by chcieli to nagłaśniać – rzekł. – Przecież próbowali zabić córkę wielkiego mistrza, przyszłą wielką mistrzynię. Niechby to spróbowali wyjaśnić. Nie. Carrollowie będą chcieli się zemścić, ale zrobią to potajemnie. Chcą śmierci twojej, mojej, może nawet Hélène. I prędzej czy później, najpewniej w chwili, kiedy najmniej się będziemy tego spodziewać, ktoś złoży nam wizytę.

– Będziemy gotowi na ich przyjęcie – odparłam. Pamiętałam jednak starcie Pod Dzikim, gdzie pan Weatherall był zaledwie cieniem dawnego siebie. Wino, wiek, utrata wiary w siebie, cokolwiek było przyczyną, nie był już świetnym wojownikiem. Teraz jeszcze stracił nogę. Ćwiczyłam z nim, a choć dalej uczył mnie szermierki, sam skupił się bardziej na kunszcie rzucania nożem.

Powitał nas widok trzech zamków Châteaufort. Na głównym placu zeskoczyłam z kozła, zdjęłam kule pana Weatheralla i pomogłam mu zsiąść.

Zaprowadził nas do sklepu na rogu.

– Sklep z serem? – spytałam, unosząc brew.

– Biedny Jacques nie znosi tego zapachu, muszę go zostawić na zewnątrz. Wejdiesz?

Uśmiechnęłam się szeroko i poszłam za nim. Pan Weatherall schylił się i zdjął kapelusz. Przywitał młodą sprzedawczynię za ladą, po czym poszedł w głąb sklepu. Powstrzymując chęć zakrycia ust ręką, poszłam za nim między półki uginające się od serowych kręgów. Pan Weatherall łapczywie wciągał gryzący smród.

– Czujesz? – spytał.

Trudno, żebym nie czuła.

– To jest ta skrytka, prawda?

– W istocie. Jeśli zajrzysz pod ten oto ser, może znajdziesz jakąś korespondencję do nas.

Wyjęłam pojedynczy list i mu go podałam. Zaczekałam, aż przeczyta.

– Dobrze – rzekł, skończywszy, złożył list i schował go za pazuchę. – Pamiętasz, jak mówiłem, że nasz przyjaciel Ruddock musiałby być cholernym głupcem, by znów posłużyć się nazwiskiem Gerald Mowles?

– Tak – odparłam ostrożnie, czując dreszczyk emocji.

– No, to jest. Jest cholernym głupcem.

12 stycznia 1789

Karczma Pod Zarzniętą Krową była ciemna i zadymiona – zapewne jak zwykle. Mimo hałasu mrok był przytłaczający. Wiesz, z czym mi się kojarzył? Z gospodą nazywaną przez nas Pod Porożem w Calais. Tyle że przeniesioną między surowe pola i jeszcze surowsze warunki życia pod Rouen.

Miałam rację. Przyszła ostra zima. Ostrzejsza niż kiedykolwiek.

Smród piwska wydawał się unosić nad wilgotnymi deskami podłogi niczym mgła; przesiąkły nim ściany, boazeria i stoły, przy których siedzieli pijący – choć akurat im to nie przeszkadzało. Niektórzy garbili się nad swoimi kuflami tak nisko, że rondami kapeluszy niemal dotykali blatów; rozmawiali przyciszonymi głosami i zabijali czas narzekaniem i plotkami. Inni siedzieli w grupach, grzechotali kośćmi w kubkach, śmiali się i żartowali. Łomotali pustymi kuflami w stoły i domagali się więcej piwa, które przynosiła im jedyna kobieta w sali, uśmiechnięta barmanka, równie wprawiona w dolewaniu trunków, jak w uskakiwaniu przed próbującymi ją obłapać męskimi ramionami.

Do tej właśnie gospody weszłam, uciekając przed kęsającym wiatrem, który wył i świstał nade mną, kiedy zamykałam z wysiłkiem drzwi. Stałam na progu i otrzepałam buty ze śniegu.

Miałam na sobie płaszcz sięgający prawie do ziemi i kaptur zakrywający twarz. Gwar karczmy nagle przycichł do stłumionego szmeru. Ronda kapeluszy opadły jeszcze niżej, wszyscy obejrżeli się w moją stronę.

Stukając obcasami o deski, ruszyłam przez salę do baru, przy którym stał barman, barmanka i dwóch stałych bywalców, ściskających kufle. Jeden gapił się w podłogę, drugi spoglądał na

mnie zimnymi oczami, zaciskając usta.

Zdjęłam z głowy kaptur, ukazując rude włosy, i potrząsnęłam głową, żeby je rozpuścić. Barmanka wydeła wargi, prawie odruchowo wsparła dłonie na biodrach i zakołysała piersiami.

Rozejrzałam się powoli po sali, dając wszystkim jasno do zrozumienia, że nie czuję się onieśmielona tym miejscem. Mężczyźni przyglądali mi się czujnie, już nie wpatrując się w blaty stołów, zafascynowani i zahipnotyzowani. Niektórzy oblizywali wargi, wielu poszturchiwało się znacząco, paru parsknęło śmiechem. Dobiegły mnie sprośne uwagi.

Zobaczyłam to wszystko, a potem odwróciłam się plecami do sali i podeszłam do baru, gdzie jeden z pijących zrobił mi miejsce. Drugi się jednak nie ruszył, stał tuż obok mnie, ostentacyjnie mierząc mnie wzrokiem.

– Dobry wieczór – powiedziałam do barmana. – Liczę, że będzie mógł mi pan pomóc. Szukam mężczyzny.

Powiedziałam to dość głośno, by usłyszała mnie cała karczma.

– No, to przyszedłś we właściwe miejsce – wycharczał obok mnie pijak o kartoflanym nosie, chociaż zwracał się do pozostałych, którzy ryknęli śmiechem.

Uśmiechnęłam się, ignorując go.

– Przedstawia się jako Bernard – dodałam. – Posiada pewne informacje, które są mi potrzebne. Powiedziano mi, że mogę go tu znaleźć.

Wszyscy obejrzeli się w kąt karczmy, gdzie z szeroko otwartymi oczami siedział Bernard.

– Dziękuję – rzekłam. – Bernardzie, wyjdźmy na zewnątrz, porozmawiamy.

Wpatrywał się we mnie, ale się nie poruszył.

– Chodź, Bernardzie, nie gryzę.

Wtem Kartoflanonosy odepchnął się od kontuaru i stanął przede mną. Jego spojrzenie nabrało ostrości, o ile było to w ogóle możliwe, ale uśmiechał się krzywo i lekko chwiały na nogach.

– Nie tak szybko, panienko – powiedział szyderczym tonem. – Bernard nigdzie nie pójdzie, zwłaszcza jeśli nam nie powiesz, o co ci chodzi.

Zmarszczyłam brwi i zmierzyłam go spojrzeniem.

– Czy jest pan krewnym Bernarda? – spytałam uprzejmie.

– Na to wygląda, że właśnie zostałem jego opiekunem – odparł.

– Bronię go przed rudą flądram, która trochę za wiele sobie wyobraża, jeśli wolno mi zauważyć.

Rozległy się śmiechy.

– Jestem Élise de La Serre z Wersalu – powiedziałam z uśmiechem. – Jeśli wolno mi zauważyć, to pan chyba trochę za wiele sobie wyobraża.

– Nie sądzę – prychnął. – Widzę to tak, że niedługo przyjdzie kryska na takich jak wy.

Ostatnie słowa rzucił za siebie, przez ramię, lekko bełkotliwie.

– Zdziwiłby się pan – odparłam spokojnie. – My, rude flądry, mamy w zwyczaju robić to, co sobie zamierzymy. W tym wypadku jest to rozmowa z Bernardem. Zamierzam z nim porozmawiać. Dlatego proponuję, by zajął się pan swoim piwem i nie wtrącał w moje sprawy.

– A jakie to sprawy? Widzę to tak, że jedyne sprawy, jakie może mieć kobieta w karczmie, to podawanie piwa, a obawiam się, że to stanowisko jest już zajęte.

Znów rozległy się śmiechy, tym razem wybijał się wśród nich głos barmanki.

– A może przysłaś nas zabawić? Nie tak, Bernardzie, zapłaciłeś za śpiewaczkę na wieczór? – Kartoflanonosy oblizał już i tak mokre usta. – A może za jakąś inną rozrywkę?

– Posłuchaj, jesteś pijany, zapominasz się, więc i ja zapomnę, co powiedziałeś, pod warunkiem jednak, że się odsuniesz.

Powiedziałam to jednak mocnym głosem, co nie uszło uwagi bywalców karczmy.

On jednak tego nie zauważył, nieświadom nagłej zmiany

atmosfery, zbyt dobrze się bawił.

– Może przyszedł tu zabawić nas tańcem – oznajmił głośno. – Co ty tam chowasz?

Nagłym ruchem sięgnął i złapał mój płaszcz.

Zamarł. Chwycił go za rękę. Zmrużyłam oczy. Kartoflanonosy odskoczył i wyrwał zza pasa sztylet.

– Proszę, proszę – powiedział głośno. – Wygląda na to, że ruda flądra ma szpadę. – Machnął nożem. – Po co ci szpada, *mademoiselle*?

Westchnęłam.

– Och, sama nie wiem. Na wypadek, gdybym musiała odkroić sobie sera? Co cię to zresztą obchodzi?

– Zabiorę ją, jeśli nie masz nic przeciwko – oznajmił. – Potem będziesz mogła iść swoją drogą.

Inni goście za jego plecami gapili się na nas szeroko otwartymi oczami. Niektórzy zaczęli się odsuwać, wyczuwając, że nieznajoma raczej nie odda broni po dobroci.

Zamiast tego po chwili udawanego zastanowienia sięgnęłam pod płaszcz. Kartoflanonosy pogroził mi sztyletem, ja jednak uspokajająco podniosłam rękę, a potem powoli odsunęłam poły płaszcza.

Pod spodem miałam skórzaną tunikę. U pasa widać było rękojeść mojej szpady. Chwycił ją, cały czas patrząc Kartoflanonosemu w oczy.

– Drugą ręką – polecił, zadowolony z własnej przebiegłości, i znów pogroził mi nożem.

Posłuchałam. Kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki powoli wyciągnęłam szpadę za rękojeść. Wysunęła się powoli z pochwy. Wszyscy wstrzymali oddech.

Wtedy nagłym ruchem nadgarstka podrzuciłam ją w górę, wyciągając do końca. W jednej chwili trzymałam ją w palcach, w następnej znikła.

To było mgnienie oka. Przez ułamek sekundy Kartoflanonosy

gapił się w miejsce, gdzie powinna być szpada, potem podniósł wzrok w porę, by zobaczyć, jak klinga opada ku jego ręce ze sztyletem.

Którą pośpiesznie cofnął. Szpada z hukiem wbiła się w drewno i utkwiała w nim, lekko wibrując.

Usta Kartoflanonosego zaczęły się już układać w grymas tryumfu, kiedy dotarło do niego, że odsłonił swoją lewą stronę, a jego nóż celuje w niewłaściwym kierunku, dając mi dość miejsca, aby zrobić wykrok, skrócić się w obrocie i rąbnąć go w nos przedramieniem.

Trysnęła krew, oczy uciekły mu w głąb czaszki. Opadł na kolana i zakołysał się. Oparłam but na jego piersi, by pchnąć go lekko w tył, ale rozmyśliłam się i zamiast tego kopnęłam go w twarz.

Upadł twarzą do przodu i znieruchomiał, był żywy, ale nieprzytomny.

Zapadła cisza, a ja skinęłam na Bernarda, a potem podniosłam szpadę. Zanim włożyłam ją do pochwy, Bernard już posłusznie gramolił się ze swojego miejsca.

– Bez obaw – powiedziałam.

Stanął kilka kroków ode mnie, przełykając ślinę.

– Nic ci nie grozi, chyba że zamierzasz nazwać mnie rudą flądram. – Przyjrzałam mu się. – Zamierzasz nazwać mnie rudą flądram?

Bernard, młodszy, wyższy i chudszy niż Kartoflanonosy, energicznie pokręcił głową.

– Dobrze, chodźmy więc na zewnątrz.

Rozejrzałam się, szukając innych zagrożeń.

Pijący, właściciel i barmanka – wszyscy nagle zaczęli studiować podłogę wokół swoich stóp. Zadowolona, wyprowadziłam Bernarda na zewnątrz.

– Dobrze – oznajmiłam, kiedy wyszliśmy. – Powiedziano mi, że możesz wiedzieć, gdzie znajdzie swojego przyjaciela. Posługuje się nazwiskiem Mowles.

14 stycznia 1789

I

Na wzgórzu wznoszącym się nad maleńką wioską pod Rouen trzech wieśniaków w skórzanych kaftanach śmiało się i żartowało. Potem na trzy cztery dźwignęli szubienicę na niski, drewniany podest.

Jeden z nich ustawił pod nią trójnogi stołek, a następnie pomógł kompanom przybijać podpory trzymające szubienicę w pionie. Wiatr niósł rytmiczne stukanie do miejsca, gdzie siedziałam na koniu – pięknym i łagodnym wałachu, którego nazwałam Czochrajem, na cześć naszego ukochanego i dawno nieżyjącego wilczarza.

U stóp wzgórza leżała wioska. Maleńka, przypominająca raczej zbiorowisko marnych chatynek, rozrzuconych wraz z karczmą wokół burego, błotnistej placyku; tak czy inaczej, jednak wieś.

Lodowaty deszcz przeszedł w miarową, równie lodowatą mżawkę, zerwał się mocny, przejmujący do kości wiatr. Wieśniacy czekający na placu owijali się ciaśniej szalami i ściągali koszule pod szyjami, czekając na dzisiejszą rozrywkę – egzekucję. Cóż mogło być lepszego? Nie ma to jak porządna egzekucja na szubienicy, kiedy mróz wydusił plony, pan podniósł czynsze, a król zamierzał nałożyć nowe podatki.

Z budynku, który jak się domyślałam, był aresztem, dobiegł jakiś hałas. Przemarznięci gapie odwrócili się i ujrzeli wychodzącego księdza w sutannie i czarnym kapeluszu, uroczystym głosem czytającego fragment Biblii. Za nim szedł strażnik więzienny, trzymający sznur, którego drugi koniec pętał ręce mężczyzny w kapturze. Prowadzony potykał się i ślizgał w błocie, śląc protesty bez jakiegoś konkretnego adresata.

– To chyba jakaś pomyłka! – krzyknął, tyle że po angielsku, nim

sobie uświadomił, że jest we Francji.

Wieśniacy przyglądali się, jak prowadzą go na wzgórze; niektórzy się żegnali, inni wznosili szydercze okrzyki. Nigdzie nie było widać ani żandarma, ani sędziego, ani żadnego przedstawiciela prawa. Na wsi tak najwyraźniej wyglądała sprawiedliwość. A mówili, że to Paryż jest niecywilizowany.

Prowadzonym mężczyzną był oczywiście Ruddock. Gdy patrzyłam ze wzgórza na niego, ciągniętego na jednym powrozie, by zawisnął na drugim, nie mogłam uwierzyć, że kiedyś był asasynem. Nic dziwnego, że jego Zakon się od niego odżegnywał.

Odrzuciłam kaptur i potrząsnęłam głową, rozpuszczając włosy. Popatrzyłam na Bernarda, który stał obok i patrzył na mnie, w jego szeroko otwartych oczach widziałam uwielbienie.

– Idą, *mademoiselle* – powiedział. – Tak jak obiecałem.

Wyciągnęłam ku niemu sakiewkę, ale cofnęłam ją, kiedy po nią sięgnął.

– To na pewno on? – spytałam.

– We własnej osobie, *mademoiselle*. Człowiek, który przedstawia się jako *monsieur* Gerald Mowles. Mówią, że próbował wyłudzić pieniądze od jakiejś staruszki, ale złapano go, zanim zdołał wyjechać.

– A potem skazano go na śmierć.

– Zgadza się, *mademoiselle*, wieśniacy skazali go na śmierć.

Zaśmiałam się krótko i spojrzałam na ponurą procesję, która dotarła już do wzgórza i wspinała się ku szubienicy. Pokręciłam głową, myśląc o tym, jak nisko Ruddock upadł; zastanawiałam się, czy nie lepiej byłoby zrobić światu przysługę i pozwolić mu zawisnąć. W końcu to był człowiek, który próbował zabić mnie i moją matkę. Przypomniałam sobie słowa pana Weatheralla, kiedy wyruszałam: „Jeśli go znajdziesz, zrób mi tę przysługę i go tu nie przyprowadzaj”.

Spojrzałam na niego uważnie.

– Czemuż to, panie Weatherall?

– Cóż, z dwóch powodów. Po pierwsze, bo to nasza kryjówka i nie chcę, by się o niej dowiedział jakiś hultaj, który sprzedaje swoje usługi temu, kto da więcej.

– A po drugie?

Poruszył się niespokojnie i podrapał w kikut nogi, co weszło mu ostatnio w zwyczaj.

– Po drugie dużo myślałem o panu Ruddocku. Może nawet za dużo, a co za dużo, to niezdrowo... I chyba to jego za to obwiniam.

– Wskazał nogę. – Poza tym, cóż, próbował zabić ciebie i Julie i nigdy mu tego nie wybaczyłem.

Odchrząknęłam.

– Panie Weatherall, czy kiedykolwiek doszło do czegoś między panem i moją matką?

Uśmiechnął się i postukał palcem w bok nosa.

– Prawdziwy dżentelmen nigdy nie zdradza takich rzeczy, Élise, powinnaś wiedzieć.

Miał jednak rację. Ten człowiek na nas napadł. Oczywiście, zamierzałam wyratować go od stryczka, ale tylko dlatego, że chciałam się czegoś od niego dowiedzieć. Co jednak potem? Czy zemszczę się na nim?

Zboczem powoli wspinała się grupa kobiet. Ruddock, wciąż zapewniając o swojej niewinności, był wleczony na szubienicę, odcinającą się na tle szarego zimowego nieba.

– Co one robią? – spytałam Bernarda.

– To bezpłodne kobiety, *mademoiselle*. Mają nadzieję, że dotykając ręki skazańca, będą mogły począć.

– Zabobonny z ciebie człowiek, Bernardzie.

– To żaden zabobon, jeśli coś jest prawdą, *mademoiselle*.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, co się działo w jego głowie. Skąd u tych ludzi takie średniowieczne przesady?

– Chce pani uratować *monsieur* Mowlesa, *mademoiselle*? – spytał.

– W istocie.

– No, to lepiej niech się pani pośpieszy, już zaczęli.

„Co?” Odwróciłam się w siodle i zobaczyłam, jak jeden ze skórzanych kaftanów wyciąga stołek, a Ruddock spada i zawisa, szarpnięty przez sznur.

– *Mon dieu!* – zakląłam i ruszyłam z boczem, nisko pochylona w siodle, z wiatrem we włosach.

Ruddock szarpał się i wił na stryczku.

– Ha! – Popędziłam konia. – Dalej, Czochraju!

Pędziłam galopem w stronę szubienicy, na której Ruddock rozpaczliwie przebierał nogami. Dobyłam szpady.

Puściłam wodze i wyprostowałam się w siodle. Przerzuciłam szpadę z prawej do lewej ręki, przełożyłam ją na drugą stronę ciała, jednocześnie wyciągając prawe ramię. Wychyliłam się z siodła niebezpiecznie.

Ruddock szarpnął się ostatni raz.

Zamachnęłam się i przecięłam linę, jednocześnie chwytając wisielca. Przerzuciłam go przez kłęb Czochraja, modląc się w duchu, by koń udźwignął ten nieoczekiwany ciężar. Z boską pomocą i być może dzięki odrobinie szczęścia nie przewrócimy się.

„Dalej, Czochraju!”

Ale nagły balast okazał się zbyt ciężki dla mojego konia. Nogi się pod nim ugięły i wszyscy runęliśmy na ziemię.

W jednej chwili poderwałam się na nogi ze szpadą w dłoni. Jakiś wieśniak, rozwścieczony nieudaną egzekucją, wybiegł z tłumu w moją stronę, kopnęłam go jednak z półobrotu, zamierzając raczej ogłuszyć go, niż poważnie skrzywdzić. Poleciał z powrotem w ciżbę. Pozostali nie palili się już tak, by mnie powstrzymać; stali tylko i mamrotali ponuro. Kobiety pokazywały mnie palcami, wołały: „Ej, tak nie można!”, i szturchały swoich mężów, by coś zrobili. Ci zaś oglądali się na księdza, który przybrał jedynie zatroskaną minę.

Czochraj niezgrabnie podniósł się na nogi. Podobnie jak

Ruddock, który natychmiast rzucił się do ucieczki. Wciąż w kapturze, spanikowany, popędził w złym kierunku, z powrotem ku szubienicy. Miał związane ręce, odcięty sznur tańczył mu na plecach.

– Uważaj! – próbowałam go ostrzec. On jednak z głuchym łoskotem zderzył się z podestem, odbił się od niego i z krzykiem bólu padł na ziemię. Leżał tam i kaszłał, wyraźnie coś mu się stało.

Odrzuciłam płaszcz, schowałam szpadę i złapałam wodze Czochraja. Obejrzałam się na tłum wieśniaków i wypatrzyłam stojącego z przodu młodego chłopaka.

– Ty tam – powiedziałam. – Wyglądasz mi na krzepkiego młodzieńca. Pomożesz mi się pozbierać. Tego półprzytomnego człowieka na konia, proszę uprzejmie.

– Ej, nie możesz... – Stojąca obok starsza kobieta chciała zaprotestować, ale przerwała, kiedy moja szpada dotknęła jej gardła. Popatrzyła na mnie pogardliwie. – Takim jak ty wydaje się, że mogą robić, co chcą, prawda? – powiedziała kpiąco.

– Doprawdy? To powiedz, jakim prawem skazaliście tego człowieka na śmierć? Macie szczęście, że nie doniosę na was żandarmom.

Wieśniacy, wyraźnie zakłopotani, pochrząkiwali ze wstydem, a kobieta pod moim ostrzem odwróciła wzrok.

– A teraz macie mi pomóc go podnieść.

Chłopak zrobił, co mu kazałam.

Upewniwszy się, że Ruddock nie spadnie, dosiadłam Czochraja i zawróciłam go. Napotkawszy spojrzenie młodego wieśniaka, który mi pomógł, puściłam do niego oko i oddaliłam się.

Jechałam wiele kilometrów. Na drodze było dużo ludzi, głównie śpieszących się do domu przed zmrokiem, ale nie zwracali na mnie uwagi. Może dochodzili do wniosku, że jestem udręczoną żoną, wiozącą swojego pijanego męża do domu z karczmy. A jeśli tak – cóż, nie da się ukryć, Ruddock dręczył mnie od bardzo

dawna.

Przerzucone przez koński grzbiet ciało zaczęło charczeć. Zsiadłam, położyłam więźnia na ziemi, sięgnęłam po bukłak z wodą i przykucnęłam nad nim. Bił od niego okropny smród.

– Witaj ponownie – powiedziałam, kiedy otworzył oczy i spojrzał na mnie nieprzytomnie. – To ja, Élise de La Serre.

Jęknął.

II

Ruddock próbował podeprzeć się łokciami, ale był słaby jak kocię. W pozycji kucznej, bez wysiłku przytrzymałam go na ziemi samymi czubkami palców, drugą dłoń kładąc na rękojeści szpady.

Przez chwilę wił się żałośnie, bardziej przypominając dziecko w ataku złości niż kogoś, kto próbuje uciec z niewoli.

W końcu znieruchomiał i popatrzył na mnie z niechęcią.

– Czego chcesz? – spytał urażonym tonem. – Nie chcesz mnie zabić, bo już byś to uczyniła...

Coś mu przyszło do głowy.

– O nie – jęknął. – Nie ratowałaś mnie chyba po to, żeby mieć przyjemność zabicia mnie osobiście? Przecież to by było okrutne i nieludzkie. Nie zamierzasz chyba tego zrobić, co?

– Nie – odparłam. – Nie zamierzam. Jeszcze nie.

– To czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, kto cię wynajął, żebyś zabił mnie i moją matkę w Paryżu, w siedemdziesiątym piątym.

Prychnął z niedowierzaniem.

– A jak ci powiem, wtedy mnie zabijesz.

– Co ty na to: zabiję cię, jeśli nie powiesz?

Odwrócił głowę.

– A jeśli nie wiem?

– Wtedy będę cię torturowała tak długo, aż mi powiesz.

– To wskażę kogokolwiek, żebyś mnie wypuściła.

– Dowiem się, że mnie okłamałeś, i znów zacznę cię szukać,

a znalazłam cię już dwa razy, panie Ruddock, więc znajdę i trzeci, a potem i czwarty, a jeśli będzie trzeba, to i piąty. I nie będziesz miał spokoju, dopóki nie dostanę tego, czego chcę.

– Ha, do kroćset – zaklął. – Czym sobie na to zasłużyłem?

– Próbowałeś zabić moją matkę i mnie.

– Cóż, owszem – przyznał. – Ale nie udało mi się, prawda?

– Kto cię wynajął?

– Nie wiem.

Podniosłam się na kolano, wyciągnęłam szpadę i przystawiłam mu ją do twarzy, tuż pod okiem.

Jego oczy zatańczyły, jakby próbował skupić wzrok na czubku ostrza.

– Przysięgam – zaskowyczał. – Przysięgam, że nie wiem!

Zakręciłam lekko klingą.

– Mężczyzna! – zapiszczał. – Mężczyzna w kawiarni w Paryżu.

– W której kawiarni?

– Café Procope.

– Jak się nazywał?

– Nie powiedział.

Przeciągnęłam ostrzem po jego prawym policzku, rozcinając skórę. Wrzasnął. Choć w duchu się wzdrygnęłam, zachowałam obojętną – czy nawet okrutną – minę kogoś, kto jest zdeterminowany dostać to, czego chce. Mimo że dręczyło mnie nieprzyjemne uczucie, wrażenie, że oto kończy się trwające dziesięć lat szukanie wiatru w polu.

– Przysięgam. Przysięgam. Nie znałem go. Nie przedstawił się, nie pytałem. Wziąłem połowę pieniędzy z góry, miałem wrócić po resztę po robocie. Ale oczywiście nie wróciłem.

Z rezygnacją uświadomiłam sobie, że nie kłamie: czternaście lat temu anonimowy człowiek wynajął innego anonimowego człowieka do wykonania zadania. I na tym ta historia się kończyła.

Miałam w rękawie jeszcze jeden blef. Wstałam, nie cofając

szpady z twarzy Ruddocka.

– W takim razie pozostaje mi tylko zemścić się za to, co zrobiłeś w siedemdziesiątym piątym.

Wytrzeszczył oczy.

– Och, na Boga, ty rzeczywiście chcesz mnie zabić.

– Tak.

– Mogę się dowiedzieć – powiedział szybko. – Mogę się dowiedzieć, kim był ten człowiek. Dowiem się tego dla ciebie.

Przyjrzałam się mu uważnie, jakbym się zastanawiała, choć w rzeczywistości nie miałam zamiaru go zabijać. Nie w ten sposób. Nie z zimną krwią.

– Oszczędzę cię – oznajmiłam w końcu – żebyś mógł zrobić to, co obiecałeś. Wiedz jednak, Ruddock, że chcę to od ciebie usłyszeć za sześć miesięcy. Sześć miesięcy. Znajdziesz mnie w posiadłości La Serre'ów na Wyspie Świętego Ludwika w Paryżu. Niezależnie od tego, czy się czegoś dowiesz, czy nie, masz do mnie przyjechać, inaczej resztę żywota spędzisz, czekając, aż wyłonię się z ciemności i poderżnę ci gardło. Czy wyrażam się jasno?

Schowałam szpadę i dosiadłam Czochraja.

– W tamtym kierunku, trzy kilometry stąd, jest miasteczko – wskazałam. – Do zobaczenia za sześć miesięcy, Ruddock.

Odjechałam. Kiedy byłam już poza zasięgiem wzroku Ruddocka, zgarbiłam się.

Wiatr w polu. Dowiedziałam się tylko tyle, że nie było się czego dowiadywać.

Czy jeszcze kiedyś zobaczę Ruddocka? Wątpię. Nie wiedziałam, czy moja groźba, że go znajdę, jest prawdą, wiedziałam tylko, że tak jak większość rzeczy w życiu łatwiej coś powiedzieć, niż wykonać.

4 maja 1789

Obudziłam się wcześniej rano, ubrałam i poszłam do kufra, czekającego na mnie przy frontowych drzwiach domku. Miałam nadzieję wysliznąć się po cichu, ale kiedy przekradłam się do sieni, wszyscy tam byli: *madame* Levene, Jacques, Hélène i pan Weatherall.

Ten ostatni wyciągnął rękę. Popatrzyłam na niego pytająco.

– Szpada. – Wskazał. – Możesz ją tu zostawić. Zaopiekuję się nią.

– Ale wtedy nie będę miała...

Sięgnął po inną broń. Wetknął sobie kule pod pachy i podał mi ją.

– Kordelas – stwierdziłam, obracając go w rękach.

– Tak jest – powiedział pan Weatherall. – Wyśmienita broń do walki. Lekka i poręczna, świetna w bliskim zwarciu.

– Jest piękny.

– Żebyś wiedziała, że jest piękny. I taki pozostanie, jeśli będziesz o niego dbać. I nie nadawaj mu imienia, słyszysz?

– Obiecuję – odparłam i wspierałam się na palce, by cmoknąć go w policzek. – Dziękuję, panie Weatherall.

Zaczerwienił się.

– Jesteś już dorosłą kobietą, Élise. Dorosłą kobietą, która uratowała mi życie. Możesz przestać zwracać się do mnie „panie Weatherall”. Dla ciebie jestem Freddie.

– Zawsze będzie pan dla mnie panem Weatherallem.

– Ha, jak tam sobie chcesz – odparł, niby się zzymając, jednocześnie zaś ukradkiem wycierając łzę z oka.

Ucałowałam *madame* Levene i podziękowałam jej za wszystko. Z lśniącoymi oczami odsunęła mnie na długość ramienia, jakby chcąc mi się przyjrzeć.

– Poprosiłam, abyś wróciła z Londynu odmieniona, i jestem

z ciebie dumna. Pojechałaś tam jako gniewna dziewczyna, a wróciłaś już jako młoda kobieta. Przynosisz chlubę Maison Royale.

Odrzuciłam wyciągniętą dłoń Jacques'a; objęłam go i ucałowałam tak mocno, że się zarumienił i zerknął z ukosa na Hélène. W jednej chwili zdałam sobie sprawę z łączącej ich więzi.

– To piękny chłopak – szepnęłam Hélène do ucha, całując ją na pożegnanie. I kaktus mi tu wyrośnie, jeśli nie będą razem, kiedy znów tu wrócę.

Włożyłam kapelusz i schyliłam się po kufer. Jacques przyskoczył, by mi go zabrać, ale powstrzymałam go.

– To bardzo miło z twojej strony, Jacques'u, ale chcę wyjść do powozu sama.

I tak zrobiłam. Zniosłam kufer na drogę za bramą Maison Royale. Gmach szkoły przyglądał mi się ze wzgórze; zamiast niechęci, jaką kiedyś dostrzegałam w tym spojrzeniu, teraz ujrzałam w nim pociechę i obronę – które porzucałam.

Z Maison Royale do domu nie było oczywiście daleko. Ledwie zdążyłam się wygodnie umościć, a wjechaliśmy między szpalery drzew podjazdu naszego pałacyku. Dom ze swoimi basztami i wieżyczkami wyglądał niczym warownia, majestatycznie królował nad ogrodami, rozciągającymi się we wszystkich kierunkach.

Na spotkanie wyszedł mi Olivier, w środku zaś przywitali służący. Niektórych z nich znałam dobrze – na widok Justine wróciły wspomnienia o matce – innych widziałam po raz pierwszy. Kiedy zaś zaniesiono kufer do mojego pokoju, poszłam przejść się po domu. Wracałam tu oczywiście podczas szkolnych wakacji, nie mogę więc powiedzieć, że był to wielki powrót po latach. Mimo to jednak tak się właśnie czułam. I po raz pierwszy od lat weszłam na piętro, do sypialni matki.

Sprzątano w niej, ale poza tym niczego nie zmieniono, unosił się więc w niej wciąż wyraźny, wręcz obeszwałniający duch jej

obecności, jakby w każdej chwili mogła wejść, zobaczyć mnie siedzącą na skraju jej łóżka, usiąść obok i objąć mnie ramieniem. „Jestem z ciebie bardzo dumna, Élise. Oboje jesteście”.

Siedziałam tak przez chwilę, wyobrażając sobie uścisk jej ramienia. Dopiero łaskotanie łez na policzkach uświadomiło mi, że płaczę.

5 maja 1789

I

Na dziedzińcu Hôtel des Menus-Plaisirs w Wersalu król wygłosił przemówienie do liczącego tysiąc sześćset czternaście osób zgromadzenia Stanów Generalnych. Reprezentanci trzech stanów – duchowieństwa, szlachty i pospółstwa – zebrali się oficjalnie po raz pierwszy od 1614 roku. Olbrzymia sklepiona sala była pełna, rzędy wyczekujących Francuzów słuchały z nadzieją, że król powie coś – cokolwiek – co pomoże wydobyć ojczyznę z bagna, w którym ugrzęzła. Coś, co wskaże drogę.

Podczas przemówienia siedziałam obok swojego ojca. Na początku oboje byliśmy pełni nadziei, która szybko się rozviała – nasz umiłowany władca nudził i nudził, nie mówiąc nic istotnego, nic, co byłoby pociechą dla uciśnionego stanu trzeciego.

Po drugiej stronie przejścia siedziały stłoczone kruki. Lafrenière, Le Peletier, Sivert i *madame* Levesque, z minami równie ponurymi jak czerń ich strojów. Siadając, podchwyciłam ich spojrzenia i ukłoniłam się zdawkowo, maskując prawdziwe uczucia fałszywym uśmiechem. W odpowiedzi pokiwali głowami, uśmiechając się równie nieszczerze. Czułam na sobie ich badawcze spojrzenia.

Udałam, że przyglądam się czemuś na podłodze i zerknęłam na nich niepostrzeżenie spod opadających loków. *Madame* Levesque szeptała coś do Siverta. On pokiwał głową.

Kiedy nudne przemówienie się zakończyło, stany zaczęły się przekrzykiwać. Ojciec i ja wyszliśmy z Hôtel des Menus-Plaisirs, odesłaliśmy kareta i ruszyliśmy wzdłuż avenue de Paris. Po chwili skręciliśmy na dróżkę prowadzącą na trawniki rozciągające się za

naszym pałacym.

Gawędziliśmy o błahostkach. Ojciec pytał o mój ostatni rok w Maison Royale, ale ja pokierowałam rozmowę na mniej ryzykowne i kłamliwe wody. Wspominaliśmy czasy, kiedy żyła matka i kiedy w naszym domu pojawił się Arno. Potem, kiedy zostawiliśmy za sobą tłumy, po jednej stronie mając rozległe pola, po drugiej – bryłę pałacu, ojciec w końcu poruszył najważniejszy temat: moje niepowodzenie w sprowadzaniu Arna na właściwą drogę.

– Masz na myśli jego indoktrynację – powiedziałam, kiedy tylko o tym wspomniał.

Ojciec westchnął. Miał na głowie swój ulubiony kapelusz, czarny z bobrzego futra. Zdjął go teraz, najpierw podrapał się w perukę, co go zirytowało, potem przeciągnął dłonią po czole i obejrzał ją, jakby spodziewał się ujrzeć ją mokrą od potu.

– Czy muszę ci przypominać, Élise, jak realne jest niebezpieczeństwo, że asasyni dotrą do Arna pierwsi? Zapominasz, że spędziłem z nim bardzo dużo czasu. Jestem świadom jego możliwości. Jest... utalentowany. Może być tylko kwestią czasu i asasyni też to zwęszą.

– Ojcze, a gdybym wciągnęła Arna do Zakonu...

Zaśmiał się krótko, bez radości.

– Powiedziałbym, że najwyższa pora.

– Mówisz, że jest utalentowany – brnęłam dalej. – A gdyby Arno zdołał jakimś sposobem połączyć oba creda? Co jeśli właśnie on jest zdolny tego dokonać?

– Pisałaś o tym w swoich listach – wspomniał ojciec, w zadumie kiwając głową.

– Dużo o tym myślałam.

– Widzę. W twoich pomysłach znać było pewien młodzieńczy idealizm, ale też... dojrzałość.

Złożyłam w duchu dzięki (i przeprosiny) Haythamowi Kenwayowi.

– Być może zainteresuje cię, że mam się spotkać z wielkim mistrzem asasynów, hrabią Mirabeau – ciągnął ojciec.

– Naprawdę?

Przyłożył palec do ust.

– Tak, naprawdę.

– Bo uważasz, że nasze dwa zakony mogą zacząć rozmowy? – spytałam, już szeptem.

– Bo uważam, że możemy znaleźć płaszczyznę porozumienia w kwestii przyszłości naszego kraju.

Być może, drogi pamiętniku, zastanawiasz się, czy mój zwrot ku idei pojednania asasynów i templariuszy miał coś wspólnego z faktem, że ja byłam templariuszką, a Arno asasynem.

Odpowiedź brzmi „nie”. Wizje przyszłości, jakie hołubiłam, miały na celu dobro nas wszystkich. Gdyby jednak oznaczało to, że Arno i ja możemy być razem, że między nami nie będzie fałszu ani kłamstw, to oczywiście ucieszyłabym się. Ale to byłby wyłącznie miły efekt uboczny. Przysięgam.

II

Później w Paryżu odbyła się ceremonia – moje przyjęcie do Zakonu. Ojciec założył ceremonialny strój wielkiego mistrza: długi, podbity gronostajami płaszcz i jedwabną stułę, którą zawiesił sobie na szyi. Guziki jego kamizelki i sprzączki butów były wyczyszczone do połysku.

Kiedy wręczał mi szpilkę, symbol inicjacji, popatrzyłam w jego roześmiane oczy; był tak przystojny, tak dumny.

Nie miałam pojęcia, że po raz ostatni widzę go żywego.

Podczas ceremonii inicjacji nikt by nie powiedział, że się nie zgadzaliśmy. Zamiast znużenia w jego oczach lśniła duma. Nie byliśmy sami, oczywiście. Były tam budzące postrach kruki i inni rycerze Zakonu; uśmiechali się niewyraźnie i składali nieszczerze gratulacje, ale ceremonia należała do rodziny La Serre'ów. Kiedy w końcu mianowali mnie rycerzem zakonu templariuszy, czułam,

że czuwa nade mną duch matki, i poprzysięgam dbać o dobre imię rodu.

III

Później, na „prywatnym przyjęciu” wydanym z okazji mojego pasowania, przechadzałam się między gośćmi i czułam się zupełnie odmieniona. Owszem, może myśleli, że nie słyszę, jak plotkują za swoimi wachlarzami, opowiadają sobie nawzajem, jak to całymi dniami piłam i hulałam. Szepczą o tym, jak im żal mojego ojca. Pogardliwie komentują moje ubranie.

Ich słowa spływały po mnie jak woda po gęsi. Moja matka nie znosiła dworskich dam i wychowała mnie tak, bym nie przywiązywała wagi do tego, co mówią. Dobrze wyszłam na jej naukach. Nie mogą sprawić mi przykrości.

A potem zobaczyłam jego – Arna.

IV

Uciekłam przed nim, naturalnie, po części przez pamięć o starych czasach, ale też po to, by dać sobie czas na przygotowanie się do spotkania po latach.

Ach. Wyglądało na to, że obecność Arna na przyjęciu nie była oficjalnie zaakceptowana, albo też, jak to on, narobił sobie wrogów. O ile go znałam, najpewniej chodziło o jedno i drugie. Szłam szybko korytarzami, podkasując spódnicę, wymijając gości, nie pozwalając mu się dogonić; sprawialiśmy wrażenie jakiegoś pochodu.

Oczywiście dopiero co przyjęta do zakonu córka wielkiego mistrza nie powinna być widziana, jak bierze udział w takiej scenie czy choćby pochwała na takie zachowanie. (Widzi pan, panie Weatherall? Widzisz, ojcze? Dojrzywałam. Dorastałam). Dlatego postanowiłam zakończyć tę gonitwę, skręciłam do pierwszego z brzegu pokoju, zaczekałam, aż się zjawi Arno,

i wciągnęłam go do środka. W końcu stanęliśmy twarzą w twarz.

– Narobiłeś, zdaje się, sporego zamieszania – powiedziałam, napawając się jego widokiem.

– Co mogę powiedzieć? – odparł. – Zawsze miałaś na mnie zły wpływ...

– Ty gorszy.

Pocałowaliśmy się. Nie umiem powiedzieć na pewno, jak do tego doszło. W jednej chwili byliśmy widzącymi się po rozłące przyjaciółmi, w następnej – złączonymi kochankami.

Nasz pocałunek był długi i namiętny, a kiedy w końcu się od siebie odsunęliśmy, przez długi czas patrzyliśmy sobie w oczy.

– Masz na sobie ubranie mojego ojca? – zakpiłam.

– Masz na sobie suknię? – odparował.

Żartobliwie uderzyłam go w ramię.

– Nie zaczynaj. Czuję się w tym jak mumia.

– To musiała być naprawdę wyjątkowa okazja, skoro tak się wystroiłaś – powiedział z uśmiechem.

– To nie tak. Prawdę mówiąc, to nadęty ceremoniał, nudny jak flaki z olejem.

Arno uśmiechnął się szeroko. Och, mój stary Arno. W moim życiu na powrót zagościła radość. Czułam się tak, jakby dotąd padał deszcz, a on sprowadził słońce – jak ktoś, kto wraca do domu z długiej podróży i w oddali widzi wejściowe drzwi. Pocałowaliśmy się jeszcze raz i mocno uścisnęliśmy.

– Widzisz, nie zapraszasz mnie na swoje przyjęcia i wszyscy potem cierpią – zażartował Arno.

– Próbowałam, ale ojciec był nieugięty.

– Twój ojciec?

Z zewnątrz dobiegała stłumiona muzyka orkiestry, śmiech gości przechadzających się korytarzem i ciężkie kroki strażników, wciąż szukających Arna. Nagle drzwi zadygotały, kiedy ktoś załomotał w nie z drugiej strony i ochryply głos zapytał: „Ktoś tam jest?”.

Popatrzyliśmy po sobie, znów jak dzieci – dzieci przyłapanie na kradzieży jabłek czy podbieraniu placków z kuchni. Gdybym mogła zamknąć tę chwilę w butelce, zrobiłabym to.

Coś mi mówi, że nigdy już nie będę tak szczęśliwa.

V

Wypchnęłam Arna za okno, chwyciłam ze stołu kielich i zamaszystym ruchem otworzyłam drzwi, udając chwiejny krok.

– Ojej. To jednak nie jest sala bilardowa – oznajmiłam wesoło.

Żołnierze na mój widok zaczęli przestępować z nogi na nogę. I słusznie. W końcu to „prywatne przyjęcie” było wydane na moją cześć...

– Ścigamy intruza, *mademoiselle* de La Serre. Czy nie widziała go pani?

Spojrzałam na strażnika z ostentacyjnym niezrozumieniem.

– Arbuza? Przecież one nie chodzą, a co dopiero mówić o uciekaniu, cha, cha, cha.

Żołnierze popatrzyli po sobie niepewnie.

– Nie arbuza, tylko intruza. Osobę podejrzaną. Widziała pani kogoś takiego?

Byli podenerwowani i spięci. Wyczuwali, że ich ofiara jest blisko, i irytowała ich moja gra na zwłokę.

– Och, jest *madame* de Polignac – zaczęłam mówić szeptem. – Ma we włosach ptaka. Pewnie ukradła go z królewskiej menażerii.

Nie mogąc dłużej powściągać irytacji, inny strażnik wystąpił naprzód.

– Proszę się odsunąć, *mademoiselle*, żebyśmy mogli przeszukać ten pokój.

Zakołysałam się pijacko oraz, jak miałam nadzieję, nieco sugestywnie.

– Obawiam się, że znajdziecie tylko mnie. – Uśmiechnęłam się szeroko do żołnierza, olśniewając go swoim uśmiechem, o dekolcie nie wspominając. – Szukam sali bilardowej od prawie

godziny.

Strażnik obmacał mnie wzrokiem.

– Możemy panią tam zaprowadzić, *mademoiselle* – powiedział, skłoniwszy się zdawkowo – a te drzwi zamkniemy na klucz, żeby nie było więcej nieporozumień.

Poprowadzili mnie. Miałam nadzieję, że po pierwsze, Arno da radę zeskoczyć na dziedziniec, a po drugie, że coś się wydarzy i żołnierze nie zaprowadzą mnie do sali bilardowej.

Jest takie powiedzenie: uważaj, czego sobie życzysz, bo możesz to dostać.

I rzeczywiście, uwagę żołnierzy odwrócił krzyk:

– O Boże, on zabił pana de La Serre’a!

I cały mój świat się odmienił.

1 lipca 1789

Mam wrażenie, że Francja wali mi się na głowę. Królewskie lekarstwo na bezsenność, podane w formie przemowy, sprawiło, że przeświatne zgromadzenie Stanów Generalnych natychmiast porzuciło pozory i pogrążyło się w sporach i waśniach, niczego nie ustalając.

Dlaczego?

Bo przed przemową stan trzeci był rozgniewany. Był oburzony tym, że jest najbiedniejszy i płaci najwyższe podatki, że jego członkowie, choć stanowią większość stanów, mają mniej głosów niż szlachta i kler.

Po spotkaniu z królem rozgniewał się jeszcze bardziej. Rozgniewał się, że król nie zajął się żadnym z jego problemów. Zamierzali więc coś zrobić. Cały kraj – nie licząc głupich lub rozmyślnie ślepych na wydarzenia – wiedział, że coś się wydarzy.

Ale mnie to nie obchodziło.

17 czerwca stan trzeci przegłosował zmianę nazwy na Zgromadzenie Narodowe, zgromadzenie „ludowe”. Spotkało się to z ograniczonym poparciem innych stanów, ale przede wszystkim to pospólstwo zyskało głos.

Mnie to jednak nie interesowało.

Król próbował ich powstrzymać, zamykając Salle des Etats, ale przypominało to próbę zamykania drzwi stajni, kiedy koń już z niej uciekł. Zgromadzenie zebrało się w sali do gry w piłkę i 20 czerwca zostało zaprzysiężone. Nazwano tę przysięgę „przysięgą w sali do gry w piłkę”, co brzmi komicznie, ale wcale zabawne nie było.

Nie, kiedy wziąć pod uwagę, że zamierzali napisać nową konstytucję Francji.

Nie, kiedy pomyśleć, że oznaczało to koniec monarchii.

Ale mnie to nie obchodziło.

27 czerwca zdenerwowanie króla stało się jeszcze bardziej widoczne niż dotąd. W miarę jak z Paryża i innych francuskich miast napływały sygnały poparcia dla Zgromadzenia, do Paryża i Wersalu zaczęło ściągać wojsko. W powietrzu wisiało wyczuwalne napięcie.

O to również nie dbałam.

Oczywiście powinnam była. Powinnam była mieć dość siły charakteru, żeby odsunąć na bok osobiste problemy. Ale fakt faktem, nie mogłam.

Nie mogłam, bo mój ojciec nie żyje. Żałoba wróciła do mojego życia niczym kula ciemności, która zamieszkała wewnątrz mnie. Rano budzi się wraz ze mną, towarzyszy mi przez cały dzień, a potem nie pozwala zasnąć wieczorem, karmiąc się moimi wyrzutami sumienia i smutkiem.

Przez tyle lat byłam dla niego rozczarowaniem. Odebrano mi szansę, by zostać córką taką, na jaką zasługiwał.

Owszem, mam świadomość, że nasze domy w Wersalu i Paryżu popadają w stan zaniedbania; ich kondycja oddaje stan mojego umysłu. Mieszkam w Paryżu, ale dwa razy w tygodniu przychodzą listy od Oliviera z Wersalu. Pobrzmiewa w nich coraz wyraźniejsza troska; opowiada o pokojówkach i służących, którzy odchodzą, i nikt nie przychodzi na ich miejsce. Ale mnie to nie obchodzi.

Tu, w paryskim domu, wypędziłam służbę ze swoich pokoi i nocami włóczę się po dolnych piętrach, nie chcąc nikogo widzieć. Tace z jedzeniem i listami znajduję pod swoimi drzwiami; czasem słyszę, jak ochmistrzyni szepce coś z moją służącą, i wyobrażam sobie, co mogą o mnie mówić. Ale nie obchodzi mnie to.

Pisał do mnie pan Weatherall. Chce wiedzieć między innymi, czy byłam odwiedzić Arna w Bastylji, gdzie został uwięziony jako podejrzany o zamordowanie mojego ojca, a nawet czy poczyniłam

jakieś kroki, by bronić jego niewinności.

Powinnam napisać do pana Weatheralla, że odpowiedź brzmi „nie”, bo niedługo po zamordowaniu ojca wróciłam do Wersalu, poszłam do jego gabinetu i znalazłam list wsunięty pod drzwi. List zaadresowany do ojca o następującej treści:

Wielki Mistrzu de La Serre,

przez swoich ludzi dowiedziałem się, że pewien członek naszego Zakonu spiskuje przeciwko Panu. Błagam, niech Pan zachowa ostrożność podczas dzisiejszej ceremonii. Proszę nikomu nie ufać. Nawet tym, których nazywa Pan przyjaciółmi.

Niech Pana prowadzi ojciec zrozumienia,

L

Napisałam do Arna list, w którym oskarżyłam go o odpowiedzialność za śmierć ojca. W którym napisałam, że nie chcę go więcej widzieć. Ale nie wysłałam go.

Pozwoliłam zamiast tego, by moje uczucia wobec niego ropiały i gniły. Miejsce przyjaciela z dzieciństwa i wczorajszego kochanka zajął intruz, żalosna sierota, przybłęda, która ukradła mi miłość ojca, a potem pomogła go zabić.

Arno jest w Bastylii. Doskonale. Mam nadzieję, że tam zdechnie.

4 lipca 1789

Zbyt długie chodzenie sprawiało panu Weatherallowi ból. Dodatkowo ta część Maison Royale, w której mieszkał, daleko za szkołą, niedostępna dla uczennic, nie była najlepiej utrzymana; przedzieranie się tamtędy o kulach nie było łatwe.

Mimo to uwielbiał wspólne spacerować, kiedy tylko przyjeżdżałam. Jedynie on i ja. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że widywaliśmy sarny, przyglądające się nam spomiędzy drzew, czy może przez to, że dochodziliśmy do skąpanej w słońcu polany, gdzie przysiadł na pieńku, by wspominać lata treningów.

Poszliśmy tam dziś rano. Pan Weatherall usiadł z westchnieniem ulgi, odciążając swoją zdrową nogę. Poczułam mocne ukłucie tęsknoty za dawnym życiem, kiedy dzień wypełniały mi lekcje szermierki i zabawy z Arnem. Kiedy żyła matka.

Tęskniłam za nimi. Ogromnie mi ich obojga brakowało.

– Arno powinien był go dostarczyć? Ten list? – spytał pan Weatherall po chwili.

– Nie. Powinien był wręczyć go ojcu. Olivier widział go z listem.

– A więc powinien, ale tego nie zrobił. Jak się z tym czujesz?

Mój głos był cichy.

– Zdradzona.

– Uważasz, że list mógł uratować twojego ojca?

– Myślę, że tak.

– I to dlatego nie wspominasz o tej drobnostce: że twój ukochany przebywa w Bastylii?

Milczałam. Nie było o czym mówić.

Pan Weatherall siedział przez chwilę, unosząc twarz ku słońcu, przebijającemu się przez listowie. Światło tańczyło na jego wąsach i zmarszczkach zamkniętych powiek; spijał dzień

z błogim wprost uśmiechem. A potem, skinąwszy głową w podziękowaniu za tę chwilę ciszy, wyciągnął rękę.

– Pokaż mi ten list jeszcze raz.

Sięgnęłam pod kurtkę i podałam mu go.

– Kim jest ten „L”, jak pan myśli?

Pan Weatherall uniósł brew, oddając mi list. „Jak sądzisz, kim jest »L«?”

– Jedyne „L”, jaki przychodzi mi do głowy, to nasz przyjaciel *monsieur* Chretien Lafrenière.

– Ale to kruk.

– Czy to by cię ostatecznie odwiodło od teorii, że kruki spiskowały przeciwko twoim rodzicom?

Poszłam jego tokiem rozumowania.

– Nie. Mogłoby to po prostu oznaczać, że tylko niektórzy z nich spiskowali przeciwko moim rodzicom.

Pan Weatherall zaśmiał się i podrapał w brodę.

– Zgadza się. „Pewien członek”, według listu. Tyle że, o ile wiemy, nikt jeszcze nie próbował obwołać się wielkim mistrzem.

– Nie – powiedziałam cicho.

– Cóż, i w tym rzecz: teraz ty jesteś wielką mistrzynią, Élise.

– Oni o tym wiedzą.

– Doprawdy? Popatrz, a dałbym się nabrać. Powiedz no, ile odbyłaś spotkań z doradcami?

Spojrzałam na niego, mrużąc oczy.

– Muszę mieć czas na żałobę.

– Nikt temu nie przeczy. Ale minęły już dwa miesiące, Élise. Dwa miesiące, a ty nie dotknęłaś nawet spraw templariuszy. Ani trochę. Zakon wie, że nominalnie jesteś wielką mistrzynią, ale nie zrobiłaś nic, by ich przekonać, że ta godność trafiła w dobre ręce. Gdyby doszło do przewrotu, gdyby jakiś inny rycerz ogłosił się wielkim mistrzem czy mistrzynią... cóż, konkurencja nie byłaby duża, prawda? Opłakiwanie ojca to jedno, ale musisz też oddać cześć jego pamięci. Jesteś ostatnią z rodu La Serre'ów. Pierwszą

wielką mistrzynią Francji. Musisz pokazać, że jesteś tego warta, a nie siedzieć ciągle zamknięta w domu.

– Ale mój ojciec został zamordowany. Jaki dam przykład, jeśli go nie pomszczę?

Pan Weatherall zaśmiał się krótko.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale w tej chwili nic takiego raczej nie robisz, prawda? Teraz najlepszym rozwiązaniem jest zapanowanie nad Zakonem i przeprowadzenie go przez nadchodzące ciężkie czasy. Wreszcie okaż ducha La Serre'ów i powiedz wszędzie, że polujesz na mordercę ojca, co może pozwoli ci wykurzyć tego „członka”. Najgorsze, co możesz zrobić, to siedzieć na tyłku i opłakiwać nieżyjących rodziców.

Pokiwałam głową.

– To co powinnam zrobić?

– Przede wszystkim skontaktuj się z Lafrenière. Nie wspominaj o liście, ale powiedz mu, że chcesz objąć przywództwo nad Zakonem. Jeśli jest wierny twojej rodzinie, to miejmy nadzieję, że to okaże. Następna sprawa: znajdę ci jakiegoś adiutanta. Kogoś, komu możemy na pewno ufać. Trzecia rzecz: powinnaś się zastanowić nad odwiedzeniem Arna. Pamiętaj, że to nie on zabił twojego ojca. Człowiekiem, który zabił twojego ojca, jest człowiek, który zabił twojego ojca.

8 lipca 1789

Przyszedł list:

Najdroższa Élise,

po pierwsze, muszę przeprosić, że wcześniej nie odpisywałam na Twoje listy. Wyznaję, że owo zaniechanie z mojej strony wynikało głównie z gniewu na to, jak podstępem wkradłaś się w moje łaski, ale po namyśle uznałam, iż mamy ze sobą wiele wspólnego, i jestem wręcz wdzięczna, że postanowiłaś mi się zwierzyć. Zapewniam Cię, że Twoje przeprosiny zostały przyjęte.

Jestem niezwykle szczęśliwa, że wzięłaś sobie do serca pisma mojego brata. Nie tylko dlatego, że moja decyzja, by Ci je przekazać, okazała się słuszna, lecz dlatego, iż uważam, że gdyby mój brat przeżył, mógłby osiągnąć niektóre ze swoich celów, i mam nadzieję, iż uda się to Tobie.

Piszesz, że Twój narzeczony, Arno, chlubi się asasyńskim pochodzeniem; to, że się kochacie, dobrze wróży na przyszłość. Uważam, że masz rację, powątpiewając w plany swojego ojca dotyczące podjęcia starań, by przyjął wasze przekonania, a choć zgadzam się także, iż owe wątpliwości mogą wynikać z pobudek raczej osobistych, niekoniecznie ujmuje im to słuszności. Zarazem należy powiedzieć, że gdyby Arno został odkryty przez asasynów, Credo mogłoby okazać się dość przekonujące, by go przyciągnąć. Twój ukochany mógłby stać się Twoim wrogiem.

W związku z tym chcę Ci przekazać informację, która może się okazać dla Ciebie użyteczna. Informację, która pojawiła się w czymś, co mogę jedynie nazwać asasyńskimi komunikatami. Jak pewnie przypuszczasz, zazwyczaj nie

angażuję się w takie sprawy; wszelkie wiadomości o poczynaniach Zakonu, jakie dostaję, nie wychodzą dalej, tyleż z poczucia dyskrecji, ile mojego braku zainteresowania. Ta jednak może Cię zainteresować. Dotyczy wysoko postawionego asasyina nazwiskiem Pierre Bellec, obecnie uwięzionego w Bastylii. Bellec napisał, że natknął się na młodego człowieka posiadającego imponujące asasyńskie talenty. W jego notatkach imię owego młodego więźnia brzmi „Arnaud”, jak jednak na pewno sama się domyślasz, podobieństwo imion wydaje się nieprzypadkowe. W najgorszym razie jest to coś, czemu być może warto by się przyjrzeć.

Pozostaję szczerze oddana,

Jennifer Scott

14 lipca 1789

I

Szłam ulicami Paryża. W mieście panował tumult już od dwóch tygodni, odkąd przybyło tu dwadzieścia tysięcy żołnierzy króla, by położyć kres rozruchom, a także zagrozić hrabiemu Mirabeau i deputowanym stanu trzeciego. Kiedy król odwołał swojego ministra finansów, Jacques'a Neckera, przez wielu uważanego za zbawcę Francuzów, doszło do kolejnych niepokojów.

Kilka dni temu tłum zaatakował więzienie Abbaye, by uwolnić gwardzistów uwięzionych za odmowę strzelania do protestujących. Mówiło się, że zwykli żołnierze są wierni ludowi, a nie królowi. Panowało poczucie, że krajem rządzi Zgromadzenie Narodowe – teraz nazywane Konstytuanta. Stworzyło własną flagę: *tricolore*, którą widziało się po prostu wszędzie. Jeśli istniał jakiś symbol rosnącego lawinowo znaczenia Zgromadzenia, była nim właśnie ona.

Od czasu szturm na więzienie Abbaye na ulicach Paryża pełno było uzbrojonych ludzi. Trzydzieści tysięcy żołnierzy wstąpiło do milicji ludowej; przeczesywali dzielnice w poszukiwaniu broni, domagając się jej coraz głośniej i coraz natarczywiej. Dziś rano osiągnęło to apogeum.

Wczesnym rankiem milicja zaatakowała Pałac Inwalidów i zdobyła muszkiety – dziesiątki tysięcy muszkietów, jeśli wierzyć relacjom. Nie miała jednak prochu, teraz więc to jego szukała. Gdzie był proch?

W Bastylji. Tam właśnie zmierzałam.

Wczesnym rankiem w Paryżu, w którym wrzała tłumiona dotąd furia i chęć zemsty, nie było to najbezpieczniejsze miejsce.

II

Szłam pośpiesznie ulicami, rozglądając się dookoła. Nie od razu to dostrzegłam: tłum, choć wymieszany i stłoczony, dzielił się na dwie odrębne grupy: tych, którzy szykowali się na nadchodzące kłopoty, pragnących ochronić siebie, swoje rodziny i dobytek, uciekających przed zamieszkami, bo chcieli uniknąć konfliktu, albo tak jak ja obawiali się, że mogą zostać wzięci na cel; oraz tych, którzy zamierzali kłopoty wszcząć.

A co różniło te dwie grupy? Broń. Posiadanie broni – widziałam widły, siekiery i kije unoszone do góry – oraz szukanie broni. Szept przerodził się w krzyk, w natarczywe wołanie. Gdzie są muszkiety? Gdzie pistolety? Paryż zmienił się w beczkę prochu.

Czy tego wszystkiego dałoby się uniknąć? Czy my, templariusze, mogliśmy zapobiec temu okropnemu impasowi, sytuacji, w której kraj znalazł się o krok od wcześniej niewyobrażalnej zmiany?

Krzyki – wołanie: „Wolność!” – mieszały się z rżeniem i rykiem biegających luzem, przerażonych zwierząt.

Parskały konie, pędzone niebezpiecznie szybko po zatłoczonych ulicach przez spanikowanych woźniców. Pasterze starali się zapędzić spłoszone stada w ustronne miejsca. W powietrzu wisiał ciężki smród świeżego nawozu, ten jednak ginął pod innym – zapachem buntu. Nie, nie buntu. Rewolucji.

A dlaczego byłam na ulicach, zamiast pomagać służbie zabijając deskami okna rezydencji La Serre'ów?

Z powodu Arna. Bo choć go nienawidziłam, nie mogłam stać bezczynnie, kiedy groziło mu niebezpieczeństwo. Muszę wyznać, że nie zrobiłam nic w związku z listem od Jennifer Scott. Co powiedzieliby na to pan Weatherall, matka i ojciec? Ja, templariuszka – nie! Wielka mistrzyni templariuszy – wiedząc, że jednej z bliskich nam osób grozi wykrycie przez asasynów, nic w tej sprawie nie robię? Zupełnie nic? Włóczę się tylko po opustoszałych pokojach paryskiej rezydencji jak samotna,

zdziwaczała stara wdowa?

Trzeba przyznać, że nic tak jak rebelia nie prowokuje do działania. Choć moje uczucia do Arna się nie zmieniły – nie przestałam go nagle nienawidzić za to, że nie dostarczył listu – wciąż chciałam dotrzeć do niego, zanim zrobi to tłuszcza.

Miałam nadzieję, że zdążę, ale już idąc w kierunku Saint-Antoine, zrozumiałam, że nie wyprzedzam tłumu prącego w tym samym kierunku, lecz jestem raczej jego częścią. Częścią ciżby bojowników, milicji i wszelakiej maści mieszczan, którzy wymachując bronią i flagami, zmierzają ku największemu symbolowi królewskiej tyranii – Bastylii.

Przeklinałam, wiedząc, że się spóźniłam, ale wciąż starałam się przeciskać do przodu, przeskakując między grupami ludzi. Kiedy w oddali ukazały się baszty i mury Bastylii, tłum nieoczekiwanie zwolnił i podniósł się krzyk. Na ulicy stał wóz wyładowany muszkietami, prawdopodobnie zdobytymi w zbrojowni; stojący na nim mężczyźni i kobiety podawali je morzu wyciągniętych, wymachujących rąk. Atmosfera była radosna, wręcz odświętna. Odnosiło się wrażenie, że to nie będzie nic trudnego.

Przeciskałam się przez ludzką ciżbę, nie zwracając uwagi na kierowane pod moim adresem złorzeczenia. Po drugiej stronie tłum był rzadszy, ale zobaczyłam toczoną ulicą armatę. Manewrowało nią kilku mężczyzn, niektórzy w mundurach, inni w strojach rebeliantów. Przez chwilę zastanawiałam się, co się tu dzieje, aż rozległ się krzyk: „*Gardes Françaises* są po naszej stronie!”. Istotnie, słyszałam historie o żołnierzach zwracających się przeciwko swoim dowódcom; mówiło się, że wbijali ich głowy na piki.

Nieopodal ujrzałam elegancko ubranego mężczyznę, który również to usłyszał. Wymieniliśmy spojrzenia; w jego oczach dostrzegłam strach. Myślał to samo co ja: czy jest bezpieczny? Jak daleko posuną się rewolucjoniści? W końcu ich sprawę wspierało wielu szlachciców i członków innych stanów, sam Mirabeau był

arystokratą. Ale czy w ogniu rewolucji ktokolwiek będzie o tym pamiętał? Czy mszcząc krzywdy, lud będzie wybierał?

Bitwa o Bastylię zaczęła się, kiedy dotarłam na miejsce. W drodze do więzienia usłyszałam, że delegację Zgromadzenia zaproszono do środka, by omówić warunki z naczelnikiem de Launayem. Była tam jednak już od trzech godzin na śniadaniu, a tłum na zewnątrz robił się coraz bardziej niespokojny. Jeden z protestujących wspiął się z dachu perfumerii na łańcuchy trzymające most zwodzony i zaczął je piłować; kiedy skręciłam za róg i ujrzałam Bastylię, właśnie skończył i most opadł z ogromnym łoskotem, od którego zadrżała cała okolica.

Most runął na człowieka stojącego w dole, pechowca, któremu zdarzyło się znaleźć w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. W jednej chwili stał na brzegu fosy, wymachiwał muszkietem i zagrzewał do działania tych, którzy usiłowali opuścić most, w następnej znikł w rozbryzgu krwi i plątaninie kończyn, wystających pod strasznymi kątami spod belek.

Rozległ się chóralny ryk tryumfu. Śmierć nieszczęśnika była niczym w porównaniu z sukcesem otwarcia mostu. Tłum runął przez otwartą bramę na zewnętrzny dziedziniec Bastylii.

III

Nadeszła odpowiedź. Usłyszałam krzyk z murów i przypominający gromy huk ognia muszkietów. Z blanków wzbiła się chmura dymu.

Rzuciliśmy się szukać osłon wśród rykoszetujących od kamieni i bruku kul. Rozległy się wrzaski. Salwa jednak nie wystarczyła, by rozpędzić ciżbę. Ostrzał tylko rozwścieczył protestujących niczym osy w gnieździe szturchane kijem. Zwiększył tylko ich determinację.

Do tego, oczywiście, mieli armaty.

– Ognia! – krzyknął ktoś niedaleko. Dostrzegłam, że działa odskakują w tył w kłębach dymu, a kule odłupują wielkie kawały

murów Bastylji. Naprzód posuwali się ci lepiej uzbrojeni. Muszkiety, niesione przez atakujących, sterczały nad ich głowami niczym kolce jeża.

Milicja opanowała budynki wokół; z okien unosił się dym. Powiedziano mi, że podpalono dom naczelnika. Smród prochu mieszał się ze swędem spalenizny. Z Bastylji dobiegł kolejny krzyk i znów huknęła salwa. Przycupnęłam za niskim kamiennym murkiem. Dookoła znów rozległy się krzyki.

Tłum tymczasem przedarł się przez drugi most zwodzony i próbował pokonać fosę. Z tyłu podano deski i zaczęto układać z nich kładkę prowadzącą do serca twierdzy. Nie wyglądało na to, by miało to długo potrwać.

Znów salwa, znów odpowiedź armat. Wokół nas posypały się kamienie.

Gdzieś w środku był Arno. Ze szpadą w dłoni dołączyłam do protestujących wlewających się do wnętrza więzienia.

Ostrzał z góry ucichł, bitwa była wygrana. Mignął mi naczelnik de Launay. Aresztowano go i mówiło się, że zostanie zabrany do paryskiego ratusza Hôtel de Ville.

Pozwoliłam sobie na chwilę ulgi. Rewolucja nie zerwała się z łańcucha; nie będzie rozlewu krwi.

Myliłam się. Rozległ się chóralny krzyk. De Launay zupełnie idiotycznie kopnął kogoś w tłumie. Ten rozwścieczony przyskoczył i dźgnął go nożem. Żołnierzy usiłujących chronić naczelnika zepchnięto do tyłu i zniknęli w kotłującej się ciżbie. Zobaczyłam błyskające w powietrzu ostrza i pióropusze krwi; ktoś wrzasnął przeciągle, rozdzierająco jak ranione zwierzę.

Rozległ się tryumfalny ryk i nad tłum wysunęła się pika. Zatknięto na niej głowę de Launaya, z szyją poszarpaną i zakrwawioną, z oczami wywróconymi do wnętrza oczodołów.

Tłum wiwatował, wrzeszczał i wpatrywał się w swoją zdobycz z radością malującą się na obryzganych krwią twarzach. Niosący pikę ludzie zawrócili przez kładki i dziedzińce, ponad

zmiądzonym, zapomnianym trupem pod mostem, na ulice Paryża, gdzie widok odciętej głowy miał sprowokować kolejne akty barbarzyństwa i przemocy.

Zrozumiałam wtedy, że to koniec nas wszystkich. Koniec dla każdego szlachetnie urodzonego mężczyzny i kobiety we Francji. Nieważne, komu sprzyjaliśmy: nawet jeśli opowiadaliśmy się za koniecznością zmian, nawet jeśli zgadzaliśmy się, że ekscesy Marii Antoniny były odrażające, a król chciwy i nieudolny; nawet jeśli wspieraliśmy stan trzeci i Zgromadzenie, nie miało to znaczenia. Od tej pory żadne z nas nie było bezpieczne; w oczach tłumu wszyscy byliśmy sprawcami ucisku albo ich kolaborantami, a tłum właśnie przejął władzę.

Przy wtórze wrzasków zlinczowano żołnierzy broniących Bastylli. Potem ujrzałam więźnia, kruchego starca, znoszonego po schodach prowadzących od wrót więzienia. A później, w przypływie mieszanych uczuć – w tym wdzięczności, miłości i nienawiści – zobaczyłam wysoko na blankach Arna. Towarzyszył mu inny starzec, obaj biegli na drugą stronę fortecy.

– Arno! – zawołałam, ale nie usłyszał mnie przez hałas. Był za daleko. – Arno! – wrzasnęłam jeszcze raz.

Stojący najbliżej obejrzeni się na mnie podejrzliwie, słysząc mój arystokratyczny akcent.

Mogłam tylko bezsilnie patrzeć, jak pierwszy mężczyzna dobiega do krawędzi muru i skacze.

To był skok wiary. Asasyński skok wiary. A więc starcem był Pierre Bellec. Arno oczywiście po krótkim wahaniu zrobił to samo. Oddał asasyński skok wiary.

Został jednym z nich.

IV

Odwróciłam się i pobiegłam. Musiałam dostać się do domu i odprawić służbę. Niech uciekają, zanim wpadną w tarapaty.

Tłum sunął z Bastylli w kierunku ratusza. Słyszałam już, że

Jacques de Flesselles, dziekan cechu kupieckiego, został zarżnięty jak baran na schodach Hôtel de Ville, a jego odrąbaną głowę obnoszono po ulicach.

Czułam mdłości. Płonęły domy i sklepy. Słyszałam brzęk tłuczonego szkła, widziałam uciekających ludzi, obławianych kradzionymi dobrami. Paryżanie od wielu tygodni głodowali. W rezydencjach i pałacach oczywiście jadano dobrze, ale spóółstwo zostało zepchnięte na skraj śmierci głodowej, i choć milicja na ulicach dotąd nie dopuszczała do zamieszek i plądrowania, teraz była bezsilna.

Dalej od Saint-Antoine tłum się przerzedził, za to na drodze pojawiło się więcej wozów i karet, wiozących mieszkańców miasta, którzy uciekali przed zamieszkami. Pośpiesznie ładowali dobytek, co kto mógł, i rozpaczliwie starali się uciec. Rewolucjoniści w większości nie zwracali na nich uwagi, ale wstrzymałam oddech, widząc olbrzymią, dwukonną karete z słuźącym w liberii, powoli sunącą ulicą; od razu pojęłam, że ten, kto w niej jechał, prosił się o kłopoty.

Nie starał się ująć uwadze ludzi. Jakby sam widok przepysznej karety nie wystarczył, by rozwścieczyć tłum, słuźący krzyczał, by zejść mu z drogi, wymachiwał batem, jakby opędział się od natrętnych owadów, poganiany cały czas przez kobietę o czerwonej twarzy, która wyglądała z okna powozu i wachlowała się koronkową chusteczką.

To był wprost popis arogancji i głupoty. Nawet ja, choć i w moich żyłach płynęła arystokratyczna krew, poczułam pewną satysfakcję, widząc, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

Nie trwało to jednak długo. Ludzie nagle rzucili się na karete, zaczęli ją kołysać na resorach.

Przyszło mi do głowy, by przyjść z pomocą, ale wiedziałam, że podpisałabym na siebie wyrok śmierci. Mogłam tylko patrzeć, jak ściągnięto woźnicę z kozła i zaczęto go bić.

Nie zasłużył na to. Nikt nie zasłużywał na pobicie przez

tłuszczę, ta była bowiem przepełniona gniewem, ślepa i gnana zbiorową żądzą krwi. Mimo to jednak nie zrobił nic, by ustrzec się takiego losu. Cały Paryż wiedział, że zdobyto Bastylię. *Ancien régime* się chwiało, ale wystarczył jeden ranek, by upadł. Udawać, że jest inaczej, było szaleństwem. Albo, jak w tym wypadku, samobójstwem.

Stangret uciekł. Ludzie tymczasem wspięli się na karete, otworzyli kufry i zaczęli zrzucać na dół ubrania, szukając kosztowności. Wyrwano drzwi z zawiasów i wyciągnięto protestującą kobietę. Rozległ się chóralny śmiech, kiedy upadła na ziemię, kopnięta w tyłek przez jednego z protestujących.

Z karety dobiegł oburzony krzyk: „Co to ma znaczyć?“, poczułam jeszcze większą rozpacz, słysząc w tym głosie ton arystokratycznego oburzenia. Czy ten człowiek był aż tak głupi? Czy był zbyt tępy, by zrozumieć, że on i jemu podobni nie mieli już prawa do takiego tonu? On i jemu podobni nie rządzili już tym krajem.

Wywleczono go z karety przy wtórze odgłosów dartej ubrania. Jego żonę popędzono ulicą – kopana, uciekła z wrzaskiem; zastanawiałam się, czy poradzi sobie samotna w Paryżu jakże innym teraz od tego, który znała całe życie. Wątpiłam, by przeżyła choć jeden dzień.

Coraz bardziej upadałam na duchu. Plądrujący wylewali się z domów po obu stronach alei. Zewsząd dochodziły huki wystrzałów i odgłosy tłuczonego szkła, tryumfalne krzyki tych, którzy dopięli swego, i żałosne wrzaski pechowców.

Biegłam, z kordem w dłoni, gotowa stawić czoła każdemu, kto stanąłby między mną i moim pałacem. Słyszałam łomot własnego serca. Modliłam się, by służba zdążyła uciec, by tłuszczka nie dotarła jeszcze do naszej rezydencji. Myślałam tylko o swoim kufrze. Były w nim między innymi listy Haythama Kenwaya i naszyjnik, który dała mi Jennifer Scott. Drobiazgi, które zgromadziłam przez lata, rzeczy, które coś dla mnie znaczyły.

Pod bramą zobaczyłam lokaja Pierre'a, tulącego do piersi walizkę i rozglądającego się nerwowo.

– Dzięki Bogu, *mademoiselle* – powiedział na mój widok.

Spojrzałam za niego, na dziedziniec i na frontowe schody. Wszędzie wały się moje rzeczy. Drzwi rezydencji stały otworem, ukazując zniszczenia w środku. Mój dom splądrowano.

– Tłum wpadł i wypadł – wyjaśnił Pierre, nie mogąc złapać tchu.
– Zabiliśmy okna i pozamykaliśmy drzwi, ale złapali ogrodnika Henriego i zagrozili, że go zabiją, jeśli nie otworzymy. Nie mieliśmy wyjścia, *mademoiselle*.

Przytaknęłam, myśląc tylko o kufrze w swojej sypialni. Byłam rozdarta między chęcią pobiegnięcia tam jak najszybciej a potrzebą stosownego zachowania się.

– Postąpiliście ze wszech miar słusznie – zapewniłam go. – Co z twoimi rzeczami?

Podniósł walizkę.

– Mam je tu.

– Musiało to być przerażające przeżycie. Idź już. Nie trzeba pokazywać, że ma się jakikolwiek związek z arystokracją. Idź do Wersalu, dopilnujemy, abyś otrzymał rekompensatę.

– A co z panią, *mademoiselle*? Nie idzie pani?

Obejrzałam się na dom, czując narastający gniew na widok rzeczy należących do mojej rodziny, rozwłóczonych niczym śmieci. Rozpoznałam suknię należącą do matki. A zatem byli na górnych piętrach i złupili sypialnie.

Wskazałam bronią.

– Idę tam – powiedziałam.

– Nie, *mademoiselle*, nie mogę na to pozwolić – rzekł Pierre. – W środku wciąż są bandyci, pijani jak bele, przetrząsają pokoje, szukając łupów.

– Dlatego właśnie tam idę. Żeby ich powstrzymać.

– Ale oni są uzbrojeni, *mademoiselle*.

– Ja też.

– Są pijani i groźni.

– Ja zaś jestem wściekła i straszna. Mam więc przewagę. – Popatrzyłam mu w oczy. – Idź już.

V

Wcale nie zamierzał zostawać. Pierre był dobrym człowiekiem, ale jego lojalność miała swoje granice. Przeciwstawiłby się plądrującym, ale bez przesady. Lepiej, że nie było mnie w domu, kiedy się zjawili. Doszłoby do rozlewu krwi. Może niewłaściwi ludzie straciliby życie.

Przy drzwiach wejściowych wyciągnęłam pistolet. Pchnęłam je łokciem i po cichu weszłam do sieni.

Wyglądała strasznie. Przewrócone stoły, potłuczone wazony, wszędzie poniewierały się niechciane rzeczy. Leżał też mężczyzna, chrapiąc w pijackim śnie. W przeciwległym kącie siedział drugi, z brodą na piersi i pustą butelką po winie w ręku. Drzwi do piwnicy z winami były otwarte; podeszłam do nich ostrożnie z uniesionym pistoletem. Wytężyłam słuch, ale niczego nie usłyszałam. Szturchnęłam pijaka czubkiem buta, ale on tylko głośno zachrapał. Pijany – owszem. Groźny – nie. Podobnie jak jego kompan przy drzwiach.

Nie licząc chrapania, na parterze panowała cisza. Poszłam do schodów prowadzących do kuchni i znów nadstawiłam ucha – bez skutku.

Pierre miał rację; musieli wpaść i wypaść, splądrowali piwnicę, spiżarnię i bez wątpienia wzięli srebra z jadalni. Mój dom był dla nich tylko jednym z przystanków na drodze.

Teraz piętra. Wróciłam do sieni i weszłam po schodach na górę. Swoją sypialnię zastałam splądrowaną jak reszta domu. Znaleźli kufer, ale najwyraźniej uznali, że cokolwiek jest w środku, nie przedstawia żadnej wartości, zadowolili się więc rozsypaniem jego zawartości po podłodze. Schowałam kordelas i pistolet, uklękłam i zaczęłam zbierać papiery, sortować je i wkładać

z powrotem do kufra. Dzięki Bogu, naszyjnik był na dnie i dlatego go nie znaleźli. Ułożyłam listy ostrożnie na samej górze, starannie wygładzając pomięte kartki. Kiedy skończyłam, zamknęłam kufer na klucz. Muszę dostarczyć go do Maison Royale na przechowanie, kiedy tylko skończę sprzątać i zabezpieczać dom.

Otępiąłem wstałam z podłogi i usiadłam na łóżku, by zebrać myśli. Przede wszystkim trzeba zamknąć drzwi, zaszyć się w jakimś kącie i unikać ludzi. Może to dlatego odesłałam Pierre'a – splądrowanie domu dało mi kolejny powód do żałoby, a chciałam ją przeżywać w samotności.

Wstałam i wyszłam na schody. Spojrzałam przez balustradę na sień w dole. Z oddali dobiegały jedynie hałasy ulic, ale zaczynało się już ściemniać, trzeba było więc zapalić świece. Najpierw jednak musiałam pozbyć się nieproszonych gości.

Ten przy drzwiach ocknął się, kiedy zeszłam na dół.

– Jeśli nie śpisz, sugeruję, abyś sobie poszedł – odezwałam się. Mój głos zabrzmiał dziwnie donośnie w pustej sieni. – A jeśli śpisz, to będę cię kopać po klejnotach, aż się obudzisz.

Spróbował podnieść głowę, zamrugał oczami, z trudem odzyskiwał przytomność i usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest. Przygniatał swoim ciałem jedną rękę; przetoczył się więc, żeby ją uwolnić.

A potem wstał i zamknął drzwi.

Otak. Wstał i zamknął drzwi.

VI

Chwilkę zajęło mi szukanie odpowiedzi na pytanie: jak człowiek, który leżał pijany w mojej sieni, mógł nagle wstać, bez śladu zamroczenia, i zamknąć drzwi jednym pewnym ruchem? Jak on to zrobił?

Odpowiedź brzmiała: nie był pijany. A pod sobą trzymał pistolet, który teraz podniósł niemal nonszalanckim ruchem i wymierzył we mnie.

Niech to szlag.

Odwróciłam się i ujrzałam, że drugi pijak również cudownie wytrzeźwiał i wstał z podłogi. On też celował do mnie z pistoletu. Byłam w pułapce.

– Carrollowie ślą pozdrowienia z Londynu – powiedział pierwszy, starszy i lepiej zbudowany, najwyraźniej szef.

Uderzyła mnie oczywistość tego, co nieuniknione. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później Carrollowie po nas przyjdą. Bądźmy gotowi, powtarzaliśmy i może nawet nam się wydawało, że jesteśmy.

– Na co czekacie? – spytałam.

– Dostaliśmy dyspozycje, że masz cierpieć przed śmiercią – powiedział spokojnie i bez złości. – Poza tym nagroda jest za ciebie, niejakiego Fredericka Weatheralla i twoją służącą Hélène. Pomyśleliśmy, że możemy połączyć wypytywanie o ich miejsce pobytu z zadawaniem ci cierpienia. Dwie pieczenie na jednym ogniu, można powiedzieć.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Możecie mi zadawać tyle bólu, ile chcecie. Nic wam nie powiem.

– Ooch – z podziwem mruknął drugi opryszek za mną. To było takie mruknięcie, jakie wydaje się, widząc wyjątkowo uroczego szczeniaczka, bawiącego się piłką.

Szef wskazał go ruchem głowy.

– Śmieje się, bo wszyscy tak mówią. Mówił to każdy, kogo braliśmy na tortury. Mniej więcej w chwili, kiedy przedstawiamy ich głodnym szczirom, zaczynają wątpić w mądrość swoich słów.

Rozejrzałam się ostentacyjnie, potem odwróciłam się z powrotem do niego i uśmiechnęłam.

– Nie widzę tu żadnych głodnych szcziurów.

– To dlatego, że jeszcze nie zaczęliśmy. Mamy wobec ciebie bardzo precyzyjne i wyrafinowane plany. Pani Carroll wyraziła się w tej materii bardzo jasno.

- Ciągłe gniewa się za May, prawda?
- Kazała przypomnieć ci o May. Zakładam, że to jej córka.
- Owszem, była.
- Zabiłaś ją?
- Tak.
- Doigrała się, co?
- Owszem, można tak powiedzieć. Zamierzała mnie zabić.
- A więc to była samoobrona?
- Coś w tym guście. Czy to wpływa jakoś na wasz zamiar?

Szef wyszczerzył się w uśmiechu. Wymierzony we mnie pistolet nawet nie drgnął.

- Nie. To mi tylko mówi, że jesteś cwana i muszę mieć na ciebie oko. Zacznijmy więc może od kordelasa i pistoletu. Rzuć oba na podłogę, jeśli łaska.

Zrobiłam, co kazał.

- Teraz odsuń się od nich. Odwróć się twarzą do barierki, połóż ręce na głowie i wiedz, że kiedy pan Hook będzie cię obszukiwał na okoliczność ukrytej broni, będę go osłaniał, celując w ciebie z pistoletów. Radzę pamiętać, że pan Hook i ja wiemy, do czego jesteś zdolna, panno de La Serre. Nie popełniliśmy tego błędu co inni, nie doceniając cię, bo jesteś młodą kobietą. Prawda, panie Hook?

- Zgadza się, panie Harvey - odparł Hook.

- Dobrze wiedzieć - rzekłam. Zerknąwszy na pana Hooka, zrobiłam, co mi kazano: podeszłam do barierki i położyłam ręce na głowie.

W sieni panował półmrok, a choć moi dwaj zabójcy dżentelmeni na pewno wzięli to pod uwagę, słabe światło wciąż mi sprzyjało.

Sprzyjało mi coś jeszcze: nie miałam nic do stracenia.

Hook znalazł się za mną. Odsunął moją broń na środek sieni, wrócił i stanął kilka kroków za moimi plecami.

- Zdejmij frak - polecił.

- Słucham?

– Słyszałaś go – rzucił pan Harvey. – Zdejmij frak.

– Będę musiała zabrać ręce z głowy.

– Po prostu go zdejmij.

Rozpięłam frak i strząsnęłam go z ramion na podłogę.

Zapadła pełna napięcia cisza. Pan Hook dokładnie obadał mnie spojrzeniem.

– Wyciągnij koszulę ze spodni – polecił pan Harvey.

– Nie każecie mi chyba...?

– Wyciągnij koszulę i zbierz ją w talii, byśmy widzieli twój pas.

Zrobiłam, jak kazał.

– Teraz ściągnij buty.

Uklękałam, od razu myśląc, że mogę użyć buta jako broni. Ale nie – kiedy tylko zaatakowałam Hooka, Harvey zastrzeliłby mnie z pistoletu. Musiałam spróbować innej taktyki.

Zdjąwszy buty, stanęłam w samych pończochach, z koszulą wyciągniętą zza paska.

– Dobrze – rzekł Harvey. – Odwróć się. Ręce z powrotem na głowę. Pamiętaj, co mówiłem, cały czas cię pilnuję.

Odwróciłam się do balustrady. Hook podszedł do mnie. Ukląkł, sięgnął do moich stóp i jego dłonie rozpoczęły wędrówkę od czubków palców do spodni. Na górze przystanęły...

– Hook... – rzucił ostrzegawczo Harvey.

– Muszę być dokładny – odparł Hook. Po jego głosie poznałam, że powiedział to odwrócony do kompana, co dało mi szansę. Cień szansy. Skorzystałam z niej.

Podskoczyłam, złapałam się balustrady, jednym ruchem złapałam Hooka udami za szyję i skręciłam. Z całej siły, chcąc mu złamać kark; łamanie ludziom karków nożycowym uchwytem ud nigdy nie było istotnym elementem szkolenia pana Weatheralla i, niestety, zabrakło mi sił. Hook znalazł się za to pomiędzy mną a pistoletem, co było moim pierwszym celem. Poczzerwieniał, złapał mnie za uda, usiłując się wyrwać, a ja go ścisnęłam w nadziei, że chociaż zemdleje.

Nic z tego. Wił się i szarpał, ja kurczowo trzymałam się balustrady, czując, że drewniany słupek zaczyna ustępować, ciągnięty przez cofającego się Hooka. Harvey tymczasem zaklął, schował pistolet i sięgnął po krótki pałasz.

Krzycząc z wysiłku, zwiększyłam nacisk ud i jednocześnie szarpnęłam w górę. Poręcz pękła i słupek został mi w rękach. Poderwałam się i dosiadłam Hooka na barana, niczym mała dziewczynka tatusia. Spojrzałam w dół na osłupiałego Harveya i wysoko uniosłam słupek.

Opadł w dół, prosto na jego twarz.

Które fragmenty wbiły się w konkretne miejsca na twarzy Harveya, nie byłam w stanie stwierdzić i właściwie nawet nie chcę.

Mogę powiedzieć tylko tyle, że celowałam w oko, a choć słupek był za gruby, by przebić oczodół, cóż, zrobił swoje. W jednej chwili Harvey nacierał na nas z pałaszem w garści, w następnej miał kawał drewna w oku i zataczał się do tyłu, z rękoma przy twarzy, wypełniając ostatnie chwile swego życia mrozącym krew w żyłach wyciem.

Skretem bioder pchnęłam Hooka na ziemię, padając razem z nim. Wylądowaliśmy niezgrabnie, ale wyswobodziłam się i skoczyłam szczupakiem w stronę kordelasa i pistoletu leżących na środku sieni. Pistolet był nabity, ale broń Hooka także. Mogłam tylko rzucić się po niego i mieć nadzieję, że zdążę, zanim mój przeciwnik sięgnie po swój.

Dopadłam pistoletu, przeturlałam się na plecy i wycelowałam, trzymając go w obu rękach; dokładnie w tym samym czasie Hook zrobił to samo. Przez chwilę mierzyliśmy do siebie nawzajem.

A wtedy drzwi się otworzyły, czyjś głos powiedział: „Élise” i Hook się wzdrygnął. Strzeliłam.

Przez moment myślałam, że chybiłam. Potem z ust pociekła mi krew, głowa zaś opadła na pierś i zrozumiałam, że trafiłam go w usta.

VII

– Wygląda na to, że przybyłem w samą porę – stwierdził Ruddock, kiedy wynieśliśmy już trupy Hooka i Harveya przez położony z tyłu dziedziniec na ulicę, porzucając je wśród potrzaskanych skrzyń, beczek i przewróconych wozów. W spiżarni znaleźliśmy butelkę wina, zapaliliśmy świece i usiedliśmy w pokoju kamerdynera, skąd mogliśmy obserwować tylne wejście na wypadek, gdyby ktoś wrócił.

Nalałam wina do kielichów i pchnęłam jeden w kierunku Ruddocka. Wyglądał bez dwóch zdań o wiele lepiej, niż kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, w końcu dyndał wtedy na stryczku, ale wziął się w garść. Sprawiał wrażenie opanowanego. Po raz pierwszy od naszego spotkania w siedemdziesiątym piątym mogłam go sobie wyobrazić jako asasyna.

– Czego chcieli twoi dwaj przyjaciele? – spytał.

– Zemścić się w imieniu kogoś trzeciego.

– Rozumiem. Podpadłaś komuś, tak?

– Cóż, jak widać.

– Owszem. Przypuszczam, że wielu ludziom zdążyłaś podpaść, co? Jak mówiłem, szczęście, że przybyłem na czas.

– Nie schlebiaj sobie. Miałam wszystko pod kontrolą – powiedziałam, popijając wino.

– Cóż, bardzo mnie to cieszy – odparł. – Tyle że na moje oko wyglądało to tak, jakby mogło się skończyć różnie, a moje wejście dało ci element zaskoczenia, potrzebny, by zyskać przewagę.

– Nie kuś losu, Ruddock.

Prawdę mówiąc, byłam zdumiona, że w ogóle go widzę. Nieważne jednak, czy wziął sobie do serca moje groźby, czy był człowiekiem bardziej honorowym, niż sądziłam, fakt pozostawał faktem, że przyjechał. Nie dość tego, przybył z czymś, co można było nazwać wieściami.

– Dowiedziałaś się czegoś?

– Istotnie.

– Odkryłeś tożsamość człowieka, który wynajął cię, byś zabił mnie i moją matkę?

Ruddock zrobił zawstydzoną minę i odchrząknął.

– Miałem zabić tylko twoją matkę. Ciebie nie.

Nagle dotarł do mnie absurd sytuacji. Siedziałam w zrujnowanej rezydencji swojej rodziny, piłam wino z człowiekiem, który otwarcie przyznawał, że próbował zabić moją matkę, i który gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, bez wątpienia zostawiłby mnie płaczącą nad jej trupem.

Dolałam sobie wina, postanawiając pić, a nie rozmyślać, bo gdybym zaczęła myśleć, może zaczęłoby mnie dziwić, jak mogłam się tak znieczulić, że piję wino z tym człowiekiem, że myślę o Arnie i nie czuję nic, że oszukałam śmierć i nie zrobiło to na mnie wrażenia.

– Faktem jest też – ciągnął Ruddock – że nie wiem, kto dokładnie mnie wynajął, ale wiem, z kim miał konszachty.

– Z kim zatem?

– Słyszałaś o Królu Żebraków?

– Nie, nic mi to nie mówi... ale to ten człowiek, z którym jest powiązany twój zleceniodawca?

– Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, to Król Żebraków zlecił zabójstwo twojej matki.

Znów to poczucie absurdu: takie słowa od człowieka, który został wynajęty, żeby to załatwić.

– Pytanie dlaczego – powiedziałam, upijając łyk wina.

– Powoli – rzekł Ruddock i wyciągnął ku mnie rękę.

Znieruchomiałam, z kielichem przy ustach, patrząc gniewnie na jego dłoń, aż ją cofnął.

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj – ostrzegłam. – Nigdy.

– Przepraszam. – Spuścił wzrok. – Nie chciałem cię urazić. Po prostu... pijesz chyba za szybko, to wszystko.

– Nie słyszałaś plotek? – rzuciłam ironicznie. – Jestem znaną pijaczką. I umiem pić wino, bez obaw.

– Chciałem tylko pomóc, *mademoiselle* – rzekł Ruddock. – Przynajmniej tyle mogę zrobić. Ratując mi życie, nadałaś mi nowy sens. Staram się wyjść na ludzi.

– Cieszę się. Ale gdybym wiedziała, że ratując ci życie, narażam się na wysłuchiwanie kazań o piciu wina, to zastanowiłabym się dwa razy.

Pokiwał głową.

– Jeszcze raz przepraszam.

Upiłam duży łyk, żeby mu zrobić na złość.

– Mów, co wiesz o Królu Żebraków.

– To człowiek, którego trudno znaleźć. Asasyni już kiedyś próbowali go zabić.

Uniosłam brwi.

– Pracowałeś dla zaprzysięgłego wroga asasynów? Wnoszę, że wolisz to zachować w tajemnicy.

Zrobił zawstydzoną minę.

– Istotnie. To były inne, desperackie czasy.

Machnęłam ręką.

– A więc asasyni chcieli go zabić. Dlaczego?

– Jest okrutny. Kontroluje żebraków w mieście, którzy muszą mu płacić daninę. Mówi się, że jeśli danina jest za mała, Król Żebraków rozkazuje człowiekowi nazywanemu La Touche obcinać im kończyny, bo litościwi paryżanie dają większą jałmużnę w taki sposób okaleczonym żebrakom.

Zwalczyłam falę odrazy.

– Za coś takiego jego śmierci musieli chcieć i asasyni, i templariusze, prawda? Nie ma żadnych sprzymierzeńców. – Uśmiechnęłam się ironicznie. – Czy chcesz może powiedzieć, że tylko dobrzy asasyni chcieli go uśmiercić, a okrutni templariusze odwracali wzrok?

– Czy mam podstawy do moralnych ocen, pani? – odparł Ruddock z wystudiowanym smutkiem na twarzy. – Ale istotnie, templariusze odwracają wzrok od jego poczynań, jest bowiem

jednym z nich.

– Bzdura. Nie chcielibyśmy mieć nic wspólnego z tak odrażającym człowiekiem. Mój ojciec nie pozwoliłby mu wstąpić do Zakonu.

Ruddock wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Jest mi niezmiernie przykro, że to, co mówię, jest dla ciebie wstrząsem, pani. Być może nie powinnaś traktować moich słów jako opisu całego swojego Zakonu, lecz pojedynczych wichrzycieli. Sam mówię to jako ktoś podobny...

„Pojedynczy wichrzyciele” – pomyślałam. Wichrzyciele, którzy spiskowali przeciwko mojej matce. Czy to byli ci sami ludzie, którzy zabili mojego ojca? Jeśli tak, to ja byłam następną.

– Chcesz wrócić w szeregi asasynów, prawda? – spytałam, dolewając wina.

Przytaknął. Wyszczrzyłam się szeroko.

– Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć, wybac mi nieuprzejmość, ale próbowałeś mnie kiedyś zabić, więc mam do tego prawo. Jeśli masz nadzieję wstąpić z powrotem do asasynów, musisz coś zrobić z tym smrodem.

– Smrodem?

– Tak, Ruddock, ze smrodem. Ze swoim smrodem. Śmierdziałeś w Londynie, śmierdziałeś w Rouen i śmierdzisz teraz. Może pora na kąpiel? Jakieś perfumy? Obraziłam cię?

Uśmiechnął się.

– W żadnym razie, *mademoiselle*. Doceniam szczerłość.

– Poza tym nie pojmuję, dlaczego chcesz wrócić do asasynów.

– Słucham, *mademoiselle*?

Nachyliłam się do przodu, mrużąc oczy i jednocześnie wymachując kielichem.

– Na twoim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowiła.

– Co masz na myśli?

Machnęłam ręką.

– Mam na myśli, że się z tego wyrwałeś. Całkowicie. Z tego

całego... – znów machnęłam – ...wszystkiego. Asasyni. Templariusze. Pff. Mają dość dogmatów, by założyć dziesięć tysięcy kościołów i dwa razy tyle zwariowanych przekonań. Od wieków nie robią nic, tylko ze sobą walczą, i po co? Ludzkość i tak robi swoje. Popatrz na Francję. Mój ojciec i jego doradcy latami spierali się, jaki jest „najlepszy” kierunek dla kraju, a potem przyszła rewolucja i wszystko potoczyło się bez ich udziału. Ha! Gdzie był Mirabeau, kiedy szturmowali Bastylię? Zbierał głosy w sali do gry w piłkę? Asasyni i templariusze są jak dwa kleszcze walczące o władzę nad kotem. To daremny pokaz pychy.

– Ależ *mademoiselle*, niezależnie od rezultatów musimy wierzyć, że jesteśmy zdolni zmieniać świat na lepsze.

– To tylko ułudy, Ruddock. Tylko ułudy.

VIII

Odprawiłam Ruddocka; będę gotowa na ich przyjęcie, kimkolwiek by byli: plądrującymi rewolucjonistami, wysłannikami Carrollów, zdrajcami z mojego Zakonu. Będę gotowa.

Na szczęście w domu jest dość wina, bym mogła się pokrzepić w czasie oczekiwania.

25 lipca 1789

Przyszli za dnia. Wkradli się na dziedziniec. Ukryta w zaciemnionym, zabitym deskami hallu, z pistoletem pod ręką, słyszałam echo ich kroków.

Czekałam i byłam gotowa na ich przyjęcie. Kiedy wspięli się na schody prowadzące do drzwi, które rozmyślnie zostawiłam uchylone jak co dzień, sięgnęłam po pistolet, odwiodłam kurek i uniosłam broń.

Drzwi zaskrzypiały. Ciężki padł na prostokąt słonecznego światła na deskach podłogi i wydłużył się, kiedy intruz przestąpił próg i znalazł się w półmroku domu.

– Élise – powiedział.

Zdałam sobie sprawę, że minęło bardzo dużo czasu, odkąd słyszałam ludzki głos. Jakże słodko brzmiał w moich uszach. I co za szczęście, że ten głos należał właśnie do niego.

Potem przypomniałam sobie, że mógł uratować mojego ojca, a nie uczynił tego, i że zbratał się z asasynami. Właściwie, skoro o tym mowa, może jedno z drugim było jakoś powiązane? A nawet jeśli nie...

Zapaliłam świecę, wciąż mierząc do niego z pistoletu. Z zadowoleniem spostrzegłam, że się wzdrygnął, kiedy zapłonęło światło. Przez długą chwilę tylko przyglądaliśmy się sobie, bez wyrazu, aż ruchem głowy wskazał pistolet.

– Piękne powitanie.

Zmięknęłam trochę, widząc jego twarz. Tylko troszkę.

– Ostrożności nigdy dość. Nie po tym, co się stało.

– Élise...

– Nie odpłaciłeś już mojemu ojcu wystarczająco za jego dobroć?
– spytałam ostro.

– Élise, proszę. Nie wierzysz chyba, że zabiłem *monsieur de La*

Serre'a. Twój ojciec... nie był człowiekiem, za którego go uważałaś. Żaden z naszych ojców nie był.

Sekrety. Jak ja nienawidziłam ich smaku. *Vérités cachées*. Całe życie.

– Wiem dobrze, kim był mój ojciec, Arno. I wiem, kim był twój. To chyba było nieuniknione. Ty asasyn, ja templariuszka.

Na jego twarzy z wolna odmalowało się zrozumienie.

– Ty...? – zaczął, ale załamał mu się głos.

Przytaknęłam.

– To dla ciebie szok? Mój ojciec zawsze chciał, bym poszła w jego ślady. Teraz mogę tylko go pomścić.

– Przysięgam, nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią.

– Och, ależ miałeś...

– Nie. Nie. Klnę się na swoje życie, ja nie...

Pod ręką miałam list. Uniosłam go.

– Czy to jest...? – spytał Arno, mrużąc oczy.

– List, który mój ojciec miał dostać w dniu, gdy został zamordowany. Znalazłam go na podłodze jego pokoju. Nieotwarty.

Prawie było mi żal Arna – krew odpłynęła mu z twarzy, kiedy pojął, co zrobił. W końcu on też kochał ojca. Tak, niemal było mi go żal. Niemal.

Poruszył bezgłośnie ustami. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie wiedziałem – powiedział w końcu.

– Mój ojciec też nie – odparłam po prostu.

– Skąd miałem wiedzieć?

– Po prostu idź – rzekłam. Nie mogłam znieść drżenia swojego głosu. Nie mogłam znieść Arna. – Idź.

Poszedł. A ja zamknęłam za nim drzwi na zasuwę i tylnymi schodami zeszłam do pokoju kamerdynera, gdzie przygotowałam sobie posłanie. Potem otworzyłam butelkę wina. Żeby lepiej spać.

20 sierpnia 1789

I

Ktoś mną potrząsał. Zamrugałam przekrwionymi oczami, usiłując skupić wzrok na stojącym nade mną mężczyźnie o kulach. Wyglądał jak pan Weatherall, ale to nie mógł być pan Weatherall, bo mój protektor był w Wersalu i ze względu na swoją nogę nie mógł podróżować. A ja nie byłam w Wersalu, byłam na Wyspie Świętego Ludwika w Paryżu, czekając na... na coś.

– Dobrze – powiedział. – Widzę, że jesteś już ubrana. Pora podnieść się z wyrka, idziesz z nami.

Za nim stał drugi mężczyzna, przestępujący nerwowo z nogi na nogę na progu pokoju kamerdynera. Przez chwilę myślałam, że to Jacques z Maison Royale, ale nie, to był inny, znacznie młodszy człowiek.

Tym, który mną potrząsał, był rzeczywiście pan Weatherall. Poderwałam się z posłania, objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie, z wdzięcznością łkając mu w pierś.

– Przestań – stęknął zduszonym głosem. – Przewrócisz mnie. Zaczekaj no chwilę, mówię!

Puściłam go i podniosłam się na kolana.

– Ale nie możemy nigdzie iść – oznajmiłam stanowczo. – Muszę być gotowa, kiedy po mnie przyjdą.

– Kiedy po ciebie przyjdą? Kto?

Chwyciłam go za klapy, spojrzałam w brodatą twarz wykrzywioną troską i nie chciałam już nigdy go puszczać.

– Carrollowie przysłali zabójców, panie Weatherall. Przysłali dwóch ludzi, żeby zabili mnie za to, co zrobiłam May Carroll.

Pan Weatherall zawisł na kulach i mnie objął.

– O Boże, dziecko. Kiedy?

– Zabiłam ich – ciągnęłam bez tchu. – Zabiłam ich obu. Jednego

przebiłam drewnianym kołkiem – zachichotałam.

Odsunął się ode mnie i marszcząc czoło, spojrzał mi głęboko w oczy.

– A potem uczciłaś to kilkoma setkami butelek wina, sądząc po tym, co tu zobaczyłem.

Pokręciłam głową.

– Nie. To tylko na sen, by zapomnieć, że... że straciłam Arna i ojca, i o tym, co zrobiłam May Carroll i dwóm mężczyznom, którzy przyjechali mnie zabić. – Zaczęłam szlochać i chichotać na zmianę; zdawałam sobie sprawę, że to nie jest normalne zachowanie, ale nie mogłam się powstrzymać. – Jednego przebiłam kołkiem.

– Tak – powiedział pan Weatherall i odwrócił się do drugiego mężczyzny. – Zaprowadź ją do powozu, a jeśli będzie trzeba, to zanieś. Nie jest sobą.

– Wszystko ze mną dobrze – zaprotestowałam.

– Dopiero będzie. Ten młody człowiek to Jean Brunel. Podobnie jak ty, jest nowo mianowanym templariuszem, choć w przeciwieństwie do ciebie nie jest wielkim mistrzem ani nie jest pijany. Pozostaje za to wierny rodowi La Serre'ów i może nam pomóc. Nie zdoła jednak tego zrobić, jeśli nie wstaniesz.

– Mój kufer – powiedziałam. – Muszę zabrać swój kufer...

II

To było... cóż, prawdę mówiąc, nie wiem, kiedy to było, a wstyd mi zapytać. Wiem tyle, że zostałam położona do łóżka w domku ogrodnika, przez pierwsze kilka dni obficie się pociłam, zapewniałam, że nic mi nie będzie, i złościłam się, kiedy odmawiano mi odrobiny wina. Potem dużo spałam, a w głowie przejaśniło mi się na tyle, iż pojęłam, że wpadłam w szpony jakiejś ponurej przypadłości – „zaburzenia nerwów”, jak to nazwał pan Weatherall.

III

W końcu wydobrałam na tyle, że mogłam wstać z łóżka i włożyć ubranie świeżo wyprane przez Hélène, która była istnym aniołem i która, jak się spodziewałam, pod moją nieobecność zbliżyła się bardzo z Jakiem. Potem, pewnego ranka, razem z panem Weatherallem wyszliśmy z domku i poszliśmy na spacer. Milczeliśmy, oboje wiedząc, że idziemy w nasze stałe miejsce – na polanę, gdzie słońce przelewało się przez listowie niczym wodospad. Stanęliśmy, kąpiąc się w nim.

– Dziękuję – powiedziałam, kiedy w końcu usiedliśmy: pan Weatherall na pieńku, ja na miękkiej trawie, w roztargnieniu skubiąc jej źdźbła.

– Dziękuję za co? – spytał tym chropawym głosem, który tak kochałam.

– Dziękuję, że mnie pan uratował.

– Chcesz powiedzieć: „dziękuję, że mnie pan uratował przede mną samą”.

Uśmiechnęłam się.

– Ratunek od siebie samej to wciąż ratunek.

– Skoro tak twierdzisz. Kiedy twoja matka umarła, też mi było ciężko. Sam zaglądałem do kielicha.

Pamiętałam – pamiętałam zapach wina w jego oddechu w Maison Royale.

– W Zakonie jest zdrajca – powiedziałam.

– Tak sądziliśmy. List Lafrenière’a...

– Teraz wiem już na pewno. Nazywany jest Królem Żebraków.

– Król Żebraków?

– Zna go pan?

Pan Weatherall kiwnął głową.

– Słyszałem o nim. To nie templariusz.

– Też tak mówiłam. Ale Ruddock się upierał.

Na dźwięk tego nazwiska oczy mojego opiekuna zapłonęły.

– Nonsens. Twój ojciec nigdy by na to nie pozwolił.

– To samo powiedziałam Ruddockowi, ale może ojciec nie wiedział.

– Twój ojciec wiedział o wszystkim.

– Czy Król Żebraków mógł zostać wprowadzony do Zakonu później?

– Po zamordowaniu twojego ojca?

Przytaknęłam.

– Może nawet z powodu zamordowania mojego ojca, w ramach zapłaty za wykonanie zadania, nagrody.

– Słuszne spostrzeżenie – zgodził się pan Weatherall. – Mówisz, że Król Żebraków wynajął Ruddocka w celu zamordowania twojej matki, by zaskarbić sobie wdzięczność kruków?

– Zgadza się.

– Cóż, nie udało mu się, prawda? Może od tamtej pory grał na czas, czekał na następną sposobność. Zabija twojego ojca, w końcu dostaje to, czego chce: inicjację.

Zastanowiłam się nad tym.

– Być może, ale nie przemawia to do mnie i wciąż nie rozumiem, czemu kruki miałyby chcieć śmierci matki. Jeśli już, jej trzecia droga była pomostem między dwoma rozbieżnymi ideologiami.

– Była dla nich za silna, Élise. Stanowiła zagrożenie.

– Zagrożenie dla kogo, panie Weatherall? Z czyjego rozkazu to wszystko się dzieje?

Popatrzyliśmy po sobie.

– Posłuchaj, Élise – powiedział pan Weatherall, wskazując na mnie palcem. – Musisz zebrać siły. Musisz zwołać nadzwyczajną radę i utwierdzić swoje zwierzchnictwo, pokazać temu przekłętemu Zakonowi, kto trzyma ster, i wypłenić wszystkich, którzy działają przeciwko tobie.

Zmroziło mnie.

– Chce pan powiedzieć, że to nie jeden człowiek, lecz cała frakcja?

– A czemu nie? W ciągu ostatniego miesiąca widzieliśmy, jak

rządy nieobecnego i apatycznego króla zostały obalone przez rewolucję.

Zmarszczyłam brwi.

– I taką mnie pan widzi, prawda? Nieobecną i apatyczną?

– Ja tak nie uważam. Ale może inni owszem.

– Słusznie – zgodziłam się. – Muszę zebrać zwolenników.

Zwołam spotkanie w posiadłości w Wersalu, pod portretami ojca i matki.

Pan Weatherall uniósł brwi.

– Dobrze, świetnie. Ale nie biegajmy, dopóki nie nauczymy się chodzić. Najpierw musimy się upewnić, że przyjdą. Młody Jean Burnel może zacząć zawiadamiać rycerzy.

– Musi także wysondować Lafrenière'a. To, czego się dowiedziałam, dodaje jego listowi wiarygodności.

– Dobrze, tylko bądź ostrożna.

– Jak pan zwerbował Jeana Burnela?

Pan Weatherall zaczerwienił się lekko.

– No wiesz, po prostu.

– Panie Weatherall...

Wzruszył ramionami.

– No dobrze, widzisz, mam swoją siatkę, jak wiesz, i przypadkiem się dowiedziałem, że młody Burnel zrobi wszystko, by móc pracować blisko pięknej Élise de La Serre.

Uśmiechnęłam się, mimo poczucia, że to mała niewierność.

– Podkocha się we mnie?

– To wisienka na torcie jego lojalności wobec twojej rodziny, moim zdaniem, ale owszem, chyba tak.

– Rozumiem. Może będzie z nas dobra para.

Pan Weatherall ryknął śmiechem.

– Och, dziecko, kogo ty chcesz nabrać? Przecież kochasz Arna.

– Czyżby?

– A nie?

– Dużo przez niego wycierpiałam.

– Być może on czuje to samo. W końcu zataiłaś przed nim kilka dość istotnych spraw. Może mieć takie samo prawo do poczucia krzywdy jak ty. – Pan Weatherall pochylił się w moją stronę. – Powinnaś zacząć myśleć o tym, co was łączy, zamiast o tym, co dzieli. Może się okazać, że to pierwsze przeważa.

– Sama nie wiem – odparłam, odwracając się od niego. – Naprawdę, sama już nie wiem.

5 października 1789

I

Wcześniej pisałam, że zdobycie Bastylji było symbolem końca panowania króla, i choć w pewnym sensie tak było – w takim, że jego rządy zakwestionowano, poddano próbie i próby tej nie przeszły – przynajmniej nominalnie władza pozostała w jego ręku.

Kiedy wieści o Bastylji obiegły Francję, wraz z nimi rozeszły się pogłoski, że królewska armia okrutnie zemści się na wszystkich rewolucjonistach. Do wiosek przybywali posłańcy z przerażającymi wiadomościami o wojskach przewalających się przez kraj. Wskazywali zachodzące słońce i mówili, że to pożar wsi w oddali. Wieśniacy zbroili się przeciwko armii, która nigdy nie nadeszła. Palili kantory poborców podatkowych. Walczyli z lokalną milicją, wysyłąną, by stłumić bunt.

Zgromadzenie tymczasem wydało uchwałę, deklarację praw człowieka i obywatela, zakazującą szlachcie domagać się podatków, danin i pańszczyzny od chłopów. Uchwałę spisał markiz La Fayette, który współtworzył amerykańską konstytucję; nowe prawo unieważniało przywileje możnych i czyniło wszystkich ludzi równymi w oczach prawa.

Uczyniło także gilotynę oficjalnym narzędziem zadawania śmierci we Francji.

II

Co zrobić z królem? Oficjalnie wciąż miał prawo weta. Mirabeau, który omal nie zawarł sojuszu z moim ojcem, przekonywał, że protesty muszą się zakończyć, a król powinien władać jak dotąd.

Gdyby mój ojciec żył, wtórowałby mu; zastanawiałam się, czy

sojusz asasynów i templariuszy mógł zmienić bieg rzeczy, i nabierałam przekonania, że mógł. Zrozumiałam, że dlatego właśnie ojca zabito.

Inni – wśród nich przede wszystkim lekarz i naukowiec Jean-Paul Marat, który choć nie był członkiem Zgromadzenia, znajdował posłuch – uważali, że królowi należy odebrać wszelkie uprawnienia, miałby się przenieść z Wersalu do Paryża i pełnić funkcję wyłącznie doradczą.

Pogląd Marata był najbardziej radykalny. Z mojego punktu widzenia było to ważne, bo nie słyszałam, by ktoś domagał się usunięcia władcy, jak to bywało, kiedy dorastałam.

Ujmijmy to inaczej – najbardziej zagorzali paryscy rewolucjoniści nie wysuwali propozycji tak radykalnych jak sugestie doradców mojego ojca w naszej rezydencji w Wersalu już w 1778 roku.

Świadomość tego przenikała mnie chłodem. Zbliżał się dzień rady templariuszy. Kruki zostały oczywiście zaproszone, choć musiałam przestać używać tego określenia, jeśli miałam być ich wielką mistrzynią. Powinnam powiedzieć, że poproszono o stawiennictwo jedenaścioro zaufanych doradców mojego ojca, a także przedstawicieli innych ważnych rodów templariuszy.

Kiedy się zbiorą, powiem im, że teraz ja rządę. Ostrzeżę, że zdrada nie będzie tolerowana i że jeśli zabójca mojego ojca wyszedł z ich szeregów, zostanie zdemaskowany i ukarany.

Taki był plan. I myśląc o tym w samotności, tak właśnie to sobie wyobrażałam. Widziałam oczyma duszy spotkanie w naszym pałacyku w Wersalu, tak jak zapowiedziałam to panu Weatherallowi tamtego dnia w Maison Royale.

Ostatecznie jednak uznaliśmy, że lepszy będzie teren bardziej neutralny, i postanowiliśmy spotkać się w Hôtel de Lauzun na Wyspie Świętego Ludwika. Rezydencja należała do markiza de Pimôdan, rycerza Zakonu, o którym było wiadomo, że sprzyja La Serre'om. Toteż nie było to miejsce neutralne, ale przynajmniej

bardziej neutralne.

Pan Weatherall marudził, upierając się, że powinniśmy zachować większą ostrożność i nie zwracać na siebie uwagi. Po tym jak sprawy się potoczyły, jestem mu za to wdzięczna.

III

Owego dnia coś się wydarzyło. Odnosiło się wówczas wrażenie, że coś się dzieje codziennie, ale tamtego dnia – ściślej: wczoraj i dziś – doszło do czegoś poważniejszego. Do zdarzenia, które wisiało w powietrzu od chwili, gdy kilka dni wcześniej król Ludwik i Maria Antonina wypili za dużo wina na przyjęciu wydanym na cześć flandryjskiego pułku.

Wieść niesie, że królewska para, rozweselona, rytualnie podeptała rewolucyjną kokardę, inni goście odwrócili ją spodem na wierzch, ukazując jej białą stronę, uważaną za symbol przeciwników rewolucji – rojalistów.

Co za arogancja. Co za głupota. Król i jego żona przypominali mi swoim zachowaniem tę arystokratkę i jej służącego w dniu szturm na Bastylę, niemogących pogodzić się ze zmianą. Umiarkowani, tacy jak Mirabeau i La Fayette, musieli załamywać ręce w niedowierzaniu i frustracji, widząc tę bezmyślność króla, jego poczynania były bowiem wodą na młyn radykałów. Ludzie głodowali, a król wydał przyjęcie. Co gorsza, podeptał symbol rewolucji.

Rewolucyjni przywódcy wezwali do marszu na Wersal i tysiące ludzi, głównie kobiet, ruszyło tam z Paryża. Żołnierzy, którzy otworzyli ogień do protestujących, ścięto i zatknięto ich głowy na pikach.

To markiz La Fayette nakłonił króla, by przemówił do tłumu. Zaraz potem pokazała się Maria Antonina, a odwaga, z jaką stanęła przed ludźmi, ugasiła w dużej mierze ich gniew.

Następnie król i królowa zostali zabrani z Wersalu do Paryża. Podróż trwała dziewięć godzin, umieszczono ich w pałacu

Tuileries. Wydarzenie to wywołało w mieście największe poruszenie od upadku Bastylki trzy miesiące temu; na ulicach tłoczyli się żołnierze i sankiuloci, mężczyźni, kobiety i dzieci. Zapełniali Pont Marie, po którym ja i Jean Burnel przechodziliśmy przez rzekę, porzuciwszy kareta i postanowiwszy dotrzeć do Hôtel de Lauzun pieszo.

– Denerwujesz się, Élise? – spytał Jean. Promieniał z podniecenia i dumy.

– Proszę, byś tytułował mnie wielką mistrzynią – odparłam.

– Przepraszam.

– I nie, nie denerwuję się. Przewodzenie Zakonowi to moje dziedzictwo. Zaproszeni członkowie ujrzą we mnie siłę i pasję. Może jestem młoda, może jestem kobietą, ale zamierzam być taką wielką mistrzynią, na jaką Zakon zasługuje.

Jean aż pęczniał z dumy z mojej osoby, a ja przygryzłam wargę. Robiłam tak, kiedy się czymś denerwowałam. Tak jak teraz.

Wbrew temu, co powiedziałam Jeanowi, zachowującemu się jak posłuszny, wierny szczeniak, cała – tak ująłby to pan Weatherall – „trzęsłam się niczym srający pies”.

– Żałuję, że nie mogę tam być – powiedział.

Uzgodniliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zostanie w domu. Przyszłam się mu pokazać, a on zaczął przemowę mającą podnieść mnie na duchu.

– Cokolwiek zrobisz, nie oczekuj cudów – rzekł pan Weatherall. – Jeśli przekonasz doradców i, powiedzmy, pięcioro czy sześcioro innych członków, to wystarczy, by pociągnąć cały Zakon za sobą. Nie zapominaj też, że bardzo długo odwlekałaś moment stanięcia przed nimi i powołania się na swoje dziedzictwo. Wymów się rozpaczą po śmierci ojca, ale nie spodziewaj się, że to wszystko załatwi. Jesteś winna Zakonowi przeprosiny, dlatego najlepiej zacznij skruszona i nie zapominaj, że będziesz musiała bronić swego. Będą cię traktować z szacunkiem, ale jesteś młoda, jesteś kobietą i dopuściłaś się zaniedbań. Głósy, by postawić cię przed

sądem, nie będą traktowane poważnie, ale też nikt ich nie wyśmiewa.

Popatrzyłam na niego wielkimi oczami.

– Postawić przed sądem?

– Nie. Powiedziałem przecież, że nikt tego nie weźmie poważnie.

– Tak, ale zaraz potem dodał pan...

– Wiem, co dodałem – przerwał mi z irytacją. – Musisz pamiętać, że na kilka miesięcy pozostawiłaś Zakon bez przywództwa, i to w czasie rewolucji. La Serre czy nie La Serre, dziedzictwo czy nie, to nie przemawia na twoją korzyść. Możesz tylko mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

Byłam gotowa do wyjścia.

– Dobrze, wszystko jasne? – spytał pan Weatherall i wsparł się na kulach, żeby strzepnąć jakiś pyłek z mojego ramienia. Sprawdziłam szpadę i pistolet, zarzuciłam pelerynę, ukrywając broń i szatę templariusza, a potem ściągnęłam włosy i włożyłam trikorn.

– Tak sądzę. – Uśmiechnęłam się i głęboko, nerwowo odetchnęłam. – Mam być skruszona, nie nazbyt pewna siebie, wdzięczna każdemu, kto okaże mi poparcie... – Przerwałam. – Ilu potwierdziło przybycie?

– Młody Burnel zebrał tuzin zapowiedzi, w tym od twoich przyjaciół kruków. Pierwszy raz za mojej pamięci wielki mistrz zwołuje naradę w ten sposób, więc możesz być pewna, że kilka osób przyjdzie z czystej ciekawości, to może zadziałać na naszą korzyść.

Stałam na palcach, cmoknęłam go w policzek, a potem wyszłam w noc, pośpiesznie przebiegając przez ulicę do powozu, na którego koźle zasiadał Jean. Pan Weatherall miał co do niego rację. Owszem, ów młody człowiek zdecydowanie się we mnie kochał, ale był wierny i nie szczędził wysiłków, by zebrać poparcie dla mnie przed zebraniem. Jego celem było oczywiście wkraść się w moje łaski i zostać jednym z moich doradców, ale nie

był w tym bynajmniej odosobniony. Przypomniałam sobie kruki, ich szepty i uśmiechy, kiedy wróciłam z ceremonii mianowania; podejrzenia, które ich teraz otaczały; i Króla Żebraków.

– Élise... – zawołał pan Weatherall z drzwi.

Odwróciłam się. Niecierpliwym gestem przywołał mnie z powrotem. Kazałam Jeanowi poczekać i podbiegłam.

– Tak?

– Spójrz na mnie, dziecko – powiedział z powagą. – Spójrz mi w oczy i pamiętaj, że jesteś tego warta. Jesteś najlepszym wojownikiem, jakiego trenowałam. Masz inteligencję i urok po obojgu rodzicach. Dasz sobie radę. Możesz przewodzić Zakonowi.

Dostał za to jeszcze jednego buziaka i pobiegłam z powrotem.

Obejrzawszy się na dom, by pomachać po raz ostatni, w oknie zobaczyłam Hélène i Jacques'a. Wsiadając do karety, odwróciłam się, zdjęłam kapelusz i zamasyście się im ukłoniłam.

Czułam się dobrze. Zdenerwowana, ale zdeterminowana. Przyszedł czas wszystko naprawić.

IV

Teraz zaś szłam wraz z Jeanem Burnelem przez Pont Marie, oświetlany jedynie rozkołysanymi pochodniami tłumu, w kierunku Wyspy Świętego Ludwika. Przypomniałam sobie naszą rodzinną rezydencję, znajdującą się niedaleko stąd, opuszczoną i zaniedbaną, ale wyrzuciłam te myśli z głowy. Jean trzymał się blisko mnie, z ręką pod kurtą, gotów dobyć broni, gdyby ktoś nas zaczepił. Tymczasem ja rozglądałam się z nadzieją, pragnąc wypatrzyć w tłumie innych rycerzy Zakonu, również zmierzających ku Lauzun.

Teraz brzmi to zabawnie – w ironicznym znaczeniu tego słowa – ale kiedy byliśmy już blisko pałacu, w głębi serca ośmieliłam się mieć nadzieję na ogromną frekwencję – na olbrzymi, historyczny pokaz poparcia dla rodu La Serre'ów. A choć teraz wydaje się to mrzonką, zwłaszcza gdy wiem, jak było naprawdę, wtedy, cóż...

czemu nie? Mój ojciec był ukochanym przywódcą, moja rodzina – szanowaną dynastią. Być może Zakon potrzebujący przywództwa zwróci się do mnie, by uczcić pamięć mojego ojca.

Tak jak wszystkie inne ulice na wyspie, aleja przed Lauzun była zatłoczona. Duże drewniane drzwi z wstawioną w nie mniejszą furtą prowadziły na dziedziniec otoczony wysokim murem porośniętym bluszczem. Rozejrzałam się po ulicy, widząc dziesiątki ludzi, ale nikogo ubranego tak, jakby się tu wybierał.

Jean popatrzył na mnie. Milczał, odkąd go zbeształam, i teraz było mi z tego powodu przykro, zwłaszcza że widziałam jego zdenerwowanie i wiedziałam, że się o mnie martwi.

– Jest pani gotowa, wielka mistrzyni? – spytał.

– Tak, dziękuję, Jean.

– W takim razie proszę pozwolić, abym zapukał.

Drzwi otworzył nam lokaj w eleganckiej kamizelce i białych rękawiczkach. Widok jego, przepasanego haftowaną ceremonialną szarfą, dodał mi otuchy. Trafiłam przynajmniej we właściwe miejsce i byli tu gotowi na moje przyjęcie.

Skłoniwszy głowę, lokaj odsunął się na bok, wpuszczając nas na dziedziniec. Rozejrzałam się dookoła. Ujrzałam zabite deskami okna i balkony wokół zaniedbanego placu zasłanego suchymi liśćmi, powywracanymi donicami i potrzaskanymi skrzyniami.

W innych czasach mogła tu delikatnie szemrać fontanna, a wieczorne ćwierkanie ptaków umilać zakończenie kolejnego miłego spędzonego dnia. Teraz już nie.

Teraz byłam tu tylko ja, Jean, lokaj i markiz de Pimôdan, stojący na uboczu, odziany w szatę, z rękami splecionymi przed sobą. Wyszedł nam na powitanie.

– Pimôdan – powiedziałam serdecznie. Uścisnęliśmy się. Ucałowałam go w oba policzki i podniesiona na duchu widokiem naszego gospodarza oraz jego sługi w strojach templariuszy pozwoliłam sobie wierzyć, że niepotrzebnie się denerwowałam. Że wszystko będzie dobrze, że ta dziwna cisza to po prostu zwyczaj

Zakonu.

Potem jednak, kiedy Pimôdan powiedział: „To dla mnie zaszczyt, wielka mistrzyni”, jego słowa zabrzmiały głucho; odwrócił się pośpiesznie i poprowadził nas przez dziedziniec, a moje zdenerwowanie wróciło, dziesięćkroć silniejsze.

Zerknęłam na Jeana, który skrzywił się, zaniepokojony sytuacją.

– Czy pozostali już się zebrali, Pimôdan? – spytałam, kiedy szliśmy do wrót prowadzących do pałacu. Lokaj otworzył je i wpuścił nas do środka.

– Sala jest przygotowana, wielka mistrzyni – odparł wymijająco markiz. Weszliśmy do zaciemnionej jadalni o zabitych deskami oknach i meblach przykrytych płachtami.

Lokaj zamknął wrota i stanął, czekając. Pimôdan poprowadził nas do solidnych zdobionych drzwi po przeciwległej stronie sali.

– Tak, ale którzy członkowie się stawili? – spytałam. Mój głos zabrzmiał ochryple. Zaschło mi w gardle.

Markiz nie odpowiedział, chwycił tylko wielki żelazny pierścień drzwi i przekręcił go. Łoskot, jaki się rozległ, przypominał wystrzał z pistoletu.

– *Monsieur* Pimôdan... – powiedziałam z naciskiem.

Drzwi się otworzyły, ukazując prowadzące w dół kamienne stopnie, oświetlone pochodniami w uchwytach. Pomarańczowy blask pełgał po kamiennych ścianach.

– Chodźmy – rzekł Pimôdan, wciąż mi nie odpowiadając. Zobaczyłam, że ścisnął coś w ręku. Krucyfiks.

Tego było już za wiele. Miałam dość.

– Stać – rozkazałam.

Markiz zrobił jeszcze krok, jakby mnie nie usłyszał, ale odrzuciłam pelerynę, dobyłam szpady i przystawiłam mu sztych do karku. To go zatrzymało. Jean Burnel też wyciągnął broń.

– Kto tam jest, Pimôdan? – spytałam ostro. – Przyjaciel czy wróg?

Cisza.

– Niech pan nie wystawia mojej cierpliwości na próbę – warknęłam, dociskając ostrze. – Jeśli jestem w błędzie, to złożę najpokorniejsze przeprosiny, ale na razie mam wrażenie, że coś tu jest bardzo nie w porządku i chcę wiedzieć dlaczego.

Pimôdan westchnął głęboko, jego ramiona uniosły się i opadły, jakby zamierzał zrzucić brzemię wielkiej tajemnicy.

– To dlatego, że nikogo tu nie ma, *mademoiselle*.

Zmroziło mnie, coś zawyło mi w uszach. Nie mogłam tego pojąć.

– Co? Nikogo?!

– Nikogo.

Obejrzałam się na Jeana Burnela, który wytrzeszczył oczy, nie wierząc własnym uszom.

– A markiz de Kilmister? – spytałam. – Jean-Jacques Calvert i jego ojciec? Markiz de Simonon?

Pimôdan wyciągnął szyję, by odsunąć się od mojej szpady, i powoli pokręcił głową.

– Pimôdan? – powtórzyłam z naciskiem, znów dźgając go w kark. – Gdzie są moi stronnicy?

Bezradnie rozłożył ręce.

– Wiem tylko tyle, że dziś rano sankiuloci zaatakowali pałac Calvertów – rzekł. – Jean-Jacques i jego ojciec zginęli w pożarze. O innych nic mi nie wiadomo.

Zmroziło mi krew w żyłach.

– Czystka – powiedziałam do Burnela. – To czystka. – Odwróciłam się znów do markiza. – A na dole? Czy na dole czekają na mnie zabójcy?

Pimôdan odwrócił się nieznacznie w moją stronę.

– Nie, *mademoiselle* – rzekł. – Nie ma tam niczego prócz pewnych dokumentów, które wymagają pani uwagi.

Ale mówiąc to, wbił we mnie spojrzenie szeroko otwartych, przerażonych oczu i pokiwał głową. Była to marna pociecha –

wiedzieć, że w tym tchórze zostały się resztki lojalności, że przynajmniej nie zamierzał pozwolić mi zejść do jaskini pełnej morderców.

Odwróciłam się na pięcie, pchnęłam Jeana Burnela z powrotem na górę, zatrzasnęłam drzwi i zasunęłam skobel. Lokaj wciąż stał przy podwójnych wrotach jadalni z taką miną, jakby zaskoczył go ten nieoczekiwany bieg zdarzeń. Biegając wraz z Jeanem w jego stronę, wyciągnęłam pistolet i wycelowałam w niego, pragnąc zetrzeć tę wyniosłość z jego twarzy. Zamiast tego jednak gestem kazałam mu otworzyć drzwi.

Zrobił to i wyszliśmy z pałacu na ciemny dziedziniec.

Drzwi się za nami zamknęły. Możesz to nazwać szóstym zmysłem, ale od razu się zorientowałam, że coś jest nie w porządku. Ułamek chwili później poczułam coś na szyi.

Były to pętle skręcone z baranich jelit, precyzyjnie zrzucone z balkonu nad nami. W moim wypadku nie dość precyzyjnie – pętla zaczepiła się o kołnierz kurty i nie napięła należycie, dając mi bezcenną chwilę na reakcję. Zabójca, który wziął na cel Jeana Burnela, trafił idealnie i sznur wpił się w szyję chłopaka.

W panice Burnel upuścił broń. Obiema rękami próbował złapać pętlę na szyi. Zaparskał przez nos, twarz mu poczerwieniała, oczy wyszły z orbit. Ciągnięty w górę napiął się cały, czubkami butów skrobał ziemię.

Zamachnęłam się szpadą, celując w sznur, na którym wisiał, ale jednocześnie mój przeciwnik szarpnął mocno w bok, odciągając mnie. Bezradnie patrzyłam, jak Jeanowi język wychodzi z ust, a oczy nieomal wyłażą z oczodołów. Ciągnąc za swój sznur, spojrzałam w górę i zobaczyłam ciemne postaci na balkonie, manipulujące nami jak marionetkarze.

Miałam jednak szczęście, bo choć pętla mnie dusiła, wciąż zaciskała się na kołnierzu, dzięki czemu zachowałam dość przytomności umysłu, by znów zamachnąć się szpadą, tyle że tym razem nie na sznur, na którym wisiał Burnel, ten bowiem był

poza moim zasięgiem, lecz na własny.

Przecięłam go i runęłam na kolana, z trudem łapiąc oddech. Natychmiast przetoczyłam się na plecy, sięgnęłam po pistolet, odwiodłam kurek i wycelowałam oburącz w balkon.

Wypaliłam. Strzał poniósł się echem po dziedzińcu, przynosząc natychmiastowy skutek. Jean Burnel opadł na ziemię niczym wór, z twarzą zmienioną w ohydną śmiertelną maskę, a dwie postaci na balkonie zniknęły. Odpędziłam napastników – na razie.

Z wnętrza budynku dobiegły mnie krzyki i tupot biegnących. Przez przeszkłone podwójne drzwi widziałam, przysięgåłabym, lokaja, który stał w cieniu i przyglądał się nam. Podniosłam się na nogi, licząc, ilu ich może być – dwóch z balkonu, może następnych dwóch czy trzech z piwnicy. Po lewej otworzyły się z hukiem inne drzwi i wypadło z nich dwóch osiłków w strojach sankiulotów.

Och. A więc jeszcze dwóch gdzieś w domu.

Huknął wystrzał, kula rozdarła powietrze tuż obok mojej głowy. Nie miałam czasu nabić pistoletu. Nie miałam czasu na nic prócz ucieczki.

Popędziłam w kierunku ławki we wnęce muru, w cieniu dużego drzewa. Skoczyłam, odbiłam się od niej w górę i chwyciłam nisko zwisającą gałąź, niezgrabnie uderzając ciałem o pień.

Za mną rozległ się krzyk i następny wystrzał. Przywarłam do drzewa, kiedy kula wbiła się w korę między moimi rozcapierzonymi palcami. „Masz szczęście, Élise, wielkie szczęście”. Zaczęłam się wspinać. Czyjeś ręce usiłowały chwycić mnie za but, ale odtrąciłam je kopnięciem i na oślep parłam w górę, w nadziei, że uda mi się wspiąć na szczyt muru.

W końcu tam dotarłam, przeskoczyłam na niego z drzewa. Kiedy jednak spojrzałam w dół, ujrzałam wyszczerzone oblicza dwóch mężczyzn, którzy wyszli bramą i teraz na mnie czekali. Uśmiechali się szeroko, jakby chcieli powiedzieć: „Mamy cię”.

Myśleli, że skoro są pode mną, a z drugiej strony nadchodzą

inni, to jestem w potrzasku. Myśleli, że już po wszystkim.

Dlatego zrobiłam coś, czego się najmniej spodziewali. Skoczyłam na nich.

Nie jestem ciężka, ale miałam na nogach wielkie buciory, a w rękę szpadę, do tego element zaskoczenia był po mojej stronie. Spadając, dźgnęłam jednego w twarz, a potem, nie wyciągając ostrza, odwróciłam się i kopnęłam drugiego w gardło. Padł na kolana, łapiąc się za szyję, już siniejąc. Wyszarpnęłam broń z twarzy pierwszego i wbiłam mu ją w pierś.

Z tyłu rozległy się krzyki. Zza muru nade mną wyjrzały twarze. Ruszyłam biegiem, przepychając się przez tłum. Dwóch prześladowców za mną robiło to samo. Brnęłam przed siebie, nie zwracając uwagi na przekleństwa popychanych ludzi. Na moście przyczaiłam się za niskim murkiem.

Wtedy usłyszałam krzyk.

– Zdrajczyni! Zdrajczyni rewolucji! Nie pozwólcie tej rudej uciec!

Drugi z moich prześladowców podchwycił pomysł.

– Brać ją! Brać tę rudą flandrę!

I następny.

– Zdrajczyni rewolucji!

– Pluje na *tricolore*!

Tłum nie od razu zrozumiał, co się dzieje, ale stopniowo ludzie zaczęli odwracać się w moim kierunku, dostrzegając mój wykwinny strój i znacząco spoglądając na moje włosy. Rude włosy.

– To ty – powiedział jakiś mężczyzna. – To ty! – krzyknął. – Mamy ją! Mamy zdrajczynię!

Pod sobą miałam rzekę i barkę płynącą powoli pod samym mostem, wyładowaną przykrytymi płachtą towarami. Nie wiedziałam, co to za towary, i mogłam się tylko modlić, by były miękkie, by zamortyzowały skok z mostu.

Ostatecznie nie miało to znaczenia. W chwili kiedy skoczyłam,

rozjuszony obywatel próbował mnie złapać i mój skok zmienił się w unik, przez co nie trafiłam tam, gdzie chciałam. Wymachując rękami i nogami, spadłam na barkę, ale po niewłaściwej, zewnętrznej stronie; z siłą, która wypchnęła mi powietrze z płuc, rąbnęłam o burzę.

Zdałam sobie sprawę, że trzask, jaki się przy tym rozległ, był odgłosem moich pękających żeber, a potem chlupnęłam w czarne jak atrament wody Sekwany.

V

Oczywiście udało mi się wrócić. Kiedy dopłynęłam do brzegu, wyczołgałam się z wody i w zamieszaniu wywołanym przyjazdem króla do Paryża „znalazłam” konia. Pojechałam zaśmieconą drogą w kierunku przeciwnym niż tłum, do Wersalu. Starłam się jak najmniej ruszać, pamiętając o połamanych żebrach.

Kiedy dojechałam na miejsce, szczykałam zębami w przemoczonym ubraniu. Zsunęłam się z siodła i ruszyłam do drzwi domku ogrodnika. Nie bacząc na swój opłakany stan, mogłam myśleć tylko o jednym: zawiodłam go. Zawiodłam ojca.

*Wyjatek z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

Czytając to, mimowolnie wstrzymuję oddech, nie tylko z podziwu dla śmiałości i odwagi, z jaką działa, ale dlatego, że śledząc jej drogę, dostrzegam w niej lustrzane odbicie swojej własnej. Pan Weatherall miał rację (dziękuję, dziękuję, panie Weatherall, że pomógł jej pan to zrozumieć): ja i Élise byliśmy do siebie bardzo podobni.

Różnica polegała oczywiście na tym, że ona zrozumiała to pierwsza. To Élise zaczęła uczyć się praw swojego... Ach, zamierzałem napisać „wybranego” Zakonu, ale oczywiście nie mogła go „wybrać”. Urodziła się, by być templariuszką. Wychowywano ją na przywódczynię. A jeśli nawet z początku pogodziła się ze swoim przeznaczeniem – głównie dlatego, że pozwalało jej uciec od spojrzeń zza wachlarzy i plotek Wersalu – z czasem nauczyła się je podważać. Dojrzała na tyle, by zakwestionować odwieczny konflikt asasynów i templariuszy; zaczęła zadawać sobie pytanie, czy to wszystko jest tego warte – czy wszystkie te zabójstwa cokolwiek dobrego przyniosły i czy kiedykolwiek przyniosą.

Tak jak przypuszczała, człowiekiem, z którym mnie widziała, był Bellec. Nie da się ukryć, że zrobił na mnie wielkie wrażenie, zaintrygował mnie i sprawił, że odkryłem pewne talenty, będące w moim zasięgu. Innymi słowy, to Bellec uczynił ze mnie asasyna. To on był moim mentorem podczas wprowadzania mnie w szeregi Zakonu; to on wysłał mnie z misją znalezienia zabójcy mojego przybranego ojca.

O tak, Élise. Nie ty jedna opłakiwałaś François de La Serre’a. Nie ty jedna badałaś okoliczności jego śmierci. A w tym ja miałem pewną przewagę: wiedzę swojego Zakonu, „talenty”, które zdołałem rozwinąć pod okiem Belleca, i fakt, że byłem na miejscu

tamtego wieczora, kiedy zadźgano François de La Serre'a.

Być może powinienem zaczekać i tobie zostawić ten zaszczyt.
Być może byłem tak samo porywczy jak ty. Być może.

*Wyjątki z diariusza
Élise de La Serre*

25 kwietnia 1790

I

Minęło pół roku od ostatniego wpisu w moim dzienniku. Pół roku, odkąd skoczyłam z Pont Marie w zimną paździenikową noc.

Pewien czas spędziłam przykuta do łóżka, cierpiąc z powodu gorączki, której dostałam po kąpieli w Sekwanie, i połamanych żeber. Moje znękanne ciało nie radziło sobie zbyt dobrze z tymi dwoma problemami jednocześnie; przez pewien czas, przynajmniej według Hélène, moje życie wisiało na włosku.

Muszę jej wierzyć na słowo. Byłam nieobecna umysłem, gorączkowałam, miałam halucynacje, bełkotałam dziwne rzeczy w nocy, krzyczałam, moje wychudzone ciało oblewał zimny pot.

Zapamiętałam z tego poranek, kiedy się obudziłam i ujrzałam nad sobą ich zatroskane twarze: Hélène, Jacques'a i pana Weatheralla. Hélène powiedziała: „Gorączka spadła”, a po ich obliczach przeszła fala ulgi.

II

Kilka dni później pan Weatherall przyszedł do mojej sypialni i przysiadł na skraju łóżka. W domku raczej nie przestrzegaliśmy ceremoniałów. Między innymi dlatego tak mi się tam podobało; fakt, że muszę tam przebywać, ukrywając się przed wrogami, był dzięki temu nieco bardziej znośny.

Przez jakiś czas pan Weatherall siedział w milczeniu, tak jak to bywa między starymi przyjaciółmi, kiedy nie trzeba się obawiać ciszy. Z zewnątrz dobiegały głosy przedrzeźniających się Hélène i Jacques'a; pod oknem zatupotały stopy, Hélène przebiegła roześmiana i bez tchu. Popatrzyliśmy po sobie i uśmiechnęliśmy się porozumiewawczo; potem pan Weatherall znów spuścił głowę

i zaczął skubać brodę, jak to ostatnio miał w zwyczaju.

W końcu przerwałam milczenie:

– Co by zrobił mój ojciec, panie Weatherall?

Pan Weatherall nieoczekiwanie się zaśmiał.

– Wezwałyby pomoc zza morza, dziecko. Prawdopodobnie z Anglii. Powiedz, jak tam twoje stosunki z angielskimi templariuszami?

Rzuciłam mu miażdżące spojrzenie.

– Co jeszcze?

– Cóż, próbowałyby zebrać poparcie. I zanim coś powiesz: owszem, jak myślisz, co robiłem, kiedy ty tu majaczyłaś i zalewałaś się potem? Próbowałem zebrać stronników.

– I?

Westchnąłem.

– Nie ma się czym chwalić. Moja siatka powoli milknie.

Objęłam ramionami kolana i poczułam ukłucie bólu żeber, wciąż nie do końca zaleczonych.

– Co znaczy „powoli milknie”?

– To, że po miesiącach wysyłania listów i odbierania wymijających wiadomości, nikt nie chce nic wiedzieć. Nikt nie chce ze mną rozmawiać, z nami, nawet w sekrecie. Mówią, że jest nowy wielki mistrz, że era La Serre’ów dobiegła końca. Moi korespondenci przestali podpisywać listy. Błagają, bym je palił po przeczytaniu. Kimkolwiek jest ten nowy przywódca, boją się go.

– „Era La Serre’ów dobiegła końca”. Tak mówią?

– Tak mówią, dziecko. Coś w tym guście.

Krótko, sucho się zaśmiałam.

– Wie pan, panie Weatherall, sama nie wiem, czy powinnam się obrażać, czy czuć wdzięczność, kiedy ludzie mnie nie doceniają. Era La Serre’ów nie dobiegła końca. Niech im pan to powie. Niech im pan powie, że era La Serre’ów nie dobiegnie końca, dopóki starczy mi tchu. Spiskowcom może się wydawać, że ujdzie im na sucho zabicie mojego ojca i wyrzucenie mojej rodziny z Zakonu.

Ale jeśli tak, to zasługują na śmierć za samą swoją głupotę.

– Wiesz, jak to brzmi? – spytał pan Weatherall. – Jak zemsta.

Wzruszyłam ramionami.

– Dla pana zemsta, dla mnie niepoddawanie się. Tak czy inaczej, nie zamierzam tu siedzieć, jak by to pan powiedział, na tyłku, chować się w szkole dla dziewcząt, oglądać za siebie na każdym kroku i czekać, aż ktoś przyśle list do naszej sekretnej skrytki. Za zło zamierzam odpłacić złem, panie Weatherall. Proszę to przekazać wszystkim swoim kontaktom.

Ale pan Weatherall potrafił być przekonujący. Poza tym straciłam formę, opadłam z sił – wciąż bolały mnie żebra – dlatego zostałam w domku, a on zajął się sprawami: pisaniem listów i sekretnymi próbami zmobilizowania poparcia dla mnie.

Przyszły wieści, że pałacyk w Wersalu opuścili ostatni służący. Pragnę tam jechać, ale oczywiście nie mogę, bo to niebezpieczne, toteż muszę zostawić ukochany rodzinny dom na pastwę plądrującej tłuszczy.

Obiecałam jednak panu Weatherallowi cierpliwość, więc jestem cierpliwa. Na razie.

16 listopada 1790

Siedem miesięcy pisania listów i wiemy tyle: moi sprzymierzeńcy i przyjaciele są już dawnymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi.

Czystka się dokonała. Niektórzy zdradzili, inni zostali przekupieni, a jeszcze inni – ci bardziej niezłomni, którzy próbowali okazać wsparcie, tacy jak *monsieur* Le Fanu – cóż, rozprawiono się z nimi w inny sposób. Któregoś ranka Le Fanu poderżnięto gardło, wyniesiono go nogami do przodu, gołego, z paryskiego burdelu i wystawiono na ulicy na widok publiczny. Za tę hańbę pośmiertnie odebrano mu członkostwo Zakonu, a jego żona i dzieci, które normalnie otrzymałyby finansową pomoc, popadły w nędzę.

Le Fanu był rodzinnym człowiekiem, całkowicie wiernym swojej żonie Claire. Nie dość, że nigdy nie poszedłby do burdelu, to jeszcze wątpię, czy wiedziałby w ogóle, co tam robić. Kto jak kto, ale on nie zasługiwał na taki los.

Taką cenę zapłacił za wierność rodowi La Serre'ów. Stracił wszystko: życie, reputację i honor. Wszystko.

Wiedziałałam, że każdy członek Zakonu, który dotąd się nie złamał, teraz na pewno to robi – znając haniebny koniec, jaki może go spotkać. I rzeczywiście, tak się właśnie stało.

– Chcę, żeby zaopiekowano się żoną i dziećmi *monsieur* Le Fanu – powiedziałam panu Weatherallowi.

– *Madame* Le Fanu odebrała życie dzieciom i sobie – odparł. – Nie mogła żyć w takiej hańbie.

Zamknęłam oczy i westchnęłam głęboko, usiłując zapanować nad kotłującą się we mnie wściekłością. Kolejne trupy na ich liście.

– Kim on jest, panie Weatherall? – spytałam. – Kim jest człowiek, który to wszystko robi?

– Dowiemy się – odparł, wzdychając. – Nic się nie martw.

Ale nic nie zrobiono. Bez wątpienia moi wrogowie byli przekonani, że przejęcie władzy dokonało się w zupełności, że nie jestem już groźna. Mylili się.

12 stycznia 1791

Moje umiejętności szermiercze powróciły, jeszcze doskonalsze niż dotąd, strzelam celnie i uprzedziłam pana Weatheralla, że to już niedługo, że wkrótce wyruszę, bo zostając tutaj, nic nie zdołam; każdy dzień spędzony w ukryciu to zmarnowany dzień zemsty. Próbował mi to wyperswadować. Zawsze była jakaś odpowiedź, na którą czekał. Jeszcze jedna droga, której warto było spróbować.

Kiedy to przestało działać, groził mi. Niech no tylko spróbuję wyjechać, a się przekonam, jak to jest dostać srogie manto przeпоconą kulą spod pachy. Niech tylko spróbuję.

Pozostaję (nie)cierpliwa.

26 marca 1791

I

Dziś rano pan Weatherall i Jacques wrócili z Châteaufort kilka godzin spóźnieni – tak późno, że zaczęłam się już martwić.

Rozmawialiśmy o przeniesieniu skrytki. Prędzej czy później ktoś przyjedzie. Przynajmniej według pana Weatheralla. Kwestia przenosin skrytki stała się kolejną bronią w bezustannie toczonej przez nas wojnie, czy powinnam zostać (on: tak), czy jechać (ja: tak). Odzyskałam siły i kondycję, a kiedy byłam sama, szalałam z frustracji spowodowanej bezsilnością; wyobrażałam sobie swoich bezimiennych wrogów tryumfujących i wznoszących ironiczne toasty za moje zdrowie.

– To stara Élise – ostrzegł pan Weatherall. – Czyli młoda Élise. Przybywająca do Londynu i wszczynająca awanturę, której końca nie widać.

Miał oczywiście rację; chciałam być starszą, spokojniejszą Élise, godną przywódczynią. Mój ojciec nigdy nie działał pochopnie.

Jednak wciąż nachodziła mnie myśl, żeby coś zrobić. Ktoś mądrzejszy grzecznie zaczekałby, aż skończy szkołę, ale młoda Élise nie siedziała beczynnym, pojechała powozem do Calais, gdzie zaczęło się jej prawdziwe życie. To, że siedzę i nic nie robię, złościło mnie i drażniło. A i bez tego byłam bardzo zła.

Ostatecznie zostałam zmuszona do działania przez to, co wydarzyło się dziś rano, kiedy pan Weatherall wzbudził mój niepokój, wracając spóźniony z wyprawy do skrytki. Wybiegłam na podwórko, by go przywitać. Jacques zawracał wozem.

– Co się z wami działo? – spytałam, pomagając mu zsiąść.

– Coś ci powiem – odparł, marszcząc brew. – To piekielne szczęście, że ten młody człowiek nie znosi odoru sera – wskazał ruchem głowy Jacques'a.

– To znaczy?

– Kiedy czekał na mnie pod sklepem, zdarzyło się coś dziwnego. Powinienem raczej powiedzieć: zobaczył coś bardzo dziwnego. Kręcącego się w pobliżu chłopca.

Byliśmy w połowie drogi do domu, gdzie planowałam zrobić panu Weatherallowi kawę i pozwolić mu dokończyć opowieść, teraz jednak stanęłam.

– Co takiego?

– Przecież mówię, małego ulicznika, który się kręcił w pobliżu.

Ów ulicznik, jak się okazało, istotnie kręcił się w okolicy. „Też mi coś – powiedziałam – młody łobuziak kręcący się po miejskim placu”, ale pan Weatherall skarcił mnie pełnym irytacji warknięciem.

– To nie był byle jaki łobuziak, ale wyjątkowo wścibski. Podszedł do Jacques’a, czekającego pod sklepem. Zaczął go wypytywać na przykład o to, czy widział mężczyznę o kulach wchodzącego rano do sklepu. Jacques to dobry chłopak, więc powiedział tamtemu, że w ogóle nie widział żadnego człowieka o kulach, ale będzie miał oko. „Świetnie – mówi na to łobuz – będę w pobliżu. Może nawet zarobisz jakiś grosz, jeśli powiesz mi coś użytecznego”. Szczeniak miał najwyżej dziesięć lat, według Jacques’a. Skąd miałyby pieniądze, żeby płacić informatorom?

Wzruszyłam ramionami.

– Od tego, kto mu płaci! Dzieciak pracuje dla tych samych templariuszy, którzy spiskowali przeciwko nam, albo nie nazywam się Freddie Weatherall. Szukają skrytki, Élise. Szukają ciebie, a skoro myślą, że znaleźli skrytkę, będą ją od tej pory obserwować.

– Rozmawiał pan z tym chłopcem?

– W żadnym razie. Za kogo ty mnie masz, za idiotę? Jak tylko Jacques wszedł do sklepu i powiedział mi, co się stało, wyszliśmy tylnym wyjściem i wróciliśmy do domu okrężną trasą, sprawdzając, czy nikt nas nie śledzi.

– A śledził?

Pan Weatherall pokręcił głową.

– Ale to tylko kwestia czasu.

– Skąd pan wie? – zaoponowałam. – Bardzo dużo tu „jeżeli”. Jeżeli łobuziak pracował dla templariuszy, a nie tylko chciał pana okraść, wyżebrać pieniądze albo dla zabawy wykopać panu spod pachy jedną kulę; jeżeli widział dość, żeby wzbudzić ich podejrzenia; jeżeli zdecydowali, że to nasza skrytka.

– Myślę, że tak – powiedział cicho.

– Skąd pan może wiedzieć?

– Stąd. – Zmarszczył czoło, sięgnął pod kurtkę i podał mi list.

II

Mademoiselle Wielka Mistrzyni,

pozostaję lojalny wobec Pani i Pani Ojca. Musimy się spotkać, abym mógł opowiedzieć Pani prawdę o śmierci Pani Ojca i późniejszych wydarzeniach. Proszę natychmiast odpisać.

Lafrenière

Serce zabiło mi w piersi.

– Muszę mu odpisać – powiedziałam szybko.

Pan Weatherall ze złością pokręcił głową.

– Niczego takiego nie uczynisz – warknął. – To pułapka. Chcą nas wywabić. Będą czekali na odpowiedź. Jeśli to list od Lafrenière’a, to zjem własne buty. To pułapka. A odpisując, wpadniemy w sam jej środek.

– Owszem, jeśli odpiszemy stąd.

Znów pokręcił głową.

– Nigdzie nie jedziesz.

– Muszę to sprawdzić – odparłam, machnąwszy listem.

Pan Weatherall podrapał się w głowę, gorączkowo się zastanawiając.

– Sama nigdzie nie pojedziesz.

Zaśmiałam się krótko.

– A kto ma mi towarzyszyć? Pan?

I natychmiast ugryzłam się w język, widząc, jak zwiesił głowę.

– O Boże – powiedziałam cicho. – O Boże, przepraszam, panie Weatherall, nie chciałam...

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie, nie, masz rację, Élise, masz rację. Jestem obrońcą, który nie może cię bronić.

Podeszłam do niego, uklękłam przy jego fotelu i objęłam go.

Zapadła długa cisza, którą przerywało tylko pociąganie nosem pana Weatheralla.

– Nie chcę, byś jechała – powiedział w końcu.

– Muszę.

– Nie dasz sobie z nimi rady, Élise – powiedział, ze złością wycierając łzy z oczu. – Są zbyt silni, zbyt potężni. Nie możesz się z nimi mierzyć sama.

Uścisnęłam go.

– Nie mogę też uciekać. Wie pan tak samo jak ja, że skoro znaleźli naszą skrytkę, to domyślą się, że jesteśmy w pobliżu. Nakreślą na mapie koło ze skrytką na środku i zaczną szukać. A Maison Royale, gdzie Élise de La Serre zakończyła edukację, to doskonałe miejsce, by zacząć. Wie pan tak samo jak ja, że musimy stąd odejść, oboje. Musimy jechać gdzie indziej, gdzie będziemy dalej bezowocnie próbować gromadzić poparcie i czekać, aż odkryją naszą nową skrytkę, i znów będziemy musieli się przenieść. Wyjazd stąd to nie kwestia wyboru.

Pan Weatherall pokręcił głową.

– Nie, Élise, coś wymyślę. Posłuchaj tylko. Jestem twoim doradcą i nalegam, byś została, a my tymczasem obmyślimy, jak zareagować na tę ostatnią prowokację. Co ty na to? Czy to dość rozsądna rada, by ci wyperswadować pomysł wyjazdu?

Obiecując, że zostanę, czułam na ustach ohydny smak

kłamstwa. Zastanawiam się, czy wiedział, że kiedy wszyscy pójdą spać, wykradnę się po cichu.

Kiedy tylko wyschnie atrament, którym pisałam te słowa, schowam diariusz do torby i ucieknę. Złamię mu serce. Bardzo pana za to przepraszam, panie Weatherall.

27 marca 1791

I

Kiedy bezgłośnie skradałam się do drzwi, korytarzem przemknął duch.

Odchrząknęłam i duch się zatrzymał, odwrócił i zakrył usta dłonią. To była Hélène, przyłapaną na tym, jak wraca od Jacques'a do swojego pokoju.

– Przepraszam, że cię przestraszyłam – szepnęłam.

– Och, *mademoiselle*.

– To całe skradanie się jest rzeczywiście potrzebne?

Zaczerwieniła się.

– Nie mogłam pozwolić, żeby pan Weatherall się dowiedział.

Już miałam zacząć się z nią spierać, ale pohamowałam się i odwróciłam do drzwi.

– Cóż, tymczasem bywaj.

– Dokąd się pani wybiera, *mademoiselle*?

– Do Paryża. Mam tam coś do zrobienia.

– I wyjeżdża pani w środku nocy, bez pożegnania?

– Muszę... Chodzi o... pana Weatheralla. On nie chce...

Hélène podbiegła do mnie na palcach, przyciągnęła do siebie i mocno ucałowała w oba policzki.

– Proszę, bądź ostrożna, Élise. Wróć do nas.

Zabawna rzecz: wyruszam pomścić swoją rodzinę, ale tak naprawdę ona jest tutaj. Przeszło mi przez myśl, by zostać. Czy nie lepiej żyć na wygnaniu wśród ukochanych osób, niż umrzeć w poszukiwaniu zemsty?

Nie. W duszy nosiłam ciężkie jarzmo nienawiści i musiałam się go pozbyć.

– Wrócę – powiedziałam. – Dziękuję, Hélène. Wiesz... wiesz, jak

bardzo cię podziwiam.

Uśmiechnęła się.

– Wiem.

Odwrociłam się i wyszłam.

II

To, co czułam, odjeżdżając z domku, nie było radością. To było podniecenie działaniem i poczucie misji. Popędziłam Czochraja w kierunku Châteaufort.

Miałam tam coś do załatwienia. Przybywszy na miejsce wczesnym rankiem, znalazłam otwartą karczmę. W środku rozpowiedziałam każdemu, kogo to interesowało, że nazywam się Élise de La Serre, że mieszkałam w Wersalu, ale teraz jadę do Paryża.

Następnego ranka tam dotarłam. Przejechałam przez Pont Marie na Wyspę Świętego Ludwika, kierując się... do domu? W pewnym sensie. Do swojej willi.

Jak będzie wyglądała? Nie pamiętałam nawet, czy byłam dobrym gospodarzem podczas swojej ostatniej tam bytności. Dotarwszy na miejsce, poznałam odpowiedź. Nie, nie byłam dobrym gospodarzem, co najwyżej spragnionym, sądząc po walających się wszędzie butelkach po winie. Stłumiłam drzenie, wspominając mroczne godziny, jakie tu spędziłam.

Pamiętki z przeszłości zostawiłam nietknięte. Następnie napisałam do *monsieur* Lafrenière'a list, w którym poprosiłam o spotkanie w Hôtel Voysin za dwa dni. Dostarczywszy go osobiście pod wskazany adres, wróciłam do willi, gdzie porozciągałam druty na wypadek, gdyby przyszli mnie tu szukać, i umościłam się w pokoju kamerdynera.

29 marca 1791

I

Udałam się do Hôtel Voysin w Le Marais na spotkanie z Lafrenière. Kto przyjdzie? Oto pytanie. Lafrenière przyjaciel? Lafrenière zdrajca? A może ktoś jeszcze inny? A jeśli to była pułapka, to czy w nią wpadłam? Czy może zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam, jeśli nie chciałam spędzić reszty życia, ukrywając się przed ludźmi pragnącymi mojej śmierci?

Dziedziniec Hôtel Voysin był ciemnoszary. Ze wszystkich stron okalał go gmach, niegdyś wytworny, z wyglądu równie szlachetny jak ci, którzy w nim bywali. Jednak tak jak arystokrację zmiotła rewolucja – Zgromadzenie codziennie odbierało jej kolejne przywileje – tak i Voysin zdawał się przytłoczony wydarzeniami ostatnich dwóch lat: okna, w których kiedyś płonęło światło, były ciemne, niektóre wyłamane i zabite deskami. Ogrody, dawniej strzyżone i pielone przez ogrodników zamiatających czapkami przed jasnie państwem, zostały opuszczone i zmarniały; bluszcz piał się po ścianach, wyciągał swoje macki ku pustym oknom pierwszego piętra. Chwasty wyrastały pomiędzy brukowców i kamiennych płyt dziedzińca, po którym niosło się echo moich kroków.

Stłumiłam niepokój, widząc wszystkie te czarne okna spoglądające na gwarny niegdyś dziedziniec. W każdym z nich mógł się kryć napastnik.

– Halo! – zawołałam. – Halo, *monsieur* Lafrenière?

Wstrzymałam oddech, myśląc: „Coś tu jest nie tak, bardzo nie tak”. Byłam idiotką, umawiając się tutaj na spotkanie, i zastanawianie się, czy to pułapka, to zupełnie co innego niż przygotowanie się na tę ewentualność.

Pan Weatherall miał rację. Oczywiście, że ją miał, sama to

wiedziałam od początku.

To była pułapka.

Za sobą usłyszałam hałas. Odwróciłam się i ujrzałam wychodzącego z cienia mężczyznę.

Zmrużyłam oczy, rozprostowałam palce, gotowa.

– Kim jesteś? – zawołałam.

Skoczył do przodu. Spostrzegłam, że to nie Lafrenière, w tym samym momencie, kiedy zobaczyłam światło księżyca, odbijające się od wyciągniętej zza pasa klingi.

Może zdążyłabym dobrać własnej szpady. W końcu byłam szybka.

A może bym nie zdążyła. W końcu on też był szybki.

Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia. Kwestię rozstrzygnęła broń osoby trzeciej, postaci, która wyłoniła się znikąd. Zobaczyłam ostrze – wiedziałam, że to ukryte ostrze – zataczające łuk w ciemności i mój niedoszły zabójca upadł. Za nim zaś stał Arno.

Przez chwilę mogłam tylko stać i się gapić, bo to nie był Arno, jakiego zapamiętałam. Nie dość, że nosił szaty asasyna i ukryte ostrze, to nie był już chłopcem. Chłopiec zniknął, a jego miejsce zajął mężczyzna.

Otrząsnęłam się w końcu i kiedy uświadomiłam sobie, że nie wysłaliby po mnie samotnego zabójcy, że będą tu inni, zobaczyłam kogoś za Arnem. Wszystkie te miesiące ćwiczenia strzelania do celu w domku w końcu się przydały – wypaliłam mu nad ramieniem, wstawiłam zabójcy trzecie oko i posłałam go martwego na bruk dziedzińca.

II

– Co się dzieje? – spytałam, nabijając broń. – Gdzie *monsieur* Lafrenière?

– Nie żyje – odparł Arno.

Powiedział to tonem, który mi się zupełnie nie spodobał, jakby

nie mówił mi wszystkiego. Spojrzałam na niego ostro.

– Co?

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, rozległ się gwizd i kula wystrzelona z muszkietu uderzyła w pobliski mur, zasypując nas odłamkami kamienia. W oknach nad nami czaili się strzelcy.

Arno chwycił mnie za rękę. Ta część mnie, która wciąż go nienawidziła, chciała się wyszarpnąć, powiedzieć, że poradzę sobie sama, dziękuję bardzo, ale przez głowę przemknęły mi słowa pana Weatheralla, świadomość, że niezależnie od wszystkiego Arno mi pomoże, a ostatecznie tylko to się liczyło. Dlatego pozwoliłam mu, by mnie pociągnął.

– Wyjaśnię później – rzucił. – Biegiem!

Z okien huknęła salwa z muszkietów. Pobiegliśmy do bramy i wypadliśmy do ogrodów.

Przed nami rozciągał się labirynt, zarośnięty i zaniedbany, ale wciąż labirynt. Szaty Arna rozwiały się w pędzie, kaptur spadł mu z głowy; na widok jego przystojnej twarzy przeniosłam się w szczęśliwsze czasy, zanim zawładnęły nami mroczne tajemnice.

– Pamiętasz to lato w Wersalu, kiedy mieliśmy po dziesięć lat? – zawołałam.

– Pamiętam, jak przez sześć godzin błąkałam się po tym przeklętym labiryncie, a ty w tym czasie zjadłaś mój deser – odparł.

– A więc teraz lepiej mnie nie zgub! – krzyknęłam i pobiegłam przodem. Wbrew wszystkiemu usłyszałam w swoim głosie radosną nutę. Tylko Arno tak na mnie działał. Tylko Arno potrafił wnieść światło w moje życie. I myślę, że jeśli była w ogóle taka chwila, kiedy mu naprawdę „wybaczyłam” – w sercu i głowie – to właśnie wtedy.

III

Dotarliśmy do środka labiryntu. Naszą nagrodą był kolejny

czekający na nas zabójca. Przygotował się, nerwowo przeskakując wzrokiem ode mnie do Arna, a ja w duchu pogratulowałam mu śmierci w przekonaniu, że przystałam do asasynów. Spotka swego stwórcę przekonany o słuszności własnego postępowania. W mojej wersji tej historii był złym człowiekiem. W swojej własnej – bohaterem.

Cofnęłam się i pozwoliłam Arnowi stoczyć pojedynek, korzystając z okazji, by podziwiać jego umiejętności szermiercze. Przez te wszystkie lata, kiedy ja ćwiczyłam swoje, jego największym wyzwaniem były sprawdziany z algebry, przygotowywane przez naszego guwernera; z nas dwojga ja miałam o wiele więcej doświadczenia.

Ale nadrobił wszystko, i to nadrobił bardzo szybko.

Zobaczył, że patrzę z podziwem, i rzucił mi uśmiech, który rozmiękczyłby moje serce – gdyby nie to, że już było rozmiękczone.

Wydostaliśmy się z labiryntu na aleję, tętniącą nocnym życiem. Po rewolucji rzuciło mi się w oczy od razu to, że ludzie więcej świętowali; przeżywali każdy dzień, jakby miał być ich ostatnim.

Na ulicy pełno było komedianatów, zonglerów i marionetkarzy, a także bawiących się – niektórych już pijanych, innych na dobrej ku temu drodze. Większość z nich była roześmiana. Zobaczyłam mnóstwo bród i wąsów mokrych od piwa i wina – mężczyźni nosili je teraz, by zademonstrować poparcie dla rewolucji – a także charakterystyczne czerwone „czapki wolności”.

Dlatego właśnie trzech zbliżających się do nas mężczyzn tak rzucało się w oczy. Stojący obok mnie Arno wyczuł, że zeszywniałam i zaraz sięgnę po szpadę, ale powstrzymał mnie, ściskając lekko za rękę. Ktoś inny straciłby za to palec albo dwa, jemu gotowa byłam wybaczyć.

– Spotkajmy się jutro. Wszystko ci wtedy wyjaśnię.

1 kwietnia 1791

Plac Wogezów, największy i najstarszy w mieście, znajdował się nieopodal miejsca, w którym rozstałam się z Arnem. Po nocy spędzonej w domu wróciłam tam jako kłębek nerwów, ciekawości i z trudem hamowanego podniecenia. Przepęłniało mnie poczucie, że mimo niepowodzenia z Lafrenièreem w końcu ruszyłam z miejsca. Że robię jakieś postępy.

Weszłam pod jedną z olbrzymich arkad, ciągnących się wzdłuż okalających plac gmachów z czerwonej cegły. Zatrzymałam się nagle, nie pojmując, co się zmieniło. W końcu budynki były te same, zdobiony postument także. Ale czegoś brakowało.

Nagle zrozumiałam – pomnik na środku placu, brązowa figura Ludwika XIII na koniu, zniknął. Słyszałam, że rewolucjoniści przetapiają pomniki. Oto był dowód.

Zobaczyłam Arna w jego szatach. W zimnym świetle dnia przyjrzałam mu się ponownie, starając się ustalić, co dokładnie stanowiło o tej przemianie z chłopca w mężczyznę: może mocniejszy zarys szczęki? Barki miał szersze, brodę trzymał wysoko, jego granitowe oczy były zarazem ogniste i piękne. Arno zawsze był przystojny. Wersalskie damy mogły o tym zaświadczyć. Młodsze dziewczęta rumieniły się i chichotały, zasłaniając usta dłońmi w rękawiczkach, za każdym razem kiedy przechodził obok; sama jego uroda rozwiewała wszelkie wątpliwości, jakie mogły mieć co do jego statusu społecznego jako naszego wychowanka. Pamiętam, jak lubiłam to przyjemne, pełne wyższości poczucie: „On należy do mnie”.

Jednak teraz – teraz miał w sobie coś wręcz heroicznego. Poczułam ukłucie winy, rozmyślając, czy zatajając przed nim prawdę o jego pochodzeniu, nie tłumiliśmy jego wrodzonych możliwości.

Ukłuciu temu towarzyszyło inne, dotyczące ojca. Gdybym była mniej samolubna i przekonała Arna, tak jak obiecałam, to może ten młody mężczyzna służyłby teraz naszej sprawie zamiast jej wrogom.

Kiedy jednak usiedliśmy przy kawie, wśród toczącego się wokół nas normalnego, można by rzec, paryskiego życia, nie miało większego znaczenia, że ja byłam templariuszką, a on asasynem. Gdyby nie szaty jego zgromadzenia, moglibyśmy uchodzić za parę zakochanych, spędzających razem czas w kawiarni, a kiedy się uśmiechał, był to wciąż uśmiech dawnego Arna, chłopca, z którym dorastałam i w którym się zakochałam. Przez chwilę kusiło mnie, by o wszystkim zapomnieć i grzać się w ciepłe tych nostalgicznych wspomnień, nie myśleć o konfliktach i obowiązkach.

– I tak... – powiedziałam w końcu.

– I tak...

– Widzę, że byłeś zajęty.

– Owszem. Tropiłem człowieka, który zabił twojego ojca – odparł, odwracając wzrok.

Znów pomyślałam, że nie mówi mi wszystkiego.

– Powodzenia – rzekłam. – Zabił większość moich stronników, a resztę zastraszył i zmusił do milczenia. Jest jak duch.

– Widziałem go.

– Co? Kiedy?

– Wczoraj w nocy. Tuż przed tym, jak cię znalazłem. – Wstał. – Chodź. Wyjaśnię.

Ruszyliśmy przed siebie. Zaczęłam go wypytywać o szczegóły i zrelacjonował mi wydarzenia poprzedniego wieczora. Człowiekiem, którego widział, była tajemnicza postać w płaszczu. Nie znał jego imienia. Mimo to fakt, że dowiedział się tak dużo, był niepokojący.

– Jak, u diabła, ci się to udało? – spytałam.

– Mam dostęp do pewnych wyjątkowych źródeł informacji –

odparł tajemniczo.

Zerknęłam na niego z ukosa i przypomniałam sobie, co ojciec mówił o jego rzekomych „talentach”. Zakładałam, że chodziło mu o „umiejętności”, ale może byłam w błędzie. Może to było coś innego – coś tak wyjątkowego, że asasynom udało się to zwęszyć.

– Dobrze, zachowaj swoje tajemnice. Powiedz mi tylko, gdzie go znajdę.

– Nie mam pewności, czy to dobry pomysł.

– Nie ufasz mi?

– Sama powiedziałaś: zniszczył twoich stronników i odebrał ci Zakon. On chce twojej śmierci, Élise.

– I co z tego? – Zaśmiałam się. – Chcesz mnie chronić? O to chodzi?

– Chcę ci pomóc. – Arno spoważniał. – Bractwo ma sposoby, ludzi..

– Litość nie jest cnotą, Arno – przerwałam mu ostro. – A ja nie ufam asasynom.

– A mnie ufasz? – spytał szczerze.

Odwróciłam się, nie bardzo wiedząc, jak jest naprawdę... Nie! Wiedziałam, że chcę mu ufać, rozpaczliwie wręcz tego pragnę, ale miałam świadomość, że jest teraz asasynem.

– Nie zmieniłem się aż tak bardzo – powiedział błagalnie. – Jestem tym samym chłopakiem, który odwracał uwagę kucharza, kiedy ty kradłaś dzem... Tym samym, który podsadzał cię na mur tego pełnego psów sadu...

Musiałam wziąć pod rozwagę coś jeszcze. Jak zauważył pan Weatherall, byłam sama: ja przeciw nim. Gdybym jednak miała poparcie asasynów? Nie musiałam pytać, co zrobiłby mój ojciec. Wiedziałam, że byłby gotów zawrzeć z nimi porozumienie.

Pokiwałam głową.

– Zaprowadź mnie do swojego Bractwa. Wysłucham ich propozycji.

Zrobił zakłopotaną minę.

– Propozycja to może za mocno powiedziane...

2 kwietnia 1791

I

Okazało się, że rada asasynów zbiera się w salonie rezydencji na Île de la Cité, w cieniu katedry Notre Dame.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytałam Arna, kiedy weszliśmy do sali sklepionej kamiennymi łukami. W kącie znajdowały się wielkie drewniane wrota ze stalowym pierścieniem zamiast klamki, obok nich zaś stał zwalisty, brodaty asasyn, którego oczy świeciły z ciemnych głębi kaptura. Bez słowa skinął głową, Arno odpowiedział mu tym samym, a ja musiałam uszczypnąć się na dowód, że nie śnię, widząc go w takiej roli: Arna mężczyzną, Arna asasyną.

– Mamy wspólnego wroga – powiedział.

Weszliśmy przez otwarte przed nami drzwi do korytarza oświetlonego pochodniami.

– Rada to zrozumie. Poza tym Mirabeau był przyjacielem twojego ojca, prawda?

Przytaknęłam.

– Niezupełnie przyjacielem, ale ojciec mu ufał. Prowadź.

Najpierw jednak Arno wyjął z kieszeni opaskę na oczy, nalegając, bym ją założyła. Z czystej przekory liczyłam kroki i zakręty, pewna, że w razie potrzeby zdołam wydostać się z labiryntu.

Kiedy wędrówka się skończyła, skupiłam się na otoczeniu. Wyczułam, że jestem w zawilgłej podziemnej komnacie, podobnej do tej nad nami, tyle że nie pustej. Dookoła słyszałam głosy. Z początku trudno mi je było umiejscowić i myślałam, że dochodzą z galerii w górze, potem jednak zrozumiałam, że członkowie rady stoją pod ścianami. Ich głosy brzmiały, jakby wsiąkały w kamienne ściany; szurali stopami i coś do siebie

mruczeli.

– Czy to...?

– Co on robi?

Wyczułam kogoś przed nami; nieznajomy odezwał się szorstkim, chrapliwym głosem, niczym francuski odpowiednik pana Weatheralla.

– Coś ty znowu narobił, szczeniaku?

Serce zabiło mi mocno w piersi, zaczęłam ciężko oddychać.

Czyżby Arno posunął się za daleko? Co usłyszę? Znów nawoływania, by „zabić tę rudą flądrę”? Nie byłby to pierwszy raz; Arno pozwolił mi zatrzymać pistolet i szpadę, ale co mi po nich, skoro miałam zasłonięte oczy i wielu przeciwników? Asasynów za przeciwników.

Nie. Arno uratował mnie z pułapki, nie wciągnąłby mnie przecież w następną. Ufałam mu. Ufałam mu tak bardzo, jak bardzo go kochałam. A kiedy zwrócił się do człowieka, który stał nam na drodze, jego głos brzmiał spokojnie i pewnie – działał jak balsam na moje nerwy.

– Templariusze skazali ją na śmierć – oznajmił.

– I dlatego przyprowadziłeś ją tutaj? – spytał rozkazujący głos z powątpiewaniem. To na pewno był Bellec.

Arno jednak nie zdążył odpowiedzieć. Do sali wszedł ktoś jeszcze.

– No, no, kogo tu mamy? – spytał nowy głos.

– Nazywam się... – zaczęłam, ale nowo przybyły nie dał mi dokończyć.

– Na Boga, zdejmij tę opaskę, to niedorzeczne.

Zdjęłam opaskę i ujrzałam radę asasynów, tak jak myślałam, stojącą pod ścianami kamiennego sanktuarium. Pomarańczowy blask płomieni pełgał po ich szatach i kapturach skrywających twarze.

Spojrzałam na Belleca. Orlonosy, podejrzliwy, patrzył na mnie z nieskrywaną pogardą, mową ciała zdradzając, że martwi się

o Arna.

Drugi mężczyzna musiał być, jak uznałam, wielkim mistrzem, Honorém Gabrielem Riquetim, hrabią de Mirabeau. Jako przewodniczący Zgromadzenia był bohaterem rewolucji, a ostatnio zaliczał się do umiarkowanych głosów, w porównaniu do innych, domagających się bardziej radykalnych zmian.

Słyszałam, że kpiono z jego wyglądu, ale choć był przysadzistym, okrągłolicym mężczyzną o wyjątkowo paskudnej cerze, miał łagodne, szczere spojrzenie i od razu przypadł mi do gustu.

Wyprostowałam się dumnie.

– Nazywam się Élise de La Serre – oznajmiłam. – Moim ojcem był François de La Serre, wielki mistrz zakonu templariuszy. Przybyłam prosić was o pomoc.

Członkowie rady ze spuszczoneymi głowami zaczęli cicho rozmawiać. Nowo przybyły – z pewnością to był Mirabeau – uciszył ich, podnosząc palec.

– Proszę mówić dalej – polecił.

Inni zaczęli protestować:

– Znów będziemy o tym dyskutować?

Ale Mirabeau ponownie ich uciszył.

– Musimy i będziemy – rzekł. – Jeśli nie widzicie korzyści, jaka płynie z przysługi dla córki François de La Serre’a, biada naszej przyszłości. Niech pani kontynuuje, *mademoiselle*.

– Zaczyna się – warknął mężczyzna, którego brałam za Belleca.

To do niego skierowałam swoje słowa:

– Nie jesteście ludźmi, z którymi w normalnych okolicznościach bym pertraktowała, *monsieur*, ale mój ojciec nie żyje, podobnie jak moi sojusznicy w szeregach Zakonu. Jeśli muszę się zwrócić do asasynów o pomoc w zemście, niech tak będzie.

– Pertraktować – parsknął Bellec. – Akurat. To sztuczka, by uśpić naszą czujność. Powinniśmy zabić ją na miejscu i odesłać jej głowę jako ostrzeżenie.

– Bellec... – ostrzegł Arno.
– Dość! – krzyknął Mirabeau. – Najwyraźniej tę dyskusję lepiej będzie odbyć na osobności. Wybacz nam pani, *mademoiselle* de La Serre.

Ukłoniłam się krótko.

– Oczywiście.

– Arno, może lepiej idź z nią. Na pewno macie dużo do omówienia.

II

Wyszliśmy. Wróciliśmy przez most i przez zatłoczone ulice z powrotem na plac Wogezów.

– Cóż – powiedziałam, idąc. – Poszło tak, jak się spodziewałam.

– Daj im czas. Mirabeau ich przekona.

Moje myśli powędrowały od wielkiego mistrza asasynów do człowieka, który odebrał mi mój własny Zakon.

– Naprawdę myślisz, że go znajdziemy? – spytałam.

– W końcu szczęście go opuści. François Thomas Germain uważał, że Lafrenière był...

Zatrzymałam go.

– François Thomas Germain?

– Tak – powiedział Arno. – Złotnik, który zaprowadził mnie do Lafrenière'a.

Poczułam falę zimnego podniecenia.

– Arno – szepnęłam. – François Thomas Germain był adiutantem mojego ojca.

– To templariusz?

– Były. Został wypędzony, kiedy byłam małą, chodziło o jakieś herezje i Jacques'a de Molaya. Nie wiem na pewno. Ale powinien być martwy, umarł wiele lat temu.

Germain. Jacques de Molay. Odsunęłam te myśli na bok, aby wrócić do nich później, być może z pomocą pana Weatheralla.

– Ten Germain jest wyjątkowo aktywny jak na trupa –

powiedział Arno.

Przytaknęłam.

– Bardzo chciałabym mu zadać kilka pytań.

– Ja też. Jego warsztat mieści się przy rue Saint-Antoine. To niedaleko.

Z nowo wytyczonym celem pośpieszyliśmy wysadzaną drzewami aleją, wychodzącą na plac. Nad naszymi głowami wisiały chorągiewki, markizy sklepów i kawiarni trzepotały na lekkim letnim wietrze.

Na ulicy wciąż widać było ślady rozruchów: tu przewrócony wóz, tam niewielka sterta potrzaskanych beczek, ślady spalenizny na bruku. W górze wisiały oczywiście *tricolores*, niektóre noszące ślady walk.

Poza tym jednak panował spokój, tak jak kiedyś. Ludzie kręcili się zajęci swoimi sprawami i przez chwilę trudno było sobie wyobrazić, że to miejsce kataklizmu, który odmienił nasz kraj.

Arno prowadził nas brukowanymi ulicami, aż znaleźliśmy się przed bramą wiodącą na dziedziniec. Stał przy nim wielki budynek, w którym mieściły się warsztaty. Tam mieliśmy znaleźć złotnika. Germaina. Człowieka, który zlecił zabicie mojego ojca.

– Ostatnim razem byli tu strażnicy – rzekł Arno i zatrzymał się z podejrzliwą miną.

– Teraz ich nie ma.

– Nie. Ale też sporo się wydarzyło od czasu, kiedy tu ostatnio byłem. Może ich odwołano.

– A może stało się coś innego.

Nagle ucichliśmy i zaczęliśmy się czujnie rozglądać. Moja dłoń powędrowała do szpady, czułam dodający otuchy kształt pistoletu za pasem.

– Jest tu kto?! – zawołał Arno w głąb pustego dziedzińca.

Nikt nie odpowiedział. Choć zza pleców dobiegały nas odgłosy ulicy, złowrogi gmach przed nami stał w ciszy, gapiąc się na nas nieruchomymi oknami.

Drzwi ustąpiły lekko pchnięte. Arno obejrzał się na mnie i weszliśmy do środka. Sień była pusta. Wspięliśmy się na schody, zmierzając do warsztatu. Sądząc po wyglądzie budynku, niedawno został opuszczony. W warsztacie znaleźliśmy większość narzędzi pracy złotnika – przynajmniej o ile umiałam je rozpoznać – ale jego samego ani śladu.

Zaczęliśmy się rozglądać, z początku ostrożnie przekładaliśmy papiery, przesuwaliliśmy przedmioty na półkach, sami nie wiedząc, czego szukamy – mieliśmy po prostu nadzieję znaleźć jakieś potwierdzenie teorii, że ten z pozoru niewinny rzemieślnik w rzeczywistości był wysokiej rangi templariuszem, Germainem.

Jeśli tak, oznaczało to, że był także człowiekiem, który zabił mojego ojca i robił wszystko, by zniszczyć moje życie.

Zacisnęłam pięści na tę myśl. Serce mi stwardniało na wspomnienie cierpień, jakie ściągnął na rodzinę La Serre'ów. Nigdy nie odczuwałam pragnienia zemsty bardziej dojmująco niż w owej chwili.

Od drzwi dobiegł nas jakiś odgłos. Prawie niesłyszalny – ledwie szelest tkaniny – wystarczył jednak, by zaalarmować nasze wyczulone zmysły. Arno też go usłyszał i równocześnie odwróciliśmy się w tamtym kierunku.

– Nie mów mi, że to pułapka – westchnął.

– To pułapka.

III

Wymieniliśmy spojrzenia i dobyliśmy broni. Przez drzwi weszło czterech ponurych drabów; odcięli nam drogę, patrząc na nas złowrogo. W pomiętych kapeluszach i wytartych butach wyglądali jak groźni rewolucjoniści, których nikt nie zaczepiłby na ulicy, ale chodziło im o coś więcej niż wolność, równość czy...

Cóż, ich celem była śmierć. Rozdzielili się, po dwóch na mnie i na Arna. Jeden zmierzył mnie spojrzeniem głęboko osadzonych pod wysokim czołem oczu. Na szyi miał zawiązaną czerwoną

chustę. Trzymając w jednej dłoni nóż, drugą zza pleców wyciągnął pałasz, zakręcił nim szybką ósemkę i wymierzył sztych we mnie. Jego towarzysz zrobił to samo, ukazując wierzch dłoni uniesionej nieco ponad głownię oręża. Gdyby naprawdę byli rewolucjonistami, chcącymi mnie okraść albo skrzywdzić w inny sposób, śmialiby się właśnie, nie doceniając mnie w ostatnich swoich chwilach przed przedwczesnym zgonem. Oni jednak się nie śmiali – to byli templariusze. I słyszeli, że Élise de La Serre nie jest łatwą ofiarą, że wyda im bitwę.

Ten z nich, który wyżej trzymał broń, zaatakował pierwszy, ciął podstępny zygzakiem w mój korpus, jednocześnie przenosząc ciężar ciała na wysuniętą w wypadzie nogę.

Zadzwoniła stal. Odparowałam jego cios w bok i odskoczyłam nieco w lewo, słusznie zakładając, że Czerwona Chusta zaatakuje jednocześnie z kompanem.

Tak uczynił. Udało mi się zbić jego cięcie w dół, zatrzymując obu na dystans, dając im do myślenia i udowadniając, że pogłoski, które słyszeli, są prawdą: jestem dobrze wyszkolona i uczyli mnie najlepsi. I jestem silniejsza, niż oni kiedykolwiek byli.

Z prawej strony usłyszałam szcęk broni Arna i jego dwóch przeciwników, a potem wrzask – nienależący do Arna.

Głownia popełnił swój pierwszy błąd – zerknął w bok, chcąc sprawdzić, jaki los spotkał jego towarzysza, i choć była to tylko chwilowa utrata koncentracji, sekunda, kiedy jego uwaga nie była skupiona na mnie, kazałam mu za to zapłacić.

Przyskoczyłam ze szpadą wymierzoną prosto w niego, uderzyłam pod jego gardą w górę i szybkim ruchem nadgarstka rozplątałam mu gardło.

Czerwona Chusta był dobry. Wiedział, że śmierć towarzysza daje mu szansę, i zaatakował, tnąc płasko. Gdyby trafił, w najlepszym razie wytrąciłby mnie z równowagi.

Ale nie trafił. Pośpieszył się nieco, nie chciał stracić dogodnej, jak mu się zdawało, okazji, a ja spodziewałam się ataku z tej

strony. Przypadłam na kolano i pchnęłam. Mój oręż, wciąż połyskujący świeżą krwią Główni, utkwiał pod pachą Czerwonej Chusty, pomiędzy dwiema warstwami grubej, skórzanej zbroi.

W tym samym momencie dobiegł mnie drugi jęk z prawej i usłyszałam łomot padającego czwartego ciała. Potyczka dobiegła końca. Na nogach zostaliśmy tylko Arno i ja.

Uspokoiliśmy oddechy. Bulgoczące odgłosy konających niedoszłych morderców przeszły w suche śmiertelne charczenie.

Popatrzyliśmy na trupy, potem na siebie, a później bez słowa wróciliśmy do przeszukiwania warsztatu.

IV

– Nic tu nie ma – powiedziałam po chwili.

– Musiał wiedzieć, że przejrzymy jego blef – odparł Arno.

– A więc znów przegraliśmy.

– Może nie. Szukajmy dalej.

Spróbował otworzyć drzwi, te jednak nie ustąpiły. Już chciał je zostawić w spokoju, ale uśmiechnęłam się do niego szeroko i wyważyłam je kopnięciem. Naszym oczom ukazało się drugie, mniejsze pomieszczenie, pełne symboli, które rozpoznawałam: srebrne krzyże templariuszy, pięknie zdobione puchary i dzbany.

Bez wątpienia było to miejsce spotkań templariuszy. Na podwyższeniu naprzeciw wejścia stał ozdobny, misternie rzeźbiony fotel wielkiego mistrza. Po jego obu stronach – fotele dla jego przybocznych.

Na środku wznosił się cokół inkrustowany krzyżami, na nim zaś leżał plik dokumentów. Podeszłam i zabrałam je. W dotyku wydawały się znajome i obce zarazem, jakby ich miejsce było nie w małym pokoju obok warsztatu złotnika, lecz w pałacu rodziny La Serre'ów.

Jednym z nich była lista rozkazów. Widywałam oczywiście podobne, podpisywane przez mojego ojca, ale ten – ten był podpisany przez Germaina i miał czerwoną pieczęć z krzyżem

templariuszy.

– To on. Germain jest teraz wielkim mistrzem. Jak do tego doszło?

Arno pokręcił głową i podszedł do okna.

– Sukinsyn. Musimy powiedzieć Mirabeau. Kiedy tylko...

Nie dokończył. Na zewnątrz gruchnęły strzały i posypało się szkło; kule z muszkietów ze świstem utkwily w suficie nad nami, obsypując nas kawałkami gipsu. Schowaliśmy się – Arno przy oknie, ja przy drzwiach – akurat w chwili, kiedy huknęła druga salwa.

– Uciekaj! – krzyknął do mnie. – Idź do rezydencji Mirabeau. Poradzę sobie z nimi.

Przytaknęłam i wybiegłam, zmierzając na spotkanie z wielkim mistrzem asasynów.

v

Kiedy dotarłam do jego rezydencji, już się ściemniało. Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderzyła w środku, była nieobecność służby. W domu panowała dziwna cisza, dopiero po chwili skojarzyłam, że taka sama musiała panować w moim własnym po śmierci matki.

Drugą rzeczą, jaka mnie zastanowiła – teraz oczywiście wiem, że były ze sobą powiązane – było podejrzanе zachowanie lokaja Mirabeau. Miał dziwną minę, jakby nosił nie do końca swoją twarz; nie poszedł też ze mną do sypialni hrabiego. Pamiętałam swoje przybycie do karczmy Pod Dzikim na Fleet Street – nie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś wziął mnie za dziewczkę do towarzystwa – nie sądziłam jednak, by ten lokaj o tępym spojrzeniu był aż tak głupi.

Nie, coś tu było nie tak. Dobyłam broni i cicho weszłam do sypialni. Była pogrążona w ciemności, zasłony w oknach zaciągnięto. Świece dogasały, w palenisku płonął słaby ogień, na stole stały resztki, jak zgadywałam, kolacji, a w łóżku leżał

Mirabeau. Wyglądał, jakby spał.

– *Monsieur?* – powiedziałam.

Nie usłyszałam odpowiedzi. Mirabeau w ogóle nie zareagował. Jego potężna pierś, która powinna unosić się i opadać, była nieruchoma.

Podeszłam bliżej.

Oczywiście. Był martwy.

– *Élise*, co to znaczy?

Głos dobiegający od drzwi przestraszył mnie i odwróciłam się gwałtownie. Arno wyglądał na wyczerpanego po intensywnej walce, ale poza tym nic mu nie było.

Wezbrała we mnie nagle bezpodstawna wina.

– Tak go już znalazłam, ja nie...

Arno przyglądał mi się trochę dłużej, niż to było konieczne.

– Oczywiście, że nie. Ale muszę donieść o tym radzie. Oni będą wiedzieli...

– Nie – warknęłam. – Już i tak mi nie ufają. Będę ich pierwszą i ostatnią podejrzaną.

– Masz rację – przytaknął. – Tak będzie.

– Co zrobimy?

– Dowiemy się, co się stało – oznajmił stanowczo. Potem się odwrócił i przyjrzał futrynie drzwi. – Nie ma śladów włamania – dodał.

– A zatem mordercą był ktoś oczekiwany?

– Może gość? Albo służący?

Przypomniałam sobie lokaja. Ale jeśli on to zrobił, to czemu tu jeszcze był? Moim zdaniem działał jak w stanie hipnozy.

Arno coś zauważył – podniósł to i obejrzał z bliska. Wpierw wzięłam to za ozdobną szpilkę, ale trzymał ją z poważną miną, jakby w znalezisku zobaczył coś znaczącego.

– Co to takiego? – spytałam, ale oczywiście znałam odpowiedź. Dostałam takie coś na swojej inicjacji.

VI

Podał mi szpilkę.

– To... to broń, która zabiła twojego ojca.

Spojrzałam na nią. Zobaczyłam znajomą symbolikę na środku tarczki, potem przyjrzałam się uważnie samej szpilce. Była wydrążona, toteż trucizna spływała wzdłuż niej do dwóch maleńkich otworów na dole. Sprytne. Śmiertelnie groźne.

Wymyślone przez templariuszy. Ktokolwiek by ją znalazł – jeden z asasynów Mirabeau na przykład – uznaliby, że wielki mistrz został zamordowany przez templariusza.

Może nawet pomyślałby, że przeze mnie.

– To symbol urzędu templariuszy – potwierdziłam.

Arno pokiwał głową.

– Kiedy tu przyszłaś, nikogo nie widziałaś?

– Tylko lokaja. Wpuścił mnie, ale nie wszedł na górę.

Arno zabrał się do przeszukiwania pokoju. Rozglądał się w nim, jakby metodycznie badał każdy jego fragment. Nagle krzyknął cicho, podbiegł do szafki, ukląkł i wyjął spod niej kielich po winie z zaschniętymi resztkami w środku.

Powąchał go i wzdrygnął się.

– Trucizna.

– Pokaż – powiedziałam i przysunęłam kielich do nosa.

Podeszłam do zwłok Mirabeau. Podniosłam mu powieki, by obejrzeć źrenice, rozchyliłam usta, obejrzałam język, ucisnęłam skórę.

– Tojad – powiedziałam. – Trudny to wykrycia, jeśli się nie wie, czego szukać.

– Popularny wśród templariuszy, prawda?

– Wśród wszystkich, którzy chcą kogoś skrycie zamordować – odparłam, ignorując przytyk. – Jest prawie niemożliwy do wykrycia, a zapach i objawy przypominają przyczyny naturalne. Przydatny, kiedy chce się kogoś pozbyć, nie czekając na rezultat.

– A skąd się go bierze?

– Łatwo go wyhodować w ogrodzie, ale jeśli objawy miały nastąpić nagle, musiał zostać przetworzony.

– Albo kupiony u aptekarza. Templariuszowska trucizna, templariuszowska szpilka... jasno wskazują winnego.

Arno rzucił mi wymowne spojrzenie.

Odpowiedziałam zmarszczeniem brwi.

– Brawo, zgadłeś – rzekłam z pogardą. – Mój chytry plan polegał na tym, by zamordować jedynego asasyna, który nie chce mojej śmierci, a potem stać obok i czekać, aż mnie znajdą.

– Nie jedynego asasyna.

– Masz rację. Przepraszam. Ale wiesz, że to nie moja sprawka.

– Wierzę ci. Ale reszta Bractwa...

– W takim razie znajdziemy prawdziwego mordercę, zanim się o tym dowiedzą.

VII

Co zaskakujące, Arno dowiedział się od aptekarza, że truciznę kupił mężczyzna w szatach asasyna. Ciąg dowodów zaprowadził nas tu, do kościoła Sainte-Chappelle na Île de la Cité.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, na horyzoncie majaczyła burza – i to nie tylko w dosłownym znaczeniu. Widziałam, że Arno był wstrząśnięty myślą, iż w szeregach asasynów może być zdrajca.

„Lepiej się do tego przyzwyczajaj” – pomyślałam smutno.

– Tu się trop urywa – powiedział w zamyśleniu.

– Jesteś pewny?

Patrzył w górę, gdzie wysoko, wśród iglic wielkiego kościoła, stała ciemna postać. Odcinała się na tle nieba, jej płaszcz trzepotał na wietrze. Patrzyła na nas.

– Niestety tak – odparł.

Przygotowałam się, by znów ruszyć z nim do walki, ale powstrzymał mnie, kładąc dłoń na mojej dłoni.

– Nie – powiedział. – Muszę to zrobić sam.

Odwróciłam się do niego ze złością.

– Nie bądź śmieszny. Nie puszczę cię samego.

– Élise, proszę. Po śmierci twojego ojca asasyni... Dali mi cel. Coś, w co mogłem wierzyć. Teraz, kiedy ktoś to zdradził... Muszę naprawić to sam. Muszę wiedzieć dlaczego.

Rozumiałam go. I to lepiej niż ktokolwiek. Pocałowałam go i puściłam.

– Wróc do mnie – rzuciłam na pożegnanie.

VIII

Wyciągnęłam szyję, obserwując dach kościoła, ale widziałam tylko kamienne mury i rozgniewane niebo nad nimi. Sylwetka nieznajomego zniknęła. Patrzyłam dalej i po kilku chwilach ujrzałam dwie postaci, zmagające się ze sobą na krawędzi.

Zakryłam dłonią usta. Chciałam zawołać Arna, ale byłoby to daremne. Obie sylwetki runęły z dachu i spadły przed frontem kościoła, niemal niewidoczne w zacinającym deszczu.

Przez ułamek sekundy myślałam, że uderzą o ziemię i zginą tuż przede mną, ale ich upadek zatrzymał nawis muru.

Usłyszałam odgłos ich upadku i krzyki bólu. Nie wiedziałam, czy któryś z nich to przeżył, ale po chwili dostałam odpowiedź: podnieśli się powoli i znów zaczęli walczyć, z początku niemrawo, potem z coraz większą zaciekłością. Ich ukryte ostrza błyskały w mroku jak uderzenia piorunów.

Usłyszałam, że do siebie krzyczą.

– Na Boga, Bellec! – zawołał Arno. – Przed nami nowa epoka! Nie wyrośliśmy już z tych odwiecznych wojen?!

Oczywiście był to Bellec, drugi w hierarchii dowodzenia asasynów. A więc to on stał za śmiercią Mirabeau.

– Czy wszystkie moje nauki odbiły się od twojego pancernego łba?! – ryknął. – Walczymy o wolność ludzkich dusz! Prowadzimy rewolucję przeciwko tyranii templariuszy!

– Zabawne, jak krótka wiedzie droga od rewolucji przeciw tyranom do mordowania każdego bez wyjątku, prawda?! –

odkrzyknął Arno.

– Ha. Uparty z ciebie mały popieprzeniec, co?

– Żebyś wiedział – odparował Arno i skoczył naprzód, kreśląc ostrzem ósemkę w powietrzu.

Bellec odskoczył.

– Otwórz oczy! Jeśli templariusze chcą się do nas zbliżyć, to tylko po to, by nam przystawić nóż do gardła!

– Mylisz się.

– Nie widziałeś tego, co ja. Na moich oczach templariusze wyrzynali całe wsie tylko po to, by zabić jednego asasyna. Powiedz mi, chłopcze, co ty widziałeś w swoim bezbrzeżnym doświadczeniu?

– Widziałem, jak wielki mistrz zakonu templariuszy przygarnia przerażonego sierotę i wychowuje go jak własnego syna!

– Wierzyłem w ciebie! – wrzasnął Bellec, rozjuszony. – Miałem nadzieję, że będziesz umiał myśleć samodzielnie!

– Umie, Bellec. Tylko myślę inaczej niż ty.

Zmagali się na tle olbrzymiego witrażowego okna, wysoko nade mną. Chłostani deszczem, na tle wielobarwnego światła, chwiali się przez chwilę, jakby balansując na skraju urwiska, jakby mieli runąć w dół, na mokry bruk kościelnego dziedzińca, albo w drugą stronę, do samego kościoła.

Pytanie tylko gdzie.

Rozległ się brzęk, pękło kolorowe szkło, szaty załopotwały i podarły się na ostrych odłamkach, i znów spadli – tym razem do wnętrza kościoła. Popędziłam przez dziedziniec do zamkniętych wrót, przez które mogłam zajrzeć do środka.

– Arno! – zawołałam. Wstał i potrząsnął głową zamroczony; na kamienną podłogę posypały się odłamki szkła. Bellec znikł bez śladu.

– Nic mi nie jest! – odkrzyknął Arno, słysząc, jak szarpie bramą, usiłując się dostać do środka. – Zostań tam!

I nim zdążyłam zaprotestować, pobiegł. Wytężyłam słuch

i usłyszałam odgłos jego kroków w mroku kościoła.

Potem rozległ się głos Belleca, dobiegający... nie widzieć skąd. Ale gdzieś z bliska.

– Powinienem być pozwolić ci zgnić w Bastylii. – W wilgotnym wnętrzu jego słowa brzmiały jak szept. – Powiedz, wierzyłeś kiedykolwiek w Credo czy byłeś zdrajcą od samego początku?

Prowokował Arna. Prowokował go z ciemności.

– To się nie musi tak skończyć, Bellec! – krzyknął Arno, rozglądając się, penetrując wzrokiem ciemne wnęki i nisze.

Kiedy usłyszeliśmy odpowiedź, znów trudno było odgadnąć, skąd nadeszła. Głos zdawał się dobiegać z samych kościelnych murów.

– To przez ciebie tak się to kończy. Gdybyś tylko przejrzał na oczy, moglibyśmy poprowadzić Bractwo do potęgi, jakiej nie widziano od dwustu lat.

Arno pokręcił głową.

– Tak – rzekł głosem przepełnionym ironią – zabijanie każdego, kto się z tobą nie zgadza, to doskonały początek odrodzenia z popiołów.

Usłyszałam przed sobą jakiś dźwięk i ujrzałam Belleca na sekundę przed Arnem.

– Uważaj! – krzyknęłam, kiedy starszy asasyn skoczył z cienia z wysuniętym ukrytym ostrzem.

Arno odwrócił się, zobaczył go i przetoczył się na bok. Poderwał się gotów do odparcia ataku i przez chwilę obaj stali nieruchomo, mierząc się wzrokiem. Byli zakrwawieni i poobijani po stoczonym bitwie, szaty mieli podarte, miejscami zupełnie w strzępach, ale wciąż przepełniała ich wola walki. Każdy z nich pragnął zakończyć to tu i teraz.

Bellec zobaczył mnie przy bramie. Poczułam na sobie jego spojrzenie, zanim obejrzał się na Arna.

– Ach, teraz już wszystko rozumiem – rzekł głosem pełnym pogardy. – To nie Mirabeau namieszał ci w głowie. To ona.

Udało mu się stworzyć więź z Arnem, ale nie miał pojęcia o tej, która już wcześniej istniała między mną a jego wychowankiem. Dlatego właśnie nie wątpiałam w Arna.

– Bellec... – ostrzegł.

– Mirabeau nie żyje. Ona jest ostatnim elementem tego szaleństwa. Któregoś dnia mi za to podziękujesz.

Chciał zabić mnie? Czy Arna? Czy może nas oboje?

Nie wiedziałam.

Wiedziałam tylko tyle, że w kościele znów rozbrzmiał szcęk stali, ich ukryte ostrza znowu się spotkały i zaczęły wirować w śmiertelnym tańcu. To, czego nauczył mnie pan Weatherall przed laty, było prawdą: większość pojedynków rozstrzyga się w ciągu pierwszych kilku sekund. Ale ci dwaj nie byli „większością szermierzy”. Byli wyszkolonymi asasynami. mistrzem i uczniem. Walka trwała dalej, dźwięczała stal uderzana o stal, szaty łopotały w rytm zadawanych i odparowywanych ciosów, cięć i parad, uników i uskoków; walczyli tak, aż przygarbili się obaj z wyczerpania. Ale to Arno zdołał sięgnąć do ukrytych rezerw sił i zwyciężył – z krzykiem wbijając ukryte ostrze w brzuch swojego mentora.

Bellec osunął się na kolana, ściskając ranę. Spojrzał na Arna.

– Zrób to – poprosił bliski śmierci. – Jeśli masz w sobie choć szczyptę wiary i nie jesteś tylko zaślepionym miłością szczeniakiem, zabij mnie. Bo ja nie ustane. Zabiję ją. Dla ocalenia Bractwa puściłbym z dymem cały Paryż.

– Wiem – rzekł Arno i zadał mu cios łaski.

IX

Później powiedział mi, co widział. Kiedy zabił Belleca, nawiedziła go wizja – tu zerknął na mnie z ukosa, jakby upewniając się, że traktuję go poważnie, a ja przypomniałam sobie, co mówił o nim mój ojciec: że Arno posiada talenty, pewien dar, niezupełnie... zwyczajny. Oto byłam świadkiem jego działania. W swojej wizji

Arno widział dwóch mężczyzn – jednego w szatach asasyna, drugiego templariusza – szarpiących się na ulicy. Templariusz był bliski tryumfu, ale wtedy do walki włączył się drugi asasyn i go zabił.

Pierwszym asasynem był Charles Dorian, ojciec Arna. Drugim – Bellec.

Bellec uratował życie jego ojcu. W Bastylji rozpoznał zegarek, który nosił Arno, i uświadomił sobie, kim jest chłopak.

Arno widział coś jeszcze, w innej wizji, najpewniej po zabiciu kogoś innego. Ujrzał w niej Mirabeau i Belleca, prowadzących w przeszłości rozmowę.

– Élise de La Serre będzie kiedyś wielką mistrzynią – powiedział Mirabeau. – Jej wdzięczność byłaby dla nas bardzo cenna.

– Jeszcze lepiej byłoby ją zabić, zanim stanie się poważnym zagrożeniem.

– Twój podopieczny za nią ręczy. Nie ufasz mu?

– Bezgranicznie. Nie ufam za to tej dziewczynie. Nic, co powiem, cię nie przekona?

– Obawiam się, że nie.

Wtedy Bellec – niechętnie, jak powiedział Arno, widząc, że jego mentor nie czerpał przyjemności ani makiawelicznej satysfakcji z zabójstwa wielkiego mistrza, że w jego przekonaniu było to zło konieczne – wlał truciznę do kielicha i podał go hrabiemu.

– *Santé*.

Okrutną ironią było to, że pili za swoje zdrowie. Mirabeau umarł, Bellec zostawił szpilkę templariuszy i wyszedł. Niedługo potem, oczywiście, zjawiłam się ja.

Udało nam się znaleźć winnego i oczyścić mnie z zarzutu popełnienia tej zbrodni. Czy zrobiłam dość, by zaskarbić sobie ich wdzięczność? Raczej nie.

*Wyjątki z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

I

Wiem, co się działo później, choć nie napisała tego w diariuszu.

Przekartkowałem go dalej, ale nie – brakowało kilku stronnic, wyrwanych być może w przyływie... czego? Żalu? Gniewu? Czegoś innego?

Wyrwała z diariusza chwilę, w której powiedziałem jej prawdę.

Oczywiście wiedziałem, że to będzie trudne, bo znałem Élise równie dobrze jak siebie samego. Pod wieloma względami była moim lustrzanym odbiciem i umiałem sobie wyobrazić, jak sam bym się czuł, gdyby chodziło o mnie. Nie wińcie mnie, że to wciąż i wciąż odkładałem, aż do pewnego wieczora, kiedy dobrze zjedliśmy, a na stole między nami stała prawie pusta butelka wina.

– Wiem, kto zabił twojego ojca – powiedziałem.

– Wiesz? Skąd?

– Ze swoich wizji.

Spojrzałem na nią z ukosa, by się upewnić, że traktuje to poważnie.

Tak jak poprzednio miała zdumioną minę, niezupełnie przekonaną, niezupełnie lekceważącą.

– A imię, które poznałeś, to Król Żebraków? – spytała.

Popatrzyłem na nią przeciągle, uświadamiając sobie, że prowadziła dochodzenie na własną rękę. Oczywiście.

– A więc nie żartowałaś, mówiąc, że go pomścisz – powiedziałem.

– Jeśli kiedykolwiek myślałeś inaczej, to nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się zdaje.

Pokiwałem w zadumie głową.

– I czego się dowiedziałaś?

– Że Król Żebraków stał za zamachem na moją matkę w siedemdziesiątym piątym, że został wprowadzony do Zakonu po śmierci moich rodziców; wszystko to razem wskazuje na to, że został przyjęty w nagrodę za zabicie mojego ojca.

– Wiesz dlaczego?

– To był zamach stanu, Arno. Człowiek, który ogłosił się wielkim mistrzem, zaaranżował morderstwo mojego ojca, bo chciał zająć jego miejsce. Wykorzystał jako pretekst usiłowania mojego ojca, by zawrzeć rozejm z asasynami. Być może to właśnie był ostatni element układanki, może to właśnie przechyliło szalę na jego korzyść. Bez wątpienia Król Żebraków działał na jego rozkaz.

– Nie tylko Król Żebraków. Brał w tym udział ktoś jeszcze.

Élise pokiwała głową z dziwnym, wdzięcznym uśmiechem.

– Cieszę się, Arno. Że trzeba było ich dwóch, by zabić ojca. Na pewno bił się jak tygrys.

– Człowiek nazwiskiem Sivert.

Zamknęła oczy.

– To by się zgadzało – powiedziała po chwili. – Na pewno wszyscy oni są w to zamieszani. Wszystkie kruki.

– Kto? – spytałem, bo nie miałem pojęcia, o kim mówiła.

– Tak nazywałam doradców swojego ojca.

– Sivert był jednym z nich?

– O tak.

– François wyłupił mu oko, zanim zginął.

Zaśmiała się.

– Dobra robota, ojczu.

– Sivert już nie żyje.

Po jej twarzy przemknął cień.

– Rozumiem. Miałam nadzieję, że sama tego dokonam.

– Król Żebraków także – dodałam, przełykając ślinę.

Spojrzała na mnie pytająco.

– Arno, co ty mówisz?

Wyciągnąłem do niej rękę.

– Kochałem go, Élise, jak własnego ojca.

Ona jednak odsunęła się, wstała i skrzyżowała ręce na piersi. Zaczerwieniła się.

– Ty ich zabiłeś?

– Tak. I nie zamierzam za to przeproszać, Élise.

Znów wyciągnąłem do niej rękę, a ona znów zwinnie odskoczyła, jednocześnie ostrzegawczo podnosząc dłonie. Przez chwilę – jedną, przelotną chwilę – myślałem, że sięgnie po broń, ale jeśli tak było, to rozmyśliła się i zapanowała nad gniewem.

– Zabiłeś ich.

– Musiałem – rzekłem, nie wchodząc w szczegóły, choć i tak nie była nimi zainteresowana.

Odwróciła się, jakby nie wiedząc, co ma ze sobą począć.

– Pozbawiłeś mnie mojej zemsty.

– To byli tylko sługusi, Élise. Prawdziwy winowajca wciąż żyje.

Odwróciła się ku mnie z wściekłością.

– Powiedz chociaż, że cierpieli – warknęła.

– Proszę cię, Élise, nie jesteś sobą.

– Arno, zostałam osierocona, z maltretowana, okłamana i zdradzona i zemszczę się za to, bez względu na cenę.

Oddychała szybko i ciężko, czerwona na twarzy.

– Cóż, nie, nie cierpieli. Asasyni tak nie robią. Nie czerpiemy przyjemności z zabijania.

– Och, czyżby? A więc teraz, skoro zostałeś asasynem, uważasz, że możesz mi prawić kazania o etyce, tak? Cóż, Arno, jeśli myślisz, że czerpię przyjemność z zabijania, jesteś w błędzie. Czerpię przyjemność ze sprawiedliwości.

– A więc to właśnie uczyniłem. Wymierzyłem im sprawiedliwość. Miałem okazję, skorzystałem z niej.

To ją trochę uspokoiło. Zamyślona, pokiwała głową.

– Ale Germaina masz zostawić mnie – powiedziała. Nie była to prośba, lecz polecenie.

- Nie mogę ci tego obiecać, Élise. Jeśli będę miał sposobność, to...
Uśmiechnęła się smutno.
– To mi za to odpowiesz.

II

Później przez jakiś czas się nie widzieliśmy, choć pisaliśmy do siebie, a kiedy w końcu zdobyłem dla niej pewne informacje, udało mi się namówić ją do opuszczenia Wyspy Świętego Ludwika i ruszyliśmy na poszukiwania *madame* Levesque, która zginęła wtedy od mojego ostrza. Przygoda ta obejmowała nieoczekiwaną przejażdżkę balonem panów Montgolfierów, choć skromność nie pozwalała mi wyjawić, co się działo podczas tego lotu.

Dość powiedzieć, że u kresu wyprawy ja i Élise byliśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

Nie tak bliscy jednak, bym zauważył, co się z nią dzieje – że śmierć doradców jej ojca jest dla niej tylko wstępem. Że tym, co ją zaprzętało, może nawet pochłaniało, było pragnienie, by dopaść Germaina.

*Wyjątki z diariusza
Élise de La Serre*

20 stycznia 1793

I

Na wersalskiej ulicy zobaczyłam znajomy wóz, zaprzężony w znajomego konia. Zsunęłam się z siodła, przywiązałam Czochraja do wozu, poluzowałam mu popręg, napoiłam go i przytuliłam się do jego łba.

Nie spieszyłam się z tym, bo po pierwsze, kochałam Czochraja, który zasłużył na wszelkie wygody, a po drugie chciałam odwlec chwilę, w której stawię czoła nieuniknionemu.

Zewnętrzny mur nosił ślady zaniedbania. Zastanawiałam się, kto z naszej służby był odpowiedzialny za jego utrzymanie w czasach, kiedy tu mieszkaliśmy. Pewnie ogrodnicy. Bez nich mur porósł mchem i bluszczem, którego pędy pięły się po sam szczyt niczym żyły na kamieniu.

W murze była sklepiona brama, znana mi bardzo dobrze, ale teraz wydawała się obca. Drewno, wydane na pastwę żywiołów, spłowiało i pokryło się plamami. Wspaniałe niegdyś wrota teraz budziły jedynie smutek.

Otworzyłam je i weszłam na dziedziniec domu swojego dzieciństwa.

Miałam w pamięci zniszczenia willi w Paryżu i byłam choć trochę, jak przypuszczam, przygotowana. Załkałam jednak na widok zarośniętych chwastami klombów i ławek. Na schodach siedział Jacques, który rozpromienił się na mój widok. Rzadko się odzywał; najbardziej pobudzonego widziałam go podczas cichych rozmów z Héléne. Teraz też nie musiał nic mówić; wskazał tylko za siebie, na wnętrze domu.

Weszłam do środka. Okna były zabite deskami, większość mebli powywracana. Widywałam to ostatnio bardzo często, tym razem jednak mój smutek był większy, był to przecież mój rodzinny

dom, a każda rozbita donica i potrzaskane krzesło budziły wspomnienia. Idąc przez ruiny, usłyszałam tykanie starego zegara naszego dziadka, tak znajome i tak kojarzące się z dzieciństwem, że odczułam je jak wymierzony mi policzek. Przystanęłam w pustym korytarzu, w którym posadzki, wypolerowane niegdyś na wysoki połysk, teraz chrzęściły pod butami, i stłumiłam szloch.

Szloch żalu i nostalgii. Może nawet wyrzutów sumienia.

II

Wyszłam na taras i spojrzałam na rozległe trawniki, kiedyś zadbane, teraz zarośnięte i spłowiałe. Jakieś dwieście metrów dalej na zboczu siedział pan Weatherall, obok niego leżały kule.

– Co pan robi? – spytałam, podchodząc do niego.

Wzdrygnął się nerwowo, kiedy obok niego usiadłam, ale zapanował nad sobą i zmierzył mnie przeciągłym, taksującym spojrzeniem.

– Szedłem za południowy trawnik, tam, gdzie kiedyś trenowaliśmy. Wyobrażałem sobie, że dam radę dojść tam i z powrotem, bo myślałem, że trawniki wyglądają tak jak kiedyś, ale potem tu dotarłem, zobaczyłem je i okazało się, że to nie takie proste.

– Cóż, tu też jest ładnie.

– To zależy od towarzystwa – odparł z sardonycznym uśmiechem.

Zapadła cisza.

– Wymknęłaś się tak bez słowa... – zaczął.

– Przepraszam.

– Wiedziałem, że to zrobisz, wiesz? Znam cię od małego i dobrze wiem, co to znaczy, kiedy masz takie spojrzenie. No, przynajmniej żyjesz. Co porabiałaś?

– Poleciałam na przejażdżkę balonem z Arnem.

– Ach tak? I jak się udała?

Zauważył, że się zaczerwieniłam.

– Było bardzo miło, dziękuję.

– A więc ty i on...

– Raczej tak.

– Cóż, to chyba dobrze. Nikomu nie wyszłoby na dobre, gdybyś usychała z tęsknoty. A co z... – rozłożył szeroko ręce – ...ze wszystkim innym? Dowiedziałaś się czegoś?

– Mnóstwa rzeczy. Wielu z tych, którzy spiskowali przeciwko mojemu ojcu, już odpowiedziało za swoje zbrodnie. Do tego znam tożsamość człowieka, który zlecił jego zamordowanie.

– Mówże!

– Nowym wielkim mistrzem, pomysłodawcą tego przewrotu, jest François Thomas Germain.

Pan Weatherall cmoknął.

– Oczywiście.

– Mówił pan, że usunięto go z Zakonu...

– Tak było. Nasz przyjaciel Germain był wyznawcą Jacques'a de Molaya, pierwszego wielkiego mistrza. De Molay skonał na stosie w 1314 roku, zasypując klątwami wszystkich dookoła. Opinie na jego temat zawsze były podzielone, ale w tamtych czasach trzeba było rozmawiać o tym na osobności, bo głoszenie jego idei było traktowane jak herezja. Germain zaś był heretykiem. Heretykiem z dostępem do wielkiego mistrza. Aby położyć kres wewnętrznym tarciom, został usunięty. Twój ojciec błagał go, by wyparł się swoich herezji, ale w końcu wydalili go z ciężkim sercem...

– Wygnano go?

– Tak. I zapowiedziano, że każdy członek Zakonu, który się za nim wstawi, również zostanie wypędzony. Po upływie dłuższego czasu ogłoszono go zmarłym, ale i tak był już wtedy tylko złym wspomnieniem. A tu niespodzianka, co? Germain zbierał popleczników, działał za kulisami, stopniowo zmieniał kurs Zakonu. W końcu przejął władzę, a wszyscy zachodzą w głowę, jakim cudem przeszliśmy od niezachwianego poparcia dla króla

do życzenia mu śmierci. Odpowiedź brzmi: doszło do tego, bo nikt się nie przeciwstawił. Szach-mat. – Pan Weatherall się uśmiechnął. – Trzeba mu oddać sprawiedliwość, zasłużył na uznanie.

– Zasłużył na sztylet w bebechy.

– A jak chcesz tego dokonać?

– Arno dowiedział się, że Germain zamierza być jutro obecny na egzekucji króla.

Pan Weatherall popatrzył na mnie, zaintrygowany.

– Egzekucji króla? A więc Zgromadzenie wydało już werdykt?

– Owszem. I brzmi on: śmierć.

Pokręcił głową. Egzekucja króla. Jak do tego doszło? Moim zdaniem ostatni etap tej drogi rozpoczął się latem zeszłego roku, kiedy dwadzieścia tysięcy paryżan podpisało petycję domagającą się powrotu królewskiej rodziny do władzy. Przedtem mówiło się o rewolucji, teraz – o kontrrewolucji.

Rewolucjoniści oczywiście nie zamierzali do tego dopuścić, toteż 10 sierpnia Zgromadzenie postanowiło zaatakować pałac Tuileries, gdzie mieszkali król i Maria Antonina po haniebnym wypędzeniu ich z Wersalu prawie trzy lata temu.

W starciu – ostatniej bitwie króla – poległo sześciuset szwajcarskich gwardzistów. Sześć tygodni później zniesiono monarchię.

Tymczasem doszło do buntów przeciwko rewolucji w Bretanii i Wandei, a 2 września Prusacy zajęli Verdun. W Paryżu wybuchła panika; zaczęły krążyć pogłoski, że uwięzieni rojaliści zostaną wypuszczeni na wolność i zemszczą się krwawo na rewolucjonistach. Można powiedzieć, że masakry, które z tego wynikły, były uderzeniem wyprzedzającym, ale pozostawały masakrami – wyrżnięto wiele tysięcy więźniów.

Król zaś stanął przed sądem i dziś ogłoszono, że jutro zostanie ścięty na gilotynie.

– Jeśli Germain tam będzie, to będę i ja – powiedziałam panu

Weatherallowi.

– A czemuż to?

– Żeby go zabić.

Zmarszczył brwi.

– Nie sędzę, by to był dobry pomysł, Élise.

– Wiem – odparłam czule. – Ale wie pan, że nie mam innego wyjścia.

– Co jest dla ciebie ważniejsze? – spytał ze złością. – Zemsta czy Zakon?

Wzruszyłam ramionami.

– Kiedy osiągnę pierwsze, drugie samo się ułoży.

– Czyżby? Tak ci się wydaje?

– Tak.

– Dlaczego? Jedyne, co zrobisz, to zabijesz obecnego wielkiego mistrza. Zamiast przyjąć cię z otwartymi ramionami, mogą cię postawić przed sądem. Rozesłałem wszędzie prośby o pomoc: do Hiszpanii, Włoch, nawet do Ameryki. Dostałem pojedyncze sygnały sympatii, ale ani jednej obietnicy poparcia, a wiesz dlaczego? Bo dla nich wszystkich twoje problemy są błahostką wobec tego, że francuski Zakon działa sprawnie. Poza tym możemy być pewni, że Germain użył własnej siatki. Zapewnił naszych braci za granicą, że przewrót był konieczny i że francuski Zakon znalazł się w dobrych rękach. Możemy także założyć, że Carrollowie oczerniają cię, gdzie tylko mogą. Nie poradzisz sobie bez poparcia, Élise, a nie masz żadnego. Mimo to zamierzasz kontynuować swój plan. I z tego wnoszę, że nie chodzi ci o Zakon, tylko o zemstę. Z czego z kolei wnoszę, że siedzi obok mnie głupiec, któremu życie niemiłe.

– Będę miała poparcie – powiedziałam z uporem.

– Czyje, Élise, jak myślisz?

– Miałam nadzieję stworzyć sojusz z asasynami.

Pan Weatherall drgnął, a potem smutno pokręcił głową.

– Sojusz z asasynami to mrzonki, dziecko. Nigdy do tego nie

dojdzie, nieważne, co twój przyjaciel Haytham Kenway pisał w swoich listach. Pan Carroll miał co do tego rację. Równie dobrze mogłabyś zapraszać mangustę i żmiję na popołudniową herbatkę.

– Przecież pan w to nie wierzy.

– Nie tylko wierzę, ja to wiem, dziecko. To wspaniale, że myślisz inaczej, ale się mylisz.

– Mój ojciec tak nie uważał.

Westchnął.

– Rozejm, który zawarł twój ojciec, był chwilowy. On sam wiedział o tym tak samo dobrze jak my wszyscy. Nigdy nie będzie między nami pokoju.

21 stycznia 1793

I

Było zimno. Przenikliwie zimno. Parujące oddechy zawisały przed nami w powietrzu. Staliśmy na placu Zgody, gdzie miała się dokonać egzekucja króla.

Plac był pełen ludzi, jakby cały Paryż – jeśli nie cała Francja – zgromadził się, by obejrzeć śmierć monarchy. Jak okiem sięgnąć, widać było ludzi, którzy jeszcze rok temu przysięgliby wierność królowi, teraz jednak szykowali chusteczki, by umoczyć je w jego krwi. Wspinali się na wozy, żeby lepiej widzieć, dzieci siadały na ramionach ojcom, młode kobiety gramoliły się na plecy mężów i kochanków.

Na obrzeżach placu przekupnie rozstawili stragany i głośno zachwalali swoje towary – bez wyjątku dostępne „tylko na egzekucji”. Panującą atmosferę można było nazwać jedynie odświętnym łaknieniem krwi. Ktoś mógłby pomyśleć, że ci ludzie, Francuzi, mają już dość krwi, ale najwyraźniej tak nie było.

Kat tymczasem wywoływał więźniów skazanych na ścięcie. Krzyczeli i protestowali, wleczeni na szafot. Tłum wyciem domagał się ich krwi; cichł na chwilę przed jej rozlaniem i wiwatował, gdy tryskała w ten rzeński styczniowy dzień.

II

– Jesteś pewien, że Germain tu będzie? – spytałam Arna, kiedy przybyliśmy na miejsce.

– Jestem – odparł.

Rozdzieliliśmy się. Choć nasz plan zakładał zlokalizowanie Germaina, ostatecznie zdradziecki były adiutant mojego ojca sam się objawił, wchodząc na platformę widokową w obstawie swoich

ludzi.

„To on” – pomyślałam, a tłum na chwilę przestał istnieć.

To był François Thomas Germain.

Wiedziałam, że to on. Siwiejące włosy związał na karku czarną wstążką, ubrany był w szaty wielkiego mistrza. Byłam ciekawa, co myśleli postronni gapie, patrząc na mężczyznę w takim stroju zajmującego tak ekskluzywne miejsce. Czy widzieli w nim wroga rewolucji? Czy raczej sprzymierzeńca?

A może, odwracając się pośpiesznie, jakby nie chcąc spojrzeć mu w oczy, widzieli tylko człowieka, którego należy się bać? Wyglądał przecież groźnie. Miał usta wykrzywione w okrutnym grymasie i oczy nawet z tej odległości ciemne i przeszywające. Coś w jego spojrzeniu budziło lęk.

Wezbrała we mnie wściekłość. Te szaty widywałam na swoim ojcu. Nie powinny zdobić grzbietu tego oszusta.

Arno oczywiście też go dojrzał i udało mu się podejść znacznie bliżej platformy. Patrzyłam, jak się zbliża do ustawionych przy schodach żołnierzy, których zadaniem było trzymanie tłumy na dystans. Powiedział coś do jednego z nich. Rozległy się krzyki. Popatrzyłam na Germaina, który nachylił się do Arna, a potem gestem rozkazał wartownikom go przepuścić.

Sama tymczasem podeszłam najbliżej, jak zdołałam. Nie miałam pojęcia, czy Germain mnie rozpozna, ale otaczały go inne znajome twarze. Nie mogłam pozwolić, by mnie zidentyfikowali.

Arno wszedł na platformę i stanął obok Germaina. Obaj popatrzyli nad tłumem na gilotynę, która unosiła się i opadała, unosiła i opadała...

– Witaj, Arno.

Usłyszałam słowa Germaina, ale bardzo niewyraźnie. Zaryzykowałam i spojrzałam w górę, licząc, że czytanie z ruchu warg i wiatr wiejący w odpowiednim kierunku pozwolą mi dowiedzieć się, o czym rozmawiają.

– Germain – odparł Arno.

Wielki mistrz wskazał go palcem.

– Dobrze się składa, że jesteś tu i widzisz odrodzenie templariuszy. Ostatecznie byłeś przy poczęciu całej tej koncepcji.

Arno skinął głową.

– *Monsieur de La Serre* – powiedział tylko.

– Próbowałem przemówić mu do rozsądku – rzekł Germain i wzruszył ramionami. – Zakon popadł w zepsucie, dążył do władzy i przywilejów dla nich samych. Zapomnieliśmy o naukach de Molaya, o tym, że naszym celem jest poprowadzić ludzkość ku wiekowi porządku i pokoju.

Na podwyższenie gilotyny wprowadzono króla. Trzeba mu oddać sprawiedliwość – stawił czoła swoim oprawcom z wysoko uniesioną głową, dumny do ostatniej chwili. Zaczął przemowę, którą bez wątpienia ćwiczył w jakimś ponurym więzieniu, gdzie trzymano go przed egzekucją. Zanim jednak doszedł do ostatnich słów, zagrzmiały werble, zagłuszając go. Odważny – owszem. Ale bezradny jak zawsze.

Arno i Germain nade mną wciąż rozmawiali. Arno, jak widziałam, starał się wszystko zrozumieć.

– Ale pan mógł to wszystko naprawić, tak? Wystarczyło zabić człowieka, który tym kierował?

„Człowieka, który tym kierował” – mojego ojca. Nienawiść, którą poczułam na widok Germaina, jeszcze się wzmogła; nie mogłam się doczekać, by wepchnąć mu sztylet między żebra i patrzeć, jak kona na zimnym kamieniu, tak jak skonał mój ojciec.

– Śmierć La Serre’ów była zaledwie pierwszym etapem – odparł Germain. – Oto kulminacja. Upadek Kościoła, koniec reżimu... śmierć króla.

– A w czym panu zawinił król? – zapytał szyderczo Arno. – Pozbawił pana pracy? Wziął sobie pana żonę za kochankę?

Germain pokręcił głową niczym nauczyciel rozczarowany swoim uczniem.

– Król to zaledwie symbol. Symbol może budzić strach, a za pomocą strachu można ludzi kontrolować, ale w końcu przestają się bać symboli. Jak widzisz.

Oparł się o balustradę i wskazał gilotynę, gdzie król, pozbawiony szansy odzyskania choć części swej królewskiej dumy, został siłą pchnięty na kolana. Jego brodę umieszczono w wycięciu drewnianego kłoca, odsłaniając kark wiszącemu nad nim ostrzu.

– Oto prawda, za którą umarł de Molay – powiedział Germain. – Boskie prawo królów to tylko odbicie promieni słonecznych w złocie. A kiedy Korona i Kościół obrócą się w proch, o przyszłości będziemy decydowali my, którzy złoto kontrolujemy.

Podniecony tłum zaszemrał i ucichł. To była ta chwila. Obejrzałam się i ujrzałam, jak ostrze gilotyny błyska w słońcu, potem opada z głuchym stukiem, a następnie usłyszałam, jak królewska głowa spada do wiklinowego kosza poniżej.

Cisza trwała jeszcze chwilę, a potem rozległ się dźwięk, którego z początku nie umiałam zidentyfikować; udało mi się to dopiero później. Przypomniałam go sobie z Maison Royale. To był odgłos, jaki wydaje cała klasa uczniów, kiedy sobie uświadamia, że posunęła się za daleko, kiedy zbiorowe westchnienie świadczy o tym, że nie ma już odwrotu. Przesadziliśmy, teraz jesteśmy w opałach.

– Jacques'u de Molayu – szepnął Germain – zostałeś pomszczony.

Wtedy pojęłam, że mam do czynienia z ekstremistą, fanatykiem, szaleńcem. Człowiekiem, dla którego ludzkie życie ma wartość tylko o tyle, o ile służy jego ideałom. A ponieważ był zwierzchnikiem zakonu templariuszy, czyniło go to najgroźniejszym człowiekiem we Francji.

Człowiekiem, którego należało powstrzymać.

Germain odwrócił się do Arna.

– Muszę cię przeprosić – powiedział, zmierzając ku schodom. – Miłego dnia.

Popatrzył na swoich przybocznych i władcym gestem poszczuła ich na Arna, wypowiadając dwa przejmujące chłodem słowa:

– Zabić go.

Po czym odszedł.

Ruszyłam biegiem, przeskakując po kilka stopni naraz. Dwaj zabójcy ruszyli właśnie na Arna, który odwrócił się w ich stronę, sięgając po broń.

Nie zdążył wyjąć jej z pochwy; moje ostrze przemówiło raz i drugi; po dwóch śmiertelnych cięciach w arterie wartownicy runęli na twarze; ich oczy wyróciły się w głąb oczodołów, zanim ich czoła uderzyły o deski platformy.

Sprawiłam się szybko i osiągnęłam cel: zabiłam dwóch. Ale było przy tym sporo krwi i nie udało się zachować dyskrecji.

Oczywiście ktoś natychmiast uderzył w krzyk. W zamieszaniu egzekucji nie na tyle głośny ani natarczywy, by wzbudzić panikę, ale ściągnął innych wartowników. Wbiegli na schody platformy, na której ja i Arno staliśmy gotowi na ich przyjęcie.

Rzuciłam się naprzód, rozpaczliwie chcąc dopaść Germaina. Przebiłam pierwszego napastnika, wyszarpnęłam broń z jego ciała i zawirowałam, żeby ciąć na odlew drugiego. Pan Weatherall nie znosił takich sztuczek – ataków obliczonych na szybkie zabicie przeciwnika, bez dbałości o utrzymanie obronnej postawy, narażających mnie na kontrę. A nic nie drażniło go bardziej niż popisywanie się i nieostrożność.

Ale przecież miałam u boku Arna, który rozprawił się z trzecim napastnikiem, być może więc pan Weatherall tym razem by mi wybaczył.

Po zaledwie kilku chwilach u naszych stóp leżały trzy trupy. Cały czas jednak nadbiegali kolejni żołnierze, a kilka metrów dalej spostrzegłam Germaina. Zobaczył, że szala bitwy przechyla się na jego niekorzyść, i rzucił się do ucieczki – w kierunku karety

stojącej na skraju placu.

Byłam od niego odcięta, ale Arno...

– Co ty robisz?! – wrzasnęłam, popędzając go, by ścigał Germaina. Sparowałam cios i zobaczyłam, że wielki mistrz ucieka.

– Nie zostawię cię tu na pewną śmierć! – odkrzyknął Arno i skupił się na wbiegających po schodach kolejnych napastnikach.

Nie zamierzałam ginąć. Miałam drogę ucieczki. Popatrzyłam w kierunku karety, dojrzałam jej otwarte drzwi i wsiadającego Germaina. Machnąwszy szpadą na oślep, przeskoczyłam balustradę; wylądowałam na ziemi niezgrabnie, nie na tyle jednak, by zginąć z rąk żołnierza, któremu zdawało się, że ma szansę mnie zabić. Za swój błąd otrzymał pchnięcie w brzuch.

Usłyszałam krzyk Arna, rozkazujący mi się zatrzymać: „On nie jest tego wart!”. Zobaczył grupę żołnierzy otaczających platformę oddzielającą mnie od... Germaina. Ten dobiegł do powozu, wspiął się do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Zauważyłam, że woźnica szarpnął lejcami, konie uniosły łby, wiatr smagnał ich grzywy, pęciny się napięły i kareta ruszyła.

Niech to diabli.

Spięłam się w sobie, gotowa rzucić się na kordon, kiedy poczułam obok siebie Arna. Chwycił mnie za rękę.

– Nie, Élise.

Odepchnęłam go z okrzykiem frustracji. Żołnierze nacierali z obnażonymi pałaszami. Z ich oczu biła pewność, że mają przewagę liczebną. Wyszczrzyłam zęby.

Do diabła z nim. Do diabła z Arnem.

Arno jednak złapał mnie za rękę, wciągnął nas w anonimowy tłum i zaczął przepychać się przez spłoszonych gapiów w największy ścisk, zostawiając całe zamieszanie za nami.

Zatrzymaliśmy się dopiero, kiedy opuściliśmy plac egzekucji i wokół nas nie było nikogo.

Odwróciłam się do niego ze złością.

– Uciekł, do diabła, mieliśmy jedyną szansę...
– To nie koniec – powiedział z naciskiem. Widząc, że muszę ochłonąć, dodał: – Znajdziemy inny trop...

To tylko wzmogło mój gniew.

– Wcale nie. Myślisz, że będzie dalej taki nieostrożny, wiedząc, że depczemy mu po piętach? Miałeś idealną sposobność, by go zabić, i nie skorzystałeś z niej.

Arno pokręcił głową, widział to zupełnie inaczej.

– Żeby uratować ci życie – powiedział z przekonaniem.

– Nikt cię o to nie prosił.

– Co ty mówisz?

– Mogę zginać, byle dopaść Germaina. Jeśli nie masz dość odwagi, by mi pomóc w zemście... to nie potrzebuję w ogóle twojej pomocy.

I powiedziałam to zupełnie poważnie, drogi pamiętniku. Siedząc i pisząc to, przetrawiając gniewne słowa, które sobie powiedzieliśmy, pozostaję pewna, że tak właśnie myślałam wtedy i tak myślę teraz.

Być może lojalność Arna wobec mojego ojca nie była tak głęboka, jak twierdził.

Nie, nie potrzebowałam jego pomocy.

10 listopada 1793

Nazwali to terrorem.

„Wrogowie rewolucji” byli słani na gilotynę masowo – za sprzeciw wobec rewolucji, za gromadzenie zboża, za pomoc obcym armiom. Gilotynę nazwano „narodową brzytwą”; nie próżnowała, ścinając dwie lub trzy głowy dziennie na samym tylko placu Rewolucji.

Francja skuliła się z przerażenia pod groźbą jej ociekającego krwią ostrza.

Tymczasem ze spraw bliższych mojemu sercu dowiedziałam się, że Arna spotkały szykany ze strony jego własnego Zakonu.

– Został wypędzony – przeczytał pan Weatherall w swojej korespondencji; w końcu dostaliśmy jakiś list od niedobitków jego wspaniałej niegdyś siatki.

– Kto? – spytałam.

– Arno.

– Rozumiem.

Uśmiechnął się.

– Udajesz, że cię to nie obchodzi, tak?

– Niczego nie udaję, panie Weatherall.

– Wciąż mu nie wybaczyłaś?

– Przyrzekł mi kiedyś, że jeśli będzie miał okazję go zabić, to to zrobi. Miał taką szansę i nie wykorzystał jej.

– I miał rację – oznajmił w końcu któregoś dnia pan Weatherall. Wyrzucił to z siebie, jakby ciążyło mu to już od dawna.

– Co takiego? – spytałam.

Czy raczej warknęłam. Prawdę mówiąc, ja i pan Weatherall działaliśmy sobie na nerwy już od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Nasze życie sprowadzało się do jednego: ukrywania się. A mnie chciało się wyć z frustracji. Codziennie martwiliśmy się,

że Germain znajdzie nas, zanim my wytropimy jego; codziennie czekaliśmy na listy, odbierane we wciąż zmienianych skrytkach. Wiedzieliśmy, że toczymy bitwę, której nie mamy szans wygrać.

I owszem, gotowała się we mnie krew na myśl, że Germain był tak bliski śmierci z mojej ręki. Pan Weatherall też się zżymał, ale z nieco innych powodów. Miał do mnie pretensje, o których nie powiedział mi wprost – uważał, że jestem porywcza i działam pochopnie, że powinnam była zaczekać, nie śpieszyć się i zaplanować uderzenie w Germaina, tak jak on sam zaplanował przejście Zakonu. Pan Weatherall twierdził, że myślę szpadą. Próbował mi powiedzieć, że moi rodzice nie działaliby tak nieostrożnie. Użył wszystkich znanych mu sztuczek, na koniec zaś posłużył się Arnem.

– Arno miał rację – powiedział. – Usiekliby cię. Równie dobrze mogłabyś sama sobie poderżnąć gardło, tyle samo miałabyś z tego korzyści.

Zniecierpliwiona, zachnęłam się i rozejrzałam z niechęcią po pokoju, w którym siedzieliśmy. Był ciepły, przytulny i powinnam czuć się w nim doskonale, zamiast tego jednak wydawał mi się mały i ciasny. Ten pokój i cały dom stały się dla mnie symbolem mojej własnej bezczynności.

– To co miałabym niby zrobić? – spytałam.

– Jeśli naprawdę zależy ci na Zakonie, najlepsze, co możesz zrobić, to zaoferować pokój. Służbę Zakonowi.

Rozdziawiłam usta.

– Poddać się?

– Nie, nie poddać, zawrzeć pokój. Negocjować.

– Ale to są moi wrogowie. Nie mogę negocjować z wrogami.

– Spróbuj na to spojrzeć z innej perspektywy, Élise – pan Weatherall nie ustępował, starając się przemówić mi do rozumu.

– Zawierasz pokój z asasynami, ale nie negocjujesz ze swoimi. Tak to wygląda.

– To nie asasyni zabili mi ojca – syknęłam. – Myśli pan, że mogę

zawrzeć rozejm z mordercami swojej rodziny?

Załamiał ręce.

– Chryste, i ona myśli, że templariusze i asasyni mogą się ot tak pogodzić. A jeśli wszyscy oni są tacy jak ty? „Pragnę zemsty, do diabła z konsekwencjami”.

– To trochę potrwa – przyznałam.

– I to właśnie powinnaś zrobić – odparował natychmiast pan Weatherall. – Nie śpieszyć się. Możesz działać o wiele więcej od środka niż z zewnątrz.

– I oni to wiedzą. Będą się uśmiechać, a za plecami trzymać sztylety.

– Nie zamordują kogoś, kto chce się pojednać. Zakon uznałby to za niehonorowe, a im zależy przede wszystkim na harmonii w Zakonie. Nie. Jeśli zastosujesz wobec nich dyplomację, odpowiedzą dyplomacją.

– Nie może pan tego wiedzieć na pewno.

Wzruszył nieznacznie ramionami.

– Nie, ale tak czy inaczej, uważam, że lepiej zaryzykować w ten sposób niż w twój.

Wstałam i zmierzyłam go gniewnym spojrzeniem – starca zgarbionego nad swoimi kulami.

– A więc to jest pańska rada, tak? Ułożyć się z mordercami mojego ojca.

Spojrzał na mnie, jego oczy były pełne smutku, bo oboje wiedzieliśmy, że to się może skończyć tylko w jeden sposób.

– Tak – rzekł. – To moja rada, rada twojego doradcy.

– W takim razie jest pan wolny – powiedziałam.

Kiwnął głową.

– Mam odejść?

Pokręciłam głową.

– Nie. Ma pan zostać.

To ja wyszłam.

2 kwietnia 1794

Powrót do rezydencji w Wersalu był bardzo bolesny, ale tam właśnie mieszkał Arno, więc musiałam tam pojechać.

Z początku pomyślałam, że wprowadzono mnie w błąd, bo wewnątrz pałacyku wyglądało tak samo, jeśli nie gorzej, jak wtedy, kiedy byłam tu po raz ostatni.

Dowiedziałam się też, że Arno źle zniósł wygnanie z szeregów asasynów i dał się poznać miejscowym jako pijak.

– Wyglądasz okropnie – powiedziałam, kiedy znalazłam go w końcu zaszytego w gabinecie mojego ojca.

Popatrzył na mnie znużonym wzrokiem i odwrócił się.

– Ty za to wyglądasz, jakbyś czegoś ode mnie chciała.

– Miłe powitanie po tym, jak bez słowa zniknąłeś.

Westchnął szyderczo:

– Dałaś mi jasno do zrozumienia, że moje usługi nie będą ci więcej potrzebne.

Poczułam, że wzbiera we mnie gniew.

– Nie mów tak. Jak śmiesz tak do mnie mówić.

– A co mam powiedzieć, Élise? Przepraszam, że nie zostawiłem cię na pewną śmierć? Wybacz, że zależało mi bardziej na tobie niż na zabiciu Germaina?

No dobrze, serce mi trochę zmiękło. Odrobinę.

– Myślałam, że zależy nam na tym samym.

– Mnie zależało na tobie. Nie mogę znieść świadomości, że przez moją niedbałość zginął twój ojciec. Wszystko, co robiłem, miało naprawić tamten błąd i nie dopuścić, żeby się to powtórzyło. – Spuścił wzrok. – Na pewno przyszedłeś tu w jakimś celu. O co chodzi?

– Paryż jest na skraju zagłady – powiedziałam. – Germain wyniósł rewolucję na nowe wyżyny niegodziwości. Gilotyny

działają już niemal na okrągło.

– I co ja mam z tym zrobić?

– Arno, którego kocham, nie musiałby o to pytać.

Machnięciem ręki wskazałam zdewastowane pomieszczenie, które kiedyś było ulubionym gabinetem mojego ojca. To tu dowiedziałam się o swoim przeznaczeniu jako templariuszki, to tu powiedziano mi o pochodzeniu Arna. Teraz wyglądało jak zrujnowana nora.

– Stać cię na więcej – powiedziałam. – Wracam do Paryża. Jedziesz ze mną?

Arno się zgarbił i przez chwilę myślałam, że to koniec między nami. Tyle tajemnic zatruwało nasz związek, jak w ogóle mogliśmy być razem? Naszą miłość pokrzyżowały plany, jakie mieli wobec nas inni.

On jednak wstał, jakby podjął decyzję, i wyprostował głowę. Patrzył na mnie przekrwionymi, skacowanymi oczyma, w których jaśniała nowa determinacja.

– Nie teraz – rzekł. – Muszę najpierw zająć się La Touche'em.

Ach, Aloys La Touche. Nowy nabytek naszego – czy raczej „ich” – Zakonu, jeden z zaufanych ludzi Germaina, człowiek, który obcinał ręce i nogi żebrakom. Arno mógł go sobie zabić, nie dbałam o to.

– Czy to rzeczywiście konieczne? – spytałam. – Im dłużej zwlekamy, tym większe niebezpieczeństwo, że Germain się nam wyśliznie.

– Od miesięcy trzyma Wersal pod butem. Powinienem był coś z tym zrobić już dawno.

Miał słusność.

– Dobrze. Załatwię jakiś transport. Nie wpadnij w tarapaty.

Arno popatrzył na mnie, uśmiechnął się i uzupełnił moje pożegnanie:

– Nie daj się złapać.

3 kwietnia 1794

– Odkąd opuściłeś Paryż, wiele się tu pozmieniało – powiedziała mu następnego dnia, kiedy wsiedliśmy na wóz jadący do miasta.

Arno kiwnął głową.

– Wiele trzeba naprawić.

– A my wciąż nie jesteśmy nawet o krok bliżej znalezienia Germaina.

– To nie całkiem prawda – rzekł. – Mam nazwisko.

Spojrzałam na niego zaintrygowana.

– Kto taki?

– Robespierre.

Maximilien de Robespierre. To ci dopiero nazwisko. Człowiek, którego nazywali „*l’Incorruptible*” – nieprzekupnym, przywódca jakobinów i faktyczny władca Francji, a zatem ktoś, kto dzierżył olbrzymią władzę.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli powiesz, co wiesz, prawda?

– Widziałem już wszystko, Élise – odparł Arno i na jego twarzy odmalowała się rozpacz, jakby nie potrafił znieść tego wspomnienia.

– Co to znaczy „wszystko”? – spytałam ostrożnie.

– To znaczy... że widzę różne rzeczy. Pamiętasz, jak zabiłem Belleca? Coś wtedy zobaczyłem. Stąd wiedziałem, co mam robić.

– Mów dalej – powiedziała, chcąc, żeby się otworzył.

– Pamiętasz, że zabiłem Siverta?

Wydełam wargi, tłumiąc w sobie odruchowy bunt.

– Miałem wtedy wizję – ciągnął Arno. – Miałem wizje po każdym z nich, Élise. Po każdym zabitym, po wszystkich mężczyznach i kobietach, z którymi coś mnie osobiście łączyło. Widziałem, jak twój ojciec nie wpuszcza Siverta na spotkanie templariuszy, co

było pierwszym powodem jego niechęci. Widziałem, jak Sivert kontaktuje się z Królem Żebraków. Widziałem, jak we dwóch napadają na twojego ojca.

– Ci dwaj – warknęłam.

– Och, twój ojciec bronił się dzielnie i tak jak ci już mówiłem, zdołał wyłupić Sivertowi oko; wygrałby starcie niechybnie, gdyby nie interweniował Król Żebraków...

– Widziałeś to?

– Tak, w wizji.

– Stąd też wiedziałeś, że wykorzystano szpilkę z inicjacji?

– Tak.

Nachyliłam się do niego.

– Te twoje wizje... Jak ty to robisz?

– Bellec mówił, że niektórzy się z tym rodzą, inni potrafią się tego nauczyć z czasem.

– A ty się z tym urodziłeś.

– Na to wygląda.

– Co jeszcze?

– Od Króla Żebraków dowiedziałem się, że twój ojciec opierał się jego nagabywaniom. Widziałem, jak Sivert wręcza mu szpilkę i mówi, że jego „mistrz” może pomóc.

– Jego „mistrz”? Germain?

– Właśnie. Tyle że wtedy o tym nie wiedziałem. Zobaczyłem tylko nieznanego w długiej szacie przyjmującego Króla Żebraków do waszego Zakonu.

Pomyślałam o panu Weatherallu; poczułam ukłucie wyrzutów sumienia, że rozstaliśmy się skłócenie – pragnęłam powiedzieć mu, że nasze teorie okazały się słuszne.

– Król Żebraków został nagrodzony za zabicie mojego ojca? – spytałam.

– Wszystko na to wskazuje. Kiedy zabiłem *madame* Levesque, poznałem plan templariuszy, by podnieść ceny zboża. Byłem też świadkiem tego, jak twój ojciec wypędza Germaina z Zakonu.

Germain, kiedy go wywlekano, przywoływał de Molaya. Później skontaktował się z *madame* Levesque. Widziałem, jak templariusze spiskują, by upublicznić informacje szkodzące królowi. Germain powiedział, że kiedy król zostanie stracony jak pospolity przestępca, świat ujrzy prawdę słów Jacques'a de Molaya. Widziałem też coś jeszcze. Widziałem, jak Germain przedstawia swoich towarzyszy templariuszy nie komu innemu jak Maximilienowi de Robespierre'owi.

8 czerwca 1794

I

Nie zdarzyło się chyba za mojej pamięci, by ulice Paryża nie były pełne ludzi. Widziałam tyle buntów i egzekucji, tyle rozlanej krwi... Teraz na Polu Marsowym mieszkańcy miasta znów się zbrali, ale tym razem atmosfera była inna.

Przedtem paryżanie przychodzili tu gotowi do walki, gotowi zabijać i ginąć, jeśli będzie trzeba; kiedyś zbierali się, by napełnić nozdrza zapachem krwi z gilotyny, a teraz przyszli świętować.

Ustawili się w kolumny, mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej. Wielu ludzi niosło kwiaty, bukiety albo dębowe gałęzie lub też trzymało wysoko uniesione flagi. Wypełniali Pole Marsowe, olbrzymi park, wpatrywali się w usypane ludzkimi rękami wzgórze na środku, na którym mieli nadzieję ujrzyć swojego nowego przywódcę.

Zatem to było Święto Istoty Najwyższej, jeden z pomysłów Robespierre'a. Podczas gdy inne rewolucyjne frakcje chciały całkowicie wyeliminować religię, Robespierre rozumiał jej siłę. Wiedział, że zwykli ludzie są przywiązani do idei wiary. Że chcą w coś wierzyć.

Wielu republikanów popierało tak zwaną dechrystianizację, Robespierre jednak miał inny pomysł. Wymyślił nową wiarę. Zaproponował nowe, niechrześcijańskie bóstwo: Istotę Najwyższą, w zeszłym miesiącu ogłosił zaś narodziny nowej państwowej religii, dekretując, że „lud Francji uznaje Istotę Najwyższą i nieśmiertelność duszy...”.

Aby przekonać wszystkich do swojego pomysłu, wymyślił święta. Święto Istoty Najwyższej było pierwszym z nich.

Co naprawdę nim kierowało – nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko tyle, ile odkrył Arno – że Robespierre był marionetką

Germaina. Cokolwiek miało się dziś wydarzyć, służyło nie tyle potrzebom ludzi, ile celom moich dawnych współbraci, templariuszy.

– Nigdy się do niego nie zbliżymy w takim tłumie – zauważył Arno. – Lepiej wycofajmy się i zaczekajmy na dogodniejszą sposobność.

– Wciąż myślisz jak asasyn – skarciłam go. – Tym razem mam plan.

Spojrzał na mnie, unosząc brwi, a ja zignorowałam jego żartobliwe niedowierzanie.

– Doprawdy? A jaki to plan?

– Myśl jak templariusz.

W oddali zagrzmiały armaty. Gwar tłumy przycichł, a potem znów się wzmógł; ludzie się przyszykowali i dwie kolumny ruszyły w powadze ku kopcowi.

Były ich tysiące. Śpiewali pieśni i wołali: „*Vive Robespierre!*”. Wszędzie dookoła powiewały wysoko unieszone *tricolore*.

W miarę jak się zbliżaliśmy, widziałam coraz więcej białych spodni i dwurzędowych kurtek Gwardii Narodowej. Każdy żołnierz miał u boku pałasz, większość także muszkiety z bagnetami. Tworzyli barierę między ludźmi i kopcem, z którego Robespierre miał wygłosić mowę. Zatrzymaliśmy się przed kordonem.

– Dobrze, co teraz? – spytał Arno, stając u mojego boku.

– Robespierre jest niedostępny, wystawił tu połowę Gwardii – powiedziałam, wskazując żołnierzy. – Nie zbliżymy się do niego.

Arno rzucił mi znaczące spojrzenie.

– Tak właśnie mówiłem.

Niedaleko miejsca, w którym staliśmy, wznosił się duży namiot, otoczony gwardzistami. W środku był Robespierre.

Bez wątpienia przygotowywał się do swojej przemowy jak aktor przed występem, chcąc wypaść majestatycznie i dostojnie. Nikt bowiem nie miał wątpliwości, o jaką Istotę Najwyższą chodziło;

słyszałam, jak ludzie przebąkiwali o tym, kiedy szliśmy na główny plac. Owszem, panowała odświętna atmosfera, ludzie śpiewali, śmiali się i nieśli kwiaty, ale nie brakowało też niezadowolonych, choć ci zachowywali się o wiele ciszej.

A to podsunęło mi pomysł...

– Nie jest już tak popularny jak kiedyś – powiedziałam do Arna.

– Czystki, kult Istoty Najwyższej... Wystarczy, że go skompromitujemy.

Arno pokiwał głową.

– A wielkie publiczne zgromadzenie to najlepsze do tego miejsce.

– Właśnie. Przedstawmy go jako niebezpiecznego szaleńca, a jego władza stopnieje jak śnieg w kwietniu. Potrzebujemy tylko przekonujących dowodów.

II

Stojąc na kopcu, Robespierre zaczął swoje przemówienie:

– Nadszedł w końcu ten radosny dzień, w którym lud Francji oddał się pod opiekę Istoty Najwyższej...

Tłum spijał każde jego słowo. Idąc między ludźmi, pomyślałam: „On to naprawdę robi. Naprawdę wymyślił nowego boga i chce, żebyśmy wszyscy oddawali mu cześć”.

– Nie stworzyła ona królów, by pognębić ludzkość – ciągnął. – Nie stworzyła kapłanów, by zaprzęgli nas niczym woły do królewskich karet...

Ów nowy bóg z pewnością pasował do rewolucji.

Mowa dobiegła końca i tłum zaryczał; może nawet niechętni dali się ponieść zbiorowemu entuzjazmowi. Trzeba to było Robespierre'owi przyznać – podzielony naród w końcu zaczął przemawiać jednym głosem.

Arno tymczasem zakradł się do jego namiotu, szukając czegoś, czego moglibyśmy użyć, by oczernić naszego przywódcę. Nie wrócił z pustymi rękami: znalazł list, który nie pozostawiał

wątpliwości co do związku Robespierre'a z Germainem.

Monsieur Robespierre,

proszę pamiętać, że Pańskie osobiste ambicje nie mogą stanąć na drodze Wielkiego Dzieła. Robimy to, co robimy, nie dla chwały własnej, ale dla przemienienia świata na obraz de Molaya.

G

Była tam także lista.

– To spis nazwisk, około pięćdziesięciu deputowanych Zgromadzenia Narodowego – powiedział Arno. – Wszystkie spisane ręką Robespierre'a, wszystkie należące do jego przeciwników.

Zaśmiałam się.

– Wyobrażam sobie, że tych panów bardzo zainteresuje wiadomość, że są na tej liście. Najpierw jednak... – Wskazałam stojące nieopodal beczki z winem. – *Monsieur Robespierre* przywiózł własne napoje. Odwróć uwagę strażników, mam pomysł.

III

Sprawiliśmy się dobrze.

Arno dopilnował, by lista trafiła do najzagorzalszych krytyków Robespierre'a. Tymczasem ja doprawiłam jego wino narkotykiem.

– Co dokładnie było w tym winie? – spytał Arno, kiedy czekaliśmy, aż rozpocznie się przedstawienie.

Robespierre rozpocznie przemówienie pod wpływem tego, co wsypałam mu do wina. A był to...

– Sproszkowany sporysz. W małych dawkach wywołuje manię, bełkotanie, nawet halucynacje.

Arno wyszczerzył się w uśmiechu.

– Cóż, zapowiada się ciekawie.

I tak też było. Robespierre coś dukał i bredził, a kiedy jego przeciwnicy zapytali go o listę, nie umiał im sensownie odpowiedzieć.

Odeszliśmy, gdy schodził z kopca wśród wycia i gwizdów tłumu, prawdopodobnie nie rozumiejąc, jak jego święto mogło się zacząć tak dobrze, a skończyć tak fatalnie.

Ciekawa byłam, czy zdołał się domyślić działań osób trzecich. Gdyby był templariuszem, byłby do tego przyzwyczajony. Tak czy inaczej, jego upadek był już przesądzony. Musieliśmy tylko poczekać.

27 lipca 1794

I

Czytam jeszcze raz ostatni wpis. „Musieliśmy tylko poczekać”.

Dobrze, fe! Niech to zaraza! Jak pewnie powiedziałyby pan Weatherall. Czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

Ze szpadą w dłoni wirowałam po posadzce pustego domu w szermierczych postawach. Mimowolnie rozglądałam się za panem Weatherallem, który powinien siedzieć z kulami pod ręką, krytykować moją postawę i pracę nóg – „Przestań się popisywać, do kroćset!” – tyle że go nie było. Byłam sama. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo samotność mi nie służyła. Zaczynałam wtedy rozmyślać. Kiedy miałam za dużo czasu, pogrążałam się w rozmyślaniach i rozpamiętywaniu krzywd.

W samotności zaogniałam się niczym zakażona rana.

I to między innymi dlatego tak się dziś zatraciłam.

II

Zaczęło się od wieści, które pchnęły mnie do działania, a potem spotkania z Arnem. Powiedziałam mu, że Robespierre został aresztowany.

– Podobno rzucał zawołowane groźby, że przeprowadzi czystkę wśród „wrogów państwa”. Rano mają go stracić.

Oczywiście musieliśmy się z nim wcześniej spotkać, ale w więzieniu For-l'Évêque zastaliśmy pobojuwisko. Wszędzie leżały trupy, pilnujących Robespierre'a wartowników zarżnięto, a on sam znikł bez śladu.

Z kąta dobiegł jęk. Arno przyklęknął pośpiesznie przy żołnierzu, opartym o ścianę, z wielką czerwoną plamą na piersi. Rozpiął mu kurtkę, znalazł ranę i zatamował krwawienie.

– Co tu się stało? – spytał.

Podeszłam bliżej, wyciągając szyję, by usłyszeć odpowiedź. Arno z całych sił starał się utrzymać żołnierza przy życiu. Przystąpiłam kałużę krwi i przysunęłam ucho do jego ust.

– Naczelnik odmówił wyprowadzenia więźniów – wycharczał konający strażnik. – Kiedy czekaliśmy na rozkazy, zaatakowały nas oddziały Konwentu. Zabrali Robespierre’a i pozostałych.

– Dokąd?!

– W tamtym kierunku – powiedział, wskazując. – Nie mogli ująć daleko, pół miasta zwróciło się przeciwko Robespierre’owi.

– Dziękujemy.

Oczywiście powinnam była pomóc go opatrzyć. Nie powinnam biec za Robespierre’em.

To był zły pomysł.

Ale wciąż nie tak zły jak to, co się stało później.

III

Robespierre próbował uciec, ale podobnie jak wiele innych jego planów, tak i ten pokrzyżowałam wraz z Arnem. Dopadliśmy go w Hôtel de Ville; żołnierze Konwentu byli o krok od sforsowania drzwi.

– Gdzie Germain? – spytałam kategorycznie.

– Nigdy nie powiem.

Wtedy to zrobiłam. Dopuściłam się tego okropnego czynu, będącego dowodem, że dotarłam do granic tego, kim byłam, i że nie ma już dla mnie ratunku, bo aby tam dotrzeć, musiałam się posunąć dalej.

Dobyłam pistoletu zza pasa i zanim Arno zdążył mnie powstrzymać, zaślepiona nienawiścią wycelowałam w Robespierre’a.

Wystrzał zabrzmiał w małym pomieszczeniu niczym huk armaty. Kula trafiła Robespierre’a w dolną szczękę, która pękła i zawisła bezwładnie. Krew z ust i dziąseł obryzgała podłogę.

Robespierre wrzasnął i zadygotał, wytrzeszczając oczy z bólu i przerażenia. Obiema rękami zakrył strzaskane, krwawiące usta.

– Pisz – warknęłam.

Próbował artykułować słowa, ale nie mógł. Nabazgrał coś na kawałku papieru.

– Świątynia – powiedziałam, chwytając kartkę i odczytując to, co napisał. Nie zwracałam uwagi na przerażone spojrzenie Arna.

– Powinnaś była się domyślić.

Żołnierze Konwentu byli już blisko.

Spojrzałam na Robespierre'a.

– Mam nadzieję, że spodoba się panu rewolucyjna sprawiedliwość – powiedziałam i wyszliśmy, zostawiając go łkającego i rannego, ściskającego usta zakrwawionymi rękami... a wraz z nim resztkę mojego człowieczeństwa.

IV

Wspominając to wszystko, czuję się, jakbym wyobrażała sobie czyny kogoś innego – „jakiejś innej mnie”, nad którą nie mam władzy, której poczynania mogę tylko obserwować z bezosobowym zainteresowaniem.

I wszystko to świadczy chyba nie tylko o tym, że przestałam słuchać ostrzeżeń pana Weatheralla czy że rażąco sprzeniewierzyłam się naukom matki i ojca, ale i o tym, że infekcja mojego umysłu posunęła się już za daleko, by ją zatrzymać. Nie mam innego wyjścia, jak spróbować ją wyciąć i mieć nadzieję, że przeżyję tę resekcję oczyszczona.

Jeśli jednak nie przeżyję...

Tu muszę zakończyć pisanie tego dziennika, przynajmniej na dziś. Mam do napisania kilka listów.

*Wyjątki z diariusza
Arna Dorigana*

12 września 1794

I

W tym miejscu powinienem chyba podjąć jej opowieść. Powinienem napisać, że kiedy spotkałem ją w świątyni następnego dnia, była blada i wymizerowana, a ja już wiem dlaczego.

Ponad sto lat temu forteca Temple du Marais została przebudowana na kształt rzymskiego Panteonu. Za łukami frontonu wznosiły się wysokie mury, zwieńczone przeróbką słynnej kopuły. Tym, co wjeżdżało i opuszczało twierdzę, były jedynie wozy z sianem, przejeżdżające przez tylną bramę.

Élise od razu chciała, byśmy się rozdzielili, ja jednak nie miałem co do tego przekonania; w jej oczach było coś dziwnego, jakby czegoś tam brakowało, jakby część jej samej była nieobecna.

I tak chyba było w istocie. Wtedy wziąłem to za determinację i skupienie, a w jej dzienniku nie znalazłem niczego, co by temu przeczyło. Élise miała mocne postanowienie dopaść Germaina, nie sądzę jednak, by uważała, że zginie – raczej że jest gotowa na śmierć, byle go zabić.

I być może pozwoliła, by ta pewność zdławiła strach, zapominając, że czasami – niezależnie od determinacji, niezależnie od umiejętności – to właśnie strach pozwala ci przeżyć.

Kiedy rozdzieliliśmy się, szukając wejścia do wnętrza świątyni, rzuciła mi wymowne spojrzenie.

– Jeśli będziesz miał szansę zabić Germaina – powiedziała – wykorzystaj ją.

II

Tak też zrobiłem. Znalazłem go we wnętrzu świątyni, w mroku szarych, kamiennych, zawilgłych murów, samotną postać między filarami kościoła.

Tam miałem ową sposobność.

Był dla mnie jednak zbyt szybki. Dobył oręża o niezwykłych mocach. Kiedyś wyśmiałybym coś takiego i nazwał sztuczką. Dziś oczywiście wiem, że nie należy śmiać się z rzeczy, których się nie rozumie. Germain wymachiwał dziwnie rozjarzonym ostrzem, które strzelało potężnymi wyładowaniami energii, jakby czerpiąc ją wprost z powietrza. Świeciło i sypało iskrami. Nie, w tej broni nie było zupełnie nic śmiesznego.

Znów zaiskrzył i wypuścił błyskawicę, która skoczyła ku mnie, jakby obdarzona własną wolą.

– A więc asasyn marnotrawny powraca – zawołał Germain. – Tak podejrzewałem, kiedy La Touche przestał przysyłać zebrane podatki. Nieźle zalazłeś mi za skórę.

Wyskoczyłem z kryjówki za kolumną. Moje wysunięte sekretne ostrze lśniło blado w półmroku.

– Zakładam, że Robespierre to także twoja robota? – spytał Germain, mierząc mnie czujnie spojrzeniem.

Uśmiechnąłem się twierdząco.

– To bez znaczenia. Rządy terroru wypełniły swój cel. Metal został rozgrzany i wykuty. Zahartowany, tylko utrwali swój kształt.

Skoczyłem i uderzyłem w jego klingę. Nie starałem się jej odbić, lecz uszkodzić, wiedząc, że jeśli uda mi się Germaina rozbroić, szala przechyli się na moją korzyść.

– Skąd ten upór? – zakpił. – Chodzi o zemstę? Czy indoktrynacja Belleca była tak gruntowna, że nawet teraz wykonujesz jego polecenia? A może to miłość? Córnica La Serre'a zawróciła ci w głowie?

Moje sekretne ostrze zderzyło się z jego głównią, która rozbłysła gniewnie, boleśnie, jakby została zraniona.

Mimo zepchnięcia do defensywy Germain zdołał znów okiełznać jego moc – lecz tym razem w sposób jeszcze bardziej nieprawdopodobny. Wybuch energii cisnął mnie do tyłu i podłoga się zatliła, a wielki mistrz po prostu zniknął.

Z głębi świątyni dobiegł mnie głośny huk, który zdawał się wstrząsać kamiennymi murami. Podźwignąłem się na nogi i spojrzałem w tamtym kierunku, a potem po wilgotnych schodach zbiegłem do krypty.

Po mojej lewej z mroku katakumb wyłoniła się Élise. Sprytnie. Kilka chwil wcześniej i wzięlibyśmy Germaina w kleszcze.

(Te momenty – kilka tu, kilka tam – to właśnie one, te bezlitosne okruchy czasu, decydowały o losie Élise).

– Co tu się stało? – spytała, przyglądając się wrotom prowadzącym do krypty, poczerniałym i poskręcany.

Pokręciłem głową.

– Germain ma jakąś broń... Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Uciekł mi.

Élise ledwie na mnie popatrzyła.

– Mnie nie minął. Musi być tam, na dole.

Rzuciłem jej pełne powątpiewania spojrzenie. Mimo to, z bronią w rękach, pokonaliśmy kilka ostatnich stopni prowadzących do krypty.

Była pusta. Musiały tu jednak być ukryte drzwi. Zacząłem obmacywać ściany w ich poszukiwaniu i moje palce natknęły się na dźwignię ukrytą między kamieniami. Pociągnąłem ją i odsunąłem się. Przejście otworzyło się z głębokim zgrzytem, ukazując rozległą podziemną salę. Jej sklepienie wspierało się na rzędach kolumn, między którymi stały sarkofagi templariuszy.

Wśród nich zaś – Germain, odwrócony plecami do nas. Zrozumiałem, że jego miecz odzyskał w jakiś sposób zasoby energii i że wielki mistrz czekał na nas; w tym samym momencie Élise z krzykiem wściekłości rzuciła się do przodu.

– Élise!

Tak jak się spodziewałem, Germain odwrócił się, machnął świetlistym mieczem i posłał w naszą stronę błyskawicę energii. Musieliśmy skoczyć za osłonę.

Zaśmiał się.

– Ach, *mademoiselle* de La Serre też tu jest. Cóż za spotkanie.

– Nie pokazuj się – szepnąłem do Élise. – Zagadaj go, niech mówi.

Kiwnęła głową i przycupnęła za sarkofagiem. Machnęła ręką, każąc mi iść, jednocześnie wołając do Germaina:

– Myślałeś, że ten dzień nigdy nie nadejdzie? Że skoro François de La Serre nie miał synów, którzy by go pomścili, to twoja zbrodnia pozostanie bezkarna?

– A więc to zemsta? – Zaśmiał się. – Widzisz sprawy tak samo kiepsko jak twój ojciec.

– Spójrz na siebie! – odkrzyknęła. – Twoja żądza władzy ma świadczyć o szerokim spojrzeniu?

– Władzy? Nie, nie, nie. Wiesz, że to nieprawda. Tu nigdy nie chodziło o władzę, lecz o kontrolę. Czyżby twój ojciec niczego cię nie nauczył? Nasz Zakon zgnuśniał. Przez wieki skupialiśmy uwagę na atrybutach władzy: tytułach szlacheckich, urzędach w Kościele i państwie. Daliśmy się nabrać na to samo kłamstwo, które stworzyliśmy na użytek mas.

– Zabiję cię! – krzyknęła.

– Nie słuchasz. Zabicie mnie niczego nie zmieni. Kiedy twoi bracia templariusze ujrzą, że stare instytucje obracają się w proch, przystosują się do tego. Wycofają się w cień i w końcu zostaniemy sekretnymi panami, którymi mieliśmy być od początku. Dalej więc, zabij mnie, jeśli zdołasz. O ile nie potrafisz cudem posadzić na tronie nowego króla i zatrzymać rewolucji, to bez znaczenia.

Wyskoczyłem z ukrycia, atakując Germaina z zaskoczenia, o tyle pechowo jednak, że nie zdołałem go zabić swoim ostrzem. Jego oręż zatrzeszczał gniewnie i wypuścił kulę biało-błękitnej

energii. Pomknęła z prędkością armatniego pocisku i takie też uczyniła szkody w krypcie. W jednej chwili spowiła mnie chmura pyłu – w następnej przygniół spadający filar.

– Arno! – zawołała Élise.

– Utknąłem.

Czymkolwiek była ta kula energii, Germain nie miał nad nią pełnej kontroli. Sam podnosił się z ziemi, kaszląc i mrużąc oczy w chmurze wirującego pyłu. Potykał się na zaściełających podłogę kamiennych odłamkach.

Stanął zgarbiony i widać było, że zastanawia się, czy nas nie dobić, ale uznał, że nie, i zamiast tego uciekł głębiej w mrok krypty, sypiąc iskrami ze swojej broni.

Élise popatrzyła rozpaczliwie na mnie, chwilowo unieruchomionego i potrzebującego pomocy, i na oddalającego się Germaina.

– On ucieka – powiedziała. W jej oczach płonęła frustracja, a kiedy obejrzała się znów na mnie, ujrzałem na jej twarzy niezdecydowanie. Dwa wyjścia: zostać i pozwolić Germainowi uciec albo ruszyć w pogoń.

Tak naprawdę nigdy nie było wątpliwości, co wybierze.

– Poradzę sobie z nim – oznajmiła.

– Nie – zawołałem. – Nie sama. Zaczekaj na mnie. Élise.

Ona jednak zniknęła. Krzycząc z wysiłku, wyswobodziłem się spod kamiennego słupa, poderwałem na nogi i pobiegłem za nią.

I gdybym przybiegł choć parę chwil wcześniej (jak już mówiłem – o każdym kroku przybliżającym ją do śmierci decydowały momenty), mógłbym przeważać szalę bitwy, Germain bowiem bronił się zaciekle, wykrzywiając okrutną twarz w grymasie wysiłku. Być może jednak jego broń – która moim zdaniem była czymś na kształt żywej istoty – wyczuła, że jego właściciel stoi w obliczu klęski... bo nagle rozsadziła ją potężna eksplozja dźwięku i światła, śląc naokoło falę niszczycielskiej energii.

Podmuch omal mnie nie przewrócił, ale myślałem tylko o Élise.

Ona i Germain znajdowali się w samym sercu wybuchu.

W tumanach kurzu dostrzegłem jej rude włosy – leżała przygnieciona kolumną. Podbiegłem do niej, padłem na kolana i ująłem w dłonie jej głowę.

W oczach miała jasne światło. Myślę, że widziała mnie w tych ostatnich chwilach przed śmiercią. Zobaczyła mnie, jej oczy rozbliły się po raz ostatni – a potem zgasły.

III

Przez jakiś czas nie zwracałem uwagi na kaszłającego Germaina. Potem łagodnie opuściłem głowę Élise na kamień, zamknąłem jej oczy i wstałem. Poszedłem przez zasypaną gruzem salę, tam gdzie leżał. Krew pieniała mu się na ustach; wpatrywał się we mnie, o krok od śmierci.

Uklęknąłem. Cały czas patrząc mu w oczy, wysunąłem ostrze i dokończyłem dzieła.

12 września 1794

Kiedy Germain konał, miałem wizję.

(Pozwól, że tu zrobię przerwę i wyobrażę sobie to spojrzenie z ukosa, jakie rzucała mi Élise, słysząc o moich wizjach. Ani pełne wiary, ani zupełnie wątpliwe).

Ta wizja była inna niż poprzednie. Byłem w niej obecny w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Znalazłem się w warsztacie Germaina, patrząc, jak ubrany w stare łachy złotnik pracuje nad ozdobną szpilką.

Kiedy tak na niego patrzyłem, złapał się za skronie i zaczął do siebie mamrotać, jakby dręczyło go coś znajdującego się w jego głowie. Co to mogło być? Zastanawiałem się, kiedy nagle przestraszył mnie głos zza pleców.

– Brawo. Zabiłeś swojego arcywroga. Tak właśnie skończył się według ciebie ten moralitecik, prawda?

Wciąż wewnątrz wizji, odwróciłem się do mówiącego i ujrzałem stojącego za mną drugiego Germaina – tym razem o wiele starszego, tego, którego znałem.

– Och, tak naprawdę mnie tu nie ma – wyjaśnił – i tam też nie. W tej chwili wykrwawiam się na podłodze świątyni. Ale ojciec zrozumienia najwyraźniej uznał za stosowne dać nam chwilę na rozmowę.

Nieoczekiwanie sceneria się zmieniła i znaleźliśmy się w sekretnej krypcie pod świątynią, w której walczyliśmy, tyle że ta była nienaruszona i nie było w niej Élise. Zobaczyłem sceny z przeszłości – młodszy Germain podszedł do ołtarza, na którym rozłożone były pisma de Molaya.

– Ach – odezwał się Germain przewodnik za mną. – Mój ulubiony moment. Widzisz, nie rozumiałem nawiedzających mnie wizji. Obrazów wspaniałych złotych wież, miast lśniących

bielą niczym srebro. Myślałem, że popadam w obłąd. A potem trafiłem tu – do krypty Jakuba de Molaya. I dzięki jego pismom zrozumiałem.

– Co rozumiałeś?

– Że z niewiadomego powodu łączy mnie poprzez wieki więź z wielkim mistrzem de Molayem. Że zostałem wybrany, by oczyścić Zakon z dekadencji i zepsucia, które wdały się w niego niczym zgnilizna. By obmyć świat i przywrócić go prawdzie, zgodnie z zamierzeniem ojca zrozumienia.

Sceneria znów się zmieniła. Tym razem znalazłem się w pokoju, gdzie wysoko postawieni templariusze osądzili Germaina i wydali go z Zakonu.

– Prorocy rzadko są doceniani w swoich czasach – wyjaśnił zza moich pleców. – Wygnanie i poniżenie zmusiły mnie do rewizji mojej strategii, poszukania nowych ścieżek prowadzących do celu.

Tym razem zaatakowały mnie obrazy terroru, ostrze gilotyny unoszące się i opadające rytmicznie jak wahadło zegara.

– Bez względu na cenę? – spytałem.

– Nowy porządek nigdy nie nastaje bez zniszczenia starego. A jeśli ludzie nauczą się lękać niczym nieskrępowanej wolności, tym lepiej. Posmakowawszy chaosu, przypomną sobie, czemu pragną posłuszeństwa.

Widok znów się rozmył i wróciliśmy do krypty, tym razem na chwilę przed tym, jak eksplozja odebrała życie Élise. Na twarzy swojej ukochanej zobaczyłem wysiłek, jaki włożyła w rozstrzygający starcie cios; miałem nadzieję, że wiedziała, iż jej ojciec został pomszczony, i że znalazła w tym choć odrobinę ukojenia.

– Tu nasze drogi się rozchodzą – oznajmił Germain. – Pomyśl: marsz ku postępowi jest powolny, ale niepowstrzymany jak lodowiec. Dziś udało ci się jedynie odwlec to, co nieuniknione. Jedna śmierć nie zatrzyma przyływu. Może to nie moja ręka

zaprowadzi ludzkość na jej miejsce, ale czyjaś zrobi to na pewno.
Pomyśl o tym, wspominając ją.

Tak zrobię.

12 września 1794

W tygodniach po jej śmierci coś wciąż mnie zastanawiało: jak to możliwe, że znałem Élise lepiej niż ktokolwiek, spędziłem z nią więcej czasu niż ktokolwiek inny, i ostatecznie na nic się to nie zdało, bo w rzeczywistości w ogóle jej nie znałem?

Dziewczynę – owszem, ale nie kobietę, którą się stała. Widziałem ją, jak dorastała, ale nie miałem tak naprawdę szansy podziwiać piękna Élise w rozkwicie.

I już nigdy nie będę jej miał. Przepadła nasza wspólna przyszłość. Tęsknię za nią, ciężko mi na duchu. Opłakuję utraconą miłość, dni, które odeszły w dal, i te, które nigdy nie nadejdą.

Opłakuję Élise, bo przy wszystkich jej wadach była najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkam.

12 września 1794

Wkrótce po jej śmierci w Wersalu odwiedził nas mężczyzna nazwiskiem Ruddock. Roztaczając wokół siebie woń perfum, z trudem maskujących wprost obezwładniający smród potu, przywiózł list opisany „OTWORZYĆ TYLKO NA WYPADEK MOJEJ ŚMIERCI”.

Pieczeń była złamana.

– Przeczytał go pan? – spytałem.

– Istotnie, proszę pana. Z ciężkim sercem postąpiłem zgodnie z instrukcją.

– Miał zostać otwarty na wypadek jej śmierci – powiedziałem, zirytowany drzeniem własnego głosu.

– Zgadza się, proszę pana. Otrzymawszy ten list, umieściłem go w komodzie, mając nadzieję nigdy więcej go nie oglądać, jeśli mam być szczery.

Popatrzyłem na niego badawczo.

– Proszę powiedzieć prawdę: czy przeczytał go pan przed jej śmiercią? Bo jeśli tak, to mógł pan jej jakoś zapobiec.

Ruddock uśmiechnął się lekko, jakby z rozbawieniem.

– Czy mogłem? Nie sądzę, panie Dorian. Żołnierze piszą takie listy przed bitwą. Sam fakt rozważań nad własną śmiertelnością o niczym nie świadczy.

Byłem przekonany, że przeczytał ten list. Przeczytał go przed jej śmiercią.

Zmarszczyłem brwi, rozłożyłem kartkę i zacząłem sam czytać słowa Élise.

Ruddock,

wybacz mi brak uprzejmości, ale obawiam się, że zrobiłam rachunek swoich uczuć względem Ciebie i wyznaję: nie lubię

Cię zanadto. Jest mi z tego powodu przykro i rozumiem, że możesz te słowa odebrać jako nieuprzejmość, ale jeśli je czytasz, to albo zignorowałaś moje instrukcje, albo już nie żyję, a w każdym z tych wypadków żadne z nas nie powinno się kłopotać kwestiami etykiety.

Pomimo moich uczuć wobec Ciebie doceniam Twoje próby zadośćuczynienia za swoje czyny i wzrusza mnie Twoja lojalność. Z tego właśnie powodu proszę, abys przekazał ten list mojemu ukochanemu, Arnowi Dorianowi, samemu będącemu asasynem; ufam, że odbierze go jako świadectwo Twojej przemiany. Ponieważ jednak bardzo wątpię, iżby słowo nieżyjącej templariuszki wystarczyło, by przywrócić Cię do łask Bractwa, mam dla Ciebie coś jeszcze.

Arno, proszę, abys przekazał listy, o których zaraz napiszę, monsieur Ruddockowi, tak, aby mógł się nimi posłużyć w celu zdobycia przychylności asasynów, w nadziei przyjęcia z powrotem do Creda. Monsieur Ruddock będzie wiedział, że jest to dowód mojego zaufania do niego i wiary, że zadanie to zostanie wykonane raczej prędzej niż później, nie wymagając dalszego nadzoru.

Arno, dalsza część mego listu jest adresowana do Ciebie. Modłę się, bym mogła wrócić z konfrontacji z Germainem, odebrać ten list od Ruddocka, podrzeć go i nie myśleć więcej o jego treści. Jeśli jednak to czytasz, to po pierwsze, moje zaufanie do Ruddocka się opłaciło, a po drugie – nie żyję.

Mam Ci bardzo wiele do powiedzenia zza grobu i dlatego przekazuję Ci swoje pamiętniki. Ostatni z nich znajdziesz w mojej torbie, poprzednie – w skrytce wraz z listami, o których mowa. Jeśli badając zawartość kufra, dojdiesz do smutnego wniosku, że nie przechowywałam listów, które do mnie pisałeś, wiedz, że powód tego znajdziesz w moim pamiętniku. W kufrze będzie także naszyjnik, подарowany mi przez Jennifer Scott.

Następnej kartki brakowało.

– Gdzie reszta? – spytałem.

Ruddock podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Ach, tak. Druga kartka zawiera specjalną wiadomość, dotyczącą umiejscowienia listów, które według *mademoiselle* dowodzą mojego odkupienia. I, cóż, proszę wybaczyć nieuprzejmość, ale zdaje mi się, że jeśli ją panu oddam, stracę kartę przetargową, jeśli można to tak określić, a nie mam gwarancji, że nie zabierze pan po prostu listów i nie wykorzysta ich do wzmocnienia własnej pozycji w Bractwie.

Popatrzyłem na niego znacząco i machnąłem listem.

– Élise prosi, bym panu zaufał, proszę więc o to samo. Ma pan moje słowo honoru, że listy będą pańskie.

– To mi wystarczy. – Ruddock ukłonił się i podał mi drugą kartkę listu. Przeczytałem ją, aż dotarłem do końca...

...teraz, oczywiście, leżę na Cimetière des Innocents razem ze swoimi rodzicami, blisko tych, których kocham.

Najbardziej ze wszystkich jednak, Arno, kocham Ciebie. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo, i że Ty też mnie kochasz. To dla mnie zaszczyt, że dzięki Tobie mogłam poznać tak spełniające uczucie.

*Twoja ukochana,
Élise*

– Napisała, gdzie są listy? – spytał Ruddock z nadzieją.

– Tak.

– I gdzie, proszę pana?

Popatrzyłem na niego, ujrzałem go oczami Élise i zrozumiałem, że pewne rzeczy są zbyt istotne, by powierzać je świeżo zaskarbnemu zaufaniu.

– Czytał to pan, sam pan wie.

– Nazwała to miejsce *Le Palais de la Misère*. Coś panu mówi ta nazwa, prawda?

– Owszem, panie Ruddock, mówi. Wiem, gdzie mam iść. Niech mi pan zostawi swój adres. Skontaktuję się z panem, jak tylko odzyskam listy. Niech pan wie, że z wdzięczności za to, co pan zrobił, wesprę wszelkie pana wysiłki, by powrócił pan do łask asasynów.

Ruddock wyprostował się i wypiął pierś.

– Dziękuję... bracie.

12 września 1794

I

Na drodze stał wóz, na wozie siedział młody człowiek. Opierał jedną nogę o burtę, ręce skrzyżował na piersi i zerkał na mnie spod szerokiego randa słomkowego kapelusza. Czekał – jak się okazało, na mnie.

– Pan Arno Dorian? – spytał, prostując się.

– To ja.

Jego spojrzenie powędrowało na mój nadgarstek.

– Ma pan ukryte ostrze?

– Uważasz, że jestem asasynem?

– A jest pan?

Wysunąłem ostrze. Syknęło, zaślnięło w słońcu, równie szybko je schowałem. Młody człowiek pokiwał głową.

– Na imię mi Jacques. Élise była moją przyjaciółką, dobrą panią mojej żony Hélène i bliską powierniczką... człowieka, który również z nami mieszka.

– Włocha? – spytałem, sprawdzając go.

– Nie, proszę pana – odparł z uśmiechem. – Anglika o nazwisku Weatherall.

Również się do niego uśmiechnąłem.

– Chyba najlepiej będzie, jak mnie do niego zabierzesz, prawda?

Jacques na swym wozie pojechał przodem, drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Na drugim brzegu rozciągał się gładko przystrzyżony trawnik, wznosił się ku skrzydłu gmachu Maison Royale. Patrzyłem na niego ze smutkiem i zdumieniem – ze smutkiem, bo sam widok szkoły przypomniał mi Élise; ze zdumieniem, bo szkoła wyglądała zupełnie inaczej niż instytucja z piekła rodem, którą moja ukochana odmalowała w swoich dziennikach przed laty.

Jechaliśmy dalej, jakbyśmy zamierzali ominąć szkołę – i tak najpewniej właśnie było. Élise wspominała o domku ogrodnika.

I rzeczywiście, trafiliśmy na duży, niski budynek na polanie, otoczony przez kilka drewnianych rozpadających się szop. Na ganku stał starszy mężczyzna o kulach.

Kule były oczywiście nowością, ale siwa broda wyglądała znajomo – pamiętałem ją jak przez mgłę z pałacyku, z czasów dzieciństwa. To był ktoś, kto należał do „drugiego” życia Élise, jej życia z François i Julie. Mnie wtedy w ogóle nie obchodził. Ani ja jego.

Piszę te słowa po lekturze dzienników Élise i teraz oczywiście rozumiem, jaką zajmował pozycję w jej życiu, znów się dziwiąc temu, jak mało w rzeczywistości o niej wiedziałem; po raz kolejny opłakuję straconą szansę, by poznać „prawdziwą” Élise, tę wolną od tajemnic i przeznaczenia, które musiała wypełnić. Czasami myślę, że przez brzemień, jakie dźwigała, nasza miłość od samego początku nie miała szans.

– Witaj, synu – warknął mężczyzna na ganku. – Dawno się nie widzieliśmy. Popatrz no tylko. Ledwie cię poznaję.

– Dzień dobry, panie Weatherall – odparłem, zsiadając z konia. Podszedłem i gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz, przywitałbym go po francusku – uściskałbym go, połączyłaby nas solidarność żałoby, bo byliśmy dwiema najbliższymi Élise osobami. Nie zrobiłem tego jednak, bo był dla mnie tylko postacią z przeszłości.

Wnętrze domu było urządzone prosto i bez wygód. Pan Weatherall, wspierając się na kulach, zaprosił mnie do stołu. Kazał przynieść kawę dziewczynie, którą wzięłem za Hélène. Uśmiechnąłem się do niej, a ona w odpowiedzi dygnęła.

Jej też poświęciłem mniej uwagi, niżbym to zrobił, gdybym znał treść dzienników. To były moje pierwsze kroki w głąb życia Élise i czułem się jak intruz, jak ktoś, kogo nie powinno tam być.

Jacques wszedł za nami, ukłonił się żartobliwie i pocałował

Hélène na powitanie. W kuchni panowała tętniąca życiem, niewyszukana atmosfera. Nic dziwnego, że Élise się tu podobało.

– Spodziewaliście się mnie? – spytałem, skinąwszy głową w kierunku Jacques'a.

Pan Weatherall usiadł wygodnie, a potem z namysłem przytaknął.

– Élise napisała, że Arno Dorian może przyjechać po jej kufer. Potem, kilka dni temu, *madame* Levene przyniosła wiadomość, że ją zabito.

Uniosłem brew.

– Napisała do pana? I nie wzbudziło to pana podejrzeń?

– Synu, mam drewno pod pachami, ale nie myśl sobie, że w głowie tak samo. Podejrzewałem, że jest na mnie wciąż zła, a nie że coś planuje.

– Była na pana zła?

– Pokłóciliśmy się, rozstaliśmy się w złości. Nie rozmawialiśmy ze sobą.

– Rozumiem. Sam wiem, jak to jest, kiedy Élise się na kogoś złościła. Nic przyjemnego.

Popatrzyliśmy na siebie i po raz pierwszy uśmiechnęliśmy się. Pan Weatherall opuścił brodę na pierś i pokiwał głową w zadumie.

– Och, tak. Uparta była jak mało kto. – Spojrzał na mnie. – Spodziewam się, że przez to właśnie zginęła?

– Co panu powiedziano?

– Że szlachetnie urodzona Élise de La Serre brała udział w zatargu ze słynnym złotnikiem François Thomasem Germainem, że dobyli broni i stoczyli pojedynek, który skończył się śmiercią ich obojga. Tak to mniej więcej wyglądało, prawda?

Przytaknąłem.

– Rzuciła się na niego. Mogła być ostrożniejsza.

Pan Weatherall pokręcił głową.

– Nigdy nie wierzyła w ostrożność. Walczyła dzielnie, prawda?

– Walczyła jak tygrysyca, panie Weatherall, przyniosła chlubę swojemu nauczycielowi.

Starszy mężczyzna zaśmiał się krótko, smutno.

– Kiedyś uczyłem także François Thomasa Germaina, wiesz? Tak, rozumiem to spojrzenie. Zdrajca Germain szlifował swoje umiejętności na drewnianym mieczu dzierzonym przez Freddiego Weatheralla. W tamtych czasach nie do pomyslenia było, żeby templariusz zwrócił się przeciw templariuszowi.

– Nie do pomyslenia? Dlaczego? Templariusze byli mniej ambitni, kiedy był pan młodszy? Nie rozwinęli jeszcze do tego stopnia sztuki wbijania noża w plecy w imię postępu?

– Nie. – Pan Weatherall się uśmiechnął. – Po prostu byliśmy młodszy i bardziej wierzyliśmy w ludzi.

II

Być może mielibyśmy sobie więcej do powiedzenia, gdybyśmy w przeszłości spędzili razem więcej czasu. Tak się jednak składało, że dwaj mężczyźni najbliżsi Élise mieli ze sobą bardzo mało wspólnego; rozmowa w końcu uschła jak jesienny liść, a ja poprosiłem, żeby zaprowadzono mnie do kufra.

Pokazał mi go pan Weatherall. Przyniosłem kufer na stół w kuchni, przesunąłem dłonią po monogramie EDLS, a potem go otworzyłem. W środku, tak jak obiecała, były listy, dzienniki i naszyjnik.

– Coś jeszcze – powiedział pan Weatherall, wyszedł i wrócił po chwili z krótkim kordzikiem. – To jej pierwszy oręż – wyjaśnił i położył go obok kufra z lekceważącym spojrzeniem, jakbym powinien był to wiedzieć sam. Jakbym musiał się dowiedzieć o Élise jeszcze bardzo wiele.

I tak oczywiście było. Teraz to rozumiem i mam świadomość, że podczas swojej wizyty mogłem się wydawać nieco wyniosły, jakby ci ludzie nie byli warci Élise, kiedy w rzeczywistości było na odwrót.

Wyszedłem w jasną księżycową noc i zapakowałem jej rzeczy do juków przy siodle, gotów przewieźć je z powrotem do Wersalu. I kiedy tak stałem, ze sprzączką w dłoni, coś poczułem. Charakterystyczny, nie do pomylenia z niczym innym zapach perfum.

III

Sądząc, że zaraz wyruszamy, moja klacz prychnęła i uderzyła kopytem, ale uspokoilem ją, klepiąc po szyi i jednocześnie pociągając nosem. Pośliniłem palec, podniosłem go do góry i upewniłem się, że wiatr wieje zza moich pleców. Rozejrzałem się po obrzeżach polany. Być może była to jedna z uczennic szkoły, która przysłała tu z jakiegoś powodu. Może to była matka Jacques'a...

A może rozpoznałem zapach perfum i odgadłem, kto to taki.

Znalazłem go schowanego za drzewem. Jego białe włosy prawie świeciły w blasku księżyca.

– Co pan tu robi, Ruddock? – spytałem.

Skrzywił się.

– Ach, cóż, widzi pan... cóż, można powiedzieć, że chciałem dopilnować swojej nagrody.

Z irytacją pokręciłem głową.

– A więc jednak mi pan nie ufa?

– A pan mi ufa? Czy Élise mi ufała? Czy w ogóle ufamy sobie nawzajem my, którzy wiemy żywot członków tajnych stowarzyszeń?

– Chodźmy – powiedziałem. – Do środka.

IV

– Kto to?

Mieszkańcy domku, którzy przed chwilą udali się do łóżek, wrócili: Hélène w koszuli nocnej, Jacques w samych spodniach,

pan Weatherall wciąż ubrany.

– Nazywa się Ruddock.

Nie widziałem chyba nigdy tak całkowitej przemiany, jaka zaszła wtedy na twarzy pana Weatheralla. W jednej chwili poczerwieniał i skrzywił się z wściekłości.

– Pan Ruddock zamierza odebrać listy i rusza w swoją drogę – ciągnąłem.

– Nie mówiłeś, że mają trafić do niego – warknął Weatherall.

Spojrzałem na niego i pomyślałem, że zaczynam mieć go dość; im szybciej załatwię tu swoje sprawy, tym lepiej.

– Wnoszę, że macie panowie wobec siebie jakieś zadawnione żale?

Pan Weatherall gapił się tylko wilkiem, Ruddock uśmiechał niewinnie.

– Élise za niego poręczyła – powiedziałem. – Jest odmienionym człowiekiem i wybaczone mu zostały dawne wybryki.

– Proszę – odezwał się Ruddock, skacząc spojrzeniem między nami dwoma, wyraźnie spłoszony groźną miną Weatheralla. – Dajcie mi tylko listy i odjadę.

– Dam ci te listy, jeśli chcesz – rzekł Weatherall, podchodząc do kufra – ale wierz mi, gdyby nie Élise, wyciągałbyś je sobie z gardła.

– Ja też ją na swój sposób kochałem – zaprotestował Ruddock. – Dwukrotnie ocaliła mi życie.

Weatherall przy kufrze znieruchomiał.

– Dwukrotnie?

Ruddock wykręcił ręce.

– Tak. Z katowskiej pętli, a przedtem z rąk Carrollów.

Pan Weatherall z namysłem pokiwał głową.

– Tak, pamiętam, że wyratowała cię spod szubienicy. Ale Carrollowie...

Po twarzy Ruddocka przemknął cień.

– Cóż, ostrzegła mnie, że Carrollowie po mnie idą.

– Znałeś ich, prawda? – spytał Weatherall niewinnie.

Ruddock przełknął ślinę.

– Ze słyszenia, oczywiście.

– I czmychnąłeś?

Najeżył się.

– Każdy by to zrobił na moim miejscu.

– Właśnie. – Weatherall pokiwał głową. – Słusznie postąpiłeś, ominęła cię cała zabawa. Ale fakt pozostaje faktem, że nie chcieli cię zabić.

– W takim razie wychodzi na to, że Élise uratowała mnie tylko raz. To chyba zresztą bez znaczenia, raz wystarczy.

– Chyba że jednak chcieli cię zabić.

Ruddock zaśmiał się nerwowo, wciąż przenosząc spojrzenie z miejsca na miejsce.

– Przecież przed chwilą pan powiedział, że nie chcieli.

– A gdyby jednak chcieli? – nalegał Weatherall. Zastanawiałem się, do czego on, u licha, zmierza.

– Nie chcieli – odparł Ruddock jęśliwym tonem.

– Skąd wiesz?

– Słucham?

Na czole Ruddocka załśnił pot; uśmiechał się krzywo i nerwowo. Odszukał wzrokiem moje oczy, jakby szukając wsparcia, ale go nie znalazł. Ja tylko się przyglądałem. Czujnie.

– Widzisz – podjął Weatherall – uważam, że wtedy dla nich pracowałeś i myślałeś, że idą po ciebie, żeby cię uciszyć, co przecież mogło być prawdą. Uważam, że albo podałeś nam fałszywe informacje o Królu Żebraków, albo pracowałeś dla Carrollów, którzy wynajęli cię, żebyś zabił Julie de La Serre. Oto, co myślę.

Ruddock kręcił głową. Próbował przybrać minę niewinnego zdumienia, potem – urażonej niewinności, ostatecznie zdecydował się na panikę.

– Nie – powiedział. – To już zaszło za daleko. Nie pracuję dla

nikogo.

– Ale chcesz wrócić do asasynów? – zapytałem.

Wściekle zaprzeczył.

– Nie, wyleczyłem się już z tego. A wiecie, kto mnie z tego wyleczył? Sama piękna Élise. Nienawidziła obu waszych zakonów, wiecie? Nazywała was dwoma kleszczami, walczącymi o kontrolę nad kotem. Daremne złudzenia, tak to określała, i miała rację. Powiedziała mi, że lepiej mi będzie bez was, i miała rację. – Prychnął z pogardą. – Templariusze? Asasyni? Mam was gdzieś, was i wasze bezużyteczne babskie swary o starożytnie dogmaty.

– A więc skoro nie chcesz wrócić do asasynów, to nie potrzebujesz też listów? – spytałem.

– Ani trochę.

– To co tu robisz?

Po twarzy Ruddocka przemknęła świadomość, że sam sobie wykopał grób. Odwrócił się błyskawicznie i jednym ruchem dobył dwa pistolety. Zanim zdążyłem zareagować, chwycił Hélène, przystawił jej jeden do głowy, a drugi wymierzył w nas.

– Carrollowie przesyłają pozdrowienia.

v

W nagłej, napiętej ciszy rozległo się chlipanie Hélène. Skóra na jej skroni pobieliała pod naciskiem lufy pistoletu; popatrzyła błagalnie nad ręką Ruddocka na Jacques'a, który sprężył się cały, gotów do ataku, rozdarty między pragnieniem, by skoczyć na nich, uwolnić żonę i zabić Ruddocka, a obawą, że ten, przestraszony, zastrzeli Hélène.

– Może – powiedziałem po chwili ciszy – powiesz mi łaskawie, kim są ci Carrollowie.

– To rodzina Carrollów z Londynu – odparł Ruddock, jednym okiem zerkając na Jacques'a, spiętego jak sprężyna, z twarzą zastygłą w wyrazie wściekłości. – Z początku mieli nadzieję

wpłynąć na kierunek obrany przez francuskich templariuszy, ale potem Élise zabiła ich córkę, nadając sprawie wymiar bardziej osobisty. Oczywiście zrobili to, co zrobiłby każdy kochający rodzic, mający dużo pieniędzy i siatkę zabójców na swoje rozkazy – zlecili zemstę. Nie tylko na niej, ale też na jej protektorze. Och, i z pewnością zapłacą sowicie za te listy.

– Élise miała rację – rzekł Weatherall do siebie. – Nie wierzyła, że to kruki próbowały zabić jej matkę.

– Owszem, miała – przytaknął Ruddock prawie ze smutkiem, jakby żałował, że Élise tu nie ma i nie może tego słyszeć. Ja też tego żałowałem; wielką przyjemność sprawiłoby mi oglądanie, jak rozdziera Ruddocka na strzępy.

– A więc to koniec – powiedziałem. – Wiesz równie dobrze jak my, że nie uda ci się zabić pana Weatheralla i wyjść stąd żywym.

– Jeszcze zobaczymy – odparł Ruddock. – A teraz otwórzcie drzwi i odsuńcie się.

Nie ruszyłem się z miejsca, dopóki nie rzucił mi ostrzegawczego spojrzenia i nie wwiercił lufy pistoletu mocniej w skroń Héléne, która krzyknęła z bólu. Otworzyłem drzwi i odsunąłem się kilka kroków w bok.

– Mogę wam zaproponować wymianę – powiedział Ruddock, cofając się w kierunku czarnego prostokąta wejścia, ciągnąc Héléne za sobą.

Czekaliśmy – Jacques, wciąż spięty i dyszący żądzą rozszarpania Ruddocka; Weatherall, wściekły, ale gorączkowo rozmyślający; ja, z palcami zaciśniętymi na ukrytym ostrzu.

– Jego życie za jej życie – ciągnął Ruddock, wskazując Weatheralla. – Pozwolicie mi go zabić, a ja wypuszczę dziewczynę, kiedy będę w bezpiecznej odległości.

Weatherall patrzył na niego z pociemniałą twarzą; wściekłość biła od niego falami.

– Wolałbym sam sobie odebrać życie, niż pozwolić to zrobić tobie.

– Twój wybór. Tak czy inaczej – twój trup na podłodze, zanim wyjdę, albo dziewczyna zginie.

– A co z nią?

– Przeżyje – powiedział Ruddock. – Zabiorę ją ze sobą, wypuszczę, kiedy będę w bezpiecznej odległości i pewien, że nie próbujecie mnie oszukać.

– Skąd mamy mieć pewność, że jej nie zabijesz?

– A po co miałbym to robić?

– Panie Weatherall – zacząłem – nie ma mowy, żebyśmy pozwolili mu zabrać Hélène. Nie będziemy...

– Za przeproszeniem, panie Dorian – przerwał mi Weatherall – proszę mi pozwolić wysłuchać Ruddocka do końca. Niech usłyszę, jak kłamie, bo zlecenie nie obejmuje tylko protektora Élise, prawda, Ruddock? Nagrodę wyznaczono za jej protektora i jej służącą, prawda? Nie masz zamiaru jej wypuszczać.

Oddech Ruddocka zrobił się szybszy – z każdą chwilą jego możliwości malały.

– Nie odejdę stąd z pustymi rękami – rzekł – żebyście mogli mnie znaleźć i zabić innym razem.

– A jakie masz wyjście? Albo padną trupy i jednym z nich będziesz ty, albo uciekniesz stąd i do końca swoich dni będziesz oglądał się za siebie.

– Zabieram listy – oznajmił w końcu. – Dajcie mi listy, a wypuszczę dziewczynę, kiedy odjadę.

– Nie zabierzesz Hélène – rzekłem. – Możesz wziąć listy, ale Hélène nie opuści tego domu.

Ciekaw jestem, czy miał świadomość, że gdyby za mną nie pojechał, gdyby zaczekał po prostu w Wersalu, przywiózłbym mu te listy sam.

– Rzucicie się na mnie – powiedział niepewnie. – Jak tylko ją puszczone.

– Nie – obiecałem. – Daję słowo honoru. Weź swoje listy i odejdz. Ruddock jakby podjął decyzję.

– Dajcie mi listy – zażądał.

Weatherall sięgnął do kufra, wyjął plik listów i uniósł je do góry.

– Ty – rozkazał Ruddock Jacques'owi – kochasiu. Włóż listy do torby przy moim siodle, przyprowadź mojego konia pod drzwi, a potem przepędź konia asasynda. Spraw się szybko i wracaj tu, bo inaczej ona zginie.

Jacques popatrzył na mnie i na Weatheralla. Obaj kiwnęliśmy głowami, toteż wybiegł w księżycową noc.

Mijały sekundy. Hélène umilkła, wpatrywała się w nas ponad ramieniem Ruddocka, on zaś mierzył do mnie z pistoletu, nie zwracając większej uwagi na Weatheralla – nie uważał go za zagrożenie.

Wrócił Jacques. Nie odrywał wzroku od Hélène, chciał ją wyrwać Ruddockowi.

– Dobrze, wszystko gotowe? – spytał Ruddock.

Zobaczyłem w jego oczach, co planuje – tak wyraźnie, jakby powiedział to na głos. Zamierzał pierwszym strzałem zabić mnie, drugim Jacques'a, a z Hélène i Weatherallem rozprawić się szpadą. Być może Weatherall też to spostrzegł. A może planował swój ruch od samego początku. Nie wiem, jaka była prawda, ale w tej samej chwili, kiedy Ruddock odepchnął Hélène i wymierzył we mnie pistolet, Weatherall wyciągnął rękę z kufra, jednym ruchem strząsając pochwę z trzymanego w palcach krótkiego pałasza Élise.

Pałasz był o wiele większy od noża do rzucania i nie wierzyłem, że Weatherall trafi w cel, ale od dawna już szlifował swoje umiejętności. Ostrze zawirowało w powietrzu, ja rzuciłem się na podłogę, słysząc wystrzał i gwizd kuli nad głową, które zlały się w jeden dźwięk. Odzyskałem równowagę, wysunąłem ukryte ostrze i już miałem skoczyć na Ruddocka, zanim strzeli po raz drugi...

On jednak miał pałasz wbity w twarz; jego oczy rozbiegły się

w przeciwnych kierunkach, głowa odgięła się w tył. Zachwiał się, strzelił niegroźnie w sufit, a potem upadł, martwy, zanim dotknął podłogi.

Na twarzy Weatheralla zagościł wyraz ponurej satysfakcji, jakby udało mu się w końcu rozprawić z duchem z przeszłości.

Hélène pobiegła do Jacques'a i przez chwilę tylko staliśmy, wszyscy czworo, patrzyliśmy na siebie i na nieruchome ciało Ruddocka, nie mogąc uwierzyć, że już po wszystkim i że nikt z nas nie zginął.

Później zaś, kiedy już wynieśliśmy trupa na zewnątrz, żeby go jutro pogrzebać, znalazłem swojego konia i wróciłem do pakowania juków. Poczułem dłoń Hélène na ramieniu, obejrzałem się i spojrzałem jej w oczy, czerwone od płaczu, ale nie mniej przez to szczere.

– Panie Dorian, chcielibyśmy, żeby pan został – powiedziała. – Może pan zająć pokój Élise.

12 września 1794

Zostałem tam na stałe, niewidoczny i być może z punktu widzenia asasynów zapomniany.

Przeczytałem oczywiście dzienniki Élise i zrozumiałem, że choć jako dorośli nie wiedzieliśmy o sobie tyle, ile powinniśmy, to wciąż znałem ją lepiej niż ktokolwiek inny, bo byliśmy tacy sami – bratnie dusze o podobnych przeżyciach, które szły przez życie praktycznie identycznymi ścieżkami.

Tyle że, jak już wspominałem, Élise dotarła do jej kresu pierwsza; to ona doszła do wniosku, że jedność asasynów i templariuszy może stać się faktem. W końcu zaś z jej dziennika wypadł list. Przeczytałem go...

Najdroższy Arno,

jeśli czytasz te słowa, to albo Ruddock okazał się godny mojego zaufania, albo przeważała jego chciwość. Tak czy inaczej, masz moje dzienniki.

Ufam, że przeczytawszy je, zrozumiałeś trochę lepiej mnie samą i decyzje, które podejmowałam. Mam nadzieję, że widzisz, iż podzielałam Twoją nadzieję na sojusz asasynów i templariuszy. Mam w związku z tym, Najdroższy, ostatnią prośbę. Zanieś tę wiarę do swoich braci w Credo i głoś ją. A kiedy powiedzą Ci, że to naiwne mrzonki, przypomnij im, że Ty i ja udowodniliśmy, iż różnice doktryny można przewyciężyć.

Proszę, zrób to dla mnie, Arno. I pamiętaj o mnie. Tak jak ja będę pamiętać o tobie, dopóki znów nie będziemy razem.

*Twoja ukochana,
Élise*

„Proszę, zrób to dla mnie, Arno.”

Czytam te słowa i zastanawiam się, czy wystarczy mi sił. Czy kiedykolwiek będę tak silny jak ona. Mam nadzieję, że tak.

Spis postaci

- Pierre Bellec: asasyn
- Jean Burnel: templariusz, pomocnik pana Weatheralla
- May Carroll: angielska templariuszka
- Pan Carroll: angielski templariusz, ojciec May
- Pani Carroll: angielska templariuszka, matka May
- Arno Dorian: sierota przygarnięty przez La Serre'ów, później asasyn
- Charles Dorian: asasyn, ojciec Arna
- François Thomas Germain: ekskomunikowany templariusz, później wielki mistrz
- Hélène: służąca Élise, później żona Jacques'a
- Kapitan Byron Jackson: przemytnik
- Jacques: nieślubny syn madame Levene, później mąż Hélène
- Król Żebraków: sługa Germaina, później templariusz
- Chretien Lafrenière: jeden z kruków, doradca wielkiego mistrza de La Serre'a
- Élise de La Serre: templariuszka i wielka mistrzyni
- Julie de La Serre: templariuszka, matka Élise
- François de La Serre: wielki mistrz templariuszy, ojciec Élise
- Aloys La Touche: podwładny Króla Żebraków, templariusz
- Louis-Michel Le Peletier: jeden z kruków, doradca wielkiego mistrza de La Serre'a
- Madame Levene: dyrektorka Maison Royale
- Madame Levesque: jedna z kruków, doradca wielkiego mistrza de La Serre'a
- Maximilien de Robespierre: założyciel kultu Istoty Najwyższej, sprzymierzeniec Germaina
- Jennifer Scott: angielska templariuszka, siostra Haythama Kenwaya
- Charles Gabriel Sivert: jeden z kruków, doradca wielkiego mistrza de La Serre'a, później sprzymierzeniec Germaina
- Freddie Weatherall: angielski templariusz, protektor Élise de La Serre
- Bernard Ruddock: ekskomunikowany asasyn
- Honoré Gabriel Riqueti: hrabia de Mirabeau, wielki mistrz asasynów

Podziękowania

*Osoby, które zasłużyły
na specjalne podziękowanie:*

Yves Guillemot
Aymar Azaizia
Anouk Bachman
Travis Stout

A także:

Alain Corre
Laurent Detoc
Sébastien Puel
Geoffroy Sardin
Xavier Guilbert
Tommy François
Christopher Dormoy
Mark Kinkelin
Ceri Young
Russell Lees
James Nadiger
Alexandre Amancio
Mohamed Gambouz
Gilles Beloeil
Vincent Pontbriand
Cecile Russeil
Joshua Meyer
Dział Prawny Ubisoft
Etienne Allonier
Antoine Ceszynski
Clément Prevosto
Damien Guillotin
Gwenn Berhault
Alex Clarke
Hana Osman
Andrew Holmes

Chris Marcus
Virginie Sergent
Clémence Deleuze